

AARON ALLSTON

MYŚLIWCE ADUMARU

CYKL: STAR WARS TOM 126

TOM IX CYKLU X-WINGI

PRZEKŁAD ALEKSANDRA JAGIEŁOWICZ

TYTUŁ ORYGINAŁU X-WING IX: STARFIGHTERS OF ADUMAR

AARON ALLSTON

MYŚLIWCE ADUMARU

CYKL: STAR WARS TOM 126

TOM IX CYKLU X-WINGI

PRZEKŁAD ALEKSANDRA JAGIEŁOWICZ

TYTUŁ ORYGINAŁU X-WING IX: STARFIGHTERS OF ADUMAR

BOHATEROWIE POWIEŚCI

Czerwoni

Generał Wedge Antilles („Czerwony Jeden”)

Pułkownik Kapitan Tycho Celchu („Czerwony Dwa”)

Major Wes Janson („Czerwony trzy”)

Major Derek „Hobbie” Klivian („Czerwony Cztery”)

Mężczyzna z Korelii

Mężczyzna z Alderaanu

Mężczyzna z Tanaaba

Mężczyzna z Ralltiira

Sily Zbrojne Nowej Republiki, Wywiad i Korpus Dyplomatyczny

Iella Wessiri kobieta z Korelii

Tomer Darpen mężczyzna z Commenoru

Generał Airen Cracken mężczyzna z Contruum

Kapitan Geng Salaban mężczyzna z Bestine

Cywile Nowej Republiki

Hallis Saper kobieta z Bondanu

ROZDZIAŁ 1

Była piękna, delikatna, a on nie umiał zliczyć, ile razy już powiedział jej, że ją kocha. Lecz teraz przybył tu, wiedząc, że musi ją zranić.

Nazywała się Qwi Xux. Nie była człowiekiem: błękitna skóra, tylko o ton jaśniejsza od oczu, lśniące, delikatne jak puch brązowe włosy należały do rasy humanoidów z planety Omwat. Na jego przyjęcie włożyła białą wieczorową suknię, której miękkie fałdy podkreślały wiotką, wysmukłą postać.

Siedzieli przy stoliku na tarasie kawiarenki, trzy kilometry ponad powierzchnią planety Coruscant, świata, który był niekończącym się miastem. Tuż poniżej poręczy roztaczał się aż po horyzont krajobraz drapaczy chmur na tle pomarańczowego, nabrzmiałego wilgocią nieba; słońce zachodziło za jedną z dalszych chmur. Przelotny wietrzyk pachniał nadchodzącym deszczem. O tej wczesnej porze byli tu jedynymi gośćmi, a on był wdzięczny za tę chwilę samotności.

Qwi spojrzała na niego znad przystawki z dzikiego ptactwa, produkowanej seryjnie na Coruscant, a lekki uśmiech powoli zniknął z jej ust.

- Wedge, muszę ci coś powiedzieć.

Wedge Antilles, generał Nowej Republiki, może aż do dziś najślawniejszy pilot dawnego Sojuszu, odetchnął z wdzięcznością. To, co Qwi ma mu do powiedzenia, oddali złe wieści, które tak czy owak musiał jej przekazać.

- Słucham.

Podniosła na niego wzrok, zaczerpnęła tchu i zatrzymała powietrze w płucach tak długo, że jej skóra stała się jakby bardziej niebieska. Rozpoznał ten wyraz twarzy: nie chciała go zranić. Spokojnym gestem zachęcił, aby kontynuowała.

- Wedge - odezwała się po chwili, szybko wyrzucając z siebie słowa. - Uważam, że nasz związek dobiegł końca.

- Co takiego?

- Nie wiem, jak to powiedzieć, aby nie zabrzmiało okrutnie, ale... - Wzruszyła ramionami. - Powinniśmy się rozstać.

Milczał przez chwilę, usiłując zrozumieć to, co usłyszał.

A przecież jej słowa były całkowicie jasne. Tyle że to on miał je wypowiedzieć, nie ona. Jakim

cudem przewędrowały z jego głowy do jej ust?

Próbował sobie przypomnieć, jakiej reakcji się spodziewał, kiedy sądził, że to on pierwszy powie jej o rozstaniu.

- Dlaczego? - wykrztusił tylko. Na szczęście powiedział to neutralnym tonem, bez śladu oskarżenia.

- Myślę, że nasz związek nie ma przyszłości... - Obrzuciła uważnym spojrzeniem jego twarz, jakby szukając nowych zadrapań i siniaków. - Wedge, dobrze nam razem. Dajesz mi szczęście. Myślę, że odwzajemniam ci się tym samym. Za każdym razem jednak, kiedy próbuję wybiec myślą poza miejsce i czas, w którym się znajdujemy, w przyszłość, nie widzę domu, rodziny, wspólnych świątecznych chwil. Tylko dwie kariery zawodowe, które czasem gdzieś się przetną. Cały czas wydaje mi się, że to, co do siebie czujemy, należy nazwać nie miłością, lecz sympatią i że jest to najwłaściwsze słowo.

Wedge siedział jak zahipnotyzowany. Tak, to były jego myśli, co do jednej. Każdą z nich obracał w głowie po kilka razy.

- Jeśli to nie miłość, Qwi, to czym według ciebie jest dla nas ten związek?

- Dla mnie był potrzebą. Po tym, jak opuściłam instalacje w Otchłani, gdzie projektowałam broń dla Imperium, kiedy wreszcie uświadomiono mi, co robiłam, nie zostało mi nic. Szukałam punktu zaczepienia, promienia wiązki ściąągającej, który zawiódłby mnie do bezpiecznej przystani. Tym promieniem okazałeś się ty. - Odwróciła wzrok. - Kiedy Kyp Durrone użył Mocy, aby zniszczyć moją pamięć i zapewnić, że nigdy więcej nie zaprojektuję Gwiazdy Śmierci ani Zgniatacza Słońca, stałam się niczym. Wtedy jeszcze bardziej niż kiedykolwiek potrzebowałam promienia ściąągającego.

Spojrzała mu w oczy.

- A dla ciebie to był lot na symulatorze.

- Słucham?

- Proszę, wysłuchaj mnie. - Z rozpaczą odwróciła wzrok i zapatrzyła się w odległy zachód słońca na zachmurzonym niebie. - Kiedy się poznaliśmy, serce powiedziało ci, że to dla ciebie czas miłości. I tak się stało, pokochałeś mnie. - Zniżyła głos do szeptu. - Teraz rozumiem, że ludzie w młodości, często w bardzo wczesnej młodości, zakochują się, jeszcze zanim pojmą, co oznacza słowo miłość. Takie uczucie zwykle nie trwa długo. To jakby trening. Ty wprost z dzieciństwa zostałeś przeniesiony w świat myśliwców, laserów i śmierci, i prawdopodobnie dlatego nie zaznałeś takiej miłości. Lecz jej potrzeba pozostała w tobie. - Zamilkła na chwilę. - Wedge, nie jestem dla ciebie właściwą osobą - podjęła z wysiłkiem. - Nie wiem, jakie masz zamiary, czy myślisz poważnie, ale to, co czułeś do mnie, było jedynie ćwiczeniem na symulatorze, którego efekty przewidziano na jakiś późniejszy czas i dla innej kobiety. Takiej, z którą będziesz mógł dzielić przyszłość. - Głos jej się załamał; spojrzała na Wedge'a załzawionymi oczami. - Żałuję, że to nie ja nią jestem.

Wedge oparł się ciężko o poręcz fotela. Nareszcie znów mówiła swoimi słowami.

- To wszystko moja wina - ciągnęła. - Mam... nie wiesz, jak to trudno powiedzieć...

- Mów, Qwi. Nie gniewam się. Nie zamierzam ci utrudniać. Uśmiechnęła się blado.

- Wiem, że nie, Wedge. Kiedy się poznaliśmy, byłam inną kobietą. Dopiero gdy straciłam pamięć, stałam się osobą, którą jestem teraz. Byłeś przy mnie przez cały czas, dzielny i skromny, i podziwiany, obrońca w nieznanym mi wszechświecie... Kiedy to rozumiałam, nie miałam odwagi wyjaśnić ci...

- Powiedz wszystko. - Nieświadomie pochylił się, aby ją wziąć za rękę.

- Wedge, czuję się tak, jakbym cię odziedziczyła po zmarłej przyjaciółce. To ona cię wybrała. Nie wiem, czy chciałabym, abys był ze mną. Nie miałam możliwości tego sprawdzić.

Przez dłuższą chwilę przyglądał jej się w milczeniu. Wreszcie zaśmiał się krótko.

- Niech sprawdzę, czy właściwie zrozumiałem. A więc ja cię traktuję jak stary, wygodny symulator, a ty mnie jak odziedziczony mebel, który nie pasuje ci do reszty mieszkania.

Przez chwilę wydawała się wstrząśnięta, ale po sekundzie też parsknęła śmiechem. Zakryła usta ręką i skinęła głową.

- Qwi, odwaga to jedna z cech, które naprawdę podziwiam. Musiałaś jej mieć dużo, żeby powiedzieć mi to, co powiedziałaś. Byłbym nieodpowiedzialny, nawet podły, gdybym nie przyznał, że przyszedłem tu dzisiaj po to, aby z tobą zerwać.

Opuściła dłoń. Nie wydawała się zaskoczona, raczej lekko zamyślona i nieco rozbawiona.

- Dlaczego?

- Cóż, nie mam twojego daru wymowy, nie sądzą też, abym przemyślał to równie dokładnie jak ty. Ale powód zapewne jest ten sam. Przyszłość. Kiedy w nią patrzą, nie widzą tam ciebie. Czasem nie widzę nawet siebie.

Skinęła głową.

- Do tej chwili obawiałam się, że się mylą. Że popełniam błąd. Teraz jestem pewna, że nie. Dziękuję, że mi to powiedziałaś. Tak łatwo byłoby wszystko przemilczeć.

- Wcale nie.

- No cóż... może nie Wedge'owi Antillesowi. Wielu innym mężczyznom... owszem. - Spojrzała mu w oczy z uśmiechem. Widać było, że jest z niego dumna. - Co teraz zrobisz?

- Myślałem o tym naprawdę dużo. Przyjrzałem się obu aspektom mojego życia: karierze i życiu osobistemu. Jeśli chodzi o sprawy zawodowe, nie mogę się uskarżać, choć nie latam nawet w połowie tyle, ile bym chciał. - To nie była stuprocentowa prawda, przynajmniej od czasu, kiedy zgodził się awansować na generała, ale starał się nie obciążać Qwi swoimi frustracjami, co jego

zdaniem świadczyłoby o egoizmie. - Wykonuję ważną pracę i jestem za to szanowany. Ale moje życie osobiste... - Pokręcił głową, jakby właśnie się dowiedział o śmierci przyjaciela. - Qwi, ty byłaś ostatnim elementem mojego życia osobistego. Teraz nie zostało mi już nic. Pustka, czystsza niż próżnia kosmosu. Chyba za kilka tygodni wezmę urlop. Pojeżdżę trochę, spróbuję zajrzeć na Korelię, nie myśleć o pracy. Muszę sprawdzić, czy istnieją poza pracą zawodową.

- Na pewno istniejesz.

- Uwierzę, jak zobaczę.

- Więc nie wyłączaj czujników wizyjnych. Zaśmiał się.

- A ty?

- Mam przyjaciół. Mam pracę. Zaczynam mieć różne pasje. Pamiętaj, że nowa Qwi nie ma nawet dwóch lat. Pod tym względem jestem małą dziewczynką, która po raz pierwszy zakosztowała wszechświata. - Zrobiła skruszoną miną. - Będą się uczyć, pracować, a potem zobaczą, kim się staną.

- Mam nadzieję, że wciąż będziesz uważała mnie za przyjaciela - rzekł.

- Zawsze.

- A to znaczy, że będziesz mnie odwiedzać. Wysyłać mi wiadomości. No i prezenty urodzinowe.

- Okropnie jesteś zachłanny.

- Dziękują, Qwi.

- Dziękują, Wedge.

Spakował się jak wtedy, gdy jeszcze był aktywnym pilotem. Wrzucił wszystko do bezkształtnej torby, dobranej tak, aby idealnie wypełniała szafkę na bagaż, przewidzianą w X-wingu. Nie trzymał w niej nic, od czego mogłoby zależeć życie - wyłącznie ubrania, przybory toaletowe, holoodtwarzacz. Ważniejsze przedmioty - karty identyfikacyjne, kredytowe, pistolet laserowy - nosił przy sobie, tak aby nagłe rozstanie z torbą było jedynie niedogodnością, a nie katastrofą.

Zamknął torbę i rozejrzał się po kwaterze. Była przestronna, jak przystało na kwatery generała Nowej Republiki, i ładnie położona na górnych piętrach drapacza chmur. Wystarczyło słowo, aby komputer inteligentnego apartamentu zmienił polaryzację zajmujących całą ścianę okien, ukazując mu niezmierną połąć nieba i miasta, przecinaną strumieniami dużych i małych pojazdów.

Była to czysta, skąpo umeblowana kwatera wojskowego. Tylko.

Bo nie była domem. Podobnie jak mniejsze, lecz równie wygodne mieszkanie na superniszczycielu „Lusankya”. Chociaż Wedge nadal przypisany był do oddziału myśliwców, dowodząc specjalnymi siłami zadaniowymi, coraz częściej znajdował się w sytuacjach pasujących raczej do stanowiska oficera dowództwa Floty.

I tu, i tam tylko kilka pamiątek - hologramy w ramkach, przedstawiające uśmiechniętych, szczęśliwych rodziców lub przyjaciół na imprezach czy podczas startu - maskowało nieco bezosobowość umeblowania. Jeśli w czasie urlopu dostanie nowe zadanie, nie będzie musiał nawet tu wracać. Da znak odpowiedniej komórce i robot lub adiutant spakuje wszystko w jedną paczkę i prześle gdzie trzeba, drugi zaś, identyczny robot, a może adiutant, rozpakuje ją i umieści w nowej kwaterze, na innym świecie lub stacji. Wtedy to ona stanie się jego mieszkaniem.

Ale nie domem. Dom to była rodzinna stacja paliwowa, zniszczona pół życia temu. Rodzice pozostali na pokładzie. Do tej pory nikt nie zdołał ich zastąpić.

Przerzucił torbę przez ramię. Może teraz, na urlopie, widząc twarze i wsłuchując się w słowa ludzi, których odwiedzi, nareszcie zrozumie, co zmieniło ich mieszkania w domy. Może...

Ktoś zadzwonił do drzwi. Wedge odłożył torbę.

- Wejść.

Drzwi się rozsunęły, ukazując muskularnego, lekko siwiejącego mężczyznę o inteligentnych, ale smutnych oczach. Miał na sobie mundur generała Nowej Republiki. Wedge podszedł do niego z wyciągniętą dłonią.

- Generał Cracken! Proszę wejść. Zamierza mnie pan odprowadzić? Nie oczekiwałem wojskowej eskorty.

Airen Cracken, szef wywiadu Nowej Republiki, lekko ujął dłoń Wedge'a. Nie uśmiechnął się, przeciwnie, wydawał się raczej przygnębiony.

- Witam, generale Antilles. Tak, przyszedłem pana odprowadzić.

Coś w tonie jego głosu sprawiło, że w głowie Wedge'a odezwał się dzwonek alarmowy.

- Lepiej byłoby, żebym wyniósł się ukradkiem? Błady uśmiech rozjaśnił twarz Crackena.

- Może i tak. Mam dla pana zadanie.

- Jestem na urlopie. I to już od paru godzin. Cracken pokręcił głową w milczeniu.

- Generale Cracken, nie może mi pan wydawać rozkazów. Może to być tylko coś, na co powinienem sam się zgodzić.

- Mam coś takiego.

- Nie sędzę.

- To, co teraz pan usłyszysz, jest wyłącznie do pańskiej wiadomości. Nie będzie pan o tym rozmawiał poza tymi ścianami, dopóki nie dotrze pan do punktu spotkania.

- To wszystko wyjaśnia. Cracken zmarszczył brwi.

- Co wyjaśnia?

- Kiedy się dziś rano pakowałem, wszystko wydawało mi się jakieś inne. Jakby sprzętacz wszystko poprzestawiał, a potem ułożył tak jak przedtem, ale niezupełnie. Kiedy mnie nie było, przeczesaliście te pomieszczenia, tak? Upewniliście się, że nie ma tu żadnych pluskwów.

Cracken nie odpowiedział. Miał kwaśną minę.

- Świat Adumar leży na obrzeżach Dzikich Przestworzy - odezwał się w końcu. - Został skolonizowany dziesięć tysięcy lat temu przez koalicję ludów, które przygotowywały rebelię przeciwko Starej Republice. Zostały pokonane, ale ich oszczędzono... pod warunkiem że odejdą i nigdy więcej nie będą sprawiać kłopotów.

Wedge przyglądał mu się bez słowa. Może jeśli nie wykaże odpowiedniego entuzjazmu, Cracken po prostu sobie pójdzie, pomyślał. Ta taktyka z reguły jednak nie przynosiła pożądanych efektów.

- O ile zdołaliśmy się zorientować - ciągnął Cracken - ich duch buntu i skłonność do podziałów nie znikły, kiedy znaleźli świat odpowiedni do zasiedlenia. W dawnych czasach walczyli między sobą, wpędzając się w ubóstwo i barbarzyństwo, i to co najmniej dwukrotnie. Mimo to ich dawne nauki przetrwały tysiące lat, a język nadal stanowi wyraźnie rozpoznawalną odmianę basicu.

Urwał, jakby oczekiwał pytań.

- Nie jestem ciekaw - mruknął Wedge.

- Ostatecznie Stara Republika całkiem o nich zapomniała. Nie wspominają o nich również archiwa imperialne. Mieliśmy szczęście, że jeden z naszych zwiadowców z głębokiej przestrzeni trafił na nich, wracając z misji kartograficznej w Nieznanych Regionach.

- Jeśli wreszcie stworzycie mapy Nieznanych Regionów, będziecie musieli nazwać je jakoś inaczej.

Cracken zamrugał. Widać było, że nie wie, jak potraktować te słowa: na serio czy jako żart.

- Adumar jest uprzemysłowioną planetą - podjął po chwili. - Sam przemysł ciężki, głównie na potrzeby wojska. Produkowana przez nich broń jest oparta na potężnych materiałach wybuchowych. Nasi analitycy twierdzą, że nietrudno będzie przestawić niewielką część ich przemysłu na produkcję torped protonowych. Generale, czy spodobałaby się panu perspektywa, że myśliwce Nowej Republiki już nigdy nie będą cierpiały na brak torped protonowych?

Wedge z trudem powstrzymał się od gwizdnięcia. Lasery były najczęściej używaną bronią gwiazdnych myśliwców, głównym orężem w walce, ale to właśnie torpedy protonowe dawały im możliwość uszkodzenia, a nawet niszczenia dużych statków.

- To by rzeczywiście... pomogło.

- Przez tyle lat próbował pan wymusić zwiększenie produkcji torped protonowych. Odkąd osiągnął pan rangę generała, ludzie zaczęli pana słuchać. Ale Nowa Republika ma tyle potrzeb, że wzrost produkcji wtórnej lub trzeciorzędnej broni myśliwców nie wchodzi w rachubę. To się zmieni, jeśli zdołamy przekonać Adumar, by dołączył do Nowej Republiki. Wówczas pozostanie tylko kwestia przebrojenia parku maszynowego.

- No to wyślijcie misję dyplomatyczną i załatwcie sprawę.

- Cóż, tu się zaczynają problemy - odparł Cracken, zacierając dłonie. - Mieszkańcy Adumaru darzą niewielkim szacunkiem zawodowych polityków. Moim zdaniem to bardzo rozsądne podejście, ale jeśli pan to komuś powtórzy, zaprzeczę z całego serca. Wie pan, kogo szanują najbardziej?

- Kogo? - zapytał przez grzeczność Wedge.

- Pilotów myśliwców. Stara Republika miała swoich Jedi; Adumar ma swoich pilotów. Kochają ich. Ciężki przypadek kultu bohaterów, którym przesiąknięta jest cała ich kultura, łącznie z rozrywką. Hierarchia, tytuły, etykieta... wszystko skierowane jest ku chwale ich korpusów lotnictwa.

- Całkiem rozsądne rozwiązanie. Wprowadźmy je w Nowej Republice.

- Dlatego mogą rozmawiać z dyplomata, ale tylko z takim, który jest jednocześnie pilotem. I to

najlepszym.

Wedge westchnął.

- Nie jestem dyplomatą.

- Przydzielimy panu doradcę, zawodowego dyplomata, który stacjonuje już na Adumarze, niejakiego Darpena. Zgodnie z warunkami, na jakich Adumarianie zgadzają się przyjąć naszą misję dyplomatyczną, będzie panu towarzyszyć trzech innych pilotów. Sam ich pan wybierze. Oprócz tego grupa pomocnicza, w tym również tamten doradca, oraz jeden statek. Otrzyma pan dowództwo niszczyciela gwiazdnej klasy Destroyer, „Hołd”...

- Pamiętam go z bitwy pod Selaggis.

- Doskonale. - Cracken wyjął z kieszeni kartę danych i podał Wedge'owi. - To pańskie rozkazy. Pan oraz wybrani przez pana piloci spotkacie się z „Hołdem” w podanych na niej współrzędnych. Proszę nic nie mówić pilotom o misji aż do spotkania ze statkiem.

Wedge przyglądał mu się spokojnie.

- Potrzebuję tego urlopu, generale. To nie jest żart. Znajdźcie kogoś innego.

- Na pewno pan potrzebuje, Antilles. Ale Nowa Republika też jest w potrzebie. Nigdy do tej pory nie odmówił jej pan pomocy.

Wedge poczuł, jak jego ostatnia nadzieja oddala się bezpowrotnie. Na jej miejsce pojawił się gniew.

- Jak to jest, generale?

Cracken spojrzał na niego niepewnie.

- Co jak jest? Z Adumarem?

- Nie. Jak to jest mieć tyle możliwości? Móc się zwrócić po prostu do swojego sztabu i powiedzieć: „Chcę tego i tego do najbliższego zadania. Znajdźcie mi dźwignię, którą muszę nacisnąć, żeby zrobił to, co chcę, nieważne, ile go to będzie kosztować”. Jakie to uczucie?

Cracken spłoszował.

- Generale, niebezpiecznie zbliża się pan do granic niesubordynacji.

- Ależ skąd, generale. - Wedge wyjął kartę z jego palców. - Nie jestem pańskim podwładnym. A jeśli zbliżam się niebezpiecznie do jakichś granic, to raczej użycia siły. Może lepiej, żeby pan stąd wyszedł.

Cracken stał przez chwilę i Wedge czuł, że walczy z pokusą, by powiedzieć coś jeszcze. Ale gość

odwrócił się w milczeniu. Drzwi otworzyły się przed nim. Wychodząc na korytarz, Cracken rzucił jeszcze przez ramię:

- Proszę nie zapomnieć munduru galowego, generale. I znikł.

X-wing Wedge'a i trzy towarzyszące mu myśliwce równocześnie wyszły z nadprzestrzeni.

Otoczały ich nieznane gwiazdy. W zasięgu wzroku był tylko jeden rozpoznawalny element: biała, trójkątna sylwetka niszczyciela klasy Imperial, potężna siła niszczenia spakowana w pudło długości ponad półtora kilometra.

Czujniki zarejestrowały go natychmiast jako „Hołd”, ale pomimo wszystko Wedge, kierując ku niemu statek, czuł lekkie bicie serca.

Przez wiele lat niszczyciele gwiazdne budziły lęk w sercach pilotów X-wingów. Wedge walczył z nimi niejednokrotnie, czasem przyczyniając się do ich zniszczenia, częściej tracąc przez nie przyjaciół. W ciągu tych lat Nowa Republika przejęła wiele niszczycieli, zwracając przerażającą potęgę tych okrętów przeciwko Imperium. Teraz były bardzo popularne we flocie Nowej Republiki, ale Wedge nie mógł pozbyć się lekkiego dreszczu emocji na ich widok.

Komunikator zapiszczał i na ekranie pojawił się tekst - to „Hołd” potwierdzał identyfikację, przekazywał zezwolenie na lądowanie oraz mały planik wskazujący platformę przewidzianą jako lądowisko dla statków dygnitarzy.

- Oddział Czerwonych - odezwał się Wedge. - Mamy zezwolenie na lądowanie. Główne lądowisko myśliwców, za mną.

Trójka pilotów potwierdziła odbiór rozkazu i wszyscy weszli w powolną, długą pętlę prowadzącą w kierunku brzucha niszczyciela. Komunikator zatrzeszczał.

- Grupa X-wingów, tu „Hołd”. Wektor podejścia kieruje was chyba na dok Alfa Dwa.

- „Hołd”, tu dowódca Czerwonych - odpowiedział Wedge. - Kierujemy się do głównego doku zgodnie z rozkazami dowódcy ekspedycji. - Pozwolił, aby oficer łącznościowy przemyślał sobie tę informację. To on, Wedge Antilles, był dowódcą ekspedycji.

Zapadła cisza, akurat na tak długo, aby według obliczeń Wedge'a łącznościowiec zdążył wysłać do swojego dowództwa jedną krótką informację i otrzymać jedną krótką odpowiedź.

- Przyjmuję, dowódco Czerwonych. „Hołd” się wyłącza.

Wedge i jego towarzysze zajęli pozycję pod gigantycznym statkiem i wpłynęli w przestronne wnętrze głównego doku statku. Wedge utrzymywał statek w powietrzu, ignorując pracownika lądowiska, który machał do niego sygnalizatorami. Rozejrzał się uważnie.

Myśliwce gwiazdne stały w gotowości, by w każdej chwili ruszyć w bój - A-wingi, B-wingi, Y-wingi, a nawet myśliwce TIE, które niegdyś walczyły przeciwko Nowej Republice. Zaopatrzone w nowe tarcze, stanowiły teraz zwykły widok w zaprzyjaźnionych hangarach. Technicy uwijali się wokół stateczków wymagających naprawy lub przeglądu. Metalowe podłogi i ściany lśniły matowo,

zdradzając wiek i zużycie, nie zaś zamiłowanie kapitana do zachowywania pozorów. Dobry znak.

Mniejszy dok, do którego najpierw ich skierowano, pewnie był wyczyszczony do połysku specjalnie na ich przybycie, lecz stan głównego doku był lepszym wskaźnikiem umiejętności zarządzania okrętem, a tu wszystko wyglądało doskonale.

Wedge pozwolił wreszcie, aby pracownik lądowiska skierował klucz do miejsca lądowania, tuż obok samotnej eskadry X-wingów. Symbol jednostki na kadłubach, przedstawiający pojedynczego X-winga wznoszącego się wysoko ponad górskim szczytem, świadczył, że należały one do Eskadry Wysokich Lotów. Wedge skinął głową. Nie była to najlepsza eskadra X-wingów w republikańskiej flocie, ale latali w niej weterani o dużym doświadczeniu bojowym.

Zeskakując na płytę doku, Wedge zauważył, że przez otwartą bramę do doku wbiega grupa ludzi. Niektórzy z nich, widząc oddział Czerwonych, zatrzymali się na ułamek sekundy i natychmiast skręcili w ich kierunku. Wśród nich był mężczyzna w mundurze kapitana Dowództwa Floty, kilkoro młodszych oficerów i strażników oraz - co najdziwniejsze - kobieta o dwóch głowach, z których jedna lśniła srebrzyście.

Wedge stanął przy drabince i odwrócił się w stronę delegacji. Słyszał i wyczuwał swoich pilotów, którzy ustawili się obok niego w szeregu. Wyciągnął rękę do najwyższego rangą oficera.

- Kapitanie Salaban, gratuluję awansu i przeniesienia na „Psa Wojny”.

Kapitan, szczupły, brodaty mężczyzna o cerze barwy mocno wyprawionej skóry, zawahał się. Wciąż jeszcze zdyszany po biegu, najwyraźniej nie był pewien, czy ma formalnie salutować, czy dostosować się do nieoficjalnego zachowania Wedge'a. Wybrał tę drugą możliwość i uściśnił dłoń generała.

- Dziękuję, sir. Witamy na pokładzie. Pozwoli pan, że przedstawię moich starszych oficerów...

Był to rytuał, z którym Wedge mnóstwo razy spotykał się w przeszłości. Zakodował w pamięci nazwisko i twarz każdego z oficerów w nadziei, że nie zapomni ich przed końcem misji. Zwykle nie zapominał.

Kapitan gestem wskazał dwugłową kobietę.

- A to dokumentalistka misji, Hallis Saper.

Wedge mógł nareszcie przyjrzeć jej się uważnie. Była wysoka, wyższa od niego o jakieś dwa, trzy centymetry, o długich, ciemnych włosach splecionych w warkocz i szczerych rysach twarzy. Sprawiała wrażenie, jakby właśnie przybyła z jakiegoś rolniczego świata, skąd lata jedyny wahadłowiec w roku. Nie widział jej oczu, skrytych za goglami tak ciemnymi, że wydawały się nieprzezroczyste. Miała na sobie kombinezon pełen pasów, kieszeni i torebek.

Na jej prawym ramieniu, na specjalnym uchwycie, tkwiła srebrzysta głowa robota typu 3PO, o świecących oczach.

- Cieszę się bardzo, że spotykam najślawniejszego pilota batalionu myśliwców - rzekła kobieta miłym, lecz zbyt donośnym głosem.

- Dziękuję - odpowiedział Wedge. - Hm... trudno nie zauważyć, że masz dwie głowy.

Uśmiechnęła się.

- To mój holorejestrator, Białas. Poskładałam go ze zniszczonego robota protokolarnego i standardowej holokamery. Dodałam pamięć, trochę podstawowych obwodów konwersacyjnych i oprogramowania. Patrzy tam gdzie ja... w goglach mam czujniki, które śledzą ruchy moich oczu. Białas rejestruje wszystko, co widzę.

- Rozumiem - powiedział Wedge, chociaż nic nie rozumiał. Nie chciał jednak dopuścić do przerwy w rozmowie. - Dlaczego?

- Przeprowadzam wiele wywiadów z dziećmi. Badania wykazały, że nie boją się robotów typu 3PO.

- Aha. I udawało ci się? - Podejrzewał, że doskonale zna odpowiedź na to pytanie.

- No cóż, jeszcze nie. Nadal pracuję nad pewnymi niedociągnięciami w systemie. Chyba łatwiej by ci było, gdybyś sobie zdała sprawę, że jesteś dwugłową kobietą o niewidocznych oczach, pomyślał Wedge, ale zachował to zdanie dla siebie.

- A teraz dałaś sobie spokój z dziećmi, żeby rejestrować pilotów myśliwców - dodał.

Skinęła głową. 3PO tkwił nieruchomo na jej ramieniu, kompletnie nie zwracając uwagi na jej ruchy.

- To wspaniała okazja. Jestem wam wdzięczna.

- Ależ nie ma za co. Obawiam się jednak, że Białas będzie musiał przejść dodatkowe kodowanie. Muszę uzyskać możliwość wyłączania go na słowną komendę, jeśli sprawy wymagają poufności.

Hallis zawahała się.

- Tego nie było w umowie. Muszę odmówić.

- Doskonale. Będziesz miała wspaniałe widoki do rejestracji ze swojej kabiny.

- Rozumiem... No cóż, w takim razie chyba się zgodzę. Sama dokonam kodowania.

- A potem pokażesz Białasa specjalistom od łamania kodów na „Hołdzie”, żeby... eee... zoptymalizowali kodowanie.

Hallis uśmiechnęła się lekko i Wedge wiedział już, co ona knuje. Musiała wpaść na pomysł, aby przygotować drugi kod, który spowoduje obejście rozkazu Wedge'a.

- Oczywiście - odparła dość chłodnym tonem. Wedge spojrzał znów na kapitana Salabana.

- A teraz proszę pozwolić, że przedstawię panu moich pilotów. Oto pułkownik Tycho Celchu,

dowódca Eskadry Łotrów.

Tycho zasalutował.

- Sir...

Tycho był szczupłym, jasnowłosym mężczyzną ze śladami dystygowanej siwizny na skroniach, o wytwornych rysach i arystokratycznej postawie. W młodości miał opinię człowieka surowego, a nawet okrutnego. Ciężkie przejścia, jakie zafundowało mu życie - utrata rodziny na Alderaanie z rąk Wielkiego Moffa Tarkina po ataku pierwszej Gwiazdy Śmierci, uwięzienie i próba prania mózgu przez szefową wywiadu imperialnego Ysanne Isard, a po ucieczce podejrzenie o zmianę osobowości i szpiegostwo - wszystko to sprawiło, że zmienił się duchem, jeśli nawet nie ciałem. Teraz mógł się wydawać zimnym arystokratą każdemu, kto nie spojrzał mu w oczy i nie zobaczył w nich oznak dawnego cierpienia.

- A to major Wes Janson - powiedział Wedge. - Jeśli pan dotąd nie słyszał o jego wyczynach, z pewnością chętnie pana uraczy opowieściami.

Janson rzucił Wedge'owi kosę spojrzenie i potrząsnął dłonią kapitana statku.

- Miło się tu znaleźć - oznajmił i spojrzał na dokumentalistkę. - Wiesz co, Hallis... jestem bardziej znany z mojej zapierającej dech urody niż z waleczności, więc zapamiętaj, że to jest moja lepsza strona. - Ustawił się tak, aby rejestrator Hallis uchwycił czysty obraz jego lewego profilu.

Wedge z trudem pohamował prychnięcie. Jansen nie miał w sobie cienia narcyzmu, a jego słowa wynikały z chęci rozbawienia towarzystwa, ale naprawdę był wyjątkowo przystojny. Podobnie jak Wedge i większość znanych pilotów myśliwców, był nieco mniej niż średniego wzrostu, lecz rekompensował to szerokimi barami i zgrabnym, muskularnym ciałem, które mimo braku ćwiczeń nie wykazywało skłonności do tycia. Miał ciemnobrązowe włosy i młodzieńczy, wesoły wyraz twarzy, co sprawiało, że pomimo trzydziestki wyglądał na dziesięć lat mniej. Wedge uważał, że to bardzo nieuczciwa kombinacja.

- I major Derek Klivian - zakończył przedstawianie.

Czwarty pilot wyciągnął rękę do uścisku. Był szczupły, ciemnowłosy, o twarzy raczej ponurej, nieprzywykłej do uśmiechu.

- Witam, kapitanie - powiedział i również zwrócił się ku dokumentalistce. - Wszyscy mówią mi Hobbie - wyjaśnił. - Muszę ci chyba napisać moje nazwisko, żebyś nie robiła błędów.

Wedge nie wytrzymał i spojrzał w oczy robota rejestracyjnego. Wiedział, że ta druga głowa będzie go rozpraszała jeszcze przez długi czas, więc lepiej od razu zacząć ćwiczyć, aby jej nie zauważać. Bez przerwy się jednak zastanawiał, co wyjdzie z tego nagrania, jaką rolę odegra ta scena w dokumencie, który stworzy Hallis. I jak on sam będzie wyglądał na tle swoich barwnych

podwładnych. Podobnie jak Janson, był mniej niż średniego wzrostu, uważał się też za jednego z najbardziej pospolitych ludzi, jacy kręcą się po galaktyce. Jego wielbiciel twierdzili, że rysy Wedge'a emanują inteligencją i zdecydowaniem. Qwi utrzymywała, że jego brązowe oczy mają magnetyczną siłę. Inne damy zachwycaly się jego włosami - nosił je tak długie, jak tylko pozwalał regulamin. Były delikatne i miękkie, unosiły się na wietrze i zdawały się zapraszać kobiece dłonie...

W duchu wzruszył ramionami. Może jednak nie wypadł tak źle w porównaniu z ekstrawertykami w rodzaju Jansona. Chciałby, goląc się przed lustrem, zobaczyć choć jedną z tych zalet, które mu przypisywano.

- Byłbym wdzięczny - odezwał się - gdyby dało się przemalować nasze cztery X-wingi, klucz Czerwonych. - Wskazał na siebie i po kolei na podwładnych. - Białe tło, czerwień Eskadry Łotrów na pasach, ale bez oznak jednostki.

- Nie ma problemu. - Salaban skinął głową.

- Doskonale - odparł Wedge. - Co mamy najpierw w planach? Rozpakowujemy się czy odprawa?

Z miny Salabana widać było, że nie uszczęśliwiło go to pytanie.

- Powinniście się teraz rozpakować. Nie będzie odprawy do czasu dotarcia na samą planetę. Wywiad postanowił, że tym razem nie da nam łącznika.

Wedge przełknął uwagę, która mogła źle zabrzmieć w nakręconym dokumencie.

- Wchodzimy od ulicy? Kapitan Salaban skinął głową.

Wedge zmusił się do uśmiechu pod adresem holokamery.

- No cóż, wyzwanie jak każde inne. Obejrzyjmy sobie te kwatery.

ROZDZIAŁ 2

Jeszcze wiele dni później, kiedy „Hołd” wyszedł z nadprzestrzeni na skraju systemu słonecznego Adumar, Wedge nadal od czasu do czasu wpadał w złość. Denerwowało go, że planowaniu misji poświęcano zbyt wiele czasu i energii, koncentrując się na dopasowaniu wszystkich szczegółów do profilu misji. Łatwo było przy tym zatracić perspektywę, które cele są najważniejsze, a taktyka najskuteczniejsza.

A sytuacja była trudna. Nie wiedział o ludności Adumaru ani słowa więcej niż w dniu, kiedy otrzymał kartę danych od Crackena. Siedząc w X-wingu i przeprowadzając procedury startowe, miał do dyspozycji jedynie zestaw współrzędnych na powierzchni planety. Gdy tylko „Hołd” dotarł do planety - dziwną i niewygodną trasą, która przypominała raczej bieg z przeszkodami, z ciągłymi zmianami kierunku, najpierw na jeden z niezamieszkanym światów systemu, a potem na jeden z dwóch księżyców Adumaru - Wedge i jego trzech piloci mieli wystartować i ruszyć na miejsce przeznaczenia, które kryło się za tymi cyferkami. Wahadłowiec z „Hołdu”, wypełniony personelem pomocniczym, łącznie z Hallis Saper, był już na miejscu, przygotowując wszystko na ich przybycie.

- Klucz Czerwonych, tu „Hołd”. Ostatni odcinek dobiega końca za minutę. Wedge spojrzął na tablicę łączności. Minuta już się odliczała - jego robot R5, Szlaban, również odebrał transmisję i z własnej inicjatywy rozpoczął odliczanie.

- Tu dowódca Czerwonych - odezwał się Wedge. - Zrozumiałem. Start po przybyciu plus pięć sekund. Czerwoni, gotowi do lotu?

- „Czerwony Dwa”, gotów. - To Tycho, tak samo oszczędny w słowach jak w gestach.

- „Czerwony Trzy”, cztery zapalone i gotowe do drogi. - Entuzjazm Jansona był oczywisty nawet przez komunikator.

- „Czerwony Cztery”, jeszcze wszystko działa. - W kwaśnym tonie Hobbiego była niemal nuta nadziei.

Wedge poczuł, że „Hołd” wykonuje zwrot w prawo. Manewr trwał dziesięć sekund i zakończył się w chwili, kiedy odliczanie doszło do zera.

- Klucz Czerwonych, start - wydał rozkaz i sam się do niego zastosował, unosząc się na repulsorach trzy metry ponad podłogę hangaru.

Powoli ruszył w kierunku głównego luku. Pod sobą widział wielką, ciemną masę, rozjaśnianą od

czasu do czasu pojedynczymi błyskami światła, to nocna strona Adumaru. Pochylił dziób statku pionowo w dół, gładko włączył silniki manewrowe i wystrzelił w kierunku powierzchni planety. Tablica czujników i rzut oka na boki upewniły go, że towarzysze lecą tuż obok i za nim w formacji rombu. Skierował się w stronę zgodną z obrotami planety; orbita „Hołdu” znajdowała się nad równikiem.

- Dowódcu, tu „Czerwony Dwa”, mamy towarzystwo.

Wedge sprawdził jeszcze raz czujniki. Wskazywały dwie czerwone plamki na kursie równoległym, około dziesięciu klików jedna od drugiej i od kursu klucza Czerwonych. W tej samej chwili z dołu wychynęły dwie kolejne plamki, wznosząc się po identycznym kursie. Czujniki oznakowały je jako „typ nieznany”. Przyjrzał się im przez czujniki wizyjne, ale mógł odróżnić jedynie czarny, dziwacznie rozdwojony z tyłu kadłub - odległość i wibracje X-winga uniemożliwiały dokładniejsze przyjrzenie się przybyszom.

- Prawdopodobnie eskorta - doszedł do wniosku Wedge. - Spokojnie, Czerwoni. Dyplomacja przede wszystkim.

- „Trójka” do dowódcy. Dyplomacja polega na tym, że zanim przyciśniesz spust, musisz powiedzieć coś uprzejmego, tak?

- Zamknij się, „Trójka”.

Lecieli równolegle do powierzchni planety. Wedge na kilka chwil dostrzegł słońce wznoszące się nad powierzchnią Adumaru. Iluminatory X-winga natychmiast się spolaryzowały, tłumiąc nieco ostry blask, ale i tak wolał opuścić gogle kasku i skupić wzrok na przyrządach, by uniknąć dalszego oślepienia.

Po paru sekundach klucz Czerwonych przeciął terminus planety. Czujniki wizyjne ukazały niezwykle archipelag, składający się z serii sporych, górzystych wysp, za którymi pojawił się ogromny kontynent, zajmujący zapewne ćwierć powierzchni planety. Zgodnie z wytyczonym kursem mieli lecieć na północ, nad strefę umiarkowaną kontynentu. Poprzez wyrwy w pokrywie chmur Wedge widział duże miasta, ciemnozielone pasy roślinności i rozległe pola uprawne. Czujniki cały czas wykazywały obecność eskorty, utrzymującej niezmiennie dziesięciokilometrowy dystans.

W miarę jak posuwali się wzdłuż krzywizny Adumaru, słońce wznosiło się coraz wyżej; w końcu mieli je za plecami. Zbliżali się do odległej granicy dnia i nocy. Szlaban przesłał kolejny zestaw poprawek kursowych: zmniejszenie prędkości i zejście w atmosferę planety.

- Dowódcu, tu „Czerwony Trzy”. Dlaczego lecimy dłuższą drogą?

- „Trójka”, to oni wymyślili ten kurs, nie my. Podejrzewam, że dają nam szansę obejrzenia sobie ich świata.

- Następnym razem niech przyślą hologramy.

Wedge zachichotał i zaczął schodzić w atmosferę. Podniósł tarcze, utrzymując dość dużą prędkość. Widzowie na dole będą mieli spektakl - tarcze cząsteczek atmosfery o tarcze spowoduje, że X-wingi będą wyglądać jak meteory spadające z nieba. On z kolei zyska możliwość, aby lepiej

przyjrzeć się eskortie, która już wchodziła w atmosferę o dziesięć kilometrów poniżej niego, redukując przy tym prędkość.

Wedge pokiwał głową. Można było na tej podstawie przypuszczać, choć bez całkowitej pewności, że nie mogli wykonać tego manewru z taką łatwością jak X-wing z tarczami. Druga część eskorty, znajdująca się do tej pory ponad nimi, również zwolniła, zbliżając się do bariery atmosferycznej. Wkrótce Czerwoni wyprzedzili eskortujące ich pojazdy.

Schodzili w kierunku powierzchni. Wkrótce mogli już rozpoznać miasta z wieżowcami, pola uprawne, dziewicze lasy, rozległe jeziora i rzeki. W przeciwieństwie do Coruscant był to piękny świat.

Czujniki ukazały kolejne pojazdy, unoszące się na ich trasie w odstępach od pięćdziesięciu do stu kilometrów. Te jednak nie podążyły za kursem klucza Czerwonych.

- Korytarz - mruknął Wedge. - Wyglądają jak kamienie milowe przy drodze.

- Mogą nas namierzyć czujnikami - zauważył „Czerwony Trzy” - i ściągnąć posiłki, gdybyśmy się nie trzymali wytyczonego kursu. Chciałbym wiedzieć, co naprawdę kombinują. Pokaz siły?

Dowódca pokręcił głową. Gdyby miał to być pokaz siły, wysłaliby w powietrze znacznie większą grupę pojazdów i podeszliby bliżej. Ale on też nie wiedział, o co właściwie chodzi.

- Mniej kłapania dziobem, Czerwoni.

Jeden z punkcików na ich drodze przeleciał pomiędzy pojazdami - „kamieniami” i zbliżył się do Czerwonych o wiele szybciej niż pozostali. Wydawał się raczej kierować na X-wingi niż próbować zrównać się z nimi. Na oczach Wedge’a czujniki zidentyfikowały plamkę jako grupę czterech myśliwców lecących w ścisłej formacji. Kurs sugerował, że lecą wprost na X-wingi.

- Uwaga, Czerwoni - odezwał się. - Mogą być kłopoty. Komunikator ożył. Beładne zdania mieszały się ze sobą.

- Czerwoni, ostrze grupy zbliża się do waszych pozycji. Buan ke Shia wyzywa Waja Antillesa! Odpowiedź...! Czerwoni mają prawo się bronić... Dyas ke Vasan wyzywa Wesa Jansona! Odpowiedź!

- Kodowanie częstotliwości Czerwonych - polecił Wedge i sam szybko włączył koder. Teraz wszyscy spoza klucza słyszeli jedynie szum komputerowych zakłóceń. - Płaty S w pozycji bojowej - dodał. - „Dwa”, walczysz ze mną. „Trzy” i „Cztery”, pilnujcie naszych skrzydeł. - Na tablicy czujników kolejne cztery statki - „kamienie milowe” zeszyły z poprzedniego kursu i skierowały się ku Czerwonym.

- Dowódco, tu „Trójka”. Nie przegonimy ich.

- Jasne „Trójka”. Jeśli ta kultura naprawdę tak uwielbia pilotów, jak nam mówili, to najmądrzejsze w tej sytuacji posunięcie może mnie kosztować wiarygodność, która jest mi bardzo potrzebna. To może być tylko próba nerwów.

- Dowódco, tu „Czwórka”. Śmiem twierdzić, że moje nerwy już zostały wypróbowane. Mogę wracać do domu?

- Zamknij się, „Czwórka”. - Wedge obserwował, jak cyferki zasięgu gwałtownie maleją. Na dwóch kilometrach atakujący będą zaledwie w zasięgu dokładnego celowania, ale zbliżali się tak szybko, że zanim piloci klucza zdążą przycisnąć spusty, kom

puter celowniczy zdąży ich dobrze namierzyć. Tablica czujników już wydawała ciche, melodyjne dźwięki, sygnalizujące, że nieprzyjaciel próbuje ich wziąć na cel.

Przy trzech kilometrach Wedge polecił rozdzielić się na pary.

Nieprzyjaciel wystrzelił rakiety. Wedge ujrzał osiem flar, po dwa z każdego nadlatującego myśliwca.

Odbił w prawo i natychmiast zawrócił, aby znów znaleźć się w jednej linii z nieprzyjacielem. Manewr oderwał go od wektora podejścia... ale rakiety zbliżały się tak szybko, a wróg celował tak dobrze, że jedyną alternatywą dla jego uniku było nagłe przyspieszenie. Podwójne ogniste smugi śmignęły blisko z lewej strony i Wedge wiedział już, że dobrze zrobił.

Ułamek sekundy później okienko jego celownika objęło jeden z nadlatujących statków i zmieniło barwę z żółtej na zieloną. Wedge wcisnął spust i zobaczył, jak jego lasery plunęły czerwonym światłem w stronę nieprzyjaciela...

Udało mu się w przelocie dojrzeć czarny, wysmukły myśliwiec, który eksplodował tuż za jego rufą. Czujniki zarejestrowały zarówno eksplozję, jak i trzy kolejne cele, oddalające się, lecz już szykujące do zwrotu.

Wedge wykonał pętlę w lewo i zauważył, że Tycho wciąż znajduje się w jego tylnym prawym kwadrancie.

- Dowódca do klucza. Jaka sytuacja?

- Dowódco, tu „Dwójka”. Jeden zniszczony, dwa uszkodzone laserem, ale widać, że jeszcze mogą latać. Bez strat własnych.

- „Trójka”, cały i zdrowy.

- „Czwórka”, jeszcze bez szkód.

Wedge dał sobie spokój z wydawaniem dalszych rozkazów. Jego piloci wiedzieli, co mają robić. On i Tycho zacieśnili pętlę, starając się znaleźć poza ogonami pary ocalałych przeciwników, Hobbie i Janson zaś rozdzielili się na tyle szeroko, że każdy, kto by próbował zaatakować jednego, stałby się łatwym celem dla drugiego.

Podchodząc do dwóch myśliwców od rufy, Wedge nareszcie mógł się im dobrze przyjrzeć. Były duże jak na jednoosobowe myśliwce, prawie o połowę dłuższe niż X-wingi, o wydłużonych, spiczastych dziobach. Za kabiną ich kadłub rozszczepiał się w dwa oddzielne człony połączone cienkimi prętami. Skrzydła, które wyrastały tuż za kabiną pilota, były szerokie u nasady, lecz zwężały się jak wibroostrze na końcach. Powierzchnia myśliwca była lśniaco czarna.

Wedge przełączył się na ogólną częstotliwość.

- Czerwoni do nieprzyjacielskich myśliwców. Poddajcie się i zejście na powierzchnię planety.

- Nie! - wykrzyknął obcy pilot głosem napiętym i piskliwym. - Dostanę Waja Antillesa albo zginę!

Oba statki przemknęły na prawo i opadły w dół. Wedge i Tycho siedzieli im na ogonach, zbliżając się do optymalnego zasięgu rażenia - dwustu pięćdziesięciu metrów.

- Mamy was na oku i nigdzie się nie wybieramy - rzucił Wedge. - Ostatnia szansa, panowie...

Dwa statki błyskawicznie wytraciły szybkość, usiłując zmusić X-winga do wyminięcia ich. Wedge wypalił i stwierdził, że jego poczwórne lasery rozdarły na części czarny statek przed nim, przebijając kadłub dokładnie za kabiną. Stateczek, trafiony widocznie w istotny konstrukcyjnie punkt, przetoczył się w powietrzu i rozpadł na tuzin części.

Strzał Tycha miał chirurgiczną precyzję. Przebił kabinę dokładnie w miejscu, gdzie kopułka stykała się z kadłubem. Myśliwiec, poza tym nietknięty, przetoczył się leniwie na lewą burtę i zaczął spadać.

Wedge sprawdził czujniki. Hobbie i Janson właśnie do nich dołączali.

Pozostałe statki, trzymające się do tej pory w pewnej odległości od starcia, teraz zawracały na swoje pierwotne kursy, wytyczając szeroki korytarz powietrzny dla Czerwonych.

Wedge powoli zebrał grupę i ustawił w szyku. Obserwował ofiarę Tycha, dopóki nie rozbiła się o lesiste wzgórze w dole. Wrak rozkwitł nagle kulą ognia, która zaczęła pożerać otaczającą go roślinność.

- Czerwoni do Centrali Kontroli Lotów Adumaru. Co to miało być?

- Czerwoni, Czerwoni, tu certański kosmodrom. Przepraszamy za tę niedogodność. Proszę wrócić na kurs.

Wedge przeszedł na kodowaną częstotliwość Czerwonych.

- Rozumiecie coś z tego?

- Dowódco, tu „Trójka”. To basie, ale nie potrafię sobie wyobrazić, jak się wykrzywiają, żeby nim mówić. Zdaje się, że to nie była część planowanej imprezy.

- Też mi się tak zdaje, „Trójko”. Wracamy na planowany kurs. Miejcie oczy otwarte i czujniki włączone.

W chwilę później ujrzeli przed sobą największe miasto, jakie do tej pory widzieli, pełne wysokich wieżowców. Nawet najmniejsze budynki na peryferiach nie miały mniej niż sześć lub siedem pięter. Niebo nad nimi aż się roiło od małych stateczków. Komputer nawigacyjny Wedge'a wskazywał, że ich miejsce przeznaczenia mieściło się w granicach miasta.

Kiedy zbliżyli się jeszcze trochę, stwierdzili, że miasto jarzy się tysiącem barw. Każdy budynek pomalowany był na inny kolor, różny od sąsiedniego, a dachy i inne wykończenia, takie jak gzymsy i obramowania okien, przeważnie ozdabiano dla kontrastu jeszcze inną barwą. Rdzawy brąz, czerwień, czerń i beż wydawały się przeważać w tej kakofonii.

Wszędzie królowały balkony. Każdy budynek miał przynajmniej jeden szeroki balkon. Na większości odwiedzanych przez Wedge'a światów balkony sięgały najwyżej do krawędzi chodnika, ale tu zdarzały się i takie, które zwisały nad ulicą, spotykając się w połowie drogi z balkonami z

drugiej strony.

Pomiędzy budynkami kłębiły się też kable, całe masy kabli. Nie wiadomo było, czy to przewody energetyczne, czy telekomunikacyjne, czy też po prostu dziwaczna ozdoba lub element wzmacniający konstrukcję.

Kurs Czerwonych zawierał ściśle instrukcje co do wysokości i kierunku lotu, prowadząc cztery X-wingi ku jednej z szerszych ulic miasta, tuż ponad dachami. Wedge

zredukował prędkość, aby łatwiej manewrować w okolicach gmachów. Tłumy mieszkańców poruszały się ulicami, ale przede wszystkim stały na balkonach; Wedge nie mógł im się przyjrzeć uważnie, dostrzegł tylko, że wszyscy byli jasnoskórzy, ubrani w powiewne szaty. Machali do nich i wskazywali palcami na X-wingi. Po ulicach i ponad nimi przesuwały się leniwie rozmaite pojazdy - w większości szerokie, długie transportery bez siedzeń. Widać było również żywy transport - gadopodobne stworzenia, długie na jakieś siedem do dziesięciu metrów, w różnych odcieniach zieleni i brązu. Zwierzęta miały na grzbietach i szyjach naturalny pancerz, a na nim zamocowane siodła, także wieloosobowe i towarowe.

W miarę jak piloci zagłębiali się w miasto, budynki stawały się coraz wyższe, ale rozkazy Wedge'a nie przewidywały zmiany wysokości ponad ziemią. Nagle stwierdzili, że balkony i mieszkańcy znajdują się już nie tylko poniżej, lecz również obok i ponad nimi. Musieli od czasu do czasu korygować pułap, żeby wyminąć pęki kabli rozciągających się pomiędzy budynkami, chociaż domy wydawały się zaprojektowane tak, aby umożliwić latanie na niskim pułapie - kable podpięto na różnych wysokościach, pozostawiając wystarczające odstępy, aby myśliwiec przeleciał pomiędzy nimi bez trudu.

Sygnaly z czujników informowały dowódcę, że statki napastników już ich doganiają. Wkrótce Wedge mógł je zobaczyć. Pokonywały oplataną kablami pasaż nieco poniżej klucza Czerwonych, w ciasnej formacji, poruszając się jak eskorta, którą prawdopodobnie miały być w założeniu. Były to statki tej samej klasy co te, które przed chwilą zestrzeliwali Czerwoni.

- Nieźle to wygląda - rozległ się głos Jansona. - Wygląda na to, że przeszły przez atmosferę.

Trasa wyprowadziła ich nagle z gęstych zabudowań nad spory plac. Było tu dość miejsca, aby X-wing mógł wykonać pewne manewry przy ograniczonej prędkości; kłębiły się tłumy mieszkańców.

Na obrzeżach placu wznosiły się ekrany, ukazujące ruchome, dwuwymiarowe obrazy.

A te obrazy przedstawiały Wedge'a Antillesa i X-wingi pod jego dowództwem, a także obrazy z bitew zebrane z całego okresu jego kariery wojskowej.

Wedge omal nie podskoczył ze zdumienia. Na jednym z ekranów widać było ujęcia z pierwszej Gwiazdy Śmierci - z kanału, widziane jakby oczami pilota X-winga. Na drugim - potężną bitwę nad świętym księżycem Endora. Na jeszcze innym - starcie pomiędzy X-wingami a Ssirukami w systemie Bakury. Wszystkie starcia, w jakich brał udział, wszystkie zapisy z uczestniczących w tych starciach myśliwców, zapisy, które Adumarianie musieli dostać od Nowej Republiki. Dwa systemy ekranów przedstawiały jednak obrazy wyraźnie pochodzące z innych źródeł. Ukazywały one starcie Czerwonych sprzed kilku minut - walkę z adumarskimi myśliwcami, bez wątplenia zarejestrowaną przez statki, które ich śledziły. Kiepska ostrość i drgania obrazu dowodziły, że filmujący musieli znajdować się w sporej odległości.

- Dowódca, tu „Trójka”. Sam to wykombinowałeś, czy jak?

- „Trójka”, „Dwójka”, zamknijcie się. - Wedge’owi zdawało się, że wyczuwa w głosie Tycha lekkie rozbawienie.

Komputer nawigacyjny wskazywał, że plac stanowi kres ich wędrówki. Widać było nawet miejsce, które mogło ująć za lądowisko. W centrum placu znajdowała się okrągła fontanna, pośrodku której umieszczono rzeźbę tego samego myśliwca z rozszczepionym ogonem, kierującego się wprost w niebo. Obok niego, na podeście z poręczami, tłoczyła się masa ludzi, a nieco dalej widać było również otoczoną barierkami, pustą przestrzeń. W strefie lądowania stał już wahadłowiec z „Hołdu”.

Wedge kontynuował lot, aż znalazł się w pobliżu jednego z ekranów - przedstawiającego tym razem jego samego i Eskadrę Łotrów w galowych mundurach, świętujących przejście Coruscant przez Nową Republikę - i dopiero wtedy ostro skręcił w lewo. Poprowadził Czerwonych pełnym kręgiem wokół placu i łagodnie osiadł na lądowisku.

Otworzył kopułkę, wpuszczając do środka ciężkie, wilgotne powietrze. Domyślił się, że w tej części Adumaru panuje właśnie późne lato. Ogłuszył go powitalny ryk tłumu. Zdjął hełm, odsłaniając twarz, co wywołało kolejną falę wiwatów.

- Szlaban - polecił robotowi - zamknij kabinę i przeprowadź sekwencję sprawdzającą przy wyłączeniu silników. Gdyby ktokolwiek się zbliżył, daj znać przez komunikator.

Robot R5 zaszczebiotał twierdząco. Wedge stłumił pomruk niezadowolenia. Wolałby mieć kilka minut, żeby przeprowadzić rutynowe testy statku po lądowaniu, ale zdaje się, że wymogi jego pozycji społecznej nie zezwolą mu na ten luksus.

Nikt nie pospieszył z drabinką, więc pilot zwinnie przewinał się ponad burta X-winga, zawisł na moment na rękach i zeskoczył na ziemię, lądując w półprzysiadzie. Powierzchnia placu, choć wyglądała na dobrze dopasowane płyty kamienne, ugięła się nieco pod jego ciężarem. Prawdopodobnie wykonano ją z jakiegoś elastycznego tworzywa.

Tycho, Janson i Hobbie dołączyli do niego po chwili. Wedge zauważył, że od strony podestu kieruje się ku nim jeszcze jedna osoba - mężczyzna mniej więcej wzrostu Wedge’a, o inteligentnych oczach i twarzy okolonej ciemnymi włosami i krótko przyciętą czarną bródką. Ubrany był według obyczajów Nowej Republiki, w strój skrojony na modłę munduru wojskowego, lecz bez oznaczeń jednostki i rangi. Wyciągnął rękę do Wedge’a.

- Miło mi pana poznać. Jestem...

- Wyrzutnia Darpen! - wykrzyknął Janson, zaskoczony, ze zdumioną miną. W oczach miał wesołe iskierki, oznaczające, że chodzą mu po głowie nowe psikusy.

Przybysz spojrzał na Jansona i ponuro pokręcił głową.

- Wes Janson - jęknął. - Powinienem być przewidzieć. Od tej chwili moje życie zamieni się w piekło. - Zwrócił spojrzenie na Wedge’a. - Tomer Darpen, Korpus Dyplomatyczny Nowej Republiki. Jestem pańskim oficerem kontaktowym z obywatelami Adumaru.

- Dobrze mieć kogoś takiego - zgodził się Wedge. - To pułkownik Tycho Celchu, a to major

Hobbie Klivian. Jansona najwyraźniej znasz. Możesz mi powiedzieć, co to był za atak? Przypuszczam, że można tu mówić o zamachu...

Tomer się skrzywił.

- Właściwie nie. To tylko młodzi, niezdyscyplinowani piloci, szukający chwały. Chcieli was zabić w uczciwej walce. Wątpię, by była to osobista rozgrywka.

- Doprawdy? - Wedge spojrzał na niego ponuro. - Ja potraktowałem ją bardzo osobiście. Właśnie rozwaliliśmy czterech pilotów w teoretycznie przyjaznej strefie. Czy jest możliwość, że to się znowu zdarzy?

Tomer wzruszył ramionami.

- Raczej nie. Zastosujemy środki zapobiegawcze, aby zmniejszyć prawdopodobieństwo takiego zajścia.

Wedge zawahał się, niezbyt usatysfakcjonowany wyjaśnieniem Tomera; uznał, że wiele zostało przemilczane.

- Dobrze, niech tak na razie będzie. Czego się tu od nas oczekuje?

- Niewiele. - Tomer gestem objął tłum. - Jakies krótkie przemówienie do zebranych. A, właśnie...

- Wyjął z kieszeni niewielki okrągły przedmiot, średnicy mniej więcej trzech centymetrów i opatrzony klipsem z tyłu. Nie pytając o zgodę ani o pozwolenie, Tomer przypiął przedmiocik do kołnierza Wedge'a. - To adumarski komunikator. Ten jest dostrojony do słuchaczy, którzy znajdują się na słupach z dwuwymiarowymi kamerami.

Wedge uniósł brwi.

- Dwuwymiarowe kamery? Nie rejestrują hologramów?

- Nie, ale mamy tutaj też kilka holokamer na nasze własne potrzeby i po to, aby nasz dokumentalista nie zwariował. Proszę tylko, żebyście mówili krótko i prosto, bo nie jesteście przyzwyczajeni do naszego dialektu. Adumarianie mają specyficzny sposób wyrażania się i tłum może was nie zrozumieć. Po przemówieniu zaprowadzimy was do kwater, opowiemy o tym, co się tu dzieje, a potem będziecie mogli się przygotować do balu.

Wedge dotknął adumarskiego komunikatora. Nie spodobała mu się poufałość, z jaką Tomer go przypiął, ale postanowił nie roztrząsać tej sprawy akurat teraz.

- Nie ma w planie spotkania z prezydentem czy innym przedstawicielem planety? Tomer pokręcił głową.

- Nie. Perator Certami wyświadcza wam... eee... wielki zaszczyt, nie pojawiając się tutaj.

- Co to znaczy perator? - zapytał Wedge. - Prezydent planety?

- Cóż, tytuł jest raczej dziedziczny niż elekcyjny - odparł Tomer. - Perator zdobywa poparcie ludności, demonstrując w młodości swoje talenty pilota. A jego nieobecność tutaj oznacza tylko tyle, że nie chce odciągać od was uwagi tłumów. - Gestem wskazał lądowisko, z którego prowadziły schodki na scenę. - Proszę wszystkich przodem. Cywile, nawet dawni piloci, nie mają prawa stawać u boku aktywnych pilotów, jeśli nie zostali specjalnie zaproszeni.

Janson uśmiechnął się.

- Podoba mi się tutaj. Chyba kupię sobie kawałek ziemi i zbuduję domek letniskowy. - Ruszył w ślad za Wedge'em. - Hej, szefie, masz już gotowe przemówienie?

- Nie.

- Więc będziesz gadał bzdury, zgadza się?

Wedge obejrzał się na niego z uśmiechem, w którym było więcej złośliwości niż wesołości.

- Chyba nie. Odkąd zostałem generałem i muszę to robić nieustannie, opracowałem Czteroetapową Błyskawiczną Mowę Antillesa.

Janson spojrział z powątpiewaniem.

- Uwierzę, jak usłyszę.

Wedge wszedł na podium i zbliżył się do centralnego punktu, unosząc dłoń w teatralnym geście, który nie całkiem był zgodny z jego naturą - przyswoił go sobie po licznych spotkaniach, jakie musiał odbyć po śmierci Imperatora Palpatine'a. Tłum znów zaczął krzyczeć, ale Wedge uciszył go jednym gestem. Włączył komunikator.

Etap pierwszy: przypomnieć wszystkim, kto jest kto, na wypadek, gdyby zapomnieli.

- Ludu Adumaru, jestem Wedge Antilles i cieszę się, że wreszcie się z wami spotykam. - Jego słowa eksplodowały z czterech głośników, strategicznie rozmieszczonych wokół placu.

Publiczność znów ryknęła, ale hałas szybko zmienił się w skandowanie:

- Cer-tan...! Cer-tan...! Cer-tan...! - Wedge zastanawiał się, o co właściwie chodzi, ale na razie odsunął to od siebie. Odpowiedź może poczekać.

Etap drugi: przypomnij, po co tu jesteś.

- Jako przedstawiciel Nowej Republiki czuję się zaszczycony, że mogę uczestniczyć w spotkaniu naszych wspólnych narodów.

Okrzyki znów przeszły w głośny wrzask, a skandowanie „Cer-tan” przycichło. Etap trzeci: powiedz coś osobistego, żeby wiedzieli, że uważasz. Wedge szerokim gestem wskazał płaskie

ekrany.

- Muszę przyznać, że te obrazy radują moje serce. To zapewne najmiłsze powitanie, jakie mnie w życiu spotkało. Ciekaw jestem, czy uda mi się powtórzyć je na ścianach mojej kwatery.

Wśród okrzyków i wiwatów rozległy się pojedyncze śmiechy. Etap czwarty: zakończ, zanim zrobisz z siebie kompletnego idiotę.

- Pewnie będę miał więcej do powiedzenia, kiedy się rozgoszczę, a na razie dziękuję za ciepłe przyjęcie. - Pomachał znowu ręką i cofnął się, jakby chciał zejść z mównicy, po czym wyłączył komunikator. Tłum nadal wiwatował.

Piloci podeszli i stanęli w szeregu, machając rękami do tłumu. Wedge usłyszał tuż za plecami głos Tomera.

- Doskonale. Jeśli jeszcze przez chwilę tu postoiacie i pomachacie, uczynicie zadość obowiązkowi dyplomatycznym, a wtedy będziemy mogli zabrać was do kwatery.

- Doskonale. - Wedge skierował wzrok na tłum, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Mężczyźni, kobiety i dzieci, w różnym wieku, zdecydowanie jasnoskórzy, mieli włosy we wszystkich kolorach tęczy - Wedge podejrzewał, że większość zawdzięczała tę barwę sztucznym barwnikom. Wielu mężczyzn nosiło zarost, zwłaszcza wymyślne wąsy.

Kolory i krój strojów bardzo się różniły, lecz widać było pewne cechy wspólne. Mężczyźni i wiele kobiet nosili dopasowane, wysokie czarne buty i obcisłe spodnie, a na to długie koszule z powiewnymi rękawami. Inne kobiety miały na sobie długie suknie, obcisłe w talii, lecz także z szerokimi, falującymi rękawami. Wielu widzów nosiło nakrycia głowy - gładkie, przylegające do czaszki czapki, dopasowane kolorem do stroju. Niektóre czapki miały coś w rodzaju daszka czy może wizjera - wygiętą taśmę z czegoś, co wyglądało jak mocno spolaryzowana transpasta. Można ją było opuścić na oczy lub podnieść na czoło.

Nosili też pasy - zwykle wąskie, jednobarwne, bez widocznych klamer i zapięć. Niektórzy mieli trzy lub cztery w różnych kolorach, także wkładane na krzyż od ramienia po biodro.

Wszyscy też mieli broń. Przy pasach zwisały w pochwach długie i krótkie noże oraz rozmaitego rodzaju pistolety. Wedge stwierdził, że nawet dzieci nosiły noże.

Z pewnym opóźnieniem zauważył również, że wokół podestu nie ma żadnej ochrony. Obejrzał się na Tycha, a wymowne spojrzenie pułkownika świadczyło o tym, że on również zauważył ten brak.

- Tomerze... - zagadnął Wedge. - Chyba nie muszę się tym martwić, jeśli ty się nie przejmujesz, ale czy macie tutaj jakąś ochronę?

- Ależ tak. Cały tłum - odpowiedział Tomer wesóło.

- Aha... a jeśli to oni zechcą sprawiać problemy?

- Inni ich powstrzymają - zapewnił Tomer. - Załóżmy na przykład, że któryś z nich wskoczy na podium, aby pana zabić. Oczywiście, ostrzeże pana ucziwie i da wybór broni.

- Oczywiście - powtórzył Wedge.

- A potem będzie pan miał do wyboru: zabić go osobiście albo odmówić. Jeśli pan odmówi, on powinien się wycofać. Może jednak być dość głupi, żeby się upierać.

- I wtedy ochrona staje się jakby dosyć potrzebna - mruknął Wedge.

- Gdyby się upierał, co byłoby poważnym naruszeniem etykiety... Wedge usłyszał, jak Janson parska śmiechem.

- ...wówczas ktoś z tłumu prawdopodobnie go zastrzeli, tylko po to, żeby sprawić panu przyjemność.

Wedge spojrzał na dyplomatę.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu.

- Czym ty się martwisz, Wedge? - uśmiech Jansona był zaraźliwy. - To oczywiste, że cię uwielbiają. Mógłbyś się nawet cały obrzygać, a i tak byliby zachwyceni. Wieczorem robiłoby to już całe miasto. Nazwaliby to samooczyszczeniem Wedge'a i jedliby przedtem najbardziej kolorowe potrawy, żeby efekt był urozmaicony.

Wedge poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Zerknął oskarżycielko na Tycha.

- Myślałem, że tobie się uda to, czego ja nigdy nie osiągnąłem i że sprawisz, aby Wes osiągnął poziom emocjonalny przynajmniej czternastolatka... może nawet piętnastolatka.

Tycho niechętnie pokręcił głową.

- Żadna siła we wszechświecie nie jest w stanie tego sprawić. Ani Darth Vader i Ciemna Strona Mocy, ani katastrofa nuklearna eksplodującego słońca.

Janson pomachał widzom.

- Jeszcze będą urządzać konkursy, kto dalej i więcej. - Nie dawał za wygraną.

- Wes, zamknij się w końcu. Tomer, skąd znasz tego narwańca? Dyplomata ze smutkiem pokręcił głową.

- Kiedyś byłem pilotem. Króciutko. Żółte Asy z Tierfona. Ale miałem inne talenty, więc skończyłem na mniej niebezpiecznej posadzie.

Janson uprzejmie skinął głową.

- Z pewnością ma całkiem inne talenty. Na pewno nie do lądowania. Tomer przeszedł do historii Asów tylko dzięki temu, że lądując, uniknął podwójnej śmierci.

Tomer westchnął i udał, że nie słyszy.

- Jego Y-wing został rozbity, repulsory były zniszczone - ciągnął Janson. - Ale jakoś musiał wylądować, bo inaczej spóźniłby się na kolację. Na szczęście mieliśmy wtedy bazę na księżycu o niskiej grawitacji, a strefa lądowania znajdowała się na długiej i rozległej durabetonowej płycie. Wszystkie inne Y-wingi zeszły ze strefy, a on skierował się prosto na nią. Zszedł, jakby lądował myśliwcem atmosferycznym bez repulsorów. Wyciągnął płozy, które przejęły pierwsze uderzenie, ale statek odbił się i podskakiwał jak pchła po durabetonie. I tak mu się udało, że pozostał głową do góry. Wreszcie wyhamował jako tako, ale stracił kontrolę nad statkiem i jego Y-wing zaczął się toczyć. Zatrzymał się jednak na podwoziu. A wtedy - twarz Jansona rozjaśniła się na samo wspomnienie - jego katapulta pod siedzeniem zadziałała i wyrzuciła go w górę. Przy tak niskiej grawitacji momentalnie osiągnął prędkość ucieczki. Musieliśmy wysłać wahadłowiec ratowniczy, inaczej teraz żeglowałby jako zimny trup w przestrzeni kosmicznej.

- Uratowałem robota astromechanicznego - bronił się Tomer. - A Y-winga można było naprawić.

- Jasne - odparł Janson. - Ale kiedy zobaczyłem, jak ten wehikuł zatrzymuje się, szorując po płycie, ty oddychasz z ulgą i nagle pufff! wyskakujesz w przestrzeń...

Tomer pochwycił spojrzenie Wedge'a.

- Jak pan widzi, dostarczyłem im rozrywki na wiele lat.

- Szybko, a skutecznie - wtrącił Hobbie. - To kiedy coś zjemy?

ROZDZIAŁ 3

Dziwny pojazd - gigantyczna platforma tocząca się na kołach po ziemi, z wysokim panelem sterowania, przy którym stał kierowca, oraz z poręczami dla pasażerów - przewiózł Czerwonych, Tomera i Hallis z placu do miejsca zakwaterowania. Nie mogli jechać szybko - tłum nie miał najmniejszego zamiaru rozstępować się przed nimi, wszyscy skakali i machali rękami, aby zwrócić uwagę pilotów. Wedge rozwiązał ten problem, podchodząc do burty pojazdu. Wyciągnął rękę i ścisnął dłonie mijanych przechodniów. Nagle większość tłumu zapragnęła znaleźć się obok platformy, mogli więc jechać nieco szybciej. Inni piloci również podeszli do burt i w ciągu kilku minut pojazd znalazł się poza tłumem, wjeżdżając na ulice miasta.

Wedge stwierdził, że upodobanie mieszkańców do balkonów nie kończyło się na ulicach, nad którymi przelatywali. Każdy z budynków był nimi dosłownie oblepiony. Niektóre sąsiadujące balkony były połączone sznurami podobnie jak te umieszczone naprzeciwko siebie. Wszędzie, gdzie przejeżdżali, ludzie przechylali się przez barierki i do nich machali. Ściany frontowe budynków na poziomie wzroku udekorowane były panelami o wymiarach pół metra na metr ukazującymi dwuwymiarowe obrazy. Tomer nazywał je płaskimi ekranami. Niektóre budynki miały je na wszystkich ścianach.

- Jestem zachwycony, że ludzie na tej planecie lubią machać rękami i ścisnąć dłonie - rzekł Janson.

Wedge spojrział na niego z zaciekawieniem.

- A to dlaczego?

- Cóż, tradycyjnym sposobem witania dygnitarzy mogłoby tu być rzucanie w nich puszkami z farbą.

- Racja.

Pojazd zatrzymał się przed jednym z wyższych i bardziej ozdobnych budynków w mieście. Wysiedli i Tomer wprowadził czwórkę pilotów do apartamentu na górnych piętrach. Reszta ekipy została już ulokowana niżej.

- To kwatery zdziesiątkowanego niedawno oddziału - wyjaśnił Tomer. - Ocalały pilot chętnie się wyprowadził na czas, kiedy tu będziecie. Mamy nadzieję, że będzie wam tu wygodnie.

Wedge rozejrzał się wokoło. Podłoga wyglądała jak kamień, tym razem zielony marmur

ozdobiony grubymi srebrnymi żyłkami, lecz podobnie jak podłóżę na placu ugięła się lekko pod stopami. W głównym pokoju pod ścianami stały wyściełane fotele. Zwieńczone łukiem korytarzyki prowadziły do również półokrągło zakończonych, srebrzystych drzwi. Ściany zawieszono były jasnobłękitnymi draperiami, a nad nimi, pod szarobiałym sufitem zwisały listwy oświetleniowe, zalewając pokój odbitym, łagodnym światłem.

Tomer po kolei wskazał na drzwi.

- Macie tu cztery sypialnie.

Dwóch boyów, szczerząc niemiłosiernie zęby, wniosło bagaże pilotów do wskazanych pokojów. Tomer wskazał na kotarę zakrywającą ścianę przeciwną do wejściowej.

- A tu jest wasz balkon. To balkon pilotów.

- A co to znaczy? - spytał Wedge.

- Bardzo szeroki i wzmocniony, i pusty, nawet bez kabli, aż do dwóch pięter w górę. Możesz na nim wylądować myśliwcem - wyjaśnił Tomer. - Jak chcecie, możecie przenieść tu swoje X-wingi, może to też zrobić człowiek z personelu pomocniczego.

- Sami je zabierzemy - wtrącił Wedge. - A skoro już o tym mowa, po co są te kable?

Tomer zaśmiał się.

- Prywatna łączność między budynkami... nieformalna. Powiedzmy, że jesteś młodą damą, a twój kawaler mieszka obok...

- ...wtedy ciągniesz kabel łączności. - Wedge z zadziwieniem pokręcił głową. - Ale ich jest setki tysięcy, może nawet miliony.

- Ale do was nie prowadzą żadne, usunęliśmy je. Możecie sami sobie pozakładać, jeśli chcecie. - Tomer znów machnął ręką. - Tam jest kuchnia, choć wątpię, abyście mieli szansę sami sobie gotować w czasie pobytu. Gdybyście jednak chcieli jadać u siebie, komunikator jest tutaj, za zasłoną. - Wskazał palcem na jedną z dłuższych ścian budynku. - Służba zajmie się zaspokojeniem waszych potrzeb.

- Wszystkich? - zapytał Janson.

- Co to, to nie - oburzył się Hobbie. - Niektóre z twoich wymagań wybiegają zbyt daleko poza normy ogólnoludzkie.

- To znaczy - ciągnął Tomer z cieniem irytacji w głosie - że do waszej dyspozycji są zawsze kucharz, kurier, krawiec i kilka innych osób. Jeśli zechcecie zjeść późną kolację, wystarczy przycisnąć guzik i wezwać kucharza, nic więcej. - Wskazał kolejne drzwi. - Łazienka. Będziecie mieli do czynienia z nieznanym wam typem instalacji, który pewnie uznacie za przestarzały, dlatego muszę wam pokazać, jak działa.

Hobbie skinął głową.

- Krótki kurs higieny.

- Byłeś szybszy. - Janson się skrzywił.

Wedge wskazał na dwoje drzwi, których przeznaczenia jeszcze nie znał.

- A te?

- Jeszcze dwie sypialnie. Właściwie było to dormitorium dla sześciu nieżonatych pilotów.

- To dobrze. - Wedge skinął głową. - Jeden pokój przeznaczymy na salę treningową, w drugim będzie centrum dowodzenia. Czy sprawdzono kwatery pod kątem urządzeń podsłuchowych?

- O, tak. - Tomer się uśmiechnął. - Oczywiście, pełno tu tego było. Usunęliśmy je.

- No cóż, to znaczy, że jesteśmy rozlokowani - mruknął Wedge. - Co dalej?

- Umyjcie się i przebierzcie w mundury galowe. Uroczysta kolacja z peratorem już za dwie godziny.

- O rany - jęknął Janson. Hobbie skrzywił się żałośnie.

- Im nie chodzi o kolację z peratorem - pospieszył wyjaśnić Tycho. - Tak reagują na mundury galowe.

- Rozumiem. - Tomer z widocznym współczuciem skinął głową. - Opuściłem Batalion Myśliwców, zanim jeszcze ktoś wymyślił mundury galowe. Hm... jeśli szukacie wyjścia, to z pewnością dwór uznałby to za zaszczyt, gdybyście włożyli stroje miejscowe zamiast mundurów.

- O, tak. - Hobbie się ucieszył.

- Tak, tak, tak - dorzucił Janson.

Wedge ukrył uśmiech. Mundur galowy pilotów Nowej Republiki nie był aż taki zły, ale został zaprojektowany za biurkiem jakiegoś rządowego działu kontaktów publicznych, bez porozumienia z tymi, którzy mieli go nosić. Wielu pilotów bardzo go nie lubiło. Odchrząknął.

- To jest pewna możliwość. Mógłbyś przysłać nam kilka rozmaitych lokalnych strojów...?

Tomer uśmiechnął się.

- Jasne, jasne! Będziecie zaraz mieli własną rewię mody. Sam się tym zajmę. - Skinął na boya, który czekał przy wyjściu, po czym znikł.

Wedge spojrzał na Jansona.

- Znałeś go dobrze? Ufasz mu? Janson zamyślił się.

- Powiedzmy, że wylądował lepiej, niż się spodziewałem.

- To za mało. Poproszę o szczegóły. Janson zamyślił się.

- No cóż, w Żółtych Asach z Tierfona zawsze miał coś do roboty. Gra w latającego sabacca, wymiana najnowszych holodram i komedii, szafka, w której przeważnie zaplątał się jakiś trunek, choćby nie wiadomo ile go sprzedał. Nigdy nie odniosłem wrażenia, że pokątnie handluje, ale mało brakowało. Kiedy opuścił nasze szeregi i słuch o nim zaginął, myślałem, że został przemytnikiem. - Wzruszył ramionami. - Ale zdaje się, że korpus dyplomatyczny to dla niego idealne miejsce. Może

tłumaczyć, przekonywać, oszukiwać i manipulować, wciąż pozostając patriotą.

Hobbie posłał mu jeden ze swoich rzadkich uśmiechów.

- Niezła metafora wczesnego okresu Sojuszu Rebeliantów.
- Cynik. - Tycho skrzywił się żartobliwie.

Kierując się ku zewnętrznemu dziedzińcowi Rezydencji Królewskiej, czyli pałacowi Certan, wyglądali jak zupełnie inni ludzie.

Wedge wybrał zieleń jako dominujący kolor, miał zielone buty, getry, pas i kremową tunikę. Zrezygnował z nakrycia głowy. Służbowy miotacz przypasał na biodrze. Tomer uważał, że noszenie broni w towarzystwie jest jak najbardziej właściwe, choć uprzedził, że Wedge będzie musiał oddać miotacz na czas obecności peratora.

Obok broni zwisało urządzenie, jak twierdził Tomer, często używane w Certanie - tak zwany komwent. Miało kształt półkuli z uchwytem; po płaskiej stronie znajdowały się otworki wentylacyjne, a na uchwycie - wyłącznik i wentylator ssący. Po włączeniu zasysał on powietrze przez dolny wlot, chłodził i wypuszczał górnymi otworkami. Bardzo wygodne i łatwe w użyciu urządzenie. Tomer twierdził, że sposób jego używania stanowił pewną formę sztuki, każde zaś pozycja i gest miały na dworze szczególne znaczenie... jednak osoby spoza planety miały prawo nie znać języka manipulacji komwentem. Ubrany w grubą tunikę Wedge uznał, że lepiej mieć przy sobie takie urządzenie.

Tunika Tycha była z materiału, który zmieniał kolor przy każdym ruchu, zależnie od kąta widzenia - od jasnoniebieskiego do perłowej ultramaryny i granatu. Zawadiacka pelerynka do pół uda była czarna, ale czapeczkę dopasowano barwą do tuniki. Czapka miała oryginalny fason - wystający nad czołem szpic nadawał jej właścicielowi wygląd drapieżnego ptaka. Wedge uznał, że to właściwe porównanie. Półprzezroczysta osłona na oczach przydawała Tychowi tajemniczości.

Hobbie wybrał strój stanowiący istne szaleństwo barw. Buty, getry i pas były niebieskie, tunika jaskrawoczerwona, a w dodatku każda część garderoby miała jakiś element w kolorze jadowitej żółci, co sprawiało, że trudno było na niego patrzeć.

- Istnieją trzy typy stroju galowego - wyjaśniał Hobbie. - Taki, który obraża noszącego, taki, który obraża patrzących, i taki, który obraża dokładnie wszystkich. Wybieram trzeci typ. Tak jest przynajmniej uczciwie.

Janson wybrał ubiór, który Wedge początkowo uznał za najskromniejszy. Getry i wszystkie ozdoby były matowoczarne; jednak czarna tunika lśniła lekko. Janson wystąpił z gołą głową, a czarny strój okrył płaszczem, który kompensował niepozorność reszty. Była to długa niemal do ziemi opończa; wzór na niej przypominał czerwono-fioletową mgławicę, ozdobioną mrugającymi kryształowymi gwiazdkami.

Na prawym biodrze Janson nosił swój służbowy blaster, ale na lewym przywiesił sobie nową broń - adumarski miecz blasterowy „Najlepsza broń do załatwiania osobistych różnic zdań w Certanie”, wyjaśnił mu Tomer. Wyglądała właściwie jak wibro-ostrze długości męskiego ramienia, ale rękojeść chroniła zakrzywiona metalowa osłona. Ostrze, tnące prawie od samej gardy, było

zakończone czymś, co wyglądało jak dysza. Kiedy przekręcało się włącznik na głowicy, na końcu rękojeści - z dyszy za każdym zetknięciem ze stałym ciałem wystrzelało coś w rodzaju promienia Mastera.

- To jak blaster, którym można kogoś dźgnąć - zauważył Janson. - Muszę taki mieć.

Tycho pokręcił głową i przez moment wyglądał równie ponuro jak Hobbie.

- Nie dawaj mu nowej broni - ostrzegł Wedge'a. - To jak ofiarowanie miecza świetlnego dwulatkowi.

Ale Wedge wyraził zgodę i teraz Janson szedł dumnie, a z tyłu na pasku dyndał mu blasterowy miecz, co sprawiało, że strach było iść blisko niego.

W towarzystwie Tomera zatrzymali się pod sklepioną arkadą wiodącą do wielkiej sali balowej, określanej jako Zewnętrzny Dziedziniec Królewski. Tomer ruszył pierwszy i szepnął coś strażnikom. Było ich dwóch - potężni mężczyźni uzbrojeni w coś, co wyglądało jak przerośnięte blasterowe miecze. Pomiędzy nimi, w poprzek wejścia, rozpostarta była srebrzysta siatka. Wedge widział przez nią wystrojonych ludzi, tańczących i rozmawiających; miał wrażenie, że ogląda wszystko przez pofalowany, lekko matowy arkusz lustrzanej transpastali. W tłumie dostrzegł dwugłową Hallis, otoczoną sporą grupką mężczyzn i kobiet, którym poświęcała całą swoją uwagę.

Tomer wrócił.

- Dziwna sprawa - rzekł. - Zostaniemy wpuszczeni, oczywiście... to jest wasza noc! Ale nas nie zaanonsują.

- Chcesz powiedzieć - zdziwił się Hobbie - że nikt nie wykrzyczy naszych nazwisk, żeby wszyscy się obejrzeni i zaczęli na nas gapić, podczas gdy my, nie mając nic do powiedzenia, będziemy stać jak idioci? O takim anonsowaniu mówisz?

- Tak - odparł Tomer. - Taki jest zwyczaj. Nie mam pojęcia, dlaczego został zawieszony na dzisiejszy wieczór. Oczywiście musicie oddać broń strażnikom.

Tomer zatrzymał Jansona, który zaczął odpinać swój nowy miecz.

- Nie, możesz go wziąć. To broń odpowiednia dla cywilizowanego towarzystwa. Nie dopuszczają jedynie blasterów.

Półprzezroczysta zasłona zamigotała i rozsunała się na boki. Ogłuszyły ich gwar rozmów i odległe dźwięki szybkiej, rytmicznej muzyki instrumentów strunowych. Fala intensywnych zapachów poinformowała nos Wedge'a, że ciężkie perfumy były w powszechnym użyciu wśród Adumarian.

Tomer poprowadził pilotów na zewnętrzny dziedziniec. Nie zwrócono na nich szczególnej uwagi. Sam dziedziniec był ogromną, dwupiętrową salą. Na samej górze biegła galeria z balkonem uginającym się od widzów, ściany były pokryte srebrzystymi, lśniąco draperiami, a ukryte za nimi lampy dostarczały zbyt mało światła. Dwie zasłony uniesiono, odsłaniając ogromne dwuwymiarowe

ekrany na kamiennych ścianach. Widać było na nich powiększone obrazy z sali.

Tomer poprowadził pilotów prosto do grupy ludzi, która tak zainteresowała Hallis. Kiedy podeszli bliżej, Wedge zauważył, że pośrodku kręgu stoi niezwykle wysoki mężczyzna o siwej krótko przystryżonej brodzie i czujnych, bystrych oczach. Ubrany był w lśniącą czerwień i złoto, przez co wydawało się, że jego ubranie płonie żywym ogniem. Na widok pilotów zwrócił się do Tomera i zapytał chrapliwym, ale ładnie modulowanym głosem:

- Kogóż tu mi przywiodłeś, o mówco odległych władców?

Mówił z takim samym akcentem, jaki Wedge słyszał u pilotów atakujących Czerwonych; większość samogłosek brzmiała jak krótkie „a”, lecz Antilles zdążył się już przyzwyczać i nie utrudniało mu to rozumienia.

Tomer obdarzył mężczyznę uśmiechem, który Wedge'owi wydał się protekcyjny.

- Pekaelicu ke Teldan, peratorze Certanu, zabójco Tetano, bohaterze Grani Lameril, mistrzu Złotego Jarzma, zezwól mi łaskawie przedstawić sobie tę czwórkę pilotów: major Derek Klivian, major Wes Janson, pułkownik Tycho Celchu i generał Wedge Antilles, wszyscy z Batalionu Myśliwców Nowej Republiki.

Przy każdym kolejnym nazwisku tłum wydawał z siebie ciche „ooooch”, zwłaszcza przy Wedge'u. Perator poważnie i dostojnie skinął głową każdemu z gości, po czym wyciągnął dłoń do Wedge'a. Wedge uściśnął ją na modłę Nowej Republiki, w nadziei, że tego się właśnie po nim spodziewano i że nie wywoła wojny, nie przyklękając przed władcą z dłonią przyłożoną do czoła... lub coś w tym rodzaju. Ale perator tylko się uśmiechnął.

- Witam was wszystkich w Certanie - powiedział do Wedge'a. - Cieszę się, że usłyszę wasze słowa i ujrzę wasze umiejętności. Najpierw jednak chciałbym wam ofiarować prezent. - Skinął przyzywająco ręką.

W pusty krąg otaczający peratora weszła młoda kobieta. Jej biały strój był obwieszony czymś, co wyglądało jak wstęgi orderowe. Miała u boku miecz blasterowy, nóż, konwent i pistolet. Nie była wysoka, sporo niższa od Wedge'a, ale szła pewnym siebie krokiem osoby przewyższającej otoczenie o głowę. Na oko brakowało jej roku lub dwóch do wieku, który Wedge nazwałby dorosłym. Miała piegowatą, otwartą buzię młodej dziewczyny, śmiało idącej przez życie. Czarne włosy, splecione w długi warkocz, przerzuciła przez ramię; jej oczy były tak ciemnoniebieskie, że w słabym świetle wydawały się prawie fioletowe.

- Ta młoda dama - oznajmił perator - jest ostatnim zwycięzcą Turnieju Naziemnego Certanu. Zwycięstwo to niesie ze sobą pewne zobowiązania, ale daje też prerogatywy. Piloci, przedstawiam wam Cheriss ke Hanadi. Wiem, że macie do dyspozycji doskonale poinformowanego Tomera Darpena, który świetnie opowiada o Certanie, ale Cheriss może służyć wam jako miejscowy przewodnik przez cały czas pobytu.

Wedge skłonił się lekko.

- Dziękuję, sir - powiedział i zerknął na Tomera, ale zawodowy dyplomata nie wydawał się ani zaciekawiony, ani zdziwiony. Widocznie nie było to niczym niezwykłym.

- Jestem zaszczycona, że mogę w czymś pomóc - rzekła Cheriss. Przyglądała się Wedge'owi z krępującą natarczywością, ale nie wyczuwało się w jej zachowaniu wrogości, a jedynie ciekawość. - Jeśli generał Antilles zechce się rozerwać dziś wieczorem, chętnie pokażę mu pewien spektakl autorstwa jednego z młodych lordów.

Perator spojrział na Wedge'a.

- Dzisiejszy wieczór jest nieoficjalny - wyjaśnił. - Możecie spotkać się z wszystkimi bohaterami, dostojnikami i sławnymi artystami, których sprosilem. Wystarczy, jeśli jutro zaczniecie swoje nudne dyskusje i negocjacje. Mam rację? - Uśmiechnął się znowu, odwrócił plecami do pilotów i odszedł. Grupa dworzan przesuwała się w ślad za nim jak tarcze za myśliwcem. Hallis pokręciła się chwilę między peratorem a Wedge'-em, nie wiedząc, co robić, ale ostatecznie pozostała przy pilotach Nowej Republiki.

Tomer stał z otwartymi ustami. Widać było, że nic nie rozumie.

- Całe zainteresowanie moimi pilotami, jakie okazał... te wszystkie przygotowania... i nie zadał nawet jednego pytania. Jestem oszołomiony. - Spojrział ostro na Cheriss. - Wiesz, dlaczego dzisiejszego wieczoru zachował się tak, a nie inaczej?

Cheriss z trudem oderwała wzrok od Wedge'a.

- Owszem, wiem.

- Więc dlaczego? Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Nie mogę odpowiedzieć. Nie wolno mi. Na razie. Tomer skrzywił się ponuro.

- Nienawidzę tajemnic - burknął.

Wedge spojrział na robota na ramieniu Hallis.

- Białas, spać - polecił.

Głowa 3PO zareagowała rozwlekłym głosem robota 3PO:

- Tak jest, proszę pana - powiedziała i światła w jej oczach zgasły. Hallis jęknęła żałośnie.

Wedge udał, że nie słyszy.

- Tomer, mam parę pytań. Skoro Pekaelic jest panującym przedstawicielem wszystkich

mieszkańców Adumaru, dlaczego jest przedstawiany jako perator Certanu?

- Bo jest dziedzicem tronu Certanu - wyjaśnił dyplomata. - Certanowie to jego naród. Koncepcja jednego rządu ogólnoplanetarnego jest tu pewną nowością. Nie budzi tak wielkiej dumy jak tradycyjna narodowa dynastia.

- Ach, tak? - Wedge pochylił się i szepnął Tomerowi prawie do ucha: - A teraz oferuje nam usługi przewodnika. Czy to jakiś rodzaj prezentu? Czy nie powinniśmy przywieźć ze sobą jakiegoś daru dla niego?

Tomer uśmiechnął się i odparł równie cicho:

- O, nie. Sama wasza obecność i to, co ona oznacza, jest wystarczającym darem. Wedge wyprostował się, nie do końca przekonany.

- Białas, zbudź się.

Światła w oczach robota zapłonęły na nowo. Wedge poczuł na sobie intensywne jak laserowy promień spojrzenie Cheriss.

- No dobrze, jak zatem powinniśmy się zachować na takim spotkaniu? Cheriss uśmiechnęła się i dłonią wskazała kierunek.

- Pod tymi ścianami znajdziecie stoły z jedzeniem. Możecie po prostu podejść i brać, na co macie ochotę. Piloci i dostojnicy będą zachwyceni, jeśli potem po prostu wieszacie się w tłum, żeby porozmawiać i opowiedzieć o swoich wyczynach. Jest ich jednak tak wielu, że wystarczy ogólnie pozdrowić i powiedzieć, że miło wam będzie pogawędzić przy innej okazji. A kiedy perator wyjdzie z sali albo opuści wizjer, będzie to oznaczało koniec ograniczeń. Wtedy można zachowywać się swobodniej, rzucać wyzwania, a nawet wyjść.

Tomer zmarszczył czoło.

- Kiedy opuści wizjer? To znaczy tyle samo, co jakby wyszedł? Cheriss energicznie skinęła głową.

- I jedno, i drugie oznacza oddalenie. Kiedy opuszcza wizjer, to jakby przestał patrzeć oczami króla... rozumiecie? Chce zostać i dobrze się bawić, ale już bez dworskiej etykiety.

Tomer wyglądał na strasznie nieszczęśliwego.

- Jak mogłem przegapić taki ważny szczegół? - zapytał żałośnie. - Czy na niższych dworach też panuje taki obyczaj?

Janson wetknął głowę między nich i groźnie spojrzał na dyplomatę.

- Później sobie pogadacie o niuansach, teraz nakarm pilotów. Tomer ustąpił z uśmiechem.

- Jasne. Oczywiście. Zapomniałem o istotnej roli żołądka w relacjach międzyplanetarnych.

Pokonanie trzydziestometrowej odległości do stołów zajęło im ponad pół godziny. Przechodzili od jednej do drugiej grupy fanów, w większości pilotów - kobiet, mężczyzn, nastolatków, a nawet w wieku rodziców Wedge'a, gdyby żyli. Wedge ścisnął dziesiątki dłoni, uśmiechał się do dziesiątków twarzy i wysłuchiwał dziesiątków imion, wiedząc, że za nic na świecie ich nie zapamięta. Zanim czwórka pilotów dotarła do bufetu, zgłodnieli tak, że rzucili się na potrawy, nie bacząc na ich egzotyczny wygląd. Większość dań podano w misach - były to przeważnie jarzyny zalane ciężką, pachnącą przyprawami marynatą. Wedge znalazł coś, co mu smakowało - jakieś mięso, prawdopodobnie z dzikiego ptactwa, zalane ostrym sosem z całą masą zmielonych przypraw. Nie zrezygnował nawet wówczas, kiedy Cheriss poinformowała go, że to *farumme*, stworzenie używane do jazdy wierzchem, które widział na ulicach.

- A więc, Cheriss - zagadnął - co możesz powiedzieć o pilotach z Adumaru, którzy zaatakowali nas po przybyciu?

- O pilotach czy o maszynach?

- Chodzi przede wszystkim o maszyny. Jej twarz przybrała obojętny wyraz.

- To blade-32 - wyjaśniła. - Myśliwiec służący głównie do walk atmosferycznych, choć 32-alfa jest wyposażony w opcję lotów kosmicznych, a 32-beta ma to, co wy nazywacie hipernapędem - mówiła tak, jakby czytała z karty danych technicznych. - Statek jednoosobowy w większości konfiguracji, z trzema głównymi systemami uzbrojenia...

Ktoś wpadł na Wedge'a od tyłu. Obejrzał się przez ramię - to jakiś gość cofnął się o krok i trafił na niego.

- Przepraszam bardzo - rzekł gość, odwracając twarz w stronę Wedge'a.

- Nie szkodzi - odparł Wedge, spojrzawszy na Cheriss i... zamarł. Akcent gościa był wyraźny i ostry... zdecydowanie imperialny.

Obejrzał się. Tamten również, wyraźnie zaskoczony. Pomimo wspaniałego certańskiego stroju, nieco podobnego do ubrania Wedge'a, widać było od razu, że nie jest Adumarianinem. Był nieco mniej niż średniego wzrostu, o jasnych, krótkich, zmierzwionych włosach. Szczupła twarz miała rysy przyjemne dla oka, lecz skażone białawą blizną, ciągnącą się przez całą lewą kość policzkową. Ciemne oczy błyszczały złośliwą inteligencją. Ta twarz odcisnęła się wyraźnie w pamięci Wedge'a; widywał ją na wielu odprawach Eskadry Łotrów.

- Generał Turr Phennir - powiedział.

Najsławniejszy z ocalałych pilotów Imperium, człowiek, który odziedziczył dowództwo 181. Grupy Myśliwców Imperialnych po baronie Felu, kiedy ten przeszedł na stronę Nowej Republiki,

spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Wedge Antilles - rzekł i sięgnął do kabury przy pasie. Ale jego dłoń trafiła w pustkę. Prawdopodobnie blaster Phennira, podobnie jak Wedge'a, został na stanowisku strażników przy wejściu.

Wedge usłyszał hałas zza pleców i domyślił się, że to Janson wyciągnął wibro-ostrze. Ale wyraz twarzy Phennira nie uległ zmianie. Albo tak świetnie kontrolował swoje emocje, albo nie zauważył gestu Jansona. Prawdopodobnie to drugie. Wedge znalazł się teraz pomiędzy dwoma mężczyznami. Gdyby Phennir zaatakował, Wedge musiałby tylko cofnąć się odrobinę, aby odsłonić nieprzyjacielskiego pilota na atak Jansona. Na razie jednak trzymał po prostu łyżkę i miskę, udając, że nic się nie dzieje.

Wydawało mu się, że widzi myśli kłębiące się w głowie Phennira. Prawdopodobnie nie różniły się wiele od myśli Wedge'a: „Najsławniejszy pilot Nowej Republiki; najslawniejszy pilot Imperium. Jesteśmy tu jednocześnie, aby Adumarianie mogli nas sobie porównać i wybrać, która opcja bardziej im pasuje”.

Phennir doszedł widocznie do tego samego wniosku. Cofnął dłoń od pasa i wyciągnął ją do Wedge'a.

- Zdaje się, że jesteśmy tu w tym samym celu.

Wedge odłożył łyżkę i uściśnął rękę imperialnego generała.

- Też tak sędzę.

- Zrozumie pan więc, że nie życzę szczęścia.

- Wzajemnie.

Phennir odwrócił się i podniósł dłoń, wyraźnie kogoś przyzywając. Trzech ludzi z jego najbliższego otoczenia ruszyło za nim przez salę.

Wedge odwrócił się do swoich pilotów i ujrzał, że Janson dyskretnie chowa wibroostrze, ukrywając ten gest pod absurdalnie szerokim płaszczem. Wedge wątpił, czy ktokolwiek z najbliższego nawet otoczenia zauważył całą sytuację. Twarz Jansona choć raz straciła wesoły wyraz.

- Hallis, uchwyciłaś to? - zagadnął Wedge. Reporterka skinęła głową.

- Daj nam teraz chwilę spokoju. Możesz wykorzystać ten czas na przygotowanie materiału z tego, co nakręciłaś na temat „Hołdu”.

- Tak jest, generale. - Odwróciła się i wmieszała w tłum, choć raz bez protestu przyjmując rozkaz Wedge'a.

Wedge zwrócił się do swojej przewodniczki.

- Cheriss, wiedziałaś, że ten człowiek tu jest? I kim jest? Skinęła poważnie głową.

- Tak. Mój perator poinstruował mnie, żeby nic nie mówić, dopóki się sami nie spotkacie. Ten drugi miał podobną do waszej ceremonię powitalną po drugiej stronie Certanu.

- Cofnij się o kilka kroków, proszę. Zrobiła to z coraz bardziej przerażoną miną.

- Spotkałeś go już wcześniej? - spytał Tomer. - Zachowywałeś się tak, jakbyś go znał.

Wedge pokręcił głową.

- Nie osobiście. Walczyliśmy przeciwko sobie pod Brentaalem wiele lat temu. Tycho miał z nim starcie oko w oko. Czyli że on najlepiej wie, z kim mamy do czynienia.

Tycho wzruszył ramionami.

- Był dobry. Prawie mi wówczas dorównywał, ale nie był ani baronem Felem, ani Darthem Vaderem.

- Miał wiele lat, żeby nabrać wprawy.

- My też. - Tycho się uśmiechnął.

- Fakt. - Wedge powędrował myślą do swojego pierwszego spotkania z baronem Felem, wkrótce po przechwyceniu wielkiego asa przestrzeni Imperium przez Eskadrę Łotrów. - Felicity mówiła, że Phennir jest ambitny i nie odczuwa lojalności wobec Sate'a Pestage'a, który trzymał wodze Imperium po upadku Imperatora. Phennir dążył do tego, żeby Fel zaatakował i zaczął zdobywać terytoria, a on działałby wtedy bezpiecznie u jego boku.

- Dla nas to nie ma większego znaczenia - rzekł Tycho. - Chyba że Phennir w czasie tej misji liczy na osobiste korzyści... dość duże, aby skłoniły go do zdrady Imperium. - Spoważniał nagle. - Adumarianie to wszystko zorganizowali.

Wedge skinął głową.

- Domyślałem się tego. Zamierzają rozgrywać nas przeciwko Imperium, aby sprawdzić, kto da więcej.

Twarz Tomera pobladła ze zdumienia.

- A więc są znacznie bardziej przebiegli, niż sądziłem. Wymyślili to, a nasz wywiad nawet się nie obejrzał...

Janson prychnął.

- Skąd możesz wiedzieć? Może ci po prostu nie powiedzieli? Tomer wstrząśnięty wzruszył ramionami.

- Może. Przekażę im, że oczekuję dalszych instrukcji.

- Słusznie - zgodził się Wedge. - Dopóki jednak nie dostaniemy nowych rozkazów, róbmy to, co nam kazali. Będziemy bawić się w dygnitarzy, spotykać z mieszkańcami i robić dobre wrażenie.

- I mieć oczy naokoło głowy - dodał Janson. Hobbie westchnął.
- Do tej pory mi się wydawało, że to takie miłe zlecenie.
- Minister informacji Certanu, Uliaff ke Unthos.

Po raz czterdziesty czy pięćdziesiąty tego wieczoru Wedge złożył lekki ukłon i uściśnął dłoń nowego znajomego. Nie chciał znowu ulec zaskoczeniu, jakiego doznał przy spotkaniu z Turrem Phennirem. Zmuszał się do zachowania zadowolonej miny, chociaż perfumy ministra wydawały się słodkie i mocne jak cały sad gnijących owoców.

- Jaka jest rola ministra informacji?

Białobrody mężczyzna uśmiechnął się, najwyraźniej zachwycony zainteresowaniem gościa.

- Moją rolą jest informowanie rodzin. Kiedy pilot ginie w walce, na szkoleniu czy w pojedynku, moje biuro zawiadamia o tym wszystkich zainteresowanych, Nie piszę sam tych listów, oczywiście. Ja tylko ustalam zasady. Czy w tym tygodniu powiadomienia mają być pełne smutku, czy raczej dumy? Kiedy dwoje rodzeństwa ginie w tym samym dniu, czy należy przesłać zawiadomienia oddzielnie, czy razem? Te sprawy są niezmiernie ważne.

Z twarzy Wedge'a nie zniknął uśmiech, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że słyszy wyuczony tekst, powtarzany wiele razy. Usiłował wyrzucić głos ministra ze swojej świadomości, nie tracąc pozorów zainteresowania, lecz cały czas kątem oka obserwował tłum, chcąc wiedzieć, co robią Turr Phennir i jego ekipa.

A wtedy, ponad ramieniem ministra, przy stole w głębi sali ujrzał tę kobietę.

Siedziała sama, a jej strój stanowił szczytowe osiągnięcie certańskiej mody. Miała ciemnoniebieską suknię tubę, dokładnie otulającą smukłe ciało, z rękawami rozkloszowanymi na adumarską modłę. Suknia nabijana była klejnocikami, które lśniły jak gwiazdy na nocnym niebie. Ciemnoblond włosy kobieta upięła wysoko na czubku głowy, pozwalając, żeby kilka kosmyków wysunęło się z uczesania, co miało sprawiać wrażenie artystycznego nieładu. Nie miała na głowie ozdobnego czepka, jak większość obecnych na sali kobiet, ale wplotła we włosy ozdobę w kształcie pęku błękitnych pasemek, umocowaną nad czołem. W dłoni trzymała komwent i gestykulowała nim lekko, rozmawiając z kimś przy sąsiednim stoliku. Wymowa jej gestów, jak zauważył Wedge, dowodziła, że używała ich certańskiego języka migowego.

Była piękna, lecz nie to tak wstrząsnęło Wedge'em. Nie jej uroda sprawiła, że poczuł się, jakby ktoś uderzył go pięścią w splot słoneczny.

Znał ją. Znał jej imię. Znał system planetarny, gdzie się urodziła. To był i jego system - Korelia.

Ale kiedy podniosła na niego wzrok, kiedy jej spojrzenie zatrzymało się na nim przelotnie i powędrowało dalej, Wedge doszedł do wniosku, że kobieta go nie rozpoznaje.

Zmusił się do spojrzenia na ministra.

- Gdybyśmy mieli w naszych siłach zbrojnych kogoś tak pełnego poświęcenia i z takimi umiejętnościami! - odezwał się. - Jestem pewien, że sam mógłbym się wiele nauczyć od pana w dziedzinie techniki informacji. Czy mogę pana na chwilę przeprosić? Muszę o tym porozmawiać z

moimi pilotami.

Minister skinął głową z uśmiechem przyklejonym do twarzy i odwrócił się natychmiast do swojej świty, komentując uprzejmość pilotów Nowej Republiki. Zaledwie oddalił się na kilka metrów, Wedge skinął na swoich podwładnych.

Podeszli natychmiast, a wraz z nimi Cheriss i Tomer.

Wedge zmierzył wzrokiem tę dwójkę.

- Wynocha - mruknął stanowczo.

- Myślałem, że przyda się moja rada - zauważył Tomer.

- Jestem tutaj po to, aby zaofiarować interpretację słów lub czynów, których możecie nie zrozumieć - dodała Cheriss.

- Coś wam powiem - oznajmił Wedge. - Od tej chwili, kiedy daję znać obiema rękami, żeby iść za mną, dotyczy to wszystkich. Kiedy pokazuję jedną ręką, chodzi tylko o pilotów. Rozumiecie?

Skinęli głowami.

Wedge machnął jedną ręką. Z wyraźnym ociąganiem para wycofała się i przystanęła o kilka metrów dalej, na skraju tłumu.

- Co się dzieje? - zapytał Tycho.

- Zamierzam pozwolić Cheriss na ten jej pokaz, o którym mówiła. Zamierzam też bardzo uważnie go obejrzeć.

Tycho zmarszczył brwi.

- Dlaczego?

- Ponieważ zdaje się, że gapie są zainteresowani właśnie mną. A to pozwoli wam działać swobodnie. - Wedge spojrzał na Jansona. - Wes, dokładnie na twojej trzeciej, jakieś dwanaście metrów od ciebie, jest stolik, a przy nim siedzi kobieta.

- Jak miło.

- Chcę, żebyś zaczekał, aż widzowie skupią się na mnie i na pokazie Cheriss. Odłącz się od nas i podejdź do niej. Tycho, Hobbie... upewnijcie się, że nikt nie zwrócił na niego uwagi, a jeśli ktoś go zauważy, kliknijcie dwa razy w komunikator.

Janson uśmiechnął się.

- Dzięki za opiekę, Wedge. Wiesz, jesteś naprawdę troskliwym dowódcą, nie tak jak Tycho...

- To jest Iella Wessiri, Wes. Janson wytrzeszczył oczy.

- Co takiego?

Iella Wessiri była agentką wywiadu Nowej Republiki, dawną partnerką i długoletnią przyjaciółką członka Eskadry Łotrów Corrana Horna. Bardzo pomagała Łotrom w czasie przejścia Coruscant z rąk Imperium. Jej mąż Diric, nieumyślny zdrajca, poddany praniu mózgu przez wywiad

imperialny, zginął w czasie tych wydarzeń. Corran i Wedge pomogli jej w późniejszym trudnym okresie, aż wreszcie Wedge zainteresował się Iellą, dopóki wszystko się nie sprzysięgło, aby rozdzielić ich na dobre. Jego kariera. Jej kariera. Związek z Qwi Xux. A potem już nigdy nie udało mu się spotkać Ielli.

- Jeśli to rzeczywiście ona - ciągnął Wedge - jest tu prawdopodobnie służbowo. Nie rób nic, co mogłoby ją zdradzić... bądź po prostu upierdliwy jak zwykle i pozwól, aby cię zastrzeliła.
- Nie podoba mi się ten pomysł. Ani w wykonaniu jej, ani żadnej innej kobiety.
- Szepnij jej tylko, że twój dowódca uważa ją za interesującą osobę i chciałby się z nią spotkać. Chciałbym wiedzieć, co ona kombinuje. Czy jest tu po to, żeby nam pomóc? Czy też my możemy pomóc jej? Takie sprawy.

Janson skinął głową.

- Rozumiem. A jeśli to nie Iella?
- To rób wtedy co chcesz. Uśmiech wrócił na twarz Jansona.

Wedge szepnął słówko Cheriss, a ona porozmawiała przez chwilę z jednym z funkcjonariuszy. W chwilę potem tamten dobył blasterowy miecz, włączył go i zatoczył krąg ponad głową. Czubek broni przeciął powietrze, kreśląc lśniąca żółtą linię, która zgasła, gdy tylko opuścił broń.

Zwróciło to uwagę tłumu, który ucichł natychmiast.

- Mamy tu wyzwanie na naziemny pojedynek - zaczął funkcjonariusz. - Lord Pilot Depird ke Fanax wyzywa Naziemną Mistrzynię Certanu Cheriss ke Hanadi w rewanżu za jej zwycięstwo nad Jeapirdem ke Fanaksem w czasie ostatnich zawodów.

Tłum zaczął klaskać i rozstąpił się, tworząc duży krąg pośrodku komnaty. Wedge obejrzał się na Tomera.

- Zaraz, zaraz... Myślałem, że ona pokaże jakieś sztuczki, albo coś... Tomer zrobił poważną minę.
- No właśnie. Aby pana zabawić, zgodziła się przyjąć wyzwanie do walki. Jako naziemny mistrz otrzymuje ich wiele. A pan sam kazał jej się tym zająć.
- Nie wiedziałem, co ma na myśli. Zaraz to odwołam. - Wedge ruszył przed siebie, ale Tomer położył mu dłoń na ramieniu, by go powstrzymać.
- Proszę tego nie robić - powiedział błagalnie. - Jest za późno. Wyzwanie zostało rzucone i przyjęte. Pan nie ma z tym już nic wspólnego. Teraz może pan tylko skompromitować Cheriss i zrobić z siebie głupca, okazując słabość.

Wedge zmierzył go ostrym wzrokiem, ale cofnął się posłusznie.

- Mogłeś mnie ostrzec.

- Mówił pan z taką pewnością siebie. Myślałem, że pan wie.

Cheriss zdjęła pas, podając go mężczyźnie, który wygłosił oświadczenie, i wyjęła własne miecz blasterowy i nóż. Trzymała nóż odwrotnie, ostrzem przyciśniętym do ramienia, a drugą ręką wykonała kilka próbnych cięć mieczem. Jeszcze go nie włączyła, więc nie pozostawił w powietrzu rozżarzonych linii. Na twarzy Cherris pojawił się uśmiech drapieżnika, który właśnie zapędził swoją ofiarę w ślepią uliczkę.

W krąg wszedł młody człowiek. Był może rok lub dwa lata starszy od Cheriss, smukły i pełen wdzięku, w czarno-żółtych szatach, z modnie przystrzyżonym wąsem. Zerwał z ramion krótki płaszcz i rzucił go w tłum, po czym sięgnął do swojego pasa, dobywając blasterowy miecz i nóż. Trzymał broń w sposób bardziej konwencjonalny niż Cheriss.

- Jestem tutaj, aby skorygować skutki pewnego pojedynku - rzekł lekkim, beztroskim tonem. - A także zademonstrować ogólnie znaną prawdę: to, co piechur może jedynie z trudem osiągnąć, pilot zdobędzie bez wysiłku.

Jego słowa zostały przyjęte aplauzem. Włączył zasilanie miecza i zakręcił nim przed sobą, pozostawiając w powietrzu świetlistą ósemkę.

Wedge zauważył, że Hallis usiłuje przecisnąć się przez tłum, aby dojść do pierwszych rzędów. Nieco dalej widać było peratora, którego ochrona wywalczyła mu lepsze miejsce.

- W imię peratora - oznajmił prezenter. Zarówno Cheriss, jak i wyzywający, Depird, skłonili się peratorowi i zakreślili ostrzami identyczny wzór: okrąg przecięty krzyżem. Ostrze Cheriss też było już włączone i symbol narysowany przez nią przez chwilę świecił błękitno.

- Honor albo śmierć - dodał prezenter i odsunął się, zwalniając miejsce pośrodku areny.

Depird nie tracił czasu. Ruszył szybko do przodu, aż znalazł się prawie w zasięgu długiego ostrza Cheriss i uniósł swój blasterowy miecz ponad głowę, kierując jego czubek bezbłędnie w głowę Cheriss. Cheriss czekała z wysuniętą ręką uzbrojoną w nóż, cofając dłoń z mieczem. Drapieżny uśmiech nie schodził z jej warg.

Depird zrobił jeszcze krok i zaatakował nożem, usiłując zmusić Cherris do użycia miecza. Dziewczyna jednak odbiła jego dłoń, uderzając go ręką trzymającą sztylet. Depird wyprowadził teraz cios mieczem, a Cheriss przyjęła go na wygiętą rękojeść swojej broni. Kiedy sztych dotknął gardy, rozległ się trzask niczym strzał z rusznicy laserowej i z pociemniałego miejsca na rękojeści uniósł się dymek.

Cheriss zręcznym ruchem ramienia uwolniła swój miecz z klinczu i poderwała, trafiając Depirda prosto w szczękę. Zachwiał się i zmierzył ją oburzonym wzrokiem. Wedge zauważył, że czerwona plama na jego szczęce pokrywa się bąblami - widocznie sparzył go nagrany od jego własnego ataku metal rękojeści.

Część tłumy reagowała aplauzem, część pomrukiem dezaprobaty. Tomer wyjaśnił:

- Cheriss uważana jest za wojownika prostackiego, zwłaszcza jeśli chodzi o sztukę szermierki mieczem blasterowym. Na tym dworze ratuje ją tylko fakt, że zazwyczaj zwycięża.

Depird potrząsnął głową, jakby chciał oczyścić myśli, po czym zaczął okrążyć Cheriss. Nie zdążył przejść jednej czwartej okręgu, zanim zaatakowała - krok w przód, a po nim pchnięcie miecza. Walka rozgorzała na dobre. Depird przechwycił jej atak własnym ostrzem i spróbował riposty. Cheriss zablokowała go sztyletem i zareagowała energicznym pchnięciem, po którym Depird omal nie odbił się od pierwszych rzędów tłumu. Każdy ruch miecza zostawiał świetlisty ślad w powietrzu, każdemu uderzeniu broni o broń towarzyszył ostry trzask wyładowania.

- Bardzo ładna walka mruknął Tomer.

Wedge obrzucił go gniewnym spojrzeniem, ale uwaga Tomera była całkowicie skierowana na walkę.

- Chcesz powiedzieć, że to bardzo widowiskowy sposób, żeby dać się zabić. Jesteś wyjątkowo beztroski.

Tomer wzruszył ramionami.

- To ich planeta, Wedge. Ich sposób życia. Ja tylko muszę je zrozumieć... a nie zmieniać.

Cheriss, cofając się przed szczególnie agresywnym wypadem, zablokowała sztyletem ostrze miecza Depirda. Odepchnęła go z linii ciosu i wyprowadziła własny miecz gładkim, cudownie płynnym ruchem. Depird próbował zejść z linii ciosu, ale mu się nie udało; chociaż wygiął ciało w łuk, i tak nadział się na broń. Rozległ się ostry trzask,

krzyk bólu i Depird upadł na wznak. Leżał na podłodze, drgając konwulsyjnie, a w tunice na piersi pojawiła się poczerwiała dziura, z której unosił się dym.

Cheriss, prawie niezadyszana, odłożyła sztylet. Obejrzała się na Wedge'a z uśmiechem, po czym wyciągnęła ku niemu rękę z dłonią skierowaną w górę. Po chwili odwróciła dłoń w dół.

- Musisz wybrać - szepnął Tomer. - Dłoń w górę oznacza, że go oszczędzi, dłoń w dół, że ma go zabić. To pierwsze wskazywałoby na nadmierny sentymentalizm z twojej strony... a tego Adumarianie nie lubią u swoich pilotów.

Wedge wytrzeszczył oczy.

- Uważasz, że powinienem pozwolić mu zginąć? - szepnął. Tomer wzruszył ramionami.

- Ja nie wyrażam żadnej opinii. Analizuję jedynie działania i konsekwencje. Wedge przybrał surową minę obrażonego oficera i wyszedł na otwartą przestrzeń.

Podszedł do Depirda, który zwijał się w agonii. Nie potrafił zachować milczenia, każdy oddech był jednocześnie jękiem.

Wedge przyjrzał mu się krytycznie przez kilka sekund i podniósł wzrok na Cheriss. Przemówił

głośno, tak aby wszyscy słyszeli:

- Ten chłopiec musi się nauczyć radzić sobie z bólem, żeby kiedyś, umierając naprawdę, nie przyniósł wstydu rodzinie. - Wyciągnął rękę dłonią do góry.

Cheriss wzruszyła ramionami i skinęła głową. Nie była zaskoczona. W tłumie rozległy się oklaski i parę szeptów, ale Wedge zauważył, że perator kiwa głową z aprobatą i nagle wszyscy dworzanie wokół władcy zaczęli klaskać. Owacja objęła wkrótce całą salę.

Wedge wrócił na swoje miejsce wśród widzów. Tomer również zaczął bić brawo.

- Dobre rozwiązanie - rzekł, choć ledwie go było słychać w tym hałasie. - Wiarygodne.
- Porozmawiamy o tym później - mruknął Wedge. - Szykuj się.

Rozejrzał się w poszukiwaniu swoich pilotów. Dostrzegł ich, wszystkich trzech, stojących poza pierścieniem widzów.

Tłum rozstał się, pojedynczy widzowie zaczęli się rozchodzić i Wedge zauważył, że osobista świta peratora ruszyła w kierunku bocznego wyjścia. Dwaj mężczyźni ubrani w brzydkie brązowe liberie strażników bezceremonialnie podnieśli Depirda, postawili na nogi i bez litości skierowali ku głównemu wyjściu. Janson pochwycił spojrzenie Wedge'a i wyszczerzył zęby.

- Podobało ci się?

Wedge obejrzał się. Cheriss zdążyła już schować miecz i sztylet; teraz uśmiechała się odrobinę niepewnie.

- Z pewnością - wtrącił Tomer.

- To był imponujący pokaz zręczności i umiejętności - szczerze odparł Wedge. - Interesujący pod względem estetycznym. Czy dobrze zrozumiałem, że miał do ciebie żal o pokonanie w turnieju jego brata?

Skinęła głową.

- W finale ostatniego Naziemnego Turnieju Certanu brat Depirda, w przeciwieństwie do niego samego, był jednym z niewielu pilotów, którzy rzeczywiście wiedzieli, jak się posługiwać mieczem blasterowym. Prawie mi żal, że umarł od ran.

- Szkoda. Eee... Cheriss, jakiemu celowi służą turnieje naziemne, jeśli nie liczyć wyłonienia nowego mistrza?

Uśmiechnęła się.

- Zdaje się, że żadnemu.

- To po prostu rozrywka - wtrącił Tomer. - I kontynuacja tradycji drogiej sercu ludu Certanu.

- To też - zgodziła się. Janson wyrósł u boku Wedge'a.

- Mam wiadomości - powiedział.

ROZDZIAŁ 4

Szli pieszo ulicami Certanu, prawie anonimowi - mijający ich mieszkańcy nie poświęcali im najmniejszej uwagi. Wedge przypuszczał, że to z powodu lokalnych strojów; gdyby ubrali się w kombinezony pilotów Nowej Republiki albo mundury galowe, z pewnością byłiby nieustannie otoczeni tłumem. Cheriss szła przed nimi, uprzejmie nie wtrącając się do rozmowy.

- Nie mów w moim imieniu - odezwał się Wedge, patrząc na Tomera. - Nigdy. Wedge mówił szczerze, ale Tomer wydawał się tego nie dostrzegać. Wzruszył tylko ramionami.

- Rozumiem. Ale ty też musisz zrozumieć, że czasem nie mogę ci pozwolić powiedzieć akurat tego, co ci właśnie przyjdzie do głowy. Dopóki nie dowiesz się więcej o sytuacji w Certanie, możesz spowodować międzyplanetarny kryzys jedną nieprzemyślaną wypowiedzią.

- Tomerze, zwracam ci uwagę na słowo „pozwolić”. Nie używasz go prawidłowo. Nie możesz mi pozwalać lub nie pozwalać na cokolwiek. Rozumiesz?

- Rozumiem doskonale. To ty nic nie rozumiesz. Najpierw wywołałeś pojedynek, a potem chciałeś go od razu przerwać. Miałem położyć uszy po sobie i pozwolić ci na to znowu? Albo na coś gorszego?

Wedge spróbował opanować gniew.

- Musimy jakoś wypracować sobie platformę porozumienia i współpracy. Ale nie zamierzam ślepo cię słuchać.

- Lepiej by było dla wszystkich, gdybyś jednak zaczął. - Tomer zauważył wreszcie nastrój Wedge'a. - A z innej beczki, co za wieści przyniósł Janson?

- Dotyczące pilotów - odparł Wedge. - Wyniki pewnych zakładów, jakie porobili Czerwoni. Nie mam ochoty się kompromitować przed korpusem dyplomatycznym, mówiąc ci, ile przegrałem, więc proponuję, żebyś poszedł przodem. Spotkamy się w kwaterze.

Tomer zmarszczył brwi, widocznie usiłując wymyślić pretekst do odmowy, ale w końcu wzruszył ramionami.

- Skontaktujcie się ze mną przez komunikator w razie potrzeby. - Przyspieszył kroku, szepnął coś do Cheriss, wyminął ją i znikł w tłumie pieszych.

- To rzeczywiście Iella - powiedział Janson. - Chce się z tobą zobaczyć. To znaczy, nie sądzę, aby to było coś pilnego. Chyba była bardziej zadowolona z tego, że zobaczyła mnie. Pytała nawet o Hobbiego.

- Naprawdę? - rozjaśnił się Hobbie.
- O, tak. Spytała: „Jak się ma stary Babel?”

Hobbie oklapł. Kiedy wiele lat temu spotkał Iellę w czasie jakiejś tajnej operacji na Korelii, ukąsił go w twarz jakiś lokalny insekt. To przydomek wymyślił ówczesny partner Ielli z koreliańskich służb bezpieczeństwa, Corran Horn.

- Łżesz - burknął wściekły.

Janson roześmiał się jeszcze szerzej i znów zwrócił się do Wedge'a.

- Ale z tobą naprawdę chciała porozmawiać. Pod najmniejszym z płaskich ekranów na placu, gdzie nas dzisiaj powitano, jutro o północy. Musisz się tylko upewnić, że nikt cię nie śledzi. Nie możesz jej zdekonspirować.

- A jaka jest jej obecna tożsamość?

- Występuje jako spec od komputerów. Została niedawno zatrudniona, aby pisać programy tłumaczące jako interfejs pomiędzy komputerami Certanu a Nową Republiką i Imperium.

- Co to znaczy „niedawno”? Sprecyzuj - zażądał Wedge. Janson wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien, ale chyba kilka tygodni temu... a może kilka miesięcy. Wedge spojrzał po twarzach pilotów.

- Tu się dzieje coś naprawdę dziwnego. Ze słów generała Crackena zrozumiałem, że statek kartograficzny przypadkiem i całkiem niedawno trafił na tę planetę, która była odcięta od reszty cywilizacji galaktycznej przez kilka tysięcy lat. Zaraz potem Nowa Republika wysłała tu delegację dyplomatyczną, która w jednej chwili zorientowała się, że ci ludzie wolą rozmawiać z pilotami. A to spowodowało przysłanie nas tutaj. Wszystko działo się okropnie szybko. Teraz jednak stwierdzam, że Adumarianie mają hipernapęd, a nawet wyposażone w niego myśliwce. Że sprowadzili specjalistów do powiązania swojego systemu komputerowego z systemami Nowej Republiki i Imperium. Ściągnęli pilotów Imperium w tym samym czasie co nas, a nawet przygotowali wszystko tak, aby jedni o drugich nie wiedzieli do chwili, kiedy wpadną na siebie na przyjęciu. O co się założyście, że nie przybyliśmy tu z powodu ich sympatii do pilotów? Zostaliśmy tu sprowadzeni, aby walczyć z tamtymi.

- Jest jeszcze gorzej - odezwał się Hobbie. Pozostali spojrzeli na niego.

- Wiesz co? - rzekł Janson. - Ile razy cię słyszę, spodziewam się słów: „Jest jeszcze gorzej”. Czasem słyszę je nawet przez sen.

Hobbie zignorował go.

- Wedge, podczas gdy Janson wypytywał Iellę o pikantne szczegóły z jej prywatnego życia...

- Nieprawda!

- ...ja rozmawiałem z ludźmi. Zadawałem pytania, zamiast na nie odpowiadać. I dowiedziałem się, że Adumar nie ma nawet rządu obejmującego cały ich system. Perator nie reprezentuje całego świata.

- To by wyjaśniało, dlaczego wszyscy oni wydają się identyfikować raczej z narodem niż ze światem - odparł Wedge. - Jak więc wygląda sytuacja?

- Należy pamiętać, że wszystkie odpowiedzi otrzymałem od lojalistów Certanu! - Hobbie przepraszał wrzeszcząc ramionami. - Ale jeśli przecedzić ten potok słów i dotrzeć do sedna, wychodzi na to, że Certanie są największym spośród sporej liczby narodów i kontrolują kilka innych na mocy tradycji i dzięki siłom zbrojnym. Rządzą mniej więcej połową planety. Dlatego mogą podpisywać traktaty handlowe i inne takie układy w imieniu Certanu, ale nie mogą negocjować przyłączenia się całego Adumaru do Nowej Republiki.

- Masz rację - zgodził się Wedge. - Jest gorzej, niż sądziłem. Janson wyszczerzył zęby.

- Tak naprawdę jest jeszcze o wiele gorzej. Wedge westchnął.

- Słuchaj, niech to będą ostatnie złe wiadomości. Następna osoba, która zacznie krakać, zostanie zastrzelona. Z wyjątkiem Wesa. No, śmiało, Wes.

- Cheriss robi do ciebie słodkie oczy. Wedge aż przystanął.

- Powiedz, że się wygłupiasz.

- Przepraszam, szefie. Czy ty nie widzisz, jak ona na ciebie patrzy? I pozostawiła ci decyzję w pojedynku: zabić czy nie. Podobno to tutaj naprawdę wielki gest. Równie subtelny jak kwiaty i słodycze.

- Wes, ona mogłaby być moją córką.

- Fakt. - Janson wydawał się zrezygnowany. - Pomogę ci, Wedge. Powiem jej o tym, pocieszę w chwili smutku i...

Wedge uniósł dłoń.

- Zapomnijcie, co powiedziałem przed chwilą. Zastrzelmy Wesa.

- Ja jestem za - odparł Hobbie.

- Jaką proponujesz strategię? - zapytał Tycho. Hobbie spojrzał na niego dziwnie.

- Myślałem, że wyciągniemy broń i wystrzelimy jednocześnie. Ale po namyśle uznałem, że policzę od dziesięciu do zera i wtedy zaczniemy strzelać.

Tycho skrzywił się zabawnie.

- Ucisz go, Wedge. Chodzi mi o strategię działania w tej pokręconej polityce.

- Na razie udajemy głupich. Niech wszyscy oni: Tomer, władcy Certanu, nasza własna sieć wywiadu, myślą, że wierzymy w to, co nam do tej pory powiedzieli. Słuchamy Tomera, buntując się tylko na tyle, żeby pamiętać, że jesteśmy pilotami myśliwców. Ado wszystkiego, co chcemy wiedzieć, musimy dotrzeć sami. Porozmawiam jutro z Iellą. Hobbie, Tomer twierdzi, że wywiad sprawdził

nasze kwatery i uznał, że są wolne od urządzeń podsłuchowych Certanu. Nikt jednak nie sprawdził, czy nie ma tam urządzeń podsłuchowych Nowej Republiki. Chcę, żebyście dokładnie przeczesały nasze kwatery i sprawdzili, czy nasi ludzie też nas podsłuchują. Tycho, Wes ... dzisiaj polecicie na „Hołd”. Założę się o wszystkie posiadane kredyty, że po drugiej stronie planety orbituje imperialny statek, a nie chcę, aby „Hołd” został zaskoczony, jeśli zaczną się problemy.

Janson odezwał się zbolalym głosem:

- Nie można trochę później? Mam... eee... tego... spotkanie dziś wieczorem. Wedge bez słowa zmierzył go lodowatym wzrokiem.

- Oj, zdaje się, że nie można - mruknął Janson. - Tycho, czy ktoś ci już powiedział, że kiedy pytasz Wedge'a o strategię, zawsze załapujesz się na nową robotę?

Następnego poranka Wedge poprowadził klucz Czerwonych w kierunku lasów, nie spuszczając oka z nieznanego wskaźnika zasięgu. Kabina blade'a-32, maszyny Tarrvina-on-Kalika, była mu całkiem obca. Wolałby nie pozabijać siebie i swoich pilotów tylko dlatego, że nie umie rozpoznać kontrolek.

Podobnie było zresztą z pomiarem prędkości. Adumarianie nie stosowali dawnych norm imperialnych i zamiast w kilometrach na godzinę Coruscant, mierzyli ją w kębach, czyli tysiącach kroków jakiegoś dawno nieżyjącego peratora Certanu na godzinę adumarską. Stanowiło to około osiemdziesięciu procent standardu imperialnego i Wedge cały czas musiał przeliczać w głowie.

Kiedy las zaczął przerzedzać się w pojedyncze drzewa, ukazując strumienie oraz jeźdźców dosiadających opancerzonych *farumme*, konsola sterowania zaczęła natrętnie piszczeć. Wedge wiedział, że to alarm kolizyjny statku, ale wydawało mu się, że ustawiono go zbyt ostrożnie. Ściągnął drążek sterowania po dobrych kilku minutach, wyprowadzając blade'a-32 z nurkowania, kiedy pisk stał się głośniejszy i bardziej natarczywy.

Wyrównał lot nad lasem i poczuł, jak ten manewr wciska go w siedzenie pilota. Poczuł lekkie mdłości, a krew uderzyła mu do głowy. Po chwili ciśnienie zelżało i mdłości ustąpiły. Blade-32 miał kompensatory bezwładności takie same jak myśliwce Nowej Republiki i Imperium, ale ich komputery nie potrafiły tak dokładnie wyliczyć korekty, żeby uchronić pilotów przed nieprzyjemnymi skutkami manewrów.

Teraz Wedge, testując nowy myśliwiec, wystrzelał w niebo, a jego jedynymi nieprzyjaciółmi były grawitacja i ograniczenia konstrukcyjne.

Kiedy siedział przykuty do biurka przez generalskie obowiązki, tydzień za tygodniem, mógł udawać, że latanie było sprawą, którą właściwie odłożył na półkę, wracając do niej od czasu do czasu dla rozrywki. W takich jednak chwilach jak ta wiedział, że to było samooszukiwanie. Nie mógł się wyprzeć miłości do latania. Nie mógł nie zauważać bólu, jaki odczuwał, kiedy nie znajdował czasu na loty. Latanie było częścią jego osobowości, od zawsze, od dzieciństwa. Ogarniał go gniew, kiedy myślał o biurokratach i przyklejonych do stołków organizatorach, którzy, odkąd wmusili mu rangę generała, dawali mu zadanie za zadaniem, utrzymując go z dala od kabiny myśliwca.

Regularne misje myśliwców należały już do przeszłości, ale brakowało mu ich bardzo. Może jednak zdoła do nich wrócić; może, jak niegdyś generał Salm i generał Crespin, zdoła sobie znaleźć

jakaś placówkę, pozwalającą mu na regularne dowodzenie kluczem myśliwców. Ta nadzieja utrzymywała go przy życiu.

Sprawdził tablicę czujników, czyli tablicę świetlną - ekran z zieloną siatką zwany był przez Adumarian „systemem świetlnych odbić” - i stwierdził, że Tycho, Janson i

Hobbie wciąż znajdują się w pobliżu. W oddali widać było formację towarzyszących im czterech myśliwców certańskich.

Na wizji Wedge zauważył, że Janson leci do góry podwoziem.

- Janson, zorientuj się prawidłowo - polecił. - Lecisz brzuchem w niebo.

- Nie, szefie. Lecę właściwą stroną do góry. To wy we trzech lecicie do góry brzuchem od chwili, kiedy wyszliście z tego zawrotnego manewru.

Wedge spojrzał w górę, ale ujrzał nad sobą tylko niebo i słońce.

- Ale się dałeś nabrać! - zawołał Janson wesolutko i wyprostował swój myśliwiec. Tablica świetlna zapiszczała, ukazując pół tuzina nadlatujących blade'ów - cztery z przodu, dwa z tyłu. System łączności Wedge'a zatrzeszczał i przemówił:

- Witaj, generale Antilles! Lotne Ostrze Lordów Przerazenia rzuca ci wyzwanie! Wedge westchnął. Znał już dość dobrze terminologię pilotów Adumaru, więc nie zdziwił się, słysząc określenie „lotne ostrze” zamiast „eskadra”. Po raz szósty od chwili, kiedy Czerwoni rozpoczęli lot, przełączył się na ogólną.

- Tu Antilles. Odmawiam - powiedział.

- Dobrze, może innym razem. Zamieszanie w szeregach waszych wrogów! Żegnaj! - Nadlatujące statki weszły w powolną pętlę, wracając w kierunku, z którego nadleciały.

- Uwielbiam cię, Wedge - zauważył Janson.

- To chyba jedyna planeta, gdzie z tej miłości próbują mnie zabić - odparł Wedge. - W porządku. Proszę o opinie, panowie... oczywiście na temat statków.

- Są jak latające widelce - skomentował Janson. - Mają masę i solidność, jaka zawsze podobała mi się w Y-wingach, ale wydają się ślamazarne.

- Mnie się podoba układ uzbrojenia - dodał Hobbie. - Dwa lasery z przodu, dwa z tyłu. Dwa stanowiska rakiet jak w X-wingach... ale my mamy szesnaście rakiet, a nie sześć. Więcej czadu przeciwko dużym statkom. Gdybyśmy mogli zastąpić te słabe materiały wybuchowe torpedami protonowymi, narobiliśmy hałas.

- Przeglądałem historię konstrukcji i statystyki uszkodzeń - rzekł Tycho.

- Przez ten czas, kiedy manewrowaliśmy? - zarechotał Janson.

- Musiałem jakoś zabić czas, czekając, aż mnie dogonicie, więc pracowałem intelektualnie - odgryzł się Tycho. - Skomponowałem też symfonię i wymyśliłem plan, jak przynieść pokój galaktyce. W każdym razie bez tarcz te zabawki rozpadną się pod wpływem pierwszego lepszego trafienia

rakieta. Są jednak mocnej konstrukcji, mocniejszej od X-winga, więc nie szkodzą im nawet poważne uszkodzenia i uderzenia lasera. Chciałbym zobaczyć, ile stracą na zwrotności wyposażone w tarcze, hipernapęd, może jeszcze dodatkowe siedzenie dla strzelca. Gdyby strata nie była zbyt wielka, mogą się okazać całkiem przyzwoitymi myśliwcami bombardującymi, dość użytecznymi w walce przeciwko dużym statkom.

- Słusznie - odparł Wedge. Obrócił swój statek, wywijając beczkę i stwierdził, że nie podoba mu się sposób, w jaki powietrze uderza w aerodynamiczne powierzchnie. - W porządku, zabieramy je do hangaru. Wedge Antilles wyłącza się.

Użycie pełnego nazwiska było zakodowanym sygnałem. Zawracając myśliwiec w kierunku bazy lotniczej Giltella, jednej z dwóch baz znajdujących się w pobliżu Certami, wyłączył mikrofon systemu komunikacyjnego i wyjął z kieszeni kombinezonu skomplikowany zestaw słuchawek. Tycho przywiózł tę zabawkę wczoraj wieczorem z „Hołdu” - były to komunikatory z przystawkami kodującymi. Wedge ustawił rejestry na wcześniej uzgodniony kod.

Hobbie stwierdził, że w ich ubraniach nie ma podsłuchu, ale znalazł dwa podejrzane obiekty w kwaterach, bezbłędnie rozpoznając je jako produkt Nowej Republiki. Nie bardzo się znał na technikach wywiadu, więc stwierdził, że nie jest pewien, czy udało mu się odnaleźć wszystkie. Oznaczało to, że ich kwatery nie są bezpiecznym miejscem do poufnych dyskusji. Poza domem zwykle towarzyszyli im Cheriss lub Tomer, a to oznaczało, że do prywatnych konwersacji nie mieli wielu okazji.

Wedge zmniejszył moc emisji, aby nie przechwycono ich sygnału w odległości większej niż sto metrów, po czym zdjął hełm pilota, odstawił go na niewielką półkę za siedzeniem i włączył słuchawki.

- „Jedynka” do klucza. Słyszycie mnie? Odpowiadać numerami.
- „Dwójka”, gotów.
- „Trójka”, gotów na wszystko.
- „Czwórka”, jak złoto.
- Doskonale, panowie. Jakie wieści?
- „Jedynka”, tu „Czwórka”. Na tablicy świetlnej nieustannie widzę manewry myśliwców o jakieś sto pięćdziesiąt klików adumarskich na południowy zachód od nas...
- To nie kliki, tylko kępy.
- Dzięki, „Trójka”. O ile zdołałem się zorientować z tych zakłóconych sygnałów, robią chyba dokładnie to samo, co my. Założę się, że to Turr Phennir i jego piloci zaznajamiają się z blade’ami.
- Dobrze wiedzieć, „Czwórka”.
- „Jedynka”, tu „Trójka”. Jednej rzeczy nie rozumiem.
- Czy to coś nowego? Wedge się uśmiechnął.
- Cicho, „Czwórka”. Mów, „Trójka”.
- Dlaczego perator Certami nie zgadnie, że Imperium wprowadzi się tu, po prostu przejmując wszystko? Dlaczego sądzi, że imperialni zechcą z nimi współpracować i walczyć o ich względy, a jeśli przegrają, po prostu pojedą do domu?

Wedge przemyślał to pytanie.

- Widzisz, możemy się jedynie domyślać. Tak zachowałoby się Imperium w czasach, kiedy dołączyliśmy do Rebelii. Dzisiejsze Imperium to tylko ułamek tamtego i ze znacznie podwyższoną świadomością ekonomiczną. Aby podbić ten świat, musieliby zaangażować i prawdopodobnie stracić wiele zasobów. Musieliby być może zniszczyć przemysł, który tak bardzo chcą przejąć. Imperium zwyciężyłoby bez wątpienia, ale straciłoby więcej, niż zyskali. I nigdy nie byłaby to decyzja tania.

- Masz rację, „Jedynka”. Nie potrafię myśleć o Imperium inaczej, tylko jako o gigantycznym tworze o nieograniczonych możliwościach.

- Wracamy do normalnej łączności - zarządził Wedge. - Baza już blisko.

Przed nimi rozciągał się znajomy widok bazy lotniczej Certanu, z której wylecieli - kilka koncentrycznych kręgów, budynki hangarów otaczające centralną nastawnię, a wszystko ozdobione wymyślnymi balkonami.

Kilka minut później wylądowali i odprowadzili blade'y z powrotem do lotnego ostrza, które je wypożyczyło, ignorując kolejne wyzwanie z tej eskadry, po czym spotkali się z Cheriss przed hangarem.

- Podobało się wam? - zapytała z błyskiem w oku.

- Jasne, bardzo - odparł Wedge, prowadząc całą grupę do maszyny na kołach, która miała przewieźć ich do miasta. - Bardzo zgrabne stateczki. - Wyraz twarzy dziewczyny sugerował, że spodziewała się dalszych pochwał, więc dodał: - Prawdziwe pojazdy dla zdobywców.

Skinęła głową, uszczęśliwiona.

- Nie ma lepszych. I widzę, że bardzo szybko je opanowaliście.

- Cóż... udało nam się jakoś nie rozbić - poprawił ją Wedge. - Nie mogę powiedzieć, że je opanowaliśmy.

- Och, widziałam, że radzicie sobie z nimi, jakbyście latali nimi od lat - odrzekła. - A piloci Imperium przyjęli dzisiaj wyzwanie i zestrzelili czterech członków Lotnego Ostrza Krwawych Kwiatów.

- Zestrzelili? - Wedge zmarszczył brwi. - Ilu przeżyło?

- Jeden - odparła. - Katapultował się, ciężko ranny. Będzie miał parę nowych blizn do pokazywania. - Zniżyła głos, jakby wstydziła się zapytać: - Czy i wy będziecie przyjmować wyzwania? Może jutro?

Wedge kątem oka ujrzał Jansona, który szczerzył do niego zęby. Zwolnił kroku i udało mu się nadepnąć Wesowi na palce, zanim ten zdołał się odsunąć. Janson wrzasnął.

- Powiedz mi - zagadnął Wedge, ignorując jęk Wesa - czy zawsze walczyacie na ostro, czy czasem używacie też symulatorów?

Uśmiech znikł z jej twarzy, a pojawiło się zmieszanie.

- Symulator? - zapytała. - A co to takiego?

- Urządzenie, które symuluje to, co widzisz i czujesz, kiedy jesteś w kabinie myśliwca. Wykorzystuje on komputery, hologramy i kompensatory inercji, aby dokładnie imitować wrażenie lotu, co pozwala ci trenować bez ryzyka, bez utraty cennych maszyn i jeszcze cenniejszych pilotów. Nie macie nic takiego?

- No cóż... w innych krajach piloci czasem używają osłabionych laserów i receptorów promieni do pojedynków, jak również rakiet o mniejszej sile rażenia, wywołujących tylko chmury pigmentu, żeby nie musieli się zabijać.

- W innych krajach... ale nie w Certanie, prawda? Tu wszyscy piloci walczą ostrą amunicją?

Cheriss skinęła głową.

- Tak, rzeczywiście, ale nie wszyscy giną. Pilot może się katapultować, a zwycięzca nie musi go zestrzelić, zanim spadnie. To właśnie zdarzyło się dzisiaj z imperialnymi. Kiedy tak się dzieje, obaj przeżywają. Oczywiście, o ile tłum na ziemi nie zatłucze na śmierć pokonanego za jego porażkę.

- Naprawdę? Powinniście więc tracić pilotów w przerażającym tempie. Zamyśliła się.

- No cóż, chyba w tym celu rząd ustanowił Protokoły. Piloci, którzy chcą się pojedynkować, muszą zademonstrować, że obaj wyniosą z tego jakieś korzyści.

- Na przykład?

- Jeśli młody pilot chce walczyć ze starym, doświadczonym wyjadaczem, prawdopodobnie będzie to niezgodne z Protokołami. Widzisz, nowy pilot skorzysta, jeśli zwycięży; nauczy się czegoś od lepszego od siebie, zdobędzie sławę za to, że go zabije... Ale starszy pilot nie skorzysta, wygrywając. Zaznaczy kolejne zestrzelenie na tablicy, ale nie będzie to miało dla niego znaczenia, a zatem korzyści. Dlatego też jego dowódca nie wyrazi zgody na pojedynek. Ale jeśli nowy pilot wynajdzie nowy manewr lub technikę walki, stary pilot może skorzystać, jeśli się z nią zmierzy. Jeśli jego dowódca będzie wystarczająco zainteresowany inwencją młodego pilota, może zezwolić na pojedynek.

- Chcesz powiedzieć, że inne wasze kraje prowadzą pojedynki symulowaną bronią? Czy to jest jakaś ujma na honorze?

- W Certanie, tak. Tam chyba nie. Nie mają dość honoru, przynależąc do pośledniejszego narodu.

- A co by się stało, gdybym zgodził się na pojedynek, lecz zażądał symulowanej broni?

Cheriss wytrzeszczyła oczy. Wedge nauczył się już, że oznaczało to u niej intensywny proces myślowy. Wreszcie odparła:

- Nie jestem pewna. Albo stracisz honor, albo użycie symulowanej broni zostanie uznane za honorowe.

- A jeśli zrobię to jeszcze raz, i jeszcze raz... i za każdym razem zwyciężę?

- Myślę... jestem prawie pewna, że wtedy symulacje zostaną uznane za honorowe.

- Interesujące. Może jutro, kiedy wylecimy, poproszę, aby Czerwoni zostali wyposażeni w osłabione lasery i rakiety z farbą.

Tomer nie miał żadnych nowych wieści, kiedy wrócili do kwater późnym popołudniem. Żadnego spotkania z peratorem czy jego ministrami, aby przedyskutować możliwość wejścia Adumaru do Nowej Republiki. Żadnej zmiany poleceń od Wywiadu.

Przyjęli zaproszenie na kolację, przekazane Wedge'owi poprzedniego wieczoru. Przyjęcie odbywało się w luksusowej rezydencji ministra handlu Certanu. Polityk, szczupły mężczyzna utykający na sztucznej nodze, co było skutkiem katapultowania się z rozbitego blade'a-28 i uderzenia pociskiem z własnego myśliwca, nie był wcale zainteresowany dyskusją na temat handlu; nie chciał słuchać nic innego oprócz relacji z dokonania Wedge'a.

Kolację podano przy długim stole na rozległym balkonie - Wedge podejrzewał, że chodziło o to, aby wszyscy sąsiedzi widzieli i zazdrościli ministrowi gości. Piloci szybko nauczyli się radzić sobie w czasie uczy - kolejno podejmowali wątki opowieści, aby

pozostali mogli jeść. Cheriss siedziała w milczeniu, słuchając z wytrzeszczonymi oczami opowieści o Endorze, Borleias i Coruscant.

Później zjechali powolną, grzechoczącą, otwartą adumarską wersją turbowindę na trzeci poziom. Pierwsze trzy piętra budynku zajmowało obszerne, pełne przepychu lobby, które miało wywrzeć odpowiednie wrażenie na gościach. Winda nie schodziła do parteru i goście musieli przebyć trzy piętra szerokich schodów. Dopiero przy drzwiach mieli odzyskiwać swoje blastery.

Janson prowadził w dół po schodach prawie biegiem.

- Mam nadzieję, że wkrótce przejdziesz do swoich obowiązków dyplomatycznych, Wedge. Naprawdę nie mogę się doczekać.

Wedge zaśmiał się.

- Jasne, to dopiero odmiana po cowieczornych spotkaniach z zachwyconymi funkcjonariuszami.

- Sam to powiedziałeś - rzekł Janson. - Mnie ten zachwyty okropnie denerwuje. Skręcił w dół na ostatni podest, kiedy zza węgła wyskoczyło sześciu mężczyzn.

Biegając w górę, dobyli blasterowe miecze. Dwaj biegnący na przód rzucili się na Jansona.

Wedge'owi wydawało się, że czas zwolnił tempo. Janson rozpostarł swój idiotyczny płaszcz i owinał go wokół mieczy przeciwników, które wypaliły, pompując w materiał energię blasterów, aż materiał zajął się ogniem. Pozostali czterej ustawili się naokoło, oddzielając ich od strony ściany.

Wedge skoczył na wygiętą poręcz - była z polerowanego drewna i zapewniała niewiele tarcia, za to mocne oparcie - i zjechał po niej bokiem. Mijając Jansona, wyprostował lewą nogę i poczęstował kopniakiem jednego z przeciwników Wesa. Manewr ten omal nie wysadził go z poręczy i nie skończył się upadkiem z dwóch pięter. Kopniak jednak trafił tamtego prosto w twarz, przewracając go na wznak. Napastnik stoczył się po schodach niemal równie szybko, jak Wedge zjeżdżał po

poręczy.

Antilles odzyskał równowagę i zeskoczył, aby wylądować obok niego. Przeciwnik leżał na wznak, rozpostarty na sześciu stopniach. Wedge wyrwał mu z ręki miecz blasterowy i zawrócił na schody.

Ostatni z mężczyzn, którzy biegli za Jansonem, odwrócił się i zaatakował Wedge'a. Janson otoczył swojego przeciwnika uściskiem godnym wampa i przechylił go przez barierkę, wyginając mu kręgosłup w kierunku przeciwnym do naturalnego, aż twarz tamtego wykrzywiła się z bólu. Miecz Jansona nadal tkwił w pochwie; płonący płaszcz leżał na stopniach tak blisko jego nóg, aż płomienie zaczęły lizać mu buty.

Cheriss wyciągnęła swoją broń i zwinnie odbiła ostrza kolejnej pary napastników. Tylko jeden zdołał przedrzeć się obok niej i zaatakować Hobbiego i Tycha, ale obaj zareagowali jednocześnie. Hobbie rzucił się w kierunku wroga i odskoczył prawie natychmiast, wymuszając na tamtym nieskuteczny cios. W tym samym momencie Tycho skoczył na niego, zrzucił go ze schodów i w ciągu kilku sekund znalazł się na nim okrakiem, okładając go pięściami po twarzy; Hobbie zaś przywłaszczył sobie jego broń.

Wedge cofnął się przed schodzącym w dół mężczyzną. Przeklinał nieznaną broń. Walka wręcz czy na blastery - proszę bardzo, wiedział, że dotrzyma pola atakującemu, ale nie z czymś tak egzotycznym jak miecz blasterowy.

Dotknął czubkiem broni dywanu u stóp schodów. Miecz wypadł w tkaninę z ostrym trzaskiem i obłoczkami czerwonego dymu. Wedge przesunął nim przez całą szerokość schodów, oddając strzał za strzałem, aż wzniosła się przed nim dymna zasłona.

Wciąż widział swojego przeciwnika. Wysoki, wąsaty, uśmiechnięty i pewien zwycięstwa facet pokręcił głową, jakby niezadowolony z zachowania ucznia.

- Tracisz ładunek, żeby rozdzielić nas dymem? - zapytał. - To twój ostatni błąd, Wedge'u Antilles.

- Nie obawiaj się, jeszcze niejeden popełnię. - Wedge chwycił kawałek dywanu, który odciął, i szarpnął z całej siły. Dywan nie poddawał się, klej, który trzymał go na stopniach, wciąż trzymał, ale po chwili ustąpił. Stopy schodzącego zabójcy uciekły do przodu. Napastnik zamachał rękami, tracąc równowagę, po czym upadł ciężko i ześliznął się ku Wedge'owi.

Antilles nie cofnął się. Końcem miecza dźgnął przeciwnika pod pachę. Usłyszał i poczuł uderzenie ładunku o ciało, w nozdrza uderzył go znajomy odór palonej tkanki. Tamten wrzasnął i upuścił miecz.

Wedge rozejrzał się, sprawdzając, co z resztą. Jeden z przeciwników Cheriss już leżał z czarną plamą spalonego ciała w miejscu, gdzie powinno być gardło, drugiego właśnie rozbrajała sprawnymi pchnięciami zablokowanych ostrzy. Hobbie podszedł i uderzył go z takim rozmachem, że mężczyzna zwinął się wpół. Janson pchnął lekko swojego napastnika, który jak połamana zabawka spadł z wysokości dwóch pięter. Przeciwnik, a raczej ofiara Tycha, również nie miał już ochoty walczyć - leżał z posiniaczoną twarzą i przymkniętymi oczami.

Jason zaczął deptać płaszcz, żeby ugasić ogień. Wedge usłyszał głośnie oklaski i gwizdy z parteru. Zerknął w tamtą stronę: to ubrana w jaskrawe lawendowo-złote liberie służba ministra wiwatowała na ich cześć.

- Cheriss - odezwał się Wedge. - Kto tu jest dowódcą?
- Pan, generale Antilles.
- Nie. Ich dowódcą.

Wskazała czubkiem miecza faceta, którego Wedge kopnął w twarz. Leżał w połowie drogi pomiędzy Hobbem a nim. Nie ruszał się, ale powieki mu drgały.

- Hobbie, wezwij ochronę budynku i sprawdź, czy możemy już dostać nasze blastery. Wes, Tycho... pozbierajcie ich miecze i dźgnijcie każdego, kto zacznie sprawiać kłopoty. Cheriss, pomóż mi przy tym tutaj.

Wszedł na górę, zachowując ostrożność, bo szkody, jakich narobił, znacznie utrudniały bezpieczne chodzenie, po czym stanął nad człowiekiem, którego kopnął. Przesunął czubek miecza nad jego gardłem.

- O co w tym wszystkim chodziło? - zapytał.

Leżący przez dłuższą chwilę próbował śledzić czubek miecza.

- A o co miałoby chodzić? - zapytał. - O honor. O szansę, żeby zabić słynnego generała z gwiazd. Jutro zabiję imperialnego pilota.

Cheriss uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Nie zabiłbyś jadalnego jaszczura, nawet gdyby napluł ci w oko. On łże, generale, to płatny morderca.

Mężczyzna skrzywił się i pokręcił głową w niemym proteście.

- Cheriss, skąd wiesz? Wskazała na niego pogardliwie.
- Popatrz na jego ubranie.

Podobnie jak większość atakujących, mężczyzna ubrany był dość nędznie. Wedge słusznie odgadł, że takich łachów nie tolerowano by w tak wytwornym miejscu. Strój był wprawdzie cały czarny, modny, ale przy bliższym przyjrzeniu okazało się, że szwy są poprzecierane, tunika znoszona, a buty wprawdzie błyszczą, lecz wyglądają na mocno schodzone. Blasterowy miecz leżący obok miał zniszczoną, rzadko czyszczoną gardę.

- I co z tego? - zapytał Wedge.

- Po drugie - rzekła - popatrz tylko. Cofnęła się i kopnęła leżącego w bok. Wygiął się w tył i

jęknął. Otworzył usta, żeby zakląć albo może zagrozić, ale przypomniał sobie o mieczu Wedge'a wiszącym o centymetry nad jego gardłem i zmienił zdanie.

Wedge zmarszczył brwi.

- Nie torturujemy w celu wydobycia informacji, Cheriss. Nie stosujemy takich metod.

Spojrzała na niego niewinnie.

- Tortura? Ależ skąd! Ale teraz posłuchaj, generale! - Cofnęła się i wymierzyła kolejnego kopniaka, jeszcze mocniejszego.

Poprzez jęk tamtego Wedge usłyszał cichy brzęk.

Ostrożnie uniósł skraj tuniki leżącego i przeciągnął przez pas. Pod spodem, zamocowana do drugiego, cieńszego paska, wisiała przezroczysta sakiewka wypełniona złocistymi dyskami.

- Adumarskie kredymonety? - zdziwił się Wedge.

- Peraty - wyjaśniła Cheriss. - Widzisz na awersie twarz Pekaelica? Jest ich tu co najmniej dwadzieścia. Nie fortuna, ale zdecydowana poprawa sytuacji materialnej.

Wedge skinął głową Tychowi, który przeszukał pozostałych. Znalazł przy każdym sakiewkę z monetami; zawierały mniej więcej połowę tego, co trzosik przywódcy.

- Można by pomyśleć, że ktoś, kto nosi przy sobie takie kieszonkowe, powinien się lepiej ubierać - mruknął Wedge.

Cheriss skinęła głową.

Wedge znów spojrzał na więźnia.

- Kto wam zapłacił?

- To pieniądze za ostatniego człowieka, którego zabiłem - wyjaśnił tamten.

- Musiałeś upolować jakiegoś ministra albo bogatego kupca - skomentowała Cheriss. - A jego rodzina jest pewnie dość bogata, żeby cię prześladować aż do śmierci.

Powiem Straży Certanu, do czego się właśnie przyznałeś. Kimkolwiek był ostatni ważniak, którego zabito, ty zostaniesz o to oskarżony.

Mężczyzna już otworzył usta, żeby zaprotestować, ale zaraz zacisnął je jeszcze mocniej.

Cheriss pochwyciła spojrzenie Wedge'a i lekko pokręciła głową. Znaczenie tego gestu było jasne - jeniec nie będzie mówił.

Hobbie wbiegł po schodach wielkimi susami, prowadząc za sobą grupkę kobiet i mężczyzn w papuzich liberiach. Wszyscy mieli blasterowe miecze, ale także inne rodzaje broni.

- Nie chcą nam oddać blasterów - rzekł Hobbie. - Dopóki nie opuścimy budynku.

- Przepisy - wyjaśnił jeden z mężczyzn w liberii. - Przepisy są przepisami. Ale nie będzie już więcej problemów w naszym budynku, obiecuję. Czy mamy być świadkami, jak pan ich zabija, czy oddacie ich Straży Certanu?

Wedge zmarszczył brwi, patrząc na mężczyznę - mniej więcej dwudziestoletniego, o jasnych włosach i tryskającego energią.

- Chce pan powiedzieć, że mogę ich po prostu i legalnie zabić?
- Oczywiście. Zostali pokonani w uczciwej walce. Niekonwencjonalnej, ale uczciwej. Dopóki ich nie zabijecie, nie wypuścicie lub nie przekazecie straży, pojedynek nie jest zakończony.
- To nie był pojedynek, tylko próba zabójstwa. - Wedge wreszcie sobie przypomniał, że powinien był wyłączyć swój miecz blasterowy. - Przekażę ich Straży Certanu. Tym ludziom zapłacili za zabicie nas, może straż dowie się, kto za tym stoi.
- Oczywiście - rzekł młodzieniec. - Zatrzymamy ich, jeśli chcecie odejść.
- Chętnie, dziękuję.

- Czy chcecie zabrać zdobycz? Wedge spojrzał na Cheriss.

- To, co jest ich, należy teraz do was, bo zwyciężyliście - wyjaśniła. - To znaczy wszystko, co mają przy sobie. Nie możecie zabrać nic z ich domu ani z miejsca, gdzie trzymają pieniądze.

- Rozumiem. - Wedge spojrzał na swoich pilotów. - Czerwoni, uzbrojcie się. Miecze w pochwach. Jeśli miałyby się to zdarzyć jeszcze raz, wolałbym nie polegać wyłącznie na pięściach i wibroostrzach.

Cheriss uśmiechnęła się.

- Doskonale sobie poradziliście samymi pięściami i wibroostrzami. Jesteście urodzonymi zabijakami. Podoba mi się to. Certańscy szermierze są zbyt delikatni.

- Dziękuję, Cheriss. - Gdy tylko czterej piloci przypięli do pasów nową broń, wyminęli usłużnych strażników i skierowali się na ulicę.

Przez ten czas, kiedy przebywali w budynku, na zewnątrz zrobiło się ciemno i chłodno. Po ulicach przemykały ciemne postacie, od czasu do czasu przejechał jakiś pojazd na kołach. Transportery wyposażone w repulsory były jeszcze rzadsze i tylko czasem przelatwały nad ich głowami. Siedzący w nich pasażerowie - w jednym mieściło się pięć do dziesięciu osób - leniwie przypatrywali się pieszym. Wedge nie podnosił głowy, aby przechodnie nie poznali jego twarzy.

- Cheriss, czy ty też przez całą walkę słyszałaś brzęk monet? Skinęła głową.

- I pokonałaś dwóch z nich. Bardzo dobra robota.

- Dziękuję, generale.

- Masz taki talent i tak szanujesz pilotów, więc czemu sama nie zostaniesz pilotem? - zapytał

Wedge. Ujrzał w jej oczach wahanie i dodał: - Oczywiście, jeśli to osobista sprawa, po prostu powiedz, że to nie moja rzecz. Nie obrażę się.

- Nie - odrzekła. - Nie... tylko że to coś, czego się wstydzę. - Jej smutny wyraz twarzy świadczył, że nie mówi całej prawdy. - Po prostu nie mogę nauczyć się latać. Absolutnie. Kiedy przebywam na statku, a nawet na wysokim balkonie, zaczyna mi się kręcić w głowie. Panikuję. Nie mogę myśleć.

- Lęk wysokości - podsumował Wedge. - Dlatego skoncentrowałaś się na szermierce?

Skinęła głową.

- To umierająca sztuka. Och, większość szlachty nosi blasterowe miecze w miejscach publicznych, tak samo jak zwykli obywatele, choćby ja. Sztuka szermierki, jakiej uczą w ich szkołach, jest jednak stylizowana. Trenują z blasterem nastawionym na wstrząs, a nie na oparzenie, mają też zasady, które wykluczają legalność niektórych ciosów. Ja zbadałam za to sztukę posługiwania się takim mieczem na wiele stuleci wstecz, kiedy była jeszcze umiejętnością prestiżową. Poznałam różne rodzaje broni dodatkowej i wykorzystywanie środowiska przeciwko wrogom. - Rozjaśniła się nagle. - Dlatego potrafiłam rozpoznać, że nie uczyliście się walki blasterowym mieczem, lecz sama sztuka walki wręcz nie jest wam obca. Sztuczka z poręczą, z płaszczem majora Jansona, zręczność pułkownika Celchu w posługiwaniu się pięściami... chciałabym się tego nauczyć.

- No to wymieńmy się doświadczeniami. Naucz nas posługiwania się blasterowym mieczem, ile zdążysz przez ten czas, kiedy tu będziemy, a ja poproszę moją bandę wesółych łobuzów, żeby pokazali ci nasze uliczne sztuczki.

Obejrzał się, żeby ściągnąć na siebie wzrok pozostałych pilotów i upewnić się, że żaden z nich nie wyraża sprzeciwu. Zauważył, że Wes ma smutną minę.

- Co się dzieje, Wes? Janson westchnął.

- Mój płaszcz jest już nie do użytku - wyjaśnił. - A tak go lubiłem.

- Znajdziemy ci inny, jeszcze bardziej pstrokaty - obiecał Wedge. - A teraz, Cheriss, mam nadzieję, że nie zrozumiesz tego źle, ale muszę cię przeprosić na minutkę.

- Mam znowu pójść przodem - domyśliła się.

Skinął głową. Obdarzyła go uśmiechem, który uznał za pełen zrozumienia, i przyspieszyła.

- Opuszczę was teraz - uprzedził pilotów Wedge. Sprawdził chronometr. Podobnie jak u większości często podróżujących ludzi, przyrząd pokazywał zarówno czas lokalny, jak i czas statku, według czasu lokalnego zaś było mniej niż pół godziny do północy.

- Nie możesz się z nią teraz zobaczyć - śmiertelnie poważnie oznajmił Hobbie.

- Czemu?

- Jesteś spocony po walce.

- On ma rację - wtrącił Janson. - Śmierdzisz potem, dymem i winem, którym oblał cię minister...

- Nie trafił.

- Mam inne zdanie na ten temat. W każdym razie nie nadajesz się dzisiaj na randkę. - Janson

przybrał cierpiętniczą minę. - Ja pójdę za pana. Jestem gotów przejąć to zadanie.

Zasalutował.

- To nie jest rand... - Wedge zacisnął usta i odwrócił się do Tycha. - Jeśli będzie się tak dalej zachowywał, Hobbie ma mu wybierać ubrania przez trzy kolejne dni.

- O, doskonale - ucieszył się Hobbie. Tycho skinął głową.

- Miej dziś oczy otwarte, Wedge. Jestem prawie pewien, że to imperialcy nasłali na nas tych morderców... ale nie można wykluczyć, że tam też będą czekali na ciebie rycerze, gotowi zabić cię w uczciwym pojedynku.

Wedge odczekał, aż Cheriss skręci za róg. Zerwał z ramion płaszcz i odwrócił na ciemną stronę, po czym wmieszał się w strumień pieszych kierujący się w przeciwną stronę.

O tej porze, jeśli nie było żadnych imprez, plac, na którym wylądowali na Adumarze, świecił pustkami. Nie był niczym oświetlony, ale i tak dwa księżycy dawały dość blasku, zwłaszcza że jeden był w pełni i zajmował sporą część nieba.

Tymczasowy podest, z którego przemawiał Wedge, został dawno rozebrany, choć słupy z głośnikami stały nadal. Miejsce, gdzie wylądowały X-wingi, też było puste, bo Wedge i piloci tego samego dnia rano przenieśli swoje statki na balkon.

Plac rozbrzmiewał echem pustki w porównaniu z gwarnym tłokiem z poprzedniego dnia, ale jednak nie był pozbawiony życia. Niedaleko zaimprovizowanego lądowiska krąg kobiet i mężczyzn obserwował pojedynkę na blasterowe miecze. Wedge widział zielone i fioletowe wstęgi światła wirujące w powietrzu, słyszał strzały z blastera uderzające o powierzchnię. Walka trwała dalej, więc widocznie powierzchnią tą nie było ciało. Za chwilę jednak rozległ się kolejny wystrzał i wrzask. Potem trzeci i głośne brawa.

Kolejne życie stracone, i wcale nie w słusznej sprawie. Wedge pokręcił głową.

Dostrzegł pod najkrótszym z pociemniałych paneli wysmukłą kobiecą sylwetkę. Kiedy znalazł się w odległości około dziesięciu metrów, zwolnił. Wiedział, że nie powinien wołać Ielli jej prawdziwym imieniem, ale z drugiej strony nie miał pojęcia, jakie powitanie będzie właściwe w jego sytuacji.

- Mogę podejść?

- Możesz. - To był naprawdę głos Ielli. Opuściła kaptur płaszcz, kiedy się zbliżył. Promienie księżycy oświetliły jej twarz. Wyciągnęła rękę.

Ujął je obie. Zabrakło mu słów. Zaśmiała się.

- Wczoraj byłeś bardziej elokwentny.

- Takie przedstawienia dają dość często - wyjaśnił. Kątem oka pochwycił drugą postać, potężniejszą, prawdopodobnie męską, ukrytą w cieniu najbliższego budynku.

- Przyjaciel?

- Ochroniarz - odparła. - Tu każdy, byle miał choć minimalny dochód, może sobie pozwolić na ochroniarza w takich sytuacjach. A ty?

- Owszem, ale nie tutaj. Już zabiła dla mnie kogoś. - Wedge potrząsnął głową, zmuszając się do odpędzenia wspomnień tego wieczoru.

- Zabiła... a więc ktoś cię zaatakował?

- Nas wszystkich. Tycha, Wesa i Hobbiego. Wyszliśmy z tego bez szwanku. - Machnął wyimaginowanym mieczem. - Czterech awanturników na gościnnych występach zabija zawodowych morderców. Będą mieli o czym opowiadać na dworze. - Iella nagle pobladła i jęknęła. Wedge pochylił się ku niej. - Co się stało?

Nic To nie ja jestem w niebezpieczeństwie, Wedge. To ty musisz być ostrożny. Zamiłowanie tych ludzi do pojedynków, zabijanie tylko dla chwały, to wszystko może sprawić, że zostaniesz zamordowany. Wedge machnął ręką.

- Co się z tobą działo? Nie rozchmurzyła się.

- Wszystko w porządku. Ciężko pracowałam. Praca w terenie i analizy. Nie nudziłam się.

- Jakoś nie wydaje mi się, aby to było coś, czym chciałabyś się zająć na dłużej. Wzruszyła ramionami. Poczuł, że dystans między nimi wcale się nie zmniejszył.

- Chyba pod tym względem nie jestem do ciebie podobna. Posłuchaj, Wedge, mogę tu zostać, ale nie na długo. Czego potrzebujesz?

Westchnął.

- Najpierw obowiązki. Muszę wiedzieć, co naprawdę się dzieje na Adumarze. Jestem tu właściwie ambasadorem, a nie mam pojęcia, co jest grane. Jak długo Nowa Republika wie o istnieniu Adumaru?

- Nie wiesz?

- Cóż, myślałem, że to kwestia dni lub tygodni. Twoja obecność i kamuflaż sugerują, że to trwa o wiele dłużej.

- Pięć czy sześć miesięcy - wyjaśniła. - Wywiad odkrył, że ktoś rekrutuje specjalistów do wykonania interfejsów pomiędzy nowym zestawem protokołów komputerowych a standardami Nowej Republiki i Imperium. Wywiad zainteresował się tym, stworzył dla mnie fałszywą tożsamość komputerowca z Korelii i posadził mnie na jednym ze światów, który szukał tych specjalistów. To taki rodzaj misji, który nazywamy skokiem na ślepo. Kiedy tu dotarłam, zaczęłam przygotowywać teren do wylądowania całej grupy.

- A właśnie, jak się tutaj nazywasz? Uśmiechnęła się blado.

- FianaNovarr.

- Jestem nieco zaskoczony, że taki wynajęty łamacz kodów jak ty został zaproszony na przyjęcie

w obecności peratora, jak to wczorajsze.

- Byłam tam jako osoba towarzysząca ministra. To nie takie ważne, Wedge.

- Sądzę, że nie. Skąd więc te bzdury o statku kartograficznym, który trafił na Adumar, a oni nagle zapragnęli poznać naszych pilotów i dyplomatów?

- To wszystko prawda, ale to tylko część całej historii. Spędziłam tu kilka tygodni jako ktoś w rodzaju więźnia, ponieważ nie mogłam się komunikować z nikim spoza świata, dopóki nie zostanie oficjalnie nawiązana łączność z innymi planetami. Przekonałam się, że statki badawcze Adumarian dotarły dość daleko, aby odkryć zamieszkane światy. Zorientowali się, że są dwa duże skupiska władzy: Nowa Republika i Imperium. Chcieli się wszystkiego dowiedzieć, zanim się z jednym z nich skontaktują. Potrzebowali swobody wyboru, z którą stroną się sprzymierzyć, jeśli w ogóle. Ale sprawa ze statkiem kartograficznym wydarzyła się naprawdę i przyspieszyła znacznie ich decyzję.

- Wysłali zaproszenia do mnie i do Turra Phennira. Skinęła głową bez słowa.

- Jak ukryli przed tobą, że imperialni piloci też tu przylecą?

- Oni są naprawdę przebiegli - wyjaśniła. - Pokrętna polityka i tajemnice to ich sposób na życie.

- A teraz najważniejsze pytanie. Jaki rodzaj układów mogę z nimi zawrzeć, jeśli ich świat nawet nie jest zjednoczony? Nie mogę zrobić wiele więcej, poza nawiązaniem stosunków dyplomatycznych i przekonaniem ich, że imperialcy nie są źli.

- Właśnie tego się od ciebie oczekuje. Inne siły naciskają na peratora Certami, żeby przekonać go do światowego rządu.

- Więc cała ciężka praca umysłowa jest już podzielona, a ja mam stać, przeżyć się i pozować, żeby ładnie wyjść w holokamerach.

Znów zmusiła się do uśmiechu.

- No... mniej więcej tak.

- Iel... Fiano, nie jestem pewien, czy mi się to miejsce podoba. Nie cenią tutaj ludzkiego życia. Co o tym sądzisz?

- Masz rację. - Wzruszyła ramionami, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że to zagadnienie leży poza jej zasięgiem. - Wśród innych narodów Adumarian jest inaczej. Oni nie mają aż takiego fioła na punkcie pilotów. Pojedynki nie są tak popularne. To jeszcze jeden powód, aby Certan dołączył do światowego rządu. Może nabierze nieco bardziej cywilizowanych cech.

- Kto jest twoim zwierzchnikiem?

- Tego nie mogę powiedzieć. Wiedzą tylko ci, którzy muszą.

- No cóż, mówię jako człowiek, który musi komuś dać w dziób. Twój bezpośredni zwierzchnik i generał Cracken nie przekazali mi przed przybyciem pełnych informacji, a ja miotałem się potem jak idiota. Muszę wiedzieć, kto ma oberwać.

Uśmiechnęła się, ale natychmiast spoważniała.

- Wedge, czy to wszystko? Muszę wracać do siebie. Akcje Fiany niewątpliwie poszłyby w górę, gdyby ją widziano z Wedge'em Antillesem... ale też skupiłoby to na mnie uwagę, której nie pragnę.

- Też tak sądzą. - Nagle ogarnęło go zwątpienie. - Ale to nie wszystko. Posłuchaj. Nie widziałem cię od miesiący, a teraz, kiedy wreszcie porozmawialiśmy, nadal mam wrażenie, że cię nie

spotkałem. Co się dzieje?

- Nic - odrzekła, podnosząc ku niemu twarz tak spokojną, jakby patrzyła na niego z drugiego końca placu.

- Nie wierzę ci.

- Nie mogę ci pomóc uwierzyć, Wedge.

- Iello, czy już nie jesteśmy przyjaciółmi? Milczała przez dłuższą chwilę.

- Chyba nie - powiedziała w końcu.

Poczuł, że zapiera mu dech. Potrzebował chwili, żeby się otrząsnąć.

- Kiedy to się stało? Jak to się stało?

- To nie twoja wina, Wedge. To przeze mnie. - Maską spokoju opadła, odsłaniając twarz zmęczonej, przerażonej kobiety. - Muszę po prostu iść inną drogą, a ciebie na niej nie ma.

- To nie jest odpowiedź. To bełkot typowy dla wywiadu, ukrywający prawdę. - Wedge sam był zaskoczony, ile żalu było w jego głosie.

- Muszę już iść.

- Zawsze, kiedy rozmawialiśmy, byłem z tobą szczery. Chcę usłyszeć odpowiedź. Włożyła kaptur i już nie widział jej twarzy.

- Muszę iść - powtórzyła i odwróciła się.

Powoli oddaliła się w mrok. Ochroniarz również oderwał się od swojej plamy cienia i podążył za nią.

Wedge stał i patrzył, jak jej sylwetka pogrąża się w ciemności na skraju placu. Przyszło mu do głowy, że to oddalenie się jest jedynie odbiciem czegoś, co wydarzyło się dawno temu, tak dawno, że nawet nie pamiętał kiedy. Ta świadomość tkwiła w jego sercu niczym ostry, twardy kamyk bólu.

ROZDZIAŁ 5

Ból nie ustąpił do rana. Wedge myślał o sytuacji z Iellą i nie mógł wymyślić hipotezy, która wyjaśniałaby wszystkie znane mu fakty. Po jakimś czasie zaprzestał wysiłków. Ale choć przestał o tym myśleć, tępy ból wcale nie chciał ustąpić.

Do śniadania w jego notatniku nie znalazły się również żadne informacje od Tomera o dyplomatycznym spotkaniu z peratorem. Podobnie jak wieści o ludziach, którzy ich wczoraj zaatakowali. I znów miał cały dzień do dyspozycji.

Poprosił Cheriss, żeby skontaktowała się z bazą lotniczą i zażądał uzbrojenia maszyn Czerwonych w osłabione lasery i rakiety z pigmentem. Polecił jej też, żeby rozgłosiła, że Wedge Antilles będzie dziś przyjmował wyzwania, ale od podobnie uzbrojonych przeciwników.

Znajdowali się w transporterze kierującym się do bazy lotniczej, kiedy Cheriss kończyła rozmowę. Kątem oka Wedge zauważył, że schowała do kieszeni komunikator, spojrzała na niego, na kontrolki transportera i znowu na niego.

- Jakiś problem? - zapytał.
- Nie, nie problem. No, może...

Spojrzał na nią, ale dziewczyna obserwowała pilnie drogę przed transporterem, unikając jego wzroku.

- Wczoraj, kiedy się wymknąłeś... to było niebezpieczne, wiesz? - powiedziała.
- Adumarianie nie szanują ludzi, którzy nie potrafią stawić czoła zagrożeniu.
- To prawda, ale gdybyś miał zginąć, kiedy jestem twoją opiekunką i przewodniczką, straciłabym twarz.
- Jeśli udaje mi się wymknąć spod twojej kontroli, nie byłoby twoją winą, gdybym pozwolił się zabić.

Zacisnęła zęby.

- A jednak. Kiedy odszedłeś... czy po to, aby zobaczyć się z kobietą?

Wedge miał na końcu języka odpowiedź: „Nie twój interes”, wypowiedzianą bardzo niegrzecznym tonem, ale powstrzymał się. Nie wiedział, jak bardzo takie słowa mogłyby ją zranić.

- Tak, chodziło o kobietę.

- Nie wymknąłeś się po to, żeby mnie nie narażać?

- Nie, nic podobnego.

- Nie jestem taka młoda, na jaką wyglądam, nie musisz się obawiać, że mnie zaszokujesz.

- Cheriss... - Wedge westchnął i przymknął oczy. - Posłuchaj. Kiedy byłem w twoim wieku, wypożyczyłem od przyjaciela headhuntera, taki typ myśliwca. Wykorzystałem go, żeby zabić człowieka, który był odpowiedzialny za śmierć moich rodziców. To był umyślny akt zemsty. Cały mój wszechświat uległ nagle zmianie. Wszystko, co mnie szokowało, obrażało, zaskakiwało jeszcze dzień wcześniej, nagle przestało istnieć. - Otworzył oczy, pochwycił jej spojrzenie i wreszcie udało mu się zatrzymać. - Podobnie jak ja, masz krew na rękach od wczesnej młodości, więc wiem, że niełatwo cię zaszokować. Nie próbuję cię chronić.

- Czy to... pilot? Ta kobieta wczoraj?

Rozważył to pytanie, niepewny, na ile może zaspokoić jej ciekawość.

- Nie - rzekł wreszcie. Rozjaśniła się.

- Nie? Naprawdę? Mam nadzieję, że dobrze ci się dzisiaj będzie latać. To znaczy wiem, że będzie ci się dobrze latać, ale mam nadzieję, że inni też to zobaczą. Pamiętaj o określeniu liczby uczestników, jeśli przyjmujesz wyzwanie.

Wedge skinął głową. Wyuczył się już tego protokołu. Jeśli nie określił liczby uczestników, przyjmując wyzwanie, na przykład „przyjmuję czterech”, atakujący może sprowadzić przeciwko niemu tylu pilotów, ilu mu się podoba. Zazwyczaj przyjmowano tylu uczestników, ilu miało się pilotów we własnym kluczu czy eskadrze.

Spojrzał na Cheriss, która w tajemniczy sposób przeistoczyła się znowu w szczęśliwą młodą kobietę. Pobiegła na przód transportera i wychyliła się przez barierkę, wystawiając twarz na wiatr.

- Rozumiecie coś z tego? - zapytał swoich pilotów. - Skąd ta nagła zmiana nastroju?

Tycho mruknął:

- Wolałbym się zastrzelić niż dać wciągnąć w tę rozmowę. Hobbie wzruszył ramionami.

- Nie mówię tym językiem, Wedge.

Janson uniósł w górę ramiona, odrzucając płaszcz z ramion. Był to dobrze wyćwiczony gest - od rana wykonał go już ze czterdzieści razy. Zaraz znów się nim owinał, dyskretnie ukazując płaskie wyświetlacze z przodu, przedstawiające ruchome obrazy z jego udziału w przyjęciu, i skinął głową.

- Rozumiem ją, szefie. Ale nie chciałbyś wiedzieć, o co jej chodzi. Wierz mi.

- Za każdym razem, kiedy Janson mówi „nie chciałbyś wiedzieć” - odezwał się Wedge - przypomina mi się żonglowanie detonatorami termicznymi. Kiedy je chwytasz i rzucasz, zdajesz

sobie sprawę, że możesz trafić kciukiem na wyłącznik. - Obejrzał się na Jansona z westchnieniem. - Ale ja chcę wiedzieć.

- Sam się o to prosiłeś... Powiedziałeś jej, że twoja przyjaciółka nie jest pilotem, prawda? Cheriss też nie jest pilotem. Tutaj nie może konkurować z pilotkami, ale ty spotkałeś się z kobietą, która pilotem nie jest. Właśnie oznajmiłeś Cheriss: „Tak, ty też masz u mnie szansę”.

Wedge stał przez chwilę nieruchomo, rozważając te słowa i nieświadomie kołysząc się w miejscu, aby zamortyzować podskoki transportera.

- Wiesz co, Wes, chyba masz rację - powiedział w końcu.
- Nie chciałeś tego wiedzieć.
- Nie chciałem. Janson wyszczerzył zęby.
- Bomba...

Wedge i Tycho lecieli w ataku czołowym przeciwko Jansonowi i Hobbemu. W miarę jak liczby na odległościomierzach spadały w kierunku zera, klamry tablicy świetlnej otaczały dwa „nieprzyjacielskie” blade’y-32. Początkowo klamry były niewyraźne i zamglone, ale nabierały ostrości, w miarę jak czujniki tablicy świetlnej stopniowo ich namierzały. Jednocześnie tablica Wedge’a zaczęła wydawać głęboki, posępny, pulsujący dźwięk, ostrzegający, że i nieprzyjaciel ma coraz większą szansę, żeby go wziąć na cel.

Ramki na tablicy świetlnej stały się zupełnie wyraźne, a jednocześnie pulsujący sygnał zabrzmiał pełnym głosem. Wedge natychmiast przetoczył się w lewo i zanurkował, tracąc setki metrów wysokości w ciągu kilku sekund, po czym znów poderwał maszynę, szukając Jansona i Hobbiego, którzy z równą energią usiłowali uniknąć zablokowania w celowniku.

Wedge skierował swoją maszynę w stronę przeciwników, zadowolony z coraz większej swobody, z jaką poruszał się w myśliwcu. Zarówno na wizji, jak i na tablicy świetlnej widział, jak Janson odbija na prawą burtę, a Hobbie na lewą. Skręcił za Wesem, licząc na to, że Tycho ruszy za Hobbem.

Zaledwie zdołał uchwycić Jansona w klamrę celownika, kiedy jego cel otworzył ogień, przeszywając go kilkoma błękitnymi laserowymi igłami z tylnych działek.

Wedge zaklął pod nosem. Nie był przyzwyczajony do walki z pojazdami wyposażonymi w tylne działka i zapomniał o nich na chwilę, podczas gdy Janson, doświadczony strzelec, często używający tego typu broni, wykorzystywał je od samego początku. Tablica czujników Wedge’a pokazywała jednak, że symulowane uszkodzenie laserowe, jakiego doznał, nie było krytyczne. Wedge zaczął kluczyć i robić uniki, próbując powstrzymać Jansona przed uchwyceniem go w celowniku po raz kolejny. Czekał na okazję.

A okazja pojawiła się chwilę później. Myśliwiec Jansona zaczął szybko dryfować w lewo. Wedge uderzył w spust wyrzutni pocisków, wystrzeliwując jeden z nich wprost i nieco na lewo od dryfu Jansona. Janson, mistrz refleksu, odskoczył z drogi pocisku... a tymczasem drugi pocisk zdetonował o dwa metry od niego, okrywając myśliwiec gęstą chmurą obrzydliwej pomarańczowej farby.

Janson wychynął z obłoku eksplozji z pomarańczowymi smugami wzdłuż burt i ogromną plamą tej samej barwy na przedniej owiewce.

- Zostałem zabity - odezwał się zboląłym głosem. - Co za nieszczęście przywiodło mnie na ten świat, gdzie worek z farbą wieści moją klęskę.

- Za dużo się nasłuchałeś Adumarian - rzekł Wedge. Sprawdził tablicę. Widać na niej było Tycha i Hobbiego o kilka kilometrów dalej, kierujących się ku nim w formacji. - Jak się masz, Tycho?

- Hobbie miał wyjątkowe szczęście - zawiadomił Tycho. - Załatwił mnie na amen samym ogniem laserowym.

- Tycho jest zanadto przyzwyczajony do naprawdę zwrotnych statków - wyjaśnił Hobbie - TIE, A-wingi... X-wing jest z nich najwolniejszy, ale spędził w nim sporo czasu. Latanie blade'em to dla niego jak latanie kamieniem.

Czwórka uformowała się znowu, rozpoczynając długą pętlę wokół szerokiego pasa lasu, który baza lotnicza Giltella przydzieliła im do ćwiczeń.

- No no, żadnych wyzwania - mruknął Wedge. - Wczoraj o tej porze mieliśmy już co najmniej trzy albo cztery.

- Nie sądzę, aby interesowały ich symulowane pojedynki - uznał Tycho. - Oni są po prostu żądni widoku krwi. Ostatnimi tak krwiożerczymi ludźmi, jakich pamiętam, byli imperialni szturmowcy wprost z obozu treningowego. To denerwujące.

- Najwyraźniej muszę jeszcze wymyślić powód, dla którego symulowane pojedynki miałyby być lepsze - rzekł Wedge. - Coś, co mogliby zaakceptować w swoim kodeksie honorowym.

- O, to bardzo proste - podpowiedział Hobbie. - Zrób z nimi to, co robiłeś z nami w takich momentach.

Wedge zmarszczył brwi.

- O czym mówisz?

- Powiedz im, co robisz, ale nie mów dlaczego. A potem pozwól się domyślać. Słuchaj, jak spekulują. A kiedy wymyślą coś, co ci się naprawdę spodoba, uciesz się: „No, wreszcie zgadliście. Przez cały czas tak uważałem”.

- Nigdy tak nie robię - oburzył się Wedge. - A przynajmniej nie zawsze.

- Przez cały czas, szefie.

Wedge zauważył nowy element ruchu na swoim ekranie. Sześć plamek.

- Uwaga. Coś mamy.

W chwilę później w komunikatorze odezwał się stentorowy głos:

- Lotne Ostrze Ku Księżycom wysyła pozdrowienia i wyzwanie kluczowi Czerwonych.

Wedge pozostawił swój komunikator dostrojony do częstotliwości Czerwonych i na niskiej mocy.

- Tycho, wezwij bazę lotniczą Giltella i upewnij się, że ci chłopcy są rzeczywiście uzbrojeni w symulowaną broń - polecił. Przełączył się na ogólną częstotliwość i zwiększył moc nadajnika. - Czerwoni do Lotnego Ostrza Ku Księżycom, witam. Rozważę wasze wyzwanie. Podajcie mi informacje o waszych pilotach.

- Jestem Liak ke Mattino, kapitan, czternaście lat doświadczenia, osiemnaście strąceń w bitwach, trzydzieści trzy w pojedynku, jedno zwycięstwo naziemne. Przedstawiam wam pięciu pilotów. W kolejności to...

Wedge jednym uchem słuchał litanii dokonań. Mógł uzyskać tę samą informację poprzez kliknięcie na plamkę przedstawiającą ke Mattino i pozostałe blade'y; ekran tekstowy pokazałby mu wówczas wszystkie dane z przetworników ich myśliwców. Żądanie ich wymienienia było doskonałą grą na zwłokę.

Odpowiedź Tycha przysłała minutę później, mniej więcej pod koniec litanii kapitana ke Mattino.

- Giltella potwierdza, że Ku Księżycom jest uzbrojony w symulatory, generale.

- Dzięki, Tycho. - Wedge przełączył się na częstotliwość ogólną. - Kapitanie, przyjmujemy wyzwanie. Proszę o cztery maszyny według pańskiego uznania. Czekamy w gotowości.

Czekali, aż piloci Ku Księżycom wybiorą spośród siebie przedstawicieli. Dwa blade'y-32 odłączyły się od eskadry i oddaliły. Następnie cztery myśliwce skierowały się w stronę Czerwonych.

- Podzielić się na pary - polecił Wedge. - Strzelać bez rozkazu.

Skręcił ostro na prawą burtę. Tycho przyczepił się do niego z lewej strony, czekając, jak zareaguje nieprzyjaciel.

Wszystkie cztery blade'y przeciwnika rzuciły się w pościg za Tychem i Wedge'em.

Wedge pokręcił głową. Dziwna taktyka. Słyszał już pierwsze pulsowanie kierującej się ku niemu aparatury celowniczej i natychmiast rozpoczął manewry unikowe. Na wszelki wypadek otworzył ogień z laserów do ścigających, choć nie miał lepszej możliwości celowania niż oni. Na tablicy widział, że Hobbie i Janson ustawiają się do pościgu za czterema blade'ami.

Sygnały automatów celowniczych przybrały na sile.

- Dajmy Wesowi i Hobbieemu możliwość postrzelania - mruknął Wedge i pchnął drążek w przód, ostro nurkując. Obrócił się tak, żeby widzieli go tylko z profilu.

Czwórka ścigających poleciała za nim, ale prostym kursem. Wedge ostrzelał laserami jednego z nich i cicho zachichotał. Jeśli dobrze rozumiał system świetlnych tablic Adumaru, im większy przekrój maszyny był widoczny, tym łatwiej było ją złapać w celownik. Pokazując podwozie Jansonowi i Hobbieemu, tamci znacznie zwiększyli swoją powierzchnię, co oznaczało, że obaj piloci Nowej Republiki zobaczą ich za...

Zauważył, że pomiędzy blade'ami Jansona i Hobbiego a dwoma z napastników pojawiają się

smugi pocisków. Chmury farby eksplodowały, jedna paskudnie różowa, druga lawendowa. Po chwili dwa nieprzyjacielskie myśliwce wychynęły z nich i oddaliły się od miejsca walki jako „strąceni”, dołączając do pilotów-obszerników.

Zostało dwóch. Niejeden. Jeden z pozostałych blade'ów dołączył do „zabitych”. Odlatując, rzucił tylko:.

- Ke Mattino gratuluje Antillesowi dobrego strzału.

Wedge sprawdził tablicę czujników. Musiał zebrać dość trafień, aby wyeliminować tamtego z gry. Jego własny statek wykazywał dwadzieścia procent uszkodzenia; sam też zebrał parę draśnięć.

Ostatni blade nieprzyjaciela uparcie deptał po piętach Wedge'owi i Tychowi. Wedge gładko wyrównał lot i przełączył układ łączności na częstotliwość Czerwonych.

- Spróbujmy czegoś prostego - zaproponował. - Tycho, odbij na prawo i dołącz do Wesa i Hobbiego. Ja go poprowadzę z powrotem do starcia czołowego z wami.

- Tak jest, szefie. - Tycho skrzył ostro. Tak jak tego oczekiwał Wedge, ścigający go blade nie zwrócił na to uwagi, nadal przyklejony do Wedge'a.

Antilles podskakiwał i kręcił beczki, stając się trudnym do trafienia celem, choć widział, że symulowane uszkodzenia laserem sięgają już najpierw trzydziestu, a potem trzydziestu pięciu procent. Ten pilot był dobrym strzelcem, ale jego manewry wystawiły go na łatwy łup pozostałym pilotom Czerwonych. Gdy tylko czujniki pokazały, że może wziąć na cel własnych pilotów, plamka oznaczająca ostatniego blade'a zmieniła się w marker zestrzelonego i odpłynęła w kierunku pozostałych.

- Doskonałe ćwiczenia, Ku Księżycom - rzekł Wedge. - Może rewanż? Minęło kilka sekund, zanim kapitan odpowiedział:

- Jeszcze raz? Pojedynek już zakończony.

- Tak, ale nikt nie zmienił się w kulę ognia i mamy jeszcze dość paliwa na dwa, a może nawet trzy starcia. Chcecie spróbować jeszcze raz? A może pozwólcie teraz powalczyć tym pilotom, którzy nie mieli szansy wcześniej?

W głosie kapitana nadal brzmiało zmieszanie, ale rzekł:

- Właściwie możemy spróbować.

W chwilę później cztery blade'y, z których dwa nie brały udziału w poprzedniej walce, oderwały się od formacji i ruszyły naprzeciw Czerwonym.

Kapitan ke Mattino był drobnym mężczyzną, sięgającym Wedge'owi ledwie do nosa, ale długie, wypielęgnowane wąsy kompensowały braki w posturze i przydawały mu majestatu. Siedział

naprzeciwko Wedge'a w barze dla pilotów bazy lotniczej Giltella i kiwał głową w takt jego słów. Każde takie kiwnięcie wprawiało jego wąsy w łagodny ruch wahadłowy.

- Problem nie leży w waszych umiejętnościach - tłumaczył Wedge - ale w strategii. W każdej wymianie strzałów trzymacie się w zwartej grupie i z całą zaciętością rzucacie się na najważniejszego wroga... czyli na mnie. Wiesz, czym wtedy jesteście?

- Trupami? - ke Mattino spojrzał na niego podejrzliwie.

- Chciałem raczej powiedzieć: „Przewidywalnym przeciwnikiem”. Ale w tym przypadku faktycznie przewidywalność oznacza śmierć, więc masz rację.

Wedge zerknął na drugą stronę stołu, gdzie jego trzech piloci i ekipa ke Mattino słuchali uważnie.

- Ale przecież to okoliczności dyktują taktykę - sprzeciwił się ke Mattino z lekkim protestem w głosie. - Największy honor uzyskuje się z zabicia najślawniejszego nieprzyjaciela.

- Wcale nie - zaproponował Tycho. - Największy honor to chronić tych, którzy od ciebie zależą. A tego nie możesz robić, jeśli dasz się zabić.

Wedge skinął głową.

- Pytanie, czy chcesz zbierać zaszczyty, aby twoi bliscy mogli być z ciebie dumni, stojąc nad twoim grobem, czy raczej klepali cię po plecach, kiedy wracasz na noc do domu? - Uniósł szklankę i wychylił jej zawartość, ale uderzyło go znaczenie własnych słów. Dla niego to pytanie było czysto akademickie.

Nie miał domu, nie miał do kogo wracać. Miał nawet mniej przyjaciół, niż sądził, bo przez niedbalstwo stracił Iellę.

Aby ukryć ten przelotny niepokój, podszedł do baru po kolejną porcję trunku. Tycho pozostał przy stoliku, przejmując rozmowę. W głowie tłukły mu się dwa słowa, wdzierając się natrętnie w myśli, kiedy nie skupiał się całkowicie na czym innym. Stracił Iellę. Stracił... Iellę.

Zanim wrócił do stołu, piloci już wstali i żegnali się uściskami dłoni.

- Niestety - mówił ke Mattino - wzywają nas inne obowiązki, którym musimy poświęcić czas. Czy jest możliwe, że jutro też będziecie przyjmować wyzwania?

- Dopóki nasze własne obowiązki nie zaczną zajmować nam całego czasu, jestem prawie pewien, że tak będzie - obiecał Wedge. - Właściwie jutro moglibyśmy wziąć X-wingi i pokazać, jak walczymy u siebie.

- Życzylbym sobie tego gorąco i z całego serca - uradował się ke Mattino. Zasalutował, poruszając zaciśniętą pięścią na wysokość obojczyka w dziwnym geście. Wedge potrzebował dłuższej chwili, aby rozpoznać ten ruch: był taki sam jak salut Cheriss przed pojedynkiem, ale bez miecza w dłoni. - Mam więc nadzieję, że zobaczymy się jutro - dodał kapitan, po czym odwrócił się i odszedł, dramatycznym gestem otulając się płaszczem.

Następnego dnia ludność Certanu dowiedziała się prawdopodobnie, że Wedge i jego piloci będą

latać w bazie lotniczej. Kiedy - wraz z Cheriss jechali swoim kołowym transporterem, ulice były już pełne gapiów. Tłoczyli się przy burtach, podając Wedge 'owi i pilotom różne upominki - kwiaty, adumarskie sztylety, złożone liściki pachnące egzotycznymi perfumami, naszyjniki, metalowe miniatury myśliwca typu Blade-32 i inne przedmioty, zbyt liczne, by je wymienić. Wedge nie przyjmował niczego, jedynie ścisnął dłonie wszystkim, którzy mogli go dotknąć, a piloci poszli za jego przykładem.

Procesja zwolniła i przystanęła przed skrzyżowaniem z główną ulicą, zablokowana przez drugą, podobną paradę - tam ludzie tłoczyli się wokół identycznego transportera na kołach, wracającego z certańskiego kosmodromu. Na jego pokładzie Turr Phennir i jego piloci przyjmowali podarki i hołdy od tłumu. Phennir rzucił Wedge 'owi triumfalny uśmiech, kiedy jego orszak mijał zablokowany pochód Nowej Republiki.

- Co on dzisiaj robił? - zapytał Wedge.

- Przyjął dwa wyzwania, razem z pilotami zestrzelili już dwa lotne ostrza - odparła Cheriss. - Dobrzy, doświadczeni piloci. Dzisiaj naprawdę odniósł sukces.

- Jasne, po prostu tarza się w sukcesach - powiedział z przekąsem Wedge. Nawet nie próbował ukryć nieprzyjaznego spojrzenia, jakim zmierzył paradę Phennira. - Pewnie się kleją do krwi, która go pokrywa.

Zauważył zmieszanie w oczach Cheriss i machnięciem ręki oddalił jej pytanie.

- Phennir już od dwóch dni wie to, co odkryliśmy dopiero dzisiaj: że piloci Adumaru po prostu nie są zbyt dobrzy - mruknął mu do ucha Tycho.

- Kilku z nich ma całkiem niezłe umiejętności techniczne - zaprotestował Wedge - ale niewielu. Wykruszają się tak szybko, że nie zdążą nabrać umiejętności technicznych. Dodajcie do tego byle jaką taktykę i macie...

- Nic dziwnego, że traktują nas jak supermanów - westchnął Tycho i te zadowoloną z siebie bandę imperialnych morderców.

W ciągu kilku następnych dni rutynowe już zabiegi Wedge 'a o uzyskanie audiencji u peratora, z którym chciał przedyskutować stosunki dyplomatyczne, spotykały się z równie rutynowymi odmowami i przeprosinami. Tomer jednak twierdził, że zgodnie z krążącymi plotkami, perator przygotowywał się do stworzenia rządu dla całej planety - ten gest, według radosnych zapewnień Tomera, miał przynieść więcej korzyści Nowej Republice aniżeli Imperium, w związku z czym powinien być odebrany jako punkt dla nich. Wedge, niezbyt przekonany, nie chciał nawet przypominać, że Imperium łatwiej będzie rządzić tą planetą przez rząd centralny.

Każdego dnia zatem Wedge i jego Czerwoni wracali do bazy lotniczej, żeby prowadzić szkolenie adumarskich pilotów. Czerwoni zwykle wykorzystywali blade'y, ale czasem wsiadali do własnych X-wingów, wprawiając lokalnych pilotów w zdumienie i zachwyt nad znacznie większą szybkością, zwrotnością, możliwością manewrów i skutecznością małych myśliwców.

Przez pierwsze kilka dni wyzwania napływały z granic Certanu. Wkrótce jednak zaczęły pojawiać się eskadry z innych rejonów o egzotycznych nazwach, takich jak Halbegardia, Yedagon i Thozzeling. Pomimo wzgardy, z jaką piloci z Certanu traktowali tych przybyszów, Wedge pilnował, aby Czerwoni obdarzali jednakową uwagą wszystkich pilotów, którzy wykazywali jakiegokolwiek zainteresowanie.

Z każdym dniem wzrastała również liczba strąceń generała Turra Phennira i jego pilotów ze 181. Oddziału Myśliwców. Cheriss twierdziła również, że Phennir przewyższał popularnością pilotów Nowej Republiki.

- Imperialni piloci - wyjaśniała - okazują Certanowi więcej szacunku i sympatii, dostosowując się do jego zasad. Jak więc lud Certanu ma nie odwzajemniać tej sympatii?
- Może pamiętając o swoich synach i córkach, których stracili?

Wieczne rozrywki pilotów obejmowały głównie kolacje u prominentów i najśłynniejszych pilotów Certanu. Nieraz były to zwykłe wspólne posiłki, nieraz bogate spektakle, połączone z konkursem na opowieści pilotów ocalałych z powietrznych kampanii.

Wedge prawie nigdy nie spotykał tam ani Turra Phennira, ani innych pilotów imperialnych. Kolacje były przeważnie kameralnymi przyjęciami, zorganizowanymi po to, aby gospodarz mógł się pochwalić pilotami przed niewielkim gronem przyjaciół, ale nawet przy większych uroczystościach widać było dość wyraźnie podział pomiędzy sympatykami Nowej Republiki i Imperium. Coraz częściej zdarzało się, że szlachetnie urodzeni zapraszali częściej Thurra Phennira niż Wedge'a Antillesa.

Czerwoni i Cheriss spędzili jedno popołudnie w fabryce, która mogłaby kiedyś posłużyć Nowej Republice. Była to wytwórnia pocisków raketowych, zagrzebana kilkaset metrów pod powierzchnią centrum Certanu.

Koncern Produkcyjny Napowietrznych Pocisków Niezrównany składał się z rzędu prostokątnych komór podzielonych tunelami. W każdej z nich część sufitu otwierała się na serię górnych tuneli na wyższym piętrze, a piloci mogli obserwować z galeryjek ponad tymi otworami szczegóły procesu produkcyjnego.

Na wstępie komory pobierały surowce - metale, tworzywa sztuczne, substancje chemiczne - i przetwarzały je w korpusy pocisków, kasety obwodów sterujących, okablowanie, materiały wybuchowe i paliwo. W dalszych komorach odbywało się testowanie całości pocisku, zdefiniowanie i przetestowanie funkcji obwodów, właściwości, niezawodności i czystości materiałów wybuchowych i paliw. Pod koniec wielokilometrowej linii technologicznej komory były wykorzystywane do ostatecznego montażu i kontroli jakości.

Ale choć każda komora różniła się od sąsiednich funkcją i wyposażeniem, wszystkie miały jedną wspólną cechę, bardzo niepokojącą Wedge'a - nawet niezależnie od tego, że były ponure, przygnębiały samym widokiem.

Komory były wypełnione liniami montażowymi, przenośnikami taśmowymi oraz innymi urządzeniami, pomalowanymi na ten sam nudny beżowy kolor. W każdej pracowały setki, czasem tysiące robotników, kobiet i mężczyzn, ubranych w bezkształtne, ciemnobrązowe kombinezony. Ściany były brudnobiałe, podłogi brudnobrązowe. W pomieszczeniach, gdzie procesy produkcyjne powodowały wydzielanie oparów i sadzy, nawet powietrze było brązowe i zawsze ciężkie, i

duszące.

Wedge widział kręcących się tu i tam robotników, ale nie widział uśmiechu na żadnej twarzy. Żaden też nie podniósł głowy, aby spojrzeć na galeryjkę.

- Gdzie oni wszyscy mieszkają? - zainteresował się Wedge. - Nie przypominam sobie, żebym widywał tylu ludzi w roboczych kombinezonach. Nigdzie.

Berandis, asystent dyrektora fabryki zajmujący się marketingiem, szczupły, o niesamowitych wąsach, skręconych na końcach w spiralki utrwalone za pomocą wosku, uśmiechnął się swobodnie.

- No cóż, mieszkają tam, gdzie chcą i gdzie ich stać, oczywiście. Najczęściej w tunelach turumme.

- Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem. Cheriss pospieszyła z wyjaśnieniem.

- Turumme to gady, daleko spokrewnione z widzianymi już przez was *farumme*. Drają w ziemi skomplikowane systemy tuneli. Podziemne mieszkania są zatem zwane tunelami turumme. Tunele nad taką fabryką jak ta zawsze są jej własnością.

- Oczywiście, niektórzy robotnicy mieszkają na powierzchni - dodał Berandis. - Nie ma żadnych przepisów zmuszających ich do życia w tunelach. Niewielu jednak może sobie pozwolić na mieszkanie na powierzchni. Zazwyczaj są to kierownicy, mistrzowie...

- Informatorzy - dodała Cheriss. - Po prostu pasożyty. Uśmiech Berandisa wytrzymał tę próbę, ale asystent zniżył głos.

- Zakłady produkcyjne są takie same w całym Certanie - rzekł - ale jest pewna różnica. Nasze pociski są najlepsze, dlatego zawarliśmy kontrakt rządowy na dostawę do wszystkich myśliwców Certanu. Taki pilot jak pan może powierzyć życie rakiecie Challabae, wiedząc, że niezawodnie spełni ona swoje zadanie. To daje naszym pracownikom powód do dumy.

Hobbie skinął głową.

- Widzę. Ich twarze aż promienieją dumą.

Berandis rozpromienił się, kompletnie nieświadom ironii.

W czasie długiej wędrówki do punktu wyjścia, Cheriss pozostała nieco w tyle za Berandisem, żeby porozmawiać z pilotami. Sztucznie wesołym głosem stwierdziła:

- Jest jeszcze jedna zaleta kwater robotników zlokalizowanych nad fabryką.

- Jaka? - zapytał Wedge.

- Jeśli nieprzyjaciel nadleci nad Certan i zrzuci na fabrykę bomby, zaryją się one w tunele i nie polecą dalej. Fabryka ocaleje albo odniesie niewielkie tylko uszkodzenia. - Mówiła lekkim tonem,

lecz Wedge wyczuwał w nim coś więcej: gorycz czy sarkazm, czy jedno i drugie. Nie umiał powiedzieć.

Tych o mruknął:

- Albo pracowałaś w takiej fabryce, albo mieszkałaś w tunelach turumme, mam rację?

- Jedno i drugie - odrzekła. - Moja matka pracowała w przetwórni spożywczej i mieszkała w tunelach turumme, dopóki nie zabiła jej brązowica płuc. Pracowałam tam przez jeden sezon, dopóki nie urządziłam się na tyle dobrze, aby żyć z władania blasterowym mieczem.

- Z czego ty właściwie żyjesz? - zapytał Wedge. - Z tego, co zdobędziesz na pokonanych przeciwnikach?

- Nie... choć z początku rzeczywiście tak było. Odkąd używam jedynie mieczy wyprodukowanych przez Płatnerzy Ghephaenne Głębokie Kratery, fabryka płaci mi regularnie, żeby mogła wspominać o tym w reklamach na płaskich ekranach.

- Reklamy... - westchnął Hobbie. - Też mógłbym na tym zarabiać, zamiast latać. Miałem oferty od producentów bacty. Bacta to rodzaj lekarstwa - wyjaśnił na użytek Cheriss.

Zmarszczyła lekko brwi.

- Nie jesteś zdrowy?

- Nic mi nie jest. Ale ziemia i ja tak się uwielbiamy, że czasami padamy sobie w objęcia nieco zbyt namiętnie.

- Poczekaj, Cheriss, chciałbym to dobrze zrozumieć - wtrącił Wedge. - Pod miastem Certan znajduje się labirynt podziemnych koncernów produkcyjnych, ogromnych, produkujących pociski i puszkowaną żywność, myśliwce i wszystko inne, czego potrzebuje Certan. Kwatery robotników, gdzie musi mieszkać większość, ponieważ nie mogą sobie pozwolić na nic lepszego, znajdują się ponad nimi, ale i tak pod ziemią.

Cheriss skinęła głową.

- Ale dlaczego nie widzimy tych robotników na powierzchni?

- Ponieważ są zbyt zmęczeni pod koniec długiego dnia pracy, aby robić cokolwiek. Zjadają posiłek i oglądają program na płaskich ekranach.

- Ile ludności mieszka pod ziemią, w porównaniu z tym, co widzimy na powierzchni?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Czterdzieści procent, może więcej. Ale, proszę nie sądzić, że oni są uwięzieni, generale Antilles. Zawsze mogą porzucić egzystencję robotnika, zgłaszając się na ochotnika do sił zbrojnych. Mogą podjąć życie wolnego wojownika, jak ja.

- Więc jedynym pewnym sposobem wydostania się jest ryzykowanie własnego życia.

Skinęła głową.

Wedge wymienił spojrzenia z pozostałymi pilotami, a jego szacunek dla Adumaru zmniejszył się jeszcze bardziej.

Nieco później tego samego dnia Tomer Darpen przyniósł do kwatery pilotów niezbyt dobre

wieści. Czterech mężczyzn ocalałych z szóstki, która próbowała ich zabić, uciekło z więzienia po dwóch dniach.

- Bez wątplenia przy wydatnej pomocy kogoś w certańskim Ministerstwie Sprawiedliwości - rzekł Tomer. - Ten, kto im zapłacił tak ciężkie pieniądze, mógł sobie pozwolić na zatrudnienie długiej listy polityków.

- Znowu się do nas dobiorą - żałobnym głosem oznajmił Hobbie. Cheriss pokręciła głową.

- Ci ludzie zostali nie tylko pokonani, ale i zhańbieni. Dostaną polecenie, aby pójść za wami jeszcze raz i odzyskać honor. Oni jednak prawdopodobnie uciekną, a wtedy albo znikną z powierzchni Adumaru, albo znajdą ich martwych w jakiejś ciemnej uliczce, jako ostrzeżenie dla innych.

Wedge nie był jednak niezadowolony z obrotu spraw. Jego nieoficjalna szkoła pilotów w bazie lotniczej Giltella okazała się całkiem zadowalającym przedsięwzięciem. Piloci zarówno z Certanu, jak i z innych krajów planety, dyskutowali dużo o poglądach Wedge'a, jego umiejętnościach i taktyce, a wszystko traktowali bardzo poważnie. Jeden z pilotów, niejaki Balass ke Rassa, czarnowłosy młodzieniec, ledwie wyrosły z chłopca, podsumował wreszcie wszystko w sposób, który spodobał się Wedge'owi.

- Jeśli dobrze rozumiem, generale, mówi pan, że honor pilota to sprawa wyłącznie pomiędzy nim a jego sumieniem. Nie zewnętrzna, na pokaz dla współbraci.

- Właśnie - odparł Wedge. - Dokładnie tak jest.

- Ale jeśli go nie uzewnętrznisz, odetniesz się od swojego narodu - mówił dalej Balass. - Kiedy robisz źle, twoi bracia nie mogą cię sprowadzić na dobrą drogę, pozbawiając cię honoru i dając szansę na odzyskanie go, kiedy zaczniesz się znowu zachowywać jak należy.

- To prawda - odparł Wedge. - Ale też dzięki temu ludzie, których szanujesz, nawet jeśli na to nie zasługują, nie mogą posłużyć się twoim honorem dla własnej korzyści. Nie mogą też używać honoru do kontrolowania twoich postępów.

Zaniepokojony młodzieniec wycofał się z rozmowy i usiadł na osobności, by zastanowić się nad słowami Wedge'a. Antilles czuł, że po raz pierwszy odniósł zwycięstwo w pojedynku.

ROZDZIAŁ 6

Wieczór rozmowy z Balassem ke Rassą był jednym z niewielu, kiedy piloci odmówili wszelkich zaproszeń. Mogli spokojnie zjeść kolację w kwaterze, unikając roli dostarczyciela rozrywki ludowi Certanu.

Dźwig zawiózł ich na piętro.

- Mówią o mnie Słodki - odezwał się nagle Janson.

- Kto? - zdziwił się Wedge.

- Dwór, tłumy. Mają dla każdego z nas wszystkich jakieś przezwisko. Ja jestem Słodki. Tycho zaś Smutny.

Tycho zmarszczył brwi.

- Wcale nie jestem smutny.

- Nie, ale tak wyglądasz. Damy z certańskiego dworu bardzo chciałyby cię pocieszyć. A że nie mogą, są tak zmartwione, że ty też mógłbyś je pocieszać.

Hobbie prychnął.

- I pomyśleć, że Tycho jest jedynym z nas, który ma uporządkowane relacje z kobietami. Przegapiłeś okazję, Tycho.

Zatrzymali się przed wejściem, aby dwuwymiarowe kamery - urządzenia bardzo prymitywne według standardów Nowej Republiki, ale przydatne do identyfikacji - miały czas na przeanalizowanie ich rysów.

Janson ciągnął dalej:

- Hobbiego nazywają Skwaszony. Średnio przyjemne, co, Hobbie? A Wedge to Sumienny. Może to nie brzmi romantycznie, ale słowo „sumienny” ma kilka znaczeń, które tylko dodają ci splendoru...

- Nie chcę wiedzieć - odparł Wedge. Drzwi otworzyły się wreszcie. - O, patrzcie, mamy gościa.

Na jednym z monstrualnych nadmuchiwanych foteli w kącie salonu siedziała Hallis. Przerzuciła nogi przez oparcie i pomachała do nich wesoło. Jej rejestrator, Białas, powtórzył: „O, patrzcie, mamy gościa”, tonem typowym dla 3PO.

- Co się dzieje z Białasem? - zapytał Wedge.
- Co się dzieje z Białasem? - powtórzył Białas. Hallis skrzywiła się lekko.
- Coś mu się poplątało z oprogramowaniem...

- Coś mu się...

- Właśnie rejestrowałam jeden z pojedynków generała Phennira na kosmodromie Certanu. Kiedy piloci wychodzili z budynku, tłum trochę wyrwał się spod kontroli i przewrócili mnie. Od tej chwili Białas powtarza wszystko, co usłyszy w swoim zasięgu. Nie mogę go zmusić, żeby przestał.

- ...żeby przestał. Janson zachichotał.

- Są takie dni, kiedy chce się walić głową w mur, prawda? Tycho dodał:

- Uważam, że Hallis powinna dać się zbadać. Chyba ma coś z głową. Wedge spojrzał na nich z przerażeniem.

- Piloci - mruknęła Hallis. - Za jakie grzechy zesłano mnie do tej karnej kompanii? Komu się naraziłam?

- ...się naraziłam?

- Ale tak czy owak - dodała - radzę wam żyć ze mną w zgodzie. Wiem, że nie bierzecie mnie poważnie, a powinniście. - Przybrała poważny wyraz twarzy.

- ...a powinniście.

Wedge rozłożył się na kanapie, dość obszernej, aby pomieścić swobodnie trzech dobrze zbudowanych ludzi.

- Hallis, łatwiej by ci było, gdybyś nie wyglądała jak stwór z bajki do straszenia dzieci...

- ...do straszenia dzieci.

- Proszę bardzo - odparła.

- Proszę...

Zdjęła gogle i odłożyła na bok. Sięgnęła do głowy Białasa i przycisnęła jakiś guziczek. Rozległ się cichy syk i urządzenie rejestrujące zwisło jej z ramienia. Chwyciła je, zanim spadło, po czym wstała i ulokowała głowę w szafce po drugiej stronie pomieszczenia. Dokładnie domknęła drzwiczki z irytującym trzaskiem. Wewnątrz szafki Białas z podziwu godną starannością odtworzył ten dźwięk.

- Lepiej?

Wedge próbował zachować spokój.

- Co się stało, Hallis? - zapytał. Wyprostowała się i spojrzała na niego poważnie.

- Ktoś dzisiaj zakradł się na wasz balkon z górnych pięter. Myślę, że próbował majstrować przy X-wingach. Chyba coś na nich nagryzmolił.

W jednej chwili wszyscy znaleźli się na balkonie i rzucili do sprawdzania myśliwców. Hallis poszła za nimi, starannie zamykając za sobą drzwi balkonu. Ludzie na innych balkonach i na ulicach nawoływali ich i radośnie machali rękami.

Wedge odmachął im z roztargnioną miną. Nie dostrzegł żadnych zmian na powłoce X-winga, z pewnością też nic nowego na nim nie napisano. Zwrócił się zatem do robota astromechanicznego, który wciąż tkwił w swoim gnieździe za kabiną.

- Szlaban, sprawozdanie z wszelkich interwencji w myśliwcu. Wyjął notatnik, aby robot mógł przekazać dane.

Na ekranie pojawiła się odpowiedź: BRAK INTERWENCJI.

- Nikt tu niczego nie dotykał, przynajmniej ja o niczym nie wiem - odezwała się niespodziewanie Hallis.

Wedge rzucił jej dziwne spojrzenie.

- Może lepiej nam to wyjaśnij.

- Chciałam was po prostu wyprowadzić na balkon. Tu przynajmniej na pewno nie ma podsłuchu.

- Wiemy, że wewnątrz też nie ma podsłuchu - odparł Wedge. - Zresztą nie mówimy o niczym takim, czego nie można by podsłuchać.

- To się dobrze składa - powiedziała Hallis. - Przyszłam tu rano, żeby powiedzieć, że będę dzisiaj nagrywać pilotów Imperium i zapytać, czy mam zwracać uwagę na coś szczególnego. Ale już was nie było. Kiedy wychodziłam, zobaczyłam, że ktoś wchodzi do waszego apartamentu, a drzwi go wpuszczają.

- Faktycznie, oszczędność czasu i surowców - prychnął Janson - jeśli złodziej może po prostu sobie wejść, zamiast się włamywać.

- Przyjrzałaś się temu komuś? - zapytał Wedge.

- Lepiej, nawet go sobie nagrałam. Poszłam za nim do środka, zdążyłam, zanim drzwi się zamknęły. Chowałam się za zasłonami i meblami, a on chodził z pokoju do pokoju. Raz tylko podpatrzyłam, co on tam robił: wydawał się szukać czegoś, prawdopodobnie nadajników. A potem poszłam za nim.

Wedge wymienił spojrzenia z pozostałymi pilotami. Hallis jakoś przestała im się wydawać zabawną postacią. Wedge nie docenił jej umiejętności, pomylił ekscentryczne zachowanie z brakiem kompetencji. Nie zrobi tego po raz drugi.

Janson zmarszczył brwi.

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi głupie pytanie, ale jak dama o dwóch głowach może za kimkolwiek pójść niezauważona?

Hallis uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Oczywiście zdjęłam Białasa, kiedy szłam za nim, majorze. Dobrze wiem, jakie wrażenie wywołuję, kiedy mam go na sobie. Ale też chciałabym wam uświadomić, że ludzie, patrząc na mnie, widzą jedynie kobietę z dwiema głowami. Nie przyglądają mi się nigdy. A to oznacza, że mogę sobie wsadzić Białasa pod pachę, zdjęć gogle i nikt mnie nie rozpozna. Nawet ty.

Janson otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale zamknął je z zamyśloną miną.

- Hallis, czy to wywiad cię wyszkolił? - zapytał Wedge.

- Nie, brukowce - odparła. - Wiesz, co to są brukowce? Tycho skrzywił się lekko.

- To takie draństwo popularne na wielu gęsto zaludnionych światach, zwłaszcza w Sektorze Korporacyjnym. Rozpowszechniają informacje, w kim się aktualnie kochają sławne osoby, wraz z hologramami zrobionymi przez kogoś, kto się zakradł niepostrzeżenie do ich prywatnych domów. Rewelacje na temat tego, jak kształt mgławicy wpływa na nasz los. Historie o kobietach, które twierdzą, że urodziły syna Imperatorowi Palpatine'owi. Brednie, że nigdy nie było wojny między Imperium a Nową Republiką, że to wszystko zostało wymyślone, aby zwiększyć produkcję broni i zyski producentów

myśliwców. Opowiadki o tym, że Darth Vader żyje i zamierza poprowadzić rewoltę i przywrócić Imperium. Takie rzeczy. Hallis skinęła głową.

- Bardzo konkurencyjna dziedzina. Uczysz się podglądać, przekupywać, zakradać się, umieszczać nadajniki, czytać pomiędzy wierszami i strumieniami danych... albo wypadasz z gry. Nauczyłam się tego wszystkiego, a i tak wypadłam. To taka gałąź dziennikarstwa, dzięki której galaktyka niekoniecznie jest najpiękniejszym miejscem we wszechświecie.

- Więc poszłaś za intruzem - podjął Wedge.

- Tak. Nie wyszedł nawet z budynku. Poszedł do pokoju na trzecim piętrze. Trzeci Alabaster, tak się to miejsce nazywa. Nie wiem, czy był to jego pokój, czy nie. Drzwi go przepuściły, ale wasze przecież też. Czekałam przez chwilę, żeby sprawdzić, czy ktoś jeszcze nie będzie wchodził albo wychodził, ale ten korytarz jest dość zatłoczony, więc poszłam sobie.

- Dobra robota - pochwalił Wedge. - Przypuszczam, że to wywiad Nowej Republiki nas pilnuje... ale nie jest bezpiecznie zbyt długo czepiać się jednego przypuszczenia. Będziemy musieli sprawdzić, czyj to pokój i zacząć szukać powiązań. Dziękuję, Hallis.

Skinęła głową.

Kątem oka Wedge ujrzał Cheriss stojącą w przezroczystych drzwiach wiodących do kwatery pilotów. Pomachała mu, ale nie wyszła - widocznie zdając sobie sprawę z faktu, że może nie być mile widziana. W chwilę później jednak obok niej przepchnął się Tomer Darpen, rozsunął drzwi i wyszedł na balkon z posępną miną.

- Muszę porozmawiać osobiście z generałem Antillesem - oświadczył. - Wszystkich proszę o

opuszczenie tego miejsca.

Nikt się nie ruszył. Wedge czuł na sobie wzrok obecnych, ale nie dał znaku, żeby wyszli. Przemówił pozornie łagodnym tonem:

- Osoby, których nie zapraszałem, nie mogą nakazać moim gościom wyjścia. Proszę spróbować innego rozwiązania.

Tomer milczał przez chwilę. Wedge przypuszczał, że próbuje się opanować. Wreszcie wycedził:

- To ma być oficjalna rozmowa pomiędzy delegacją dyplomatyczną Adumaru, czyli mną, a drugim dyplomata, czyli tobą. Możemy poruszyć kwestie, o których nie chciałbyś opowiedzieć swoim pilotom, ale oczywiście jeśli się uprzesz, mogą zostać. Tę młodą damę muszę jednak poprosić o wyjście, choćby do sąsiedniego pomieszczenia.

- Moi piloci słyszeli już o wielu sprawach tylko dla dorosłych - poinformował go Wedge. - Nawet Janson. A ta pani to Hallis.

Tomer spojrział na nią ze zdumieniem.

- A gdzie druga głowa? Spojrzała na niego smutno.

- Kiedy spacerowałam dzisiaj rano, spotkałam młodzieńca bez głowy. Pewnie miałby do opowiedzenia długą, smutną historię, ale nie mógł, bo nie miał głowy. Dałam mu więc Białasa. Teraz chłopak ma głos i maniery robota 3PO, ale lepsze to niż nic.

Tomer zazgrzytał zębami i obrzucił Wedge'a gniewnym wzrokiem.

- Proszę, proszę, ją też przekabaciłeś. Właśnie o tym przyszedłem z tobą porozmawiać. To się musi skończyć.

- Co się musi skończyć?

- Ta sprawa z pojedykami. Co to za nonsens z symulowaną bronią?

- Prosty sposób, aby dać Adumarianom starcia, których tak pragną, nie zabijając ich. Ani nas, jeśli o to chodzi.

Tomer z rozpaczą wznosił oczy w sufit.

- Generale Antilles, zmienia pan tradycję. Adumarscy piloci, sławni piloci, zaczynają mówić o ćwiczeniach z symulowaną bronią.

- I bardzo dobrze.

- Nie jest pan tutaj po to, żeby cokolwiek zmieniać! Przybyliście, żeby zyskać sobie ich szacunek, ale w zgodzie z naszą kulturą, zademonstrować, że powinni połączyć się nie z kim innym, tylko właśnie z Nową Republiką.

- To znaczy co? Mam przestać się pojedykować?

- Nie, bo to by oznaczało utratę szacunku, jaki już dla ciebie żywią.

- A więc zacząć walczyć na ostrą broń? Tomer nie odpowiedział.

- O to chodzi, prawda? Uważasz, że powinienem dzień w dzień wzbijać się w niebo i zestrzeliwać dzielnych pilotów Adumaru?

- Właśnie to robi Turr Phennir i jego ludzie.

Wedge poczuł, że ogarnia go zimny gniew. Kiedy znów przemówił, jego głos był lodowaty i spokojny.

- Twierdzisz zatem, że powinienem wygrać, grając według reguł Imperium. Tomer się zawahał.

- W tym przypadku tak.

- Mowy nie ma.

- Jeśli tak się nie stanie, stracimy Adumar na rzecz Imperium. I tam też powędruje produkcja torped protonowych, na którą mieliście nadzieję. I zginie więcej waszych pilotów, a Imperium zdobędzie nowe tereny. A wszystko dlatego, że jesteś zbyt miękki, żeby działać tak, jak wymaga zdrowy rozsądek.

Wedge odruchowo rzucił się w kierunku Tomera. Dyplomata odskoczył w tył..

- Posłuchaj mnie - syknął generał. - I spróbuj zrozumieć. To nie jest proces z powództwa cywilnego, gdzie wszystkie propozycje i argumenty są dozwolone, dopóki sędzia nie zarządzi inaczej. Jeśli zaczniemy zachowywać się jak Imperialni, staniemy się Imperium. A wówczas, nawet jeśli zdołamy je pokonać, i tak przegramy, ponieważ to Imperium znów będzie u władzy. Tyle tylko, że z nową nazwą i nowymi twarzami na kredytach. Tomer pokręcił głową.

- Nie masz racji. Władzę stanowi premier Leia Organa. Nieważne jest to, co tu robimy. To jej moralność i poglądy określają Nową Republikę.

- Łudzisz się.

- A ty jesteś naiwnym głupcem. Przez tę twoją głupotę i naiwność stracimy Adumar.

Wedge uśmiechnął się gorzko.

- A więc wolałbyś, aby ta misja dyplomatyczna miała inny charakter? Mamy stosować metody Turra Phennira?

- Nie chciałem tego mówić, ale to prawda.

- Więc znajdźcie innego dyplomatę. Tomer się zawahał.

- Niewykonalne. Będziesz musiał po prostu się podporządkować. - Westchnął z niejakim żalem. - Generale Antilles, proszę potraktować to jako rozkaz.

- Nie możesz mi wydawać rozkazów, Darpen.

- Oczywiście, że nie. - Tomer wzruszył ramionami z przeproszącą miną. - To zarządzenie regionalnego dyrektora wywiadu, a skoro to wywiad był pierwszą instytucją, która rozpoczęła działalność w tym systemie, wszystkie obecne działania Nowej Republiki, włącznie z dyplomatycznymi, podpadają pod jego władzę. Dyrektor wydał polecenie, żebyście natychmiast zaprzestali symulowanych szkoleń.

- Kto jest regionalnym szefem wywiadu? Tomer pokręcił głową.

- Tego nie mogę zdradzić. On lub ona pragnie zachować anonimowość. Wedge obdarzył go lodowatym uśmiechem.

- Mogę ci za to powiedzieć, kto nie jest dyrektorem regionalnym.

- To znaczy?

- Generał Cracken. Pierwsze rozkazy otrzymałem od generała Crackena i nie zawierały one ani słowa o konieczności podporządkowania się jego podwładnym. Jeśli dostanę od Crackena potwierdzenie tego, co powiedziałaś, naturalnie się zastosuję. W przeciwnym wypadku... przykro mi.

- Ale...

- Już czas, żebyś sobie poszedł.

- Nie, musimy to omówić.

- Wolisz wyjść przez drzwi czy przelecieć przez barierkę, Tomerze? Tomer spojrzał mu w oczy, gniewnie pokręcił głową i obrócił się na pięcie. Dopiero kiedy drzwi zasunęły się za nim, Wedge odetchnął głęboko i się odprężył.

- Hallis, rejestrujesz to? Pokręciła głową.

- Nie, generale. Przestrzegam dziennikarskiej etyki. To jeszcze jeden powód, dla którego nie zostałam w brukowcach.

- Cóż... - Wedge przez moment ważył słowa, które chciał wypowiedzieć. - Czy ktoś z was zastanawiał się już, czy warto przeciągać Adumar do Nowej Republiki?

Hobbie z żalną miną pokiwał głową. Janson także. Tycho nie odpowiedział, a Hallis tylko spoglądała od jednego do drugiego. Siedziała zupełnie nieruchomo, tylko oczy się poruszały.

Janson przemówił pierwszy:

- Cała ta historia z ich miłością do pilotów... to bzdura. Wydaje się, że oni pragną jedynie honoru i śmierci. Nie chciałbym latać z adumarskim pilotem w mojej eskadrze.

- Nie całkiem się z tobą zgadzam - odparł Tycho. - Udało nam się sprowadzić kilku na właściwą drogę. Nasze ćwiczenia cieszą się dużym powodzeniem. Gdyby tak nie było, Tomer nie wparowałby tutaj jak oparzony, plując ogniem i celując ze wszystkich laserów. Sądzę też, że postawa Cheriss jest dobrym znakiem. Jest tak samo zaangażowana w tę historię z walką i honorem jak każdy inny Adumarianin, ale podejrzewam, że przestawienie jej na bardziej cywilizowane tory myślenia nie powinno być zbyt trudne. Myślę, że ważniejsze jest inne pytanie: jaki skutek może mieć dla Nowej Republiki włączenie do niej Adumaru w obecnym kształcie?

- Nie potrafię odpowiedzieć - odparł Wedge. - Ale muszę się nad tym zastanowić. Chyba potrzebuję drinka.

- Dobry pomysł - podchwycił Janson.

- Sam.

Czekająca na nich w pokoju Cheriss miała dla nich różne dobre rady, dopóki Wedge nie wyjaśnił otwarcie, że chce zostać sam.

- Wolisz iść do knajpy, gdzie zostaniesz rozpoznany i otoczony tłumem? - zapytała tylko. - Czy do takiej, gdzie pozostaniesz anonimowy? A może do takiej, gdzie cię rozpoznają, ale zignorują? Wolisz lokal z rozrywką czy mroczną spelunę?

- Ciemną i anonimową - zdecydował.

- A więc Garham's-w-Dole - odparła. - Zaczekaj chwilę.

Podeszła do szafy w salonie, tam, gdzie pierwszego dnia ich pobytu w Certanie znalazły się nieprawdopodobne ilości odzieży. Pozostawały tam, dopóki nie wybrał ich sobie któryś z pilotów, a wtedy lądowały w jego osobistej szafie. Pomimo wszystko garderoba pękała w szwach, gdyż ludzie Tomera codziennie uzupełniali braki. Cheriss sięgnęła do środka i wyciągnęła przedmiot, który podała Wedge'owi. Była to maska okrywająca twarz od górnej wargi po czoło. Miała kolor lawendowy, wydawała się wykonana z zamszu, lecz była lekka jak plastikowa pianka. Wedge spojrzał na nią.

- Lawenda. Mam fatalne wspomnienia związane z tym kolorem. Nie pasuje do mnie - powiedział.

- Właśnie o to mi chodzi.

- Co? A, chyba masz rację - doszedł do wniosku Wedge.

Włożył maskę, podniósł kaptur płaszcza i spojrzał na swoich pilotów.

- I jak?

Janson udał zaskoczonego.

- Kim jesteś? Co zrobiłeś z Wedge'em? Wedge westchnął.

- Jak to miło mieć kumpla wśród publiczności.

Garham's-w-Dole nie była knajpą, jaką Wedge spodziewał się ujrzeć. Nie była też speluną. Położona nie więcej niż dwie przecznice od jego kwatery, odznaczała się kosztownymi kolumnami z kamienia, zasłoniętymi łóżami oraz doskonałą obsługą i przyzwoitymi drinkami, choć większość tych ostatnich stanowiła odmiany dwóch typów

trunku: ale („piwo”) i wódka („mocne”) wyprodukowanych z najpopularniejszego zboża Adumaru, chartashu.

Był to jednak lokal przewidziany dla osób szukających samotności. Wchodziło się do niego z ciemnej bocznej uliczki, a skąpe oświetlenie pozostawiało po kątach dużo cienia. Wszystkie łóże

oferowały odosobnienie. Niestety, o tej porze wszystkie również były pełne, więc Wedge usiadł na stołku przy barze jak najdalej od źródła światła.

Ścisnął w dłoniach kufel i przyglądał się ludziom z Certanu. Zastanawiał się nad ich losem i nad swoim własnym.

Naprawdę proste pytanie. Jeśli Adumar w magiczny sposób wyczaruje z rękawa ogólnoplanetarny rząd i aby zwabić go w objęcia Nowej Republiki, Wedge musiałby jedynie pojedynkować się z kilkoma pilotami, którzy koniecznie chcieli walki na śmierć i życie, jakże mógłby im odmówić?

Ale był jeszcze drugi problem. Gdyby Adumar dołączył do Nowej Republiki, kto właściwie lepiej by na tym wyszedł?

Po kolei. W chwilach kiedy w ogóle zadawał sobie trud zastanawiania się nad sobą, Wedge uważał się za żołnierza. Przyłączył się do Sojuszu Rebeliantów, który kierował się swoją własną etyką i przekonaniem. Słuchał rozkazów i ryzykował życie, aby osiągnąć cele, w które wierzył. Wydawał rozkazy i ryzykował życie innych w tym samym celu.

Jednak piloci, którzy chcieli się tutaj z nim zmierzyć, nie byli wrogami. Byli potencjalnymi sprzymierzeńcami... którzy chcieli go zabić albo zginać z jego ręki, aby okryć się tak zwanym honorem, jaki płynął z takiego losu.

W knajpie siedzieli głównie mężczyźni, ale było też parę kobiet. Z wyglądu i rozmów tych kobiet Wedge wydedukował, że podobnie jak mężczyźni były pilotami lub drobnymi szlachciankami, które chciały spędzić wieczór przy drinkach i ploteczkach. Żadna nie zaoferowała mu swoich usług, mógł zatem przypuszczać, że nie było wśród nich zawodowych panienek do wynajęcia.

Ludzie przy barze wymieniali uśmiechy i pełne gorzkości komentarze, gestykulowali, aby zilustrować jakiś manewr pilotażu, sprzeczekali się najpierw cicho, a potem coraz głośniejszym i goręcej - na temat wspólnego znajomego albo romantycznej rywalizacji. Wyglądało tu dokładnie tak samo, jak w każdym innym odwiedzonym przez Wedge'a barze. Z jednym wyjątkiem. Jeden z uczestników kłótni wyciągnął pięść z wysuniętym środkowym palcem i lekko przesunął nim po podbródku drugiego. Obaj rzucili na kontuar drobne monety i wyszli szybko z dłońmi na rękojeściach blasterowych mieczy.

Wedge pokręcił głową. I znowu pojedynek, znów ta sama szalona pogarda dla wartości życia. Czy Nowej Republice nie zaszkodzi współistnienie z kulturą o tak niewytłumaczalnej skłonności do daremnego zabijania?

Gdyby miał być wobec siebie uczciwy, musiałby przyznać, że prawdopodobnie Nowa Republika nie doznałaby szwanku. Goście z innych światów przybywający na Adumar zapewne nie daliby się ponieść pojedynekowej manii, adumarscy piloci zaś, walcząc w szeregach Nowej Republiki, z pewnością nabiorą szerszych horyzontów, kiedy rozejrzą się po galaktyce. Wedge zaobserwował już ten proces u większości pilotów, z którymi odbywał symulowane boje.

Tak więc brzmiała odpowiedź na drugie pytanie. Włączenie Adumaru do Nowej Republiki nie przyniesie szkody, a za to pomoże zwiększyć produkcję torped protonowych.

Pozostaje zatem pierwsze pytanie. Jeśli jedynym sposobem osiągnięcia celu jest stoczenie kilku pojedyneków na ostrą, a nie symulowaną broń - czy Wedge będzie w stanie to uczynić?

Przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad sytuacją. Uznał, że ma jeszcze parę pytań bez odpowiedzi, pytań istotnych dla powodzenia całej misji. Jakie będą warunki zwycięstwa? Co właściwie należało zrobić, aby przekonać peratora Certanu do opowiedzenia się po stronie Nowej Republiki?

Tomer zasugerował, że jest to konkurs osobowości. Wedge i Turr Phennir walczyli o zdobycie

możliwie największej popularności u ludów Adumaru. Zwycięstwo jednego lub drugiego pilota w tej konkurencji będzie miało z pewnością duży, a może nawet decydujący wpływ na decyzję peratora.

Wyrażenie jednak zgody na te warunki, choćby nawet zakamuflowane, oznaczało, że wszyscy piloci, zarówno ci z Nowej Republiki, jak i ci z Imperium, stali się zabawkami w rękach miłujących zabijanie Adumarian. Będą musieli sami zabijać - a być może i umierać - dopóki Adumarianie nie znudzą się tą zabawą i nie podejmą decyzji. Gdyby Wedge mógł sprowadzić wszystko do konkretnego wydarzenia - na przykład pojedynku jeden na jednego z Turrem Phennirem - którego wynik jednoznacznie przesądziłby wybór Adumaru, wówczas wziąłby w nim udział. Potraktowałby to jako akcję bojową przeciwko konkretnemu wrogowi i przynoszącą konkretny wynik. Ale w tej sytuacji cały wynik współzawodnictwa zależał od czegoś tak bezsensownego, jak zdobywanie sobie popularności wśród ludzi. Dopiero potem ktoś arbitralnie stwierdzi, czy konkurs dobiegł końca, czy nie.

Ostatnie pytanie: jeżeli generał Cracken poprze rozkazy lokalnego szefa wywiadu, zezwalając na to, aby Wedge rozpoczął rzeź pilotów Adumaru, co powinien zrobić?

Nieważne, jak długo myślał nad tym problemem, zawsze wracała jedna odpowiedź: taki czyn stanowiłby hańbę dla mnie i mojego munduru. Odmówiłbym.

A wtedy pojawiała się kolejna myśl.

A gdyby oznaczało to sąd wojskowy lub rezygnację z patentu? Wedge poczuł nagle, że zapiera mu dech.

To nie myśl o utracie rangi tak nim wstrząsnęła. Raczej świadomość, że odejście z wojska oznaczałoby porzucenie tej niewielkiej części życia, jaką jeszcze miał dla siebie.

Jego rodzimy system, Korelia, był dla niego zamknięty - przyłączenie się do Sojuszu Rebeliantów sprawiło, że znalazł się na czarnej liście koreliańskiego władcy. Jego rodzina nie istniała, rodzice nie żyli, a po siostrze ślad zginął. Prawie wszyscy jego znajomi związani byli z armią Nowej Republiki, nieliczni zaś cywile, długoletni przyjaciele, tacy jak Mirax Terrik, zajęli się swoim życiem, które bardzo rzadko miało z nim coś wspólnego. Jeśli zrezygnuje z wojska, większość znajomych zniknie z jego życia na zawsze, pozostawiając go samotnego niczym pilot katapultowany ze statku w samym środku kosmosu.

Posępna wizja wywołała w nim dreszcz. Była tym bardziej przerażająca, że zdawał sobie sprawę, iż w obliczu rozkazu potwierdzającego to, co mówił Tomer, będzie musiał zrezygnować, choćby go to miało kosztować nie wiadomo ile. Jeśli tego nie uczyni, równie dobrze może stać się Turrem Phennirem i walczyć dla Imperium.

Czy taka decyzja kosztowała go przyjaźń Ielli Wessiri? Czy taka chwila przyszła i minęła, a on nic nie zauważył? Nie wiedział. Ale czując, że znajduje się w przeddzień utraty wszystkiego, co miało dla niego w życiu znaczenie, stwierdził, że musi to wiedzieć. Zobaczyć się z nią i zrozumieć.

- Tak, jeszcze jeden. I tym razem mocniejszy.

To nie słowa przykuły uwagę Wedge'a, lecz akcent - wyraźny, staranny akcent Coruscant lub

jednego z dziesiątków innych światów, które naśladowały dawny imperialny styl.

W pobliskiej łoży, na chwilę odsłoniętej przez barmana, siedział mężczyzna w ciemnym, poważnym stroju adumarskim. Jego ciało ginęło w fałdach obszernego czarnego płaszcza, ale widać było, że jest zaledwie średniego wzrostu i szczupły. Włosy miał siwe, rysy ostre i znamionujące inteligencję.

Wedge znał tę twarz. Kiedy barman pospieszył przynieść mu kolejnego drinka, Wedge wstał i rzucił kilka monet na kontuar. Odchylił zasłonę tamtej łoży i wsunął się na fotel naprzeciwko gościa.

Siwowłosy mężczyzna uśmiechnął się chłodno.

- Mam blaster wycelowany w ciebie - uprzedził. - Może lepiej byś stąd poszedł?

- Wyświadczyłbyś Imperium wielką przysługę, przyciskając spust, admirale Rogriss - odparł Wedge.

Mężczyzna zmarszczył brwi z przesadnie zdumioną miną. Chyba był bardziej pijany, niż sam sądził.

- Znam ten głos, prawda? Z pewnością znam też ten akcent. To ty, Antilles, nie myłę się?

Wedge podniósł maskę.

Rogriss podniósł broń i położył na blacie stołu.

- Nigdy bym cię nie zastrzelił - zapewnił. - Nawet gdyby za twoją głowę wyznaczono nagrodę. Chcę najpierw zobaczyć, jak się wygrzebiesz z tego bagna, w które wdepnąłeś. A raczej zobaczyć twoją klęskę.

Z bliska Wedge mógł się uważnie przyjrzeć rozmówcy.

Nigdy wcześniej nie spotkali się osobiście, ale Wedge widział tę twarz na wielu zarejestrowanych transmisjach. Pięć lat temu admirał Teren Rogriss pomógł ekipie Hana Solo w pościgu za lordem Zsinjem. Jako oficjalny przeciwnik Solo, ten dowódca imperialnych sił polujących na Zsinja ryzykował posądzeniem o zdradę. A jednak wraz ze swym krążownikiem klasy Interceptor przyłączył się do grupy Solo, aby odbić obszary zdeorganizowane po śmierci Zsinja.

Dziś Rogriss wydawał się niewiele starszy, choć ogień w oczach, jaki Wedge pamiętał z transmisji, znikł. Może był to skutek alkoholu.

- Co taki zasłużony dowódca floty robi w takim smętnym świątku jak ten? - zapytał Wedge.

Rogriss uśmiechnął się.

- Już nie dowódca floty, Antilles. Walka z generałem Teradokiem i z waszym admirałem Ackbarem o resztki po Zsinju nie przyniosła mi nic dobrego. Pewnie słyszałeś.

- Tak, ale to się zdarza większości przeciwników Ackbara. Rogriss wzruszył ramionami.

- Kosztowałem sporo Nową Republikę w tej walce. Nie mam się czego wstydzić. I pozostałem

admirałem, ale tylko z jednym statkiem pod moimi rozkazami. „Bezlitosnym”.

- Imperialny gwiazdny niszczyciel - mruknął Wedge. A zatem statek Rogrissa był odpowiednikiem „Hołdu”. - Prestiżowe zadanie.

- I tak mówi ktoś, kto zwykle robi interesy z mostka superniszczyciela?

- Admirale, zastanawiał się pan kiedyś, dlaczego Imperium nadaje takie paskudne nazwy swoim niszczycielom? „Egzekutor”, „Bezlitosny”, „Żelazna Pięść”, „Jad”?

- Słyszałem chyba już wszystkie sztubackie teorie na ten temat.

- Ta pochodzi od Luke’a Skywalkera...

- Skończyły się sztubackie teorie, więc przechodzimy do farmerów? Czarujące.

- ...który patrzy na ten problem z pewnej perspektywy, jakiej nie ma nikt inny spośród nas. On twierdzi, że to jest związane z zepsuciem i zniewoleniem.

Rogriss gestem poprosił, aby kontynuował, ale jego wyraz twarzy sugerował, że już nieraz słyszał takie opinie. Barman przyniósł mu drinka i Wedge czekał z podjęciem na nowo tematu, aż odejdzie.

- Wyobraź sobie kobietę lub mężczyznę w sytuacji, kiedy to, co musi robić, niszczy go moralnie, na przykład służenie Imperatorowi Palpatine’owi. Wmawiaj mu przy tym cały czas, że jego czyny są szlachetne, choć ma przeświadczenie, że wszystko, co robi, jest złe. Nasza ofiara będzie czepiać się usprawiedliwień, ale nie zapomni o własnej niegodziwości. Nie pozwolą jej na to symbole, takie jak nazwy statków, którymi dowodzi. Zawsze będzie świadoma swojego upadku, po wolnego przejścia na ciemną stronę. Skywalker uważa, że Imperator uważał taką świadomą akceptację zepsucia, tę połowiczną zgodę i połowiczną walkę, za szczególnie rozkoszne doświadczenie.

Rogriss podniósł palec i wycelował w Wedge’a, jakby to był naładowany blaster.

- Wy, rebelianci, jesteście tacy pewni swego - rzekł. - Nic, tylko gadacie o honorze, jakbyście to wy go wymyślili. Całe życie spędziłem na honorowych konfliktach. Podbijałem światy, aby nieść im cywilizację... wykształcenie i medycynę, czystość i dyscyplinę. Tylko kilka dni w roku mogłem spędzać z własnymi dziećmi. Sprowadziłem siły chaosu, aby nie pozwoliły się rozpaść cywilizacji galaktycznej. Wszystkie te poświęcenia... tylko po to, aby teraz wysłuchać kazania na temat honoru od osoby o pokolenie młodszej ode mnie. Taka jest moja nagroda.

- Nie piłybyś tu osamotniony i anonimowy, gdybyś lubił kompanię. Raczej lubisz lokalne piwo, jak sądzę. Siedzisz tak i zastanawiasz się nad kwestią honoru, mam rację? - Wedge kombinował gorączkowo, ale sam fakt, że honor wydawał się dla Rogrissa tak ważną sprawą, sprawiał, że ten strzał na oślep mógł się okazać trafiony.

- A ty też to robisz?

- Owszem - przyznał Wedge. - Ale ja już swoje zagadki rozwiązałem, a ty?

Rogriss wstał i wyprostował się, odrobinę chwiejnie z powodu nadmiaru alkoholu.

- Tam, gdzie zadanie jest jasne, nie może być mowy o honorze.

Wedge zaśmiał się.

ROZDZIAŁ 7

- Chciałbym, aby tak było. Cóż, zostawiam cię twoim myślom i walce z nimi. Szczęścia życzę, admirale.

Wstał i wyszedł.

Na ulicy rozejrzał się dokładnie, czy nikt go nie śledzi i czy żaden z pachołków Rogrissa nie zamierza go napaść. Nie zauważył jednak cieni stąpających po jego śladach i mógł się wreszcie nieco odprężyć.

Godzinę później Wedge i Janson, już w kombinezonach pilotów, siedzieli w niewielkiej salce konferencyjnej na „Hołdzie”. Przed każdym stał na stole dymiący kubek kawy. Otwarte notatniki przewijały jeden ekran danych za drugim.

- Moje pytanie brzmi - odezwał się Janson - dlaczego ja? Czemu nie zabrałeś ze sobą Tycha? To on jest twoim partnerem. I lepiej mu idzie z raportami.

- Potrzebuję kogoś, kto się zajmie działaniami naziemnymi, kiedy ja jestem tutaj. Na przykład jeśli zaistnieje problem dyplomatyczny.

- Ja też mogłem się tym zająć.

- O, to by dopiero było. Ty i Hobbie na ulicach Certanu... zostałyby tylko ruiny i zgliszcza, gdybyście przejęli dowodzenie w razie katastrofy. Na przykład, szlachetnie urodzona osoba z Certanu przychodzi do ciebie i mówi: wiem, że nie mamy jeszcze stosunków dyplomatycznych, ale potrzebuję azylu w Nowej Republice. Co jej odpowiesz?

- A czy jest ładna?

- Znakomicie udowodniłeś moje racje. Dziękuję. - Wedge wskazał notatnik Jansona. - Masz coś na temat Rogrissa?

Janson westchnął i spojrzał na ekran.

- Żona nie żyje. Dwoje dzieci przeżyło. Córka Asori, dwadzieścia osiem lat, status nieznany, co może znaczyć wszystko. Syn Terek, dwadzieścia cztery lata, w Marynarce Imperialnej. - Wzruszył ramionami. - Nic szczególnego. A u ciebie?

- Może... - Wedge pokręcił głową nad karierą zawodową admirała Rogrissa, a przynajmniej tą częścią, która znana była Nowej Republice. - Jego zadania... odkąd miał dość władzy, aby mieć na nie jakikolwiek wpływ... wydają się przerażająco jednoznaczne.

- To znaczy?

- To znaczy, że sprowadzały się głównie do walki z Nową Republiką. Najbardziej interesujące

są te fragmenty, gdzie jego nazwisko nie występuje. Nie ma śladów jakichkolwiek powiązań z takimi operacjami jak Gwiazda Śmierci albo gubernatorowanie światom zaludnionym przez niehumanoidów, albo projektów zidentyfikowanych później jako związane z imperialnym wywiadem. Nic z tych rzeczy.

- Mówicie o Rogrissie? - wtrącił kapitan Salaban, który właśnie wszedł do salki konferencyjnej z tacą ciastek. Postawił ją pośrodku stołu i przysunął sobie trzecie krzesło, po czym oparł obute stopy na blacie.

- Zgadza się - odparł Wedge. - Jaka jest jego opinia we Flocie?

- Stary, złośliwy zgred - wyjaśnił Salaban. - Lubi strategię i taktykę dla samej przyjemności zabawiania się nimi. Intelktualista. Nie przepada za wojną podjazdową.

- Zauważyliśmy to przy polowaniu na Zsinja - rzekł Wedge. - Zaczęliśmy się nawet zastanawiać, co takiego jego dowódcy musieli mu zlecić, żeby doprowadzić faceta do stanu, kiedy idzie się samotnie urznąć do baru. I bardzo się denerwuję na wzmiankę o honorze.

Salaban wziął do ust ciasteczko i zaczął żuć. Wzruszył ramionami.

- Bosze bysz fszysko - wybełkotał z pełnymi ustami, po czym przełknął. - Przepraszam. Zmieść Adumar z powierzchni planety, jeśli nie opowiedzą się po stronie Imperium? Gdyby „Hołd” nie przebywał tutaj i nie trzymał go za klapy, mógłby to zrobić. I to jeszcze kosztem ogromnych strat.

Janson pokręcił głową.

- To by była uczciwa walka. Może raczej by się cieszył z przygotowań do niej, obmyślał taktykę, żeby przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. To nie uraziłoby jego godności.

Salaban skinął głową.

- No cóż, mam wrażenie, że tak czy owak coś kombinuje, tak samo jak ja. Podejrzewam, że będzie to walka „Hołdu” z „Bezlitosnym”.

Wedge spojrział na niego z zainteresowaniem.

- Czemu tak sądzisz?

- No cóż, sprawa wygląda następująco. Imperium nie może sobie pozwolić na to, aby Adumar znalazł się w rękach Nowej Republiki. Wiedzą tak samo jak my, co oznacza zagarnięcie produkcji tych materiałów wybuchowych. Więc jeśli my, to znaczy wy, przekonacie Adumarian, aby podpisali z wami traktat, z całą pewnością imperialni złamią słowo. Wezwą posiłki i zaatakują „Hołd” i Adumarian. A my się znajdziemy w poważnych tarapatach.

Wedge i Janson wymienili spojrzenia. Wedge rzekł:

- Czekaj, chwileczkę. Możesz przewinąć do tyłu? O jakim „słowie” mówisz?
- To było... ano tak, wy już byliście na dole, na tej uroczej ceremonii, prawda?
- Chyba tak.

Salaban zerknął z irytacją.

- Wkrótce po waszym przybyciu na planetę... kiedy poinformowaliście nas o obecności imperialnych, a my potwierdziliśmy obecność „Bezlitosnego”... odwiedził nas reprezentant rządu Certanu. Powiedział, że aby zapewnić bezpieczną kontynuację negocjacji, rząd każe nam obiecać, że w przypadku, gdyby Adumar postanowił przyłączyć się do Imperium, opuścimy system w ciągu godziny i nie wrócimy, chyba że pod „oficjalnymi sztandarami wojny lub pokoju”.

- Czy dostali takie zapewnienie?

Salaban skinął głową i w zadumie kontemlował kolejne ciasteczko.

- Zajęło to dzień lub dwa, ale otrzymali oficjalny przekaz z biura premiera. Nie od samej Organy Solo, bo wieść głosi, że wyjechała na misję dyplomatyczną do sektora Meridiana. W każdym razie Adumarianie mieli poinformować nas, gdyby nie udało im się uzyskać podobnego przyrzeczenia od Imperium. Żadnej informacji nie było. Przyjmuję zatem, że jest to ugoda dwustronna. Po prostu podejrzewam, że Imperium nie zechce przestrzegać swojej części układu.

- To fakt - westchnął Wedge. - Prawdopodobnie masz rację. Podobnie jak ty, Rogriss ma dużo wspólnego z tym słowem honoru. I oczekuje, że Imperium je złamie. Ale jednocześnie korci go, aby trzymać się tego słowa, albo przynajmniej obietnicy, jaką złożył Adumarowi w imieniu Imperium.

- Nasuwa się zatem jedno pytanie. - Salaban raz jeszcze spojrzał na drugie ciastko, westchnął na znak, że się poddaje, po czym wziął je do ręki. - A mianowicie: co z tego wyniknie? Mamy jeszcze jedną obietnicę, która najprawdopodobniej zostanie złamana. Jeśli mój przeciwnik jest dość honorowy, żeby czuć bodaj cień wyrzutów sumienia, że złamie słowo, co z tego? - Wgryzł się w ciastko z taką pasją, jakby odgryzał kawałek ciała swojego imperialnego odpowiednika.

- To właśnie szczelina fluktuacyjna w ich tarczy - mruknął Wedge. - Słabość, której imperialni mogą sobie nawet nie uświadamiać i nie biorą jej pod uwagę przy planie przejścia Adumaru. Nie o to chodzi, czy Adumar sprzymierzy się z nimi, czy z nami. Może jednak będę mógł ten fakt jakoś wykorzystać. Chyba powinienem przekazać te informacje generałowi Crackenowi i przy okazji dowiedzieć się, ile premier wie na temat polityki w tej operacji. Przygotuj mi transmisję holograficzną, dobrze?

Salaban pokręcił głową.

- Buebobuwe. Beffefmy... - wybełkotał.
- Proszę najpierw przełknąć, kapitanie.
- Dzieciaki - zachichotał Janson. Salaban przełknął przeżuwany kęs.
- Mamy blokadę łączności. Wszystkie rozmowy mają być zatwierdzane przez lokalnego szefa wywiadu, zanim jeszcze zostaną wysłane. Napisz, czego chcesz, a ja przedstawię mu to do akceptacji.

Wedge nie przestał się uśmiechać, choć właśnie na nowo stracił humor.

- Nieważne. Kiedy indziej. - Wstał. - Chodź, Wes, wracamy do Certanu. Dzięki, kapitanie.

- Proszę uprzejmie. Janson chwycił garść ciastek.

- Przecież Salaban nie może zjeść wszystkiego - wyjaśnił towarzyszowi. - To go zabije.

Na korytarzu Wedge szepnął:

- Kiedy znalazłeś certańską tożsamość Ielli, czy był tam też jej adres? Janson skinął głową.

- Nazwisko, adres, wszystko.

- Muszę się z nią zobaczyć. Koniecznie dzisiaj. Jak tylko wrócę do kwatery i przebiorę się w lokalne ciuchy.

Janson się skrzywił.

- Czyja dzisiaj zaznam chociaż odrobinę snu?

- Możesz przecież spać w czasie odpraw. Jak zwykle.

- No, właściwie masz rację.

Mieszkanie Ielli Wessiri - czy raczej Fiany Novarr - znajdowało się w pewnej odległości od apartamentu Wedge'a, w tej części Certanu, gdzie budynki rzadko miały więcej niż sześć pięter, balkony nieraz zapadały się pośrodku, a kule żarowe oświetlające ulice i ekrany zamontowane na fasadach budynków bywały wypalone lub migały tak, że stawały się bezużyteczne. Przechodnie byli wprawdzie ubrani jaskrawo i kolorowo, czasem jednak był to szyk nieco zużyty. Jednak mieszkańcy tej dzielnicy w istocie mieli się finansowo znacznie lepiej, aniżeli biedacy i robotnicy, których Wedge widział w fabryce pocisków.

Budynek Ielli był pięciopiętrowym, ciemnym pudełkiem pomiędzy dwiema wyższymi budowlami, z jedynym wejściem wiodącym do holu na parterze. Nie było tu budki ochrony ani strażników, ani nawet windy. Weszli po schodach na czwarte piętro. Janson wyłączył ekraniki na swoim płaszczu, żeby nie zacząć świecić w najmniej odpowiednim momencie.

Zastukali, ale odpowiedziało im milczenie. Wedge zaczekał pół minuty, zastukał znowu, znów odczekał i wzruszył ramionami.

- Poczekamy - zdecydował. Rozejrzał się po korytarzu. Drzwi mieszkania Ielli były w pobliżu klatki schodowej. Po drugiej stronie poręczy oddzielającej schody znajdował się korytarz wiodący w mrok.

- Tam - rzekł Wedge.

Mieli szczęście. Korytarz nie prowadził do dalszych mieszkań, lecz do zasłoniętego okna

wychodzącego na ulicę. Mogli poczekać za rogiem, nie spuszczać oka z drzwi Ielli i nie narażając się zbyt na niebezpieczeństwo odkrycia.

- Znam grę, która pozwoli nam zabić czas - rzekł Janson.
- Jasne.
- Najpierw musimy zejść na dół i znaleźć dwie panie.
- Wes!
- Co chcesz, tak tylko pomyślałem.

Kilka minut później do drzwi Ielli zbliżyła się postać otulona w obszerny płaszcz. Podeszła, minęła je i stanęła przy kolejnych drzwiach. Zastukała, odczekała, sprawdziła, czy drzwi są zamknięte i rozejrzała się. Po chwili dyskretnie ruszyła w kierunku Wedge'a i Jansona.

Kiedy znalazła się o kilka metrów od nich, nagle zdała sobie widocznie sprawę, że w mroku czeka dwóch mężczyzn, i natychmiast jej dłoń powędrowała do pasa. Nawet w ciemności Wedge dostrzegł kolbę adumarskiego pistoletu. Wyciągnął swoją broń, ale usłyszał zza pleców szelest metalu ocierającego się o skórę i nie zdziwił się, kiedy blaster Wesa pierwszy znalazł się w pozycji do strzału.

Przybysz, z pistoletem w dłoni, ale niewycelowanym, pochylił się do przodu. Wedge ujrzał błysk oczu pod kapturem.

- Nie przyszliście tu do mnie? Jestem Irasal ke Voltin.

Wedge pokręcił głową, nie spuszczać wzroku z broni tamtego. I Voltin wskazał pistoletem drzwi, których klamki dotykał.

- Czekacie na niego?

Wedge znów pokręcił głową. Pokazał na drzwi Ielli, jedyne widoczne z tego miejsca. Nie miał odwagi przemówić. Akcent natychmiast zdradziłby, że nie jest Adumarianinem.

- Ach, ta lala z pięknymi włosami. Jesteście tu z powodu nienawiści - dłonią, wciąż zaciśniętą na kolbie, dotknął piersi - czy z miłości? - Uniósł rękę do ust.

Wedge powtórzył ten jego gest.

- Aaa, to nie ma sprawy. Pienistej choroby życzę waszym wrogom. - Obcy odwrócił się plecami do pilotów i odmaszerował. Wedge i Janson obserwowali, jak wchodzi piętro wyżej. Sądząc ze skrzywienia desek, zajął miejsce u szczytu schodów, skąd mógł obserwować drzwi swojej ofiary.

- Wiesz - mruknął Janson - kiedy tu wszedłem, naprawdę spodobało mi się to miejsce.

Wedge skinął głową.

- Już mi przeszło. Wedge zachichotał.

- Myślałem, że lubisz wielkie romanse, dąsy, a nawet przelotne miłostki, i to wszystko, co tu mają w takiej obfitości.

- Tak, nie lubię tylko konkurencji. Słowo daję, Wedge, jeśli nie możesz się nawet zasadzić w korytarzu, żeby nie natknąć się na sześciu innych facetów, obecnych tu w tym samym celu i z tego samego powodu...

- Cicho bądź!

Po słabo oświetlonych schodach wspinała się kolejna sylwetka. Kiedy pojawiła się na piętrze i skierowała nieomylnie w stronę drzwi, które obserwowali, Wedge stwierdził, że jest mniej więcej wzrostu Ielli, ale nierozpoznawalna w obszernym płaszczu z kapturem. Znowu przeklął modę Adumarian.

Gestem dał znak Jansonowi, żeby nie ruszał się z miejsca, a sam ostrożnie podszedł do poręczy. Osoba zatrzymała się przy drzwiach Ielli i Wedge usłyszał serię cichych melodyjnych dźwięków dochodzących od strony drzwi - prawdopodobnie kod dźwiękowy do zamka.

Był oddalony tylko o kilka metrów, kiedy osoba przy drzwiach otworzyła je i włączyła światło, oślepiając Wedge'a. Zamrugał, podniósł dłoń, chroniąc oczy przed blaskiem i nagle zdał sobie sprawę, że postać w drzwiach trzyma w dłoni pistolet. I to bardzo profesjonalnie.

- Mów, po co przyszedłeś - powiedziała Iella. - Jeśli nic nie powiesz, zabiję cię. Wedge zdjął koszmarną lawendową maskę. Wciąż nie widział twarzy Ielli, ale jej głos bynajmniej nie złagodniał.

- Och, to ty? Raz na zawsze zapamiętaj sobie, że nie będę ci już opowiadać historii z innych światów. Idź do domu. - Odłożyła miotacz i skinęła ręką, żeby podszedł. Kiedy znalazł się tuż obok, szepnęła: - Nic nie mów. - Chwyciła go za kołnierz tuniki i wciągnęła do środka.

Wewnątrz przelotnie zauważył niewielki przedpokój z półkami pełnymi sprzętu elektronicznego, a za nim większy, ciemny pokój. Owionęło go ciepłe, stęchłe powietrze.

Iella zamknęła drzwi i zresetowała zamek, po czym sięgnęła na górną półkę, włożyła rękę wysoko nad rzeźbiony brzeg i wyjęła urządzenie, które wyglądało jak notatnik, ale miało z boku listwę z wejściami do czujników. Powoli przesunęła nim po drzwiach. Na ekraniku pokazało się kilka rzędów cyfr. Teraz wycelowała przyrząd w zaciemnioną część mieszkania i nacisnęła przycisk. Ekran wypełnił się danymi.

- Czysto - mruknęła. - Żadnych nowych podsłuchów. Wedge, nie możesz tu zostać. Wpadnę przez ciebie. - W jej głosie nie było gniewu, raczej błaganie.

- Potrzebuję twojej pomocy - szepnął Wedge. - Pomocy, którą mogę dostać dzięki twoim kontaktom.

Zaprowadziła go do pokoju i włączyła światło. Znajdowali się w czymś w rodzaju salonu. Podłoga, sufit i ściany, wszystko z ciemnego drewna, może kiedyś sprawiały ciepłe i miłe wrażenie, ale teraz deski były wypaczone i poplamione. Na podłodze, zamiast dywanu, leżał okrągły kilimek ze

szmat. Pozostałe umeblowanie stanowił płaski ekran na ścianie, kanapa zaprojektowana na wzór skrzydła starego typu blade'a i coś, co Wedge zidentyfikował jako tani terminal komputerowy produkcji korelańskiej.

Iella zsunęła płaszcz. Dzisiaj nie była ubrana jak na przyjęcie. Miała na sobie brązowe spodnie, takie same jak buty i standardową adumarską tunikę z szerokimi rękawami w ciemnym, czerwono-rdzawym kolorze. Usiadła na brzeжку kanapy.

- Dobrze, Wedge. Pomogą ci - powiedziała. Wedge nie usiadł.

- Powiedziałaś mi wcześniej, że kiedy zostałaś tu przysłana, zabroniono ci przekazywać informacje poza planetę. Twój pracodawca ci zabronił. Ale mimo to je wysyłałaś. Z twoich słów wywnioskowałem, że miałaś dostęp do holokomu, dzięki któremu wysyłałaś wiadomości swoim zwierzchnikom.

Skinęła głową.

- Potrzebuję tego dostępu.

- Nie możesz go dostać. To zabronione.

- Tak, wiem. Nie wolno ci dopuścić do żadnej rozmowy z Nową Republiką bez zgody i wiedzy zwierzchnika. Proszę cię o złamanie tego zakazu.

Przez chwilę na jej twarzy malowała się rozpacz, ale bardzo szybko znikła.

- Wyjaśnij mi, dlaczego.

- Dobrze. Po pierwsze, wiem, że twój szef, regionalny dyrektor republikańskiego wywiadu, to Tomer Darpen.

Tym razem jej twarz ani drgnęła.

- Nie mogę ani potwierdzić, ani zaprzeczyć.

- To nie ma znaczenia. Nie próbuję wymusić na tobie zeznań, Iello. Sam na to wpadłem. Darpen cały czas przemawiał w imieniu lokalnego szefa wywiadu, jakby mógł zajrzeć mu do głowy. Wydawał mi bez przerwy jakieś rozkazy i oczekiwał, że posłucham, co oznacza, że albo jest bardzo głupi, albo przyzwyczajony, że jego rozkazy się wypełniają. Obie możliwości nie pasują do roli, którą próbuje grać. Wywnioskowałem zatem, że Darpen nie jest wyłącznie dyplomatą, ale również poważnym graczem w wywiadzie. W każdym razie przyszedł dzisiaj do mnie i rozkazał, abym przestał prowadzić szkolenia pilotów Adumaru z symulowaną bronią. Niektórzy piloci zaczęli się przyzwyczajać do tej myśli, a on... To by oznaczało, że nie rozgrywamy dyplomatycznej gry zgodnie z ich zasadami, on zaś uważa, że to bardzo źle. Iella uśmiechnęła się blado.

- Rozkazywał ci.

- Wiesz, zwykle całkiem nieźle przyjmuję rozkazy...

- ...choć czasem całkiem zmieniasz ich interpretację...

- Ale tylko wtedy, kiedy istnieje określona hierarchia dowodzenia. Tomer Darpen do niej nie

należy. Obawiam się, że będzie próbował skontaktować się z generałem Crackenem, aby uzyskać potwierdzenie swoich rozkazów. Potrzebuje tego... ale zrobi to w taki sposób, aby Cracken nie zorientował się, o co mu naprawdę chodzi. Pojedynki na ostrą broń, ja i moi ludzie zabijający całą masę tutejszych pilotów, którzy po prostu chcieli jedynie osiągnąć osobistą satysfakcję...

Iella skinęła głową.

- Zatem chcesz opisać Crackenowi całą historię, aby mógł wydawać rozkazy lub odmawiać ich wydania na podstawie wyczerpującej informacji.

- Tak.

Westchnęła.

- Wedge, nie mogę ci pomóc. Moja zależność od dowódców jest oczywista, podobnie jak rozkazy. To, co w tej chwili robisz, oznacza próbę sprowokowania regionalnego szefa wywiadu. Coś takiego wybaczą ci zarówno admirał Ackbar, jak i pani premier. Mnie jednak prosisz o umyślne nieposłuszeństwo wobec bezpośrednich rozkazów. Nie mogę.

- No trudno - jęknął Wedge i opadł na przeciwną stronę kanapy. - Cóż, mam rezerwowy plan. Wyślę Jansona i Hobbiego w ich X-wingach, aby dostarczyli moją wiadomość. To po prostu zajmie trochę więcej czasu. Może zbyt wiele.

- Przykro mi - powiedziała Iella.

- Mnie też.

- Czy mogę pomóc ci w jakiś inny sposób?

- Tak, możesz. - Na chwilę otrząsnął się z depresji i spojrzał jej w twarz. - Admirał Rogriss jest dowódcą „Bezlitosnego”. Muszę znaleźć sposób, aby się z nim skontaktować bez niepokojenia jego podwładnych... i naszych ludzi.

Uniosła brwi.

- Lepiej, żeby mój zwierzchnik o tym nie słyszał. Uznałby, że konspirujesz z nieprzyjacielem.

- Mam nadzieję, że naprawdę uda mi się pokonspirować z nieprzyjacielem. Możesz to zrobić?

- Tak... myślę, że tak. To może zająć trochę czasu. Coś jeszcze?

- Nie - westchnął. - Nie, ale zaczekaj... Czekala.

- Iello, jeśli generał Cracken każe mi rozgrywać pojedynki powietrzne na modłę Turra Phennira, odmówię. Zrezygnuję z patentu i rangi. Iella ze zdziwienia otworzyła usta. - A kiedy to zrobię, całe moje życie zostanie przewrócone do góry nogami. Będę musiał zaczynać wszystko od nowa... nowa kariera, nowi przyjaciele, nowy świat, może nawet nowe nazwisko. A że stoję przed możliwością utracenia wszystkiego, muszę, naprawdę muszę się czegoś dowiedzieć. Żebym już więcej nie powtórzył tego samego błędu. Muszę wiedzieć, jak straciłem twoją sympatię.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego zdumiona. Wreszcie pokręciła głową i mruknęła:

- Wedge, nigdy nie straciłeś mojej sympatii. Ani mojego szacunku.

- Więc w jaki sposób straciłem twoją przyjaźń? Jak mógłbym ją odnaleźć? - Poczul, że w gardle narasta mu twarda kula. Głos, który się przez nią przedostawał, był chrapliwy i urywany.

- To nie tak. Ty nic nie zrobiłeś. Chodzi o coś, co ja zrobiłam. - Z jej twarzy znikł nagle wyraz pewności siebie. - Wedge, nie rozgrzebujmy tego teraz.

- A kiedy? Iello, nie możemy tego zrobić, kiedy już będę cywilem, odstawionym na Coruscant w niełasce z powodu misji, do której i tak się nigdy nie rwałem. Teraz jest dobry czas. - Przysunął się do niej, czując, że kłęb w gardle wkrótce całkiem odbierze mu mowę. - Proszę... przecież byliśmy przyjaciółmi. Powiedz, jak to się rozplynęło. Czy chodzi o mój związek z Qwi?

Jej twarz drgnęła z bólu.

- Nie... Tak. To ma pewien związek.

- No cóż, to właściwie wyjaśnia sprawę.

Otwartą dłonią niespodziewanie uderzyła go w ramię. Cios omal nie strącił go z kanapy.

- Nie kpij sobie z tego. Dla mnie to bardzo trudne.

- Przepraszam. - Wedge roztarł obolałe ramię i poprawił się na kanapie. - Będę po prostu słuchał.

Długo czekał, zanim padły pierwsze słowa. Widział, jak walczy ze sobą, jakby próbując znaleźć dobry kąt podejścia do celu, choć taki kąt nie istniał. Potem przyszły łzy, ale tylko dwie. Otarła je i zaczęła mówić:

- Kiedy umierał Diric... wciąż walcząc ze skutkami prania mózgu, wciąż czując się jak narzędzie Imperium, musiałam zmagać się nie tylko z bólem i żalobą, lecz także ze wstydem, razem z Corranem staliście u mojego boku. Pomagaliście mi. Kiedy się chwiałam i szukałam oparcia, moja dłoń zawsze trafiała na jedną z waszych. To było dla mnie bardzo ważne. A kiedy z czasem stopniowo poczułam się lepiej, kiedy wreszcie się zorientowałam, że galaktyka nadal się kręci, a ja mogę w niej nadal funkcjonować, nie odeszliście. Nie powiedzieliście: „Teraz, kiedy wszystko idzie ku dobremu, możemy wrócić do pracy”. Nie mogę wyrazić, ile to dla mnie znaczyło. Wreszcie, stopniowo... zaczęłam się zastanawiać. - Urwała i milczała przez długą chwilę. - Doszłam do wniosku, że dla ciebie i dla mnie jest szansa.

Skinął głową.

- Ja też tak pomyślałem.

- Ale powtarzałam sobie: „Za wcześnie o tym myśleć”. Powtarzałam sobie tak przez długi czas, godziłam się jedynie na to, że chwilami byliśmy sobie bliscy, jak po tej całej historii z „Lusankią”.

- Nie chciałem cię naciskać - wyjaśnił Wedge. - Nie chciałem. To by było...

- Okropne?

- Oportunistyczne? Chamskie? W stylu Jansona? Uśmiechnęła się blado.

- Kiedy sobie teraz to wszystko przypominam, zaczynam rozumieć, dlaczego nie mogłeś sądzić, że wciąż jestem tobą zainteresowana. Byliśmy kumplami jak z Corranem. A ja czekałam... nie wiem, na jakiś ostateczny sygnał z głębi mojego umysłu, że jestem gotowa zacząć życie od nowa. Ten sygnał nie nadszedł nigdy albo ja go przeoczyłam, a my tak długo pozostawaliśmy z daleka od siebie... a potem u twojego ramienia pojawiła się ona, Qwi Xux, najbardziej zachłanna istota w galaktyce.

Wedge odchrząknął:

- Hej, nie jestem pewien...

- Zdałam sobie sprawę, że czekałam zbyt długo. To ja popełniłam błąd. Nie powiedziałam ci prawdy o swoich uczuciach. Czekałam, aż ty wykonasz pierwszy ruch, a ty byłeś zbyt szlachetny, by go uczynić. Wszystkie oczekiwania, plany, jakie budowałam sobie w myślach, rozpadły się jak Gwiazda Śmierci. W jednej chwili solidne i trwałe, w drugiej... tylko niezliczone miliony drobnych białych plamek nicości.

- A zatem utraciłem twoją przyjaźń, wiążąc się z inną kobietą. Pokręciła głową.

- Nie do końca, Wedge. To nie twoja wina. Chodzi o to, że kiedy tak się stało, nie mogłam już znieść twojego widoku. Za każdym razem, kiedy cię widziałam, cierpiałam, wiedząc, że sama przegapiłam okazję. A nie można być przyjacielem kogoś, kto nawet nieumyślnie rani ci serce za każdym razem, kiedy go widzisz.

- Wiesz, że nie jesteśmy już z Qwi.

Skinęła głową, ale na bladej twarzy nadal malował się ból.

- Wes Janson powiedział mi to od razu, tego dnia, kiedy do mnie podszedł na dworze peratora.

- I co?

- Myślisz, że skoro jej nie ma, moglibyśmy spróbować jeszcze raz? Wedge, zaskoczony żarem gniewu w jej głosie, cofnął się.

- Coś w tym stylu.

- Wedge'u Antilles, nie obchodzi mnie, jak bardzo cierpisz. Nie będę numerem drugim po jakiejś pustogłowej...

Niewielka eksplozja zatrzęsała ścianą i zrobiła w niej otwór średnicy palca. Wedge chwycił Iellę za rękaw i rzucił na matę, osłaniając swoim ciałem. Wyrwał blaster z kabury.

Iella chwyciła za lufę i nie pozwoliła mu wycelować.

- Nie rób tego - ostrzegła. - To tylko...

Kolejny strzał przebił ścianę na poziomie wzroku. Z innych mieszkań dobiegły głośne krzyki i

trzaskanie naczyniami.

- ...mój sąsiad, Garraty ke Kith...

Za ścianą rozległ się znajomy trzask blasterowego miecza i wrzask bólu.

- ...i jego spór z...

- Irasalem ke Voltinem - odpowiedział Wedge.

- Znasz go?

- Kiedy jest się ambasadorem, spotyka się mnóstwo ludzi.

Rozległ się straszliwy łomot, jakby ktoś zrzucił stukilowy ciężar na podłogę, i zapadła cisza.

- To prawdopodobnie zakończy spór - szepnęła.

Wedge wstał i podał jej rękę, jednocześnie chowając broń. Był zaskoczony, jak wiele energii kosztował go ten gest. Nagle opuściła go cała siła.

- Wracając do tematu... Z tego, co mówisz, wynikałoby, że tak mocno cię zraniłem, iż już nigdy nie będziemy mogli zbliżyć się do siebie.

Iella wydawała się zastanawiać... jakby przeglądała w myślach swoje ostatnie słowa, a może ostatnich kilka lat swego życia. Wreszcie rzekła:

- Chyba właśnie to chciałam powiedzieć. - Wydawało się, że znów jest bliska łez. - Przepraszam, Wedge. Przykro mi. Chyba jednak lepiej będzie, jeśli sobie pójdziesz.

- Nie jest trudno odejść - rzekł, zaledwie rozpoznając własny głos. - Pod warunkiem że się ma dokąd.

Odwrócił się do drzwi.

Nagle załała go fala adrenaliny. Poczł wstrząs, jaki przeżywa człowiek, który nagle zdaje sobie sprawę, że zaraz wejdzie w pułapkę albo w strzelaninę, która może zakończyć jego życie.

Nie mogło to być jasnowidzenie. Poza kabiną pilota jego wyuczone umiejętności przewidywania zdarzeń nie działały... a poza tym, gdyby za drzwiami czaiło się jakieś zagrożenie, Janson dawno by go ostrzegł.

Nie, to niebezpieczeństwo było bardziej osobiste. Naprawdę wyczuwał, że jeśli przejdzie przez te drzwi, jego życie będzie skończone. Tyle że nie dosłownie.

- Myślisz, że jestem aż takim głupcem? - zapytał.

- Co?

Odwrócił się i stanął przed nią. Energia wróciła mu nagle, czuł, jak wypełnia go całego.

Wiedział już, jaka jest ostatnia bariera, która ich dzieli: zraniona duma Ielli, chroniąca ją przed kolejnymi cierpieniami... lecz także przed nim.

- Jakim idiotą musiałbym być, żeby przejść przez te drzwi?

- Nie rozumiem, Wedge. Chcę tylko, żebyś sobie poszedł.

- Wiem, tak byłoby łatwiej. Mniejsze ryzyko poniżenia. - Podszedł jeszcze bliżej. - A teraz posłuchaj: przez całe lata, nawet kiedy się nie widywaliśmy, stanowiłaś część mojego życia. Aż do tego wieczoru kilka dni temu, kiedy powiedziałaś, że już nie jesteśmy przyjaciółmi. Od tamtej chwili przywdziałem żałobę. Nie tylko straciłem przyjaciela; musiałem też się pożegnać z ważną częścią mojego życia. Długo się zastanawiałem, zanim na to wpadłem, zanim zrozumiałem, jak bardzo cię w swoim życiu potrzebuję. Jako przyjaciela i jeszcze więcej. Na zawsze. A teraz mówisz mi, że to niemożliwe. Przez głupie błędy i pomyłki. Popełniłem ich kilka, ty także, a teraz chcesz powiedzieć, że wszystko stracone? - Z żarem pokręcił głową. - Nie, Iello. To byłby kolejny błąd, a im starsi się stajemy, tym trudniej nam się przed nimi bronić. Zmęczyło mnie popełnianie błędów.

Położył dłoń na karku Ielli, drugą ręką otoczył ją w talii i przyciągnął do siebie. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Jesteś dorosłą kobietą, trenowałaś sztuki walki - uświadomił jej. - Jeśli nadal chcesz, abym wyszedł z twojego pokoju, wystarczy jeden ruch kolanem i mała dźwignia, a będzie po mnie. Ale nie wystarczy mi powiedzieć, że mam sobie pójść. Nie tym razem. Kocham cię i nie zamierzam tak po prostu odejść. - Uniósł jej twarz ku sobie i pocałował.

Przelotnie zauważył, że zamrugła ze zdumienia, ale zaraz zatracił się w słodczy jej ust.

Powinien był przygotować się na cios, który jednak nie nadchodził. Nawet gdyby miał to być ich ostami pocałunek, chciał cieszyć się każdą jego milisekundą.

Lecz tymczasem milisekundy zmieniły się w sekundy, a jej ramię nagle owinęło mu się wokół szyi i go przytrzymało. Wreszcie brak tlenu zmusił go do podniesienia głowy. Tulił Iellę mocno, spoglądając w rozszerzone, lecz wcale nie przerażone źrenice. Wargi kobiety wygięły się w tajemniczym uśmiechu.

- Jeśli to halucynacje na haju - rzekł - to muszę przyznać, że są wspaniałe, niewiarygodne.

- Nie czas na żarty - mruknęła. I - Zgoda.

Przytrzymując z tyłu za włosy, odwróciła jego głowę najpierw w lewo, potem w prawo, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu, i - Tak wygląda Wedge, wersja „pilot” - powiedziała. - Facet, który dostał cięgi od wroga, a mimo to kieruje się w całkiem nieoczekiwaną stronę i zmienia wszystkie zasady.

- To ja, do usług.

I. - Bardzo twarzowa rola. Żałuję, że wcześniej nie pokazałeś mi tego oblicza. Czemu nie jesteś taki na ziemi? Wzruszył ramionami.

- Nigdy nie czułem się na ziemi zbyt dobrze. Ale się uczę.
- Wierzę. - Pocałowała go z żarem.

Kiedy po raz drugi rozłączyli się, aby nabrać tchu, Wedge zauważył nie bez zdziwienia, że znowu siedzą na kanapie. Nie pamiętał, jak się tam znaleźli, ale przypuszczał, że nogi kanapy nie uginają się tak jak jego własne.

- To, co powiedziałeś wcześniej... - wyszeptała Iella wprost w jego usta - ...że chciałbyś, żebym pozostała na zawsze w twoim życiu... zabrzmiało prawie jak oświadczyły.

- Zrobmy to oficjalnie. - Wedge cofnął się i wstał, aby przybrać tradycyjną pozę, ale Iella go nie puszczała.

- Później - powiedziała. - Po Adumarze. Powiedzmy na razie, że zamierzam przestać popełniać błędy, jeśli i ty jesteś na to gotów.

- Zgoda. - Rozumiał, że chciała usłyszeć te słowa w mniej stresującym i obcym otoczeniu i czasie.

- Musisz jednak coś zrozumieć - dodała Iella. - Możesz sobie być wielkim generałem, ale wywiad nie przyjmuje rozkazów od dowództwa myśliwców.

- Ani odwrotnie.

- Słusznie. Odwrotnie też nie.

- Jakoś to przeżyję. Zrobiła zmartwioną minę.

- Przeżyjesz to? Wedge, jestem oficerem wywiadu. Jeśli mój zwierzchnik wyda taki rozkaz, mogę znaleźć się po przeciwnej stronie barykady.

- Ale tylko tak długo, aż skończy się ten bałagan z Adumarem - odparł. Skinęła głową.

- Ale czy będziesz potem w stanie mi wybaczyć? Co zrobisz, jeśli będę musiała zarzucić sieć na twój statek i wywieźć cię poza planetę z powodu twoich cholernych, szaleńczych wybryków w kabinie?

- Przebaczę ci. Choć chyba nie będę musiał. - Uśmiechnął się ciepło. - Nie złapiesz mnie.

Odpowiedziała mu z miną najedzonego drapieżnika:

- Mam wrażenie, że będę cię mogła złapać, ile razy zechcę...

Kiedy Wedge wreszcie opuścił kwaterę Ielli, Janson wysunął się z ukrycia i dołączył do niego. Schodzenie po schodach nie było dla Wesa przyjemne - jedno kolano strzelało mu co chwila, a kręgosłup zeszywniał.

- Starzejesz się, Wes.

- Nie jestem stary. Zdrętwiałem, czekając godzinami w tym ciemnym kącie. Tylko trzy ciasteczka

z „Hołdu” dzieliły mnie od śmierci głodowej. I cały czas musiałem się chować, żeby nie wchodzić w drogę innym specom od zasadzek. No i co, dostałeś od Ielli to, czego się spodziewałeś?

Wedge spojrzał na niego zaskoczony.

- Co takiego?

- No wiesz, dostęp do generała Crackena przez holokom... Pozwoliła ci?

- Ach, to... Nie. - Poczuję, że znów się uśmiecha. Wes jak zwykle próbował go nabrać. - Słuchaj, co tam się działo u sąsiada?

Dotarli do parteru i przeszli korytarzem do wyjścia na ulicę. Janson wyraźnie kulał.

- Facet, którego spotkaliśmy, uderzył tego drugiego, który mieszkał obok, w chwili kiedy tamten wchodził. Thukli się przez chwilę, a potem zapadła cisza i nagle ten gość, co z nami gadał, wyszedł z tym drugim na plecach. Martwym, jak sędzę. A ja nie miałem się nawet z kim założyć.

Dotarli do ulicy. Wedge aż się zatoczył na bok, kiedy poraził go intensywny blask.

- Na Sithów! A co to takiego?

- Słońce, Wedge. Już rano.

- Przeszkadza mi. Wyłącz to.

- Jest sto trzydzieści albo sto czterdzieści milionów klików od nas.

- Wskakuj do X-winga i zestrzel je dla mnie.

- Szefie, dziwnie się dzisiaj zachowujesz. Chodź, tędy. - Janson pociągnął Wedge'a za rękaw w kierunku ich apartamentu. - Wiesz, dziś w nocy wydarzyło się coś dziwnego.

- Co?

- W najciemniejszych, najcichszych godzinach... wtedy nieczęsto słyszy się nawet, jak ludzie przerzucają kable z balkonu na balkon... a na ulicy były tylko dwie walki na noże, które nie pozwoliły mi zasnąć... wydawało mi się, że słyszę oddech.

Wedge spojrzał na niego z rozbawieniem.

- Sam też oddychasz, prawda? - Między dwiema seriami przechwałek, oczywiście, pomyślał.

Janson pokręcił głową całkiem poważnie.

- Kiedy tak siedziałem oparty plecami o ścianę, wydawało mi się, że słyszę skrzypienie schodów pod czyimiś stopami. Chyba ktoś wchodził na górę. Obejrzałem się, zerknąłem za róg, ale nikogo tam nie było... choć oczywiście nie mogłem widzieć dobrze całej klatki... Ktoś mógł się czaić w najciemniejszym mroku tak jak ja w korytarzyku. Czekałem i nasłuchiwałem, ale nic więcej nie było słychać. Więc wstrzymałem oddech i dalej słuchałem... Wydawało mi się, że słyszę, jak ktoś oddycha, ale może to był szum w uszach...

- Brak tlenu jeszcze nieraz cię dopadnie. Jaką część mózgu masz uszkodzoną?

- Wedge!

- A co ważniejsze, czy to taka część, której czasem używasz, czy fragment większej reszty?

- Wedge... ja naprawdę sędzę, że ktoś nas szpiegował.

- No cóż, trzeba się było przedstawić. - Wedge wszedł na krawężnik i ruszył po nim, balansując jak linoskoczek.

- Wedge, przestań się zachowywać jak dzieciak. Przynosisz mi wstyd.

Wedge spał może od pięciu minut, kiedy uświadomił sobie, że w salonie ktoś jest: krzyczy, łomocze meblami. Sennie narzucił szlafrok i ruszył w kierunku drzwi.

W salonie faktycznie ktoś był: Tomer Darpen. Krążył wokół stołu. Tycho stał w drzwiach swojego pokoju, śpiąc na stojąco. Hobbie leżał na podłodze, a za nim przewrócony fotel, sugerujący, jak pilot znalazł się w tej pozycji. Hobbie starannie celował w Tomera komunikatorem, przyciskając wyłącznik, jakby próbował strzelać do dyplomaty z blastera. Minę miał dość otepiałą, że można było podejrzewać, że tak mu się właśnie wydaje. Teraz jeszcze pojawił się w drzwiach Janson, w krzywo zapiętym szlafroku; a gdyby oczy mogły strzelać jak lasery, Tomer stałby się właśnie ofiarą podwójnego bezpośredniego trafienia.

Tomer mówił tak głośno, że zbudziłby umarłego na piętrach powyżej i poniżej:

- ...naprawdę bardzo obiecujące, ale musimy tam być i robić dobrą minę... - Zawrócił na krótszym boku stołu, obejrzał się i spostrzegł Wedge'a. - Generale, doskonałe wieści!

- Na tyle doskonałe, mam nadzieję, żeby przekonać Hobbiego, że powinien cię oszczędzić - mruknął Wedge.

Tomer spojrzał na półprzytomnego pilota.

- Chyba wystarczająco dobre. Jak wiecie, perator Certami dwa dni temu przyjął przedstawicieli wszystkich narodów Adumaru, aby przedyskutować stworzenie ogólnoplanetarnego rządu.

- Nie wiedziałem - odparł Wedge. - Załączyłeś tę informację w rozkazach, które nam przesłałeś?

- Ja., eee... tego... - Tomer spojrzał na niego tępo i przepaszająco. - Zapomniałem. A byłem pewien, że to zrobiłem. W każdym razie dostaliśmy informację z pałacu peratora, że wygłosi dzisiaj oświadczenie na ten temat.

- ...tnmtnt - stłumionym głosem odezwała się za jego plecami szafa. Tomer wytrzeszczył oczy.

- A to co?

- Atso - odpowiedziała szafa.

- Szafa - rzekł Wedge.

- Wiem, że to szafa, ale ona mówi.

- Nnamówi - rzekła szafa.

- Ach, to - odparł Janson. - To certański minister do spraw wpełzania w bardzo ciasne miejsca.

Tycho skinął głową.

- Założył się z Wedge'em, że poskłada się tak ciasno, że zmieści się w szafie, między półkami.

Hobbie wreszcie odzyskał mowę.

- Nigdy nie należy zakładać się z Wedge'em - rzekł. - Minister musi tam zostać tak długo, aż przyzna, że to był głupi zakład i że Wedge nic mu nie jest winien.

Tomer powiódł po nich wzrokiem, żeby dowieść, że doskonale zna się na żartach... choć mimo wszystko był w nim cień niepewności.

- W każdym razie - rzekł - bądźcie za godzinę w pałacu peratora w pełnej gotowości.

- Ggogowoósi - zawtórowała szafa.

- Będziemy gotowi - obiecał Wedge.

Zaledwie Tomer wyszedł, Wedge otworzył drzwi szafy. Białas był tam przez cały czas, ale jakby zdekompletowany - tylna pokrywa jego głowy była otwarta, widać też było, że większość urządzeń wewnętrznych ktoś wyjął.

- Zdaje się, że Hallis trochę tu grzebała - rzekł Tycho. - Zdaje się, że Hallis... Wedge zatrzasnął drzwi, ucinając wypowiedź w pół słowa.

- A w ogóle gdzie ona jest? Dawno jej nie widziałem. Tycho wzruszył ramionami.

- Cheriss też nie widziałem, i to chyba od zeszłego wieczoru. Sądzę, że nasza obstawa po prostu zdezerterowała.

Janson podszedł do szafy, zanurzając ręce w nieużywanych jeszcze strojach.

- Co tu włożyć... co tu włożyć...

- Mundury galowe, proszę - rozkazał Wedge. Cała trójka powitała tę nowinę chóralnym jękiem.

- Trudno, moi drodzy, to oficjalne spotkanie dyplomatyczne. Od tej chwili na wszystkie takie okazje przywdziewamy galowe mundury. Standardowe blastery i wibroostrza, bez mieczy. Nie jesteśmy Adumarianami i najwyższy czas przestać tolerować ich złe zachowanie. Nie będziemy go naśladować w żaden sposób. - Wedge klasnął w dłonie. - Panowie, wychodzimy.

- Bosko - jęknął Hobbie. - Kto znowu cofnął starego Wedge'a z emerytury?

ROZDZIAŁ 8

Mundur galowy oficerów Nowej Republiki - zaprojektowany komisyjnie wiele lat temu - został wprowadzony na wiele miesięcy, a być może nawet lat przedtem, zanim o jego istnieniu dowiedział się Wedge. I wcale nie była to taka katastrofa odzieżowa, za jaką uważali go piloci.

Najpierw wkładali czarny trykot bez rękawów, z długimi nogawkami, i buty. Na to przychodziła biała kurtka z trójkątnym wycięciem, zapinająca się na poziomie pępka. Wzdłuż lewego boku kurtki, przez ramię i ukosem przez plecy biegł szeroki, czerwony pas. Rangę zaznaczano złotym haftem na wysokości lewej piersi. Szary pas na kurtce dopełniał całości.

Oczywiście, mundur miał swoje odmiany - Dowództwo Myśliwców preferowało czarny trykot, a Dowództwo Floty szary. Oficerowie wyżsi rangą otrzymywali czasem pozwolenie na noszenie w sytuacjach oficjalnych elegantszej i lepiej utrzymanej wersji swoich codziennych mundurów.

Zdaniem Wedge'a głównym powodem protestów był obcisły trykot. Kombinezony lotnicze i dzienne mundury pilotów były workowate i pełne kieszeni. I bardzo wygodne. Pilot mógł nosić przy sobie notatnik, amunicję i broń dla połowy oddziału. Trykot mundurowy nie miał kieszeni, a kurtka skrywała jedynie dwie małe kieszonki, które ledwie mieściły karty danych. Przy tym elastyczny materiał zdradzał każdą dodatkową fałdkę tłuszczu, jakie czasem miewali piloci, co nie było mile widziane przez dbających o wizerunek eskadry oficerów... choć o ten wizerunek sami piloci dbali najbardziej.

Mundury jednak wywierały odpowiednie wrażenie na publiczności. Kiedy Wedge i piloci weszli na zewnętrzny dziedziniec królewskiej rezydencji, miejsce pamiętnego przyjęcia powitalnego, zebrany tam tłum wydał chóralny jęk podziwu, który był muzyką dla uszu Wedge'a. Podniósł rękę, żeby pomachać tłumowi, pewnym siebie uśmiechem maskując lekkie mdłości, jakie wywoływały w nim perfumowane miazmaty wydzielane przez dwór.

- Czuję się grubo - szepnął Hobbie.
- Nie jesteś gruby - uspokoił go Janson. - No, może trochę... nieważne.
- Co? - spytał Hobbie.
- Nic.
- Nie, powiedz. Ćwiczyłem. Jeszcze ile. Ale nie da się wszystkiego zgubić.
- Nic się nie dzieje - pocieszył go Janson. - Prawie nic nie widać.
- Gdzie?

Do Wedge'a podeszła kobieta, wysoka i dodatkowo podwyższona upiętymi na czubku głowy ciemnymi włosami.

- Dowiedziałam się, do kogo należy tamten drugi pokój - szepnęła. Wedge spojrzał na nią przelotnie, a potem jeszcze raz, znacznie uważniej.

- Hallis!

- Tak, Hallis - odparła, wyraźnie niezadowolona.

- Wybacz, wyglądasz całkiem inaczej z jedną głową.

- Mężczyźni ciągle mi to mówią.

- Jaki drugi pokój?

- Ten, do którego uciekł tamten mężczyzna, kiedy przeszukał waszą kwaterę.

- Ach, ten. - Wedge skinął głową. - Należy do Tomera Darpena. Wydawała się wstrząśnięta.

- Wiedziałeś!

- Nie. Domyśliłem się na podstawie innych dowodów, które zebrałem. Ale to ważne, że zyskałem potwierdzenie. Twoja praca nie poszła na marne. Gdzie twój rejestrator?

Wskazała na włosy. Skomplikowany system grzebieni utrzymujący na miejscu jej fryzurę ozdobiony był licznymi kryształami i mniejszymi kamykami, z których część wydawała się jarzyć.

- Soczewki i mikrofon są tam, a kabel do procesora i pamięci mam na plecach. Mogę nawet robić zbliżenia.

- Tak wygląda znacznie mniej groźnie. Chyba przy takim sprzęcie łatwiej ci pójdzie z dziećmi.

- Podejrzewam, że masz rację - odparła. Wokół pilotów zaczęły się gromadzić grupki Adumarian. - Czas na mnie. Porozmawiamy później.

Znikła w tłumie, otulając się płaszczem. Bez trudu zmieniła się w anonimową adumarską kobietę.

Wedge zmobilizował się do kolejnej rundy powitań, uścisków rąk i prezentacji. Dyplomatyczny rytuał miał jednak pewną niespodziewaną zaletę: piątą osobą, którą mu przedstawiono, był certański minister maszyn rozumnych, a u jego ramienia stała Iella Wessiri. Spowita była w kolejną suknię-futerał, tym razem mieniącą się czerwienią i złotem, w zależności od kąta patrzenia. Kiedy szła, miękko otulające ją fałdy zmieniały barwę, co sprawiało wrażenie wędrujących płomieni.

- Ta młoda dama - rzekł minister z kozią bródką - jest pozaświatowcem jak pan. Wyraziła zainteresowanie spotkaniem ze znanym pilotem, więc zabrałem ją dziś z pracy, aby mogła zaspokoić swą ciekawość.

- Z przyjemnością się przychyłę do tego życzenia - rzekł Wedge. Ujął dłoń Ielli i poczuł, że coś delikatnie zaszeleściło mu w ręce. Kobieta cofnęła palce i odeszła ze swoim ministrem, pozostawiając Wedge^A z kawałeczkiem flimsiplastu w ręku i cudownym wspomnieniem olśniewającego uśmiechu.

Spojrzał na karteczkę najdyskretniej, jak mógł. Napisane było na niej słowo Rogriss oraz seria

liczb, którą rozpoznał jako częstotliwość łączności.

Skinął głową. Z pewnością do tej częstotliwości dostrajał admirał swój prywatny komunikator. Powinni ją znać tylko on i może jeden lub dwóch oficerów ze ścisłego grona na pokładzie „Bezlitosnego”. Wedge nawet nie chciał wiedzieć, skąd Iella wzięła tę informację. Cieszył się tylko, że jej się udało. Schował karteluszek.

Pomiędzy jednym a drugim uściskiem dłoni i prezentacją obserwował tłum. Dostrzegł wśród gości Turra Phennira i jego pilotów - zbitą grupkę w miejscowych strojach. Phennir krzywił się, wyraźnie niezadowolony. Wedge wyszczerzył do niego zęby. Prawdopodobnie było to najmniejsze z możliwych zwycięstw, że Wedge i jego piloci przyćmili imperialnych pilotów swoimi mundurami i wejściem, lecz Wedge cieszył się każdym sukcesem. Nawet tym najmniejszym.

Do sali weszli kolejni goście i zaczęli dzielić się na grupy. Wedge próbował zrozumieć, według jakiego klucza odbywa się podział.

Perator, znów w złocistym stroju, otoczony był głównie ministrami i dworzanami - ta grupa była łatwa do zdefiniowania. Tomer Darpen kręcił się na jej skraju; przez swój status pozaświatowca nie mógł zbliżyć się do środka i podsłuchać, co mówi perator, jego własna natura zaś nie pozwalała mu odsunąć się dalej.

Wedge ujrzał w dwóch innych grupach pilotów, z którymi wcześniej latał na symulatorach. Większość znajdowała się w gronie około trzydziestu dobrze ubranych arystokratów, kilku zaś Wedge zauważył w innej sporej grupie ludzi, ubranych nieco inaczej, w szaty o odmiennym kroju i stylu od tych, do których przywykł. Zdał sobie sprawę, że ci drudzy piloci pochodzili z innych narodowości niż Certan. A zatem o to chodziło - wszystko to byli delegaci różnych narodów.

Kolejną grupą byli dostojnicy z Certanu - Wedge widział wśród nich Iellę i jej ministra. Iella zauważyła jego spojrzenie, uśmiechnęła się, po czym wróciła do roli i zaczęła rozmawiać z kimś ze swojego otoczenia. Większość jej grupy stanowili mężczyźni i kobiety w podobnych sztywnych strojach - można się było domyślić, że to ministrowie, ale sam fakt, że znajdowali się z dala od peratora, oznaczał, że nie należeli do zbyt wpływowych urzędników.

Turr Phennir i jego piloci stali pośrodku własnej grupki. Jeden z pilotów Phennira, rudowłosy i wysoki, udawał, że trzyma ster myśliwca TIE. Potrząsał lekko ręką, naśladując strzelanie do celu. Żrenice miał rozszerzone i mocno błyszczące. Widzowie wokół niego wydawali okrzyki podziwu. Phennir nie zwracał na to uwagi, patrzył na Wedge'a.

- Zanim rozpoczną się uroczystości - zawołał jeden z dworzan - proponujemy trochę rozrywki! Naziemny Mistrz Cheriss ke Hanadi przyjmuje tytułarne wyzwanie od lorda pilota Eneborosa ke Shalapana.

- Teraz już wiemy, gdzie jest Cheriss - odezwał się Tycho i wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć.

Tłum w otoczeniu peratora rozsunał się, tworząc półkole. Wedge skierował się w tamtą stronę.

Cheriss była już pośrodku kręgu, rozciągając mięśnie i markując walkę mieczem blasterowym z wyłączonym zasilaniem. Wyglądała inaczej niż w poprzednim starciu - jak zwykle czujna i napięta, ale tym razem bez drapieżnego uśmiechu. Wydawała się zmęczona i jakby mniej zadbana niż zwykle.

- Ma to samo ubranie co wczoraj - szepnął Hobbie od ucha Wedge^A. Janson skinął głową.

- Faktycznie, to do niej niepodobne. Zwykle jest taka elegancka, nawet kiedy nadziewa ludzi na ten swój rożen.

- Cicho - syknął Wedge. - Coś się tu dzieje dziwnego.

Jej przeciwnik stał na skraju tłumu. Był bardzo wysoki i szczupły, ze starannie podkreślonymi wąsami i kocią bródką w odcieniu ciemnobłond. Przyjaciele i pomocnicy wiązali mu szerokie rękawy, aby nie przeszkadzały w walce. Kiedy uznał, że jest już gotów, skinął głową prowadzącemu, który z kolei zwrócił uwagę Cheriss. Wcisnęła zasilanie swojego miecza i czubek broni zaczął kreślić w powietrzu skomplikowane błękitne desenie. Jej przeciwnik również zaczął wymachiwać mieczem, pozostawiając fioletowe smugi.

Prowadzący wezwał do złożenia hołdu peratorowi i dał znak do rozpoczęcia walki.

Nie trwała długo. Wyzywający wszedł do środka koła i zdążył zadać jeden cios. Cheriss odtrąciła jego ostrze i podążając za ruchem, rzuciła się naprzód kontratakiem, który odsłonił ją całkowicie, ale trafił przeciwnika w żebra. Rozległ się suchy trzask, rozbłysło niebieskie światło i mężczyzna upadł z krzykiem.

Cheriss spojrzała na peratora.

Władca Certanu wzruszył ramionami i wyciągnął rękę dłonią w dół, na znak, że pokonany mężczyzna musi zginąć.

Cheriss pokręciła głową i odwróciła się plecami do peratora i powalonego. Weszła w tłum, pozostawiając pole walki za sobą. Tłum rozstąpił się, choć tu i ówdzie rozległy się okrzyki zdumienia.

- Czy ona zrobiła właśnie to, co mi się wydaje? - zapytał Wedge. - Pozwoliła peratorowi wybrać los pokonanego, a potem go zignorowała?

- Też mi się tak wydaje, szefie - przyznał Hobbie.

Perator skrzywił się, ale rozjaśnił twarz, kiedy podszedł do niego minister i zaczął coś mówić. Władca jakby w ciągu kilku sekund zapomniał o incydencie. Przyjaciele pokonanego podnieśli go z podłogi i usunęli z sali.

Wedge przepchnął się przez tłum w poszukiwaniu Cheriss. Kiedy ją dogonił, rozmawiała właśnie z człowiekiem, który zapowiadał jej walkę.

- ... standardowa zgoda dla ke Seiufere - usłyszał Wedge jej słowa. Mężczyzna skinął głową.

- Cheriss, mogę cię prosić o chwilę rozmowy?

Spojrzała na Wedge'a, a on z zaskoczeniem ujrzał, jak bardzo się zmieniła. Przedtem zawsze ożywiona, pełna energii i radości życia, teraz miała matowe, martwe spojrzenie bez śladu pasji i zainteresowania.

- Ale tylko chwilę - odparła.

- A co, nie masz czasu? Wzruszyła obojętnie ramionami.

- Kiedy pracowałam jako wasz przewodnik, zaniedbałam inne obowiązki i teraz wszystko mi się nagromadziło. Na przykład odpowiadanie na liczne wyzwania, które otrzymuję. Teraz tylko sprzątam.
- Dyskretnie ukryła ziewnięcie.

- Od wczoraj się nie przebrałaś. Spałaś w ogóle? Pokręciła głową.

- Nie potrzebuję snu, żeby sobie poradzić z tymi kozakami - spojrzała przez ramię Wedge'a i przybrała smutną minę. - Lepiej odejść. Ktoś mógłby nabrać podejrzeń... bez najmniejszej przyczyny.
- Odwróciła się na pięcie i wmieszała w tłum.

Wedge obejrzał się. Za nim stał Tycho, napięty i czujny jak zawsze. To nie miało sensu. Dlaczego niby Tycho miałby „nabrać podejrzeń”?

Lecz kilka metrów za nim stała Iella. Bardzo starała się wyglądać niepozornie i doskonale jej się to udawało.

Wedge zamarł i w dalszym ciągu obserwował tłum po tej stronie sali. Kto jeszcze mógłby sprowokować taką reakcję Cheriss? Zauważył i wyeliminował z tuzin twarzy. Nie, musiała mieć na myśli Iellę.

Ale przecież nie powinna znać jej twarzy. Aby ją rozpoznać, musiałaby... Wedge policzył, ile razy piloci Nowej Republiki zetknęli się z Iellą. Nie, Cheriss musiała coś zobaczyć wczoraj w nocy. To pewnie ona była tym milczącym świadkiem, o którym mówił Janson. Musiała znajdować się pod apartamentem Wedge'a, kiedy razem z Jansonem wrócili z „Hołdu”, musiała ich śledzić aż do mieszkania Ielli, a potem w jakiś sposób się jej przyjrzeć.

A teraz...

- Jesteśmy podwójnie błogosławieni - zawołał prowadzący. - Naziemny Mistrz Cheriss ke Hanadi przyjmuje tytularne wyzwanie od lorda pilota Phalle ke Seiufere!

Tłum utworzył kolejny otwarty krąg, a pośrodku stała już Cheriss, tym razem naprzeciwko niskiego, krępego mężczyzny, który wyglądał na bardzo silnego. O długich do ramion jasnych włosach i zaniedbanych wąsach, które dyndały bez życia, stał i wpatrywał się w Cheriss z prawdziwym gniewem w zielonych jak morze oczach.

Wedge zaklął. Zanim dopchał się do kręgu, walka już trwała, Nie była tak szybka i łatwa jak poprzednia; Wedge widział, że Cheriss i jej przeciwnik wymieniają atak za atakiem, za każdym razem odbijając ciosy blasterowego miecza zręcznymi paradami lub - w bardziej bolesny sposób - przechwytyjąc wybuchowe strzały na gardę własnej broni. W ciągu kilku chwil powietrze zgęstniało od delikatnych, świetlistych smug końcówek mieczy i kwaśnego zapachu wyładowań. Wkrótce ten zapach stał się tak silny, że zagłuszał perfumy.

Przeciwnik Cheriss, silny i szybki, wydawał się bez trudu parować ataki kobiety. Niektóre ciosy, zapierające dech szybkością i skomplikowaniem, o włos omijały gardę jego sztyletu trzymanego w lewej dłoni, ale przechwytywał je zręcznie na ostrze miecza. Za każdym razem uwalniając się natychmiast i rzucając naprzód w agresywnym ataku, spychał Cheriss do defensywy. Wkrótce zarówno Cheriss, jak i jej przeciwnik oddychali ciężko, a spod ozdobnych, ciężkich strojów spływały strugi potu.

Cheriss zwolniła, nietypowo trzymanym nożem odepchnęła czubek miecza wojownika i rzuciła się do przodu. Jej przeciwnik zripostował, mieczem odsuwając jej broń z linii, a samemu pozostając na miejscu - lecz ona zanurkowała znacznie niżej niż zwykle i czubek jej broni trafił go pod lewe kolano. Krzyknął głośno, żeby zagłuszyć trzask uderzenia, i opadł na kolana. Zanim zdążył dojsć do siebie, zmuszając ciało, aby pokonało ból i szok po wystrzale, Cheriss wstała, okręciła się i uderzyła go po kolei w oba ramiona. Wrzasnął znowu i upadł ciężko na podłogę. Z jego ran unosił się dym, powietrze wypełniło się odorem spalonego ciała.

Widzowie zaczęli bić brawo. Cheriss, tak zmęczona i rozdygotana, jakiej Wedge dotąd nie widział, pozdrowiła tłum skinieniem głowy i spojrzała na peratora.

Tym razem władca nawet się nie trudził dawaniem jej znaku. Odwrócił się tyłem do niej i jej ofiary. Widzowie wydali okrzyk zaskoczenia. Cheriss również odwróciła się tyłem do pokonanego i zniknęła w tłumie.

Wedge podążył za nią. Zanim jednak zdążył zrobić pół tuzina kroków poprzez kłębiący się tłum, prowadzący krzyknął:

- Uwaga! Zanim ten wieczór poświęcimy do końca demonstracjom mistrzostwa we władaniu blasterowym mieczem, perator pragnie zwrócić się do was wszystkich i do całego świata, wyjaśniając powód dzisiejszego zgromadzenia.

Tłum znowu zafalował, a potem w pozornym zamieszaniu i beładzie znów podzielił się na poprzednie grupki. Wedge stracił z oczu Cheriss i westchnął. Zawrócił do pilotów. Tomer i Hallis dołączyli do nich w chwilę później.

- Doskonały moment na pokazanie mundurów Nowej Republiki - uznał Tomer. - Przypuszczam, że to przemówienie będzie transmitowane na cały świat. Tymczasem piloci imperialni w lokalnych strojach nawet nie wyróżniają się z tłumu. Nie mogłeś wpaść na lepszy pomysł.

- Miło wiedzieć, że udało mi się coś osiągnąć na poziomie dyplomatycznym - mruknął Wedge.

Zasłony na dwóch ścianach rozsunęły się, ukazując ekrany, które Wedge widział już w dniu przybycia na planetę. Ekrany ukazały najpierw zmieszane, niepewne twarze widzów - tych widzów - a potem peratora, uśmiechniętego, w złocistej szacie, doskonałego i niezłomnego jak pomnik. Perator patrzył w bok, rozmawiając z kimś, ale widocznie odebrał znak, bo spojrzał natychmiast w obiektyw kamery i jego uśmiech stał się wręcz olśniewający.

- W tym historycznym dniu - zaczął - zwracam się do całego Adumaru... i myślę, że od tej chwili będę to robił bardzo często. Nadszedł czas, aby zrozumieć i zobaczyć, że Adumar nie znajduje się w pustce. Dzielimy nasz wszechświat z innymi światami i ich związkami. Ukryci przez wiele lat w zapomnieniu, oddaleni, teraz zbliżyliśmy się do nowych przyjaciół, którzy przyjmą nas jak swoich... bo nie dorównujemy im tylko w jednej, choć ważnej sprawie.

W szeregach widzów rozległy się szepty i szmery. Wielu spojrzało najpierw na Wedge'a i jego pilotów, a potem na Turra Phennira i imperialnych. Niektórzy przyglądali się z ciekawością, inni z pewną urazą i podejrzliwością.

- Tak - ciągnął perator - jesteśmy opóźnieni w stosunku do tych zjednoczonych światów pod jednym względem: ale takim, który łatwo naprawić. Jesteśmy światem podzielonym starożytnymi granicami, gdzie tożsamość narodowa służy jedynie pogłę

bianiu podziałów i zmniejszaniu naszej zdolności do podejmowania decyzji, które obejmą cały Adumar. Jestem wdzięczny naszym gościom z innych światów za to, że w łagodny sposób nam to wytknęli.

- Nic nikomu nie wytykaliśmy - szepnął Wedge. - Nawet z nim nie rozmawialiśmy.

- To prawda - zgodził się Tomer. - Ale on pośrednio chłonał informacje, jakie mu przekazaliśmy. Zapisy, rejestry, encyklopedie.

- W konsultacji z władcami i przedstawicielami innych narodów - mówił dalej perator - zgodziliśmy się, że ustanowienie zjednoczonego rządu planetarnego dla Adumaru pozwoli nam współdziałać z zewnętrznymi światami w bardziej skuteczny sposób, pozwoli także na rozpoczęcie handlu i wymiany informacji.

- Brzmi nieźle - mruknął Tomer. - Doskonale.

Perator wyprostował się jeszcze bardziej, a radosną, dobrotliwą twarz ojca narodu zastąpiło poważne oblicze dowódcy świadomego swojej historycznej wartości.

- A zatem - rzekł - tego pamiętnego dnia, niniejszym ustanawiam centralny rząd świata Adumar. Z pokorą i lękiem przyjmuję ster tego zjednoczonego świata. - Po jednej stronie widowni najpierw rozległy się szmery, które przeszły w narastający pomruk. Perator ciągnął: - Nowy rząd będzie miał strukturę taką jak rząd Certanu i zostanie zlokalizowany w tym mieście, aby umożliwić skuteczne i natychmiastowe działanie władzy. - Skłonił pokornie głowę.

Część widzów zaczęła klaskać, ale z innych grup podniosły się okrzyki i hałasy. Wedge wiedział, że z tamtej strony stało wielu zagranicznych dygnitarzy.

- Zaraz, zaraz! - krzyknął jeden z nich. Rzucił się naprzód, w kierunku peratora, machając rękami, aż powiewne rękawy zafalowały wszystkimi kolorami tęczy. - Nie było głosowania...

- Zdrajca! - tubalnym głosem wrzasnął przedstawiciel w stonowanych zieleniach. Nawet jego broda i włosy miały zielonkawą barwę. Nie wolno jednostronnie... - Reszta okrzyku utonęła w narastającym aplauzie i wiwatach pozostałej części widowni.

Żadna z tych gniewnych wypowiedzi nie została wyświetlona na ekranach. Wedge podejrzewał, że mikrofony kierunkowe zostały ustawione tak, aby rejestrować tylko i wyłącznie głos peratora, który będzie następnie transmitowany.

Wedge spojrzał na Tomera.

- Czy tu się dzieje to, co myślę, że się dzieje?

Tomer z zaaferowaną miną wzruszył ramionami, nie spuszczać oka z peratora.

- Wiesz, jak to się nazywa, kiedy jeden władca deklaruje powołanie światowego rządu, a reszta się nie zgadza? - zapytał Wedge drwiąco, ale z gniewem. - To się nazywa zamach stanu. Lasery i pociski wystrzeliwane do własnych obywateli.

- Zamknij się - burknął Tomer.

Perator wreszcie podniósł wzrok i spojrzał na swoich poddanych. Łagodny uśmiech znów powrócił na jego usta.

- Dziś jest ostatni dzień dawnego Adumaru - oznajmił. - Przygotujcie się i przygotujcie wasze dzieci na spotkanie z nową epoką, złotą epoką, która wkrótce nadejdzie. Jutro wszyscy będziemy obywatelami większego, lepszego świata.

Skinął głową i ekrany pociemniały, wypełniając się obojętną szarością.

Większość widzów zgotowała mu ogromną owację. Tylko grupa dygnitarzy zagranicznych wstrzymała się od oklasków. Niektórzy z jej członków dogonili już ostatnie osoby ze świty peratora i właśnie mocowały się ze strażnikami w liberiach.

Perator zwrócił się do nich:

- Musicie oczywiście zdecydować, co jest najlepsze dla waszych narodów - rzekł. Jego głos, sztucznie wzmacniany, zagłuszał zarówno okrzyki protestu, jak i wiwaty. - Wróćcie do swoich delegacji. Porozumcie się z krajowymi rządami. Zróbcie to, co uważacie za stosowne. Wierzcie mi jednak, najlepiej i najprościej będzie wyrazić zgodę. Jutro wszystkie narody będą jednością rządzoną z tego pałacu. Chcecie być chyba traktowani jak przyjaciele i sojusznicy... a nie jak wrogowie państwa. - Wyprostował się godnie i ruszył w kierunku jednego z bocznych wyjść. Towarzyszyła mu część świty.

Wedge spojrzał wrogo na Tomera.

Dyplomata jednak nie wydawał się ani trochę zmieszany.

- Nie możesz mnie o to winić - zaprotestował. - Wziął pod uwagę nasze sugestie o rządzie światowym i zwyczajnie przyciął je do swoich wymagań i ambicji.

Gniew Wedge'a narastał.

- Nie zamierzasz go naciskać, aby porzucił ten plan, gdyby miał on oznaczać wojnę?

Tomer pokręcił głową.

- To ściśle wewnętrzna sprawa, generale. Perator może wykorzystywać naszą obecność, nasze potrzeby organizacyjne, jako usprawiedliwienie dla tego planu, ale nie jesteśmy w niego zaangażowani i nie możemy się angażować.

- Certan i jego sąsiedzi, jeśli dobrze rozumiem sytuację, są dość potężni, aby podbić wszystkie kraje, które będą stawiały opór - rzekł Wedge. - Stworzyli zatem rząd planetarny w swojej własnej

wersji. Państwo, gdzie ludzkie życie cenne jest tylko wtedy, jeśli zostanie zabrane w imię osobistej chwały. Myślisz, że Nowa Republika go zechce? Myślisz, że mają ze sobą cokolwiek wspólnego?

Tomer skinął głową z pewną siebie miną.

- Jakoś wypracujemy kompromis. Właśnie, mówiąc o tym...

- Kolejna rozrywka dla gości! - wykrzyknął mistrz ceremonii. - Cheriss ke Hanadi przyjmuje naziemne wyzwanie od lorda pilota Thanaera ke Sekae.

Wedge coś wymamrotał, rzucił Tomerowi przez ramię: „Później!”, odwrócił się i zanurzył w tłum, kierując się w stronę powstającego właśnie otwartego placu.

Zobaczył i dogonił Cheriss, zanim weszła w krąg. Wydawała się jeszcze bardziej zmęczona i pozbawiona życia niż przedtem. Zmierzył gniewnym wzrokiem otaczających ją ludzi, aż się cofnęli o krok.

- Co ty sobie wyobrazasz? - zapytał. Spojrzała na niego z ukosa, bez emocji.

- Już ci powiedziałam.

- Skłamałaś - odparł. - To ja ci powiem. Próbujesz się zabić.

- Wcale nie. Mogę go pokonać - powiedziała bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem.

- Zapewne. A jeśli ci się uda, przyjmiesz następne wyzwanie?

- Tak.

- I jeszcze jedno?

- Tak.

- Jak długo?

- Aż się skończą wyzwania.

- Albo zostaniesz pokonana. - Pochylił się nad nią. - Dzisiaj okazałaś pogardę peratorowi. Oddałaś w jego ręce los swojego wroga, a sama dokonałaś innego wyboru. Teraz, aby pomścić zniewagę i przypodobać się peratorowi, każdy, kto cię pokona, zechce cię zabić. Nikt nigdy już nie okaże ci litości. Zgadza się?

Spojrzała ponad jego ramieniem na wyczekującego przeciwnika. Wedge zauważył go kątem oka - mężczyzna średniego wzrostu, w ciemnej tunice ozdobionej powiewającymi czerwonymi wstążkami. Podobne wstążki zdobiły jego brodę.

- Mój przeciwnik czeka - zauważyła.

- To sobie poczeka. - Wedge zaczerpnął głęboko tchu i spróbował uporządkować myśli. - Cheriss, chcę ci coś powiedzieć. Zabrzmi to może egoistycznie, prawdopodobnie będziesz protestować, ale nic mnie to nie obchodzi. Wiem, że mam rację. To jest tak: lubisz mnie i wiesz, że ja lubię kogoś innego, więc postanowiłaś raczej umrzeć niż żyć dalej z tą świadomością.

Spojrzała na niego w milczeniu.

- Czekam - warknął przeciwnik Cheriss, stojący samotnie w ringu. Wedge nawet nie zaszczyił go spojrzeniem.

- No i co z tego?! - zawołał. - Jeszcze kilka minut cię nie zbawi. Widownia zachichotała. Wedge rozpoznał śmiech Jansona. Znów spojrzał na Cheriss.

- Chciałbym bardzo - rzekł - abyś nie tylko mnie lubiła, ale również okazała mi odrobinę szacunku.

- Jak możesz tak mówić! - Wreszcie w jej głosie zabrzmiało jakieś uczucie: niepoohamowany gniew. - Gdybym cię nie szanowała...

- ...nie marnowałaś tak bezsensownie życia, będąc w całkowitej sprzeczności z wszystkim, w co wierzę? - Spojrzenia otaczających ludzi skupiły się na Wedge'u, a on z trudem zmusił się do zniżenia głosu. - Cheriss, to niehonorowo.

- Naprawdę w to wierzysz - zauważyła ze wzgardą.

- Mogę ci to udowodnić. A przynajmniej mogę ci udowodnić, że wszystko, co sądzisz na mój temat, jest błędne. Co we mnie jest takiego, co ty i inni Adumarianie uważacie za tak godne szacunku?

- Twoje sukcesy w zabijaniu wrogów...?

- Nie. To nie jest honorowe zajęcie... - Czekał, aż uniesie w zdziwieniu brwi, po czym ciągnął dalej - ... a raczej byłoby bez właściwych intencji. Dlaczego zabijamy wrogów, Cheriss?

- Dla... dla honoru...

- Błąd. Tautologia. Jestem człowiekiem honoru, ponieważ zabijam wrogów, a zabijam wrogów dla honoru. To nie ma sensu, Cheriss. Prawda jest taka: zabijam wrogów po to, by ktoś, gdzieś... kogo nigdy nie znałem i zapewne nigdy nie poznam... był szczęśliwy.

Spojrzała na niego zmieszana.

- Właśnie to nie ma sensu.

- Ależ ma. Opowiedziałem ci, jak straciłem rodziców. Nic nigdy nie naprawi tej straty. Lecz jeśli stanę na ścieżce ludzi tak złych jak ci, którzy zabili moją rodzinę, i jeśli ich zniszczę, wówczas ktoś inny, kogo mogliby skrzywdzić, będzie żył szczęśliwie. I to jest jedyny honor płynący z mojego zawodu. Nie samo zabijanie. Tylko sprawianie, aby galaktyka stała się nieco lepszym miejscem.

Pokręciła głową z niedowierzaniem, ale milczała.

- A teraz widzę, jak rozumujesz niczym niedojrzała dziewczynka, a nie dorosła kobieta, gotowa zmarnować sobie życie, bo akurat w tej chwili jest nieszczęśliwa. A wszystko to dlatego, że od dziecka słyszałaś, jak honorowo jest robić coś takiego. Powiedz mi, gdzie tu honor? Czy dajesz komuś lepsze życie? Czy usuwasz złych ludzi z dworu Certanu, czy po prostu wycinasz każdego, kto się nawinie?

- Ja...

- Po prostu przestań to robić, Cheriss. Wyobraź sobie, jak szczęśliwie będziesz żyła, a nie myśl dlaczego żyć nie powinnaś. Porozmawiamy jeszcze. Nauczysz się tego.

Coś nagle pojawiło się w oczach Cheriss. Jakiś głęboki ból.

- Dobrze - odparła. - Po tej walce.
- Odrzuć to wyzwanie. Jest bez znaczenia.
- To prawda... ale już je przyjąłem.

Wyciągnęła blasterowy miecz i uważnie obejrzała ostrze od gardy po sztych.

- Teraz nie mogę się wycofać. Byłabym zhańbiona na zawsze.
- Cheriss...
- Nie mogę, generale. - Minęła go i stanęła na skraju kręgu.

Piloci Wedge 'a i Tomer stanęli obok dowódcy, gdy prowadzący rozpoczął zwyczajowy rytuał rozpoczęcia pojedynku.

- Nic z tego, co? - zapytał Janson.
- Może nie całkiem - odparł Wedge. - Zobaczymy, jeśli przeżyje.

Rozejrzał się, by poszukać wzrokiem Ielli. Stała znów obok swojego ministerialnego towarzysza, udając, że podoba jej się ten krwawy sport. Wedge widział na jej twarzy tę samą satysfakcję, co na wszystkich innych, ale kiedy ich oczy się spotkały, wyczytał w nich troskę.

Cheriss i Thanaer ruszyli na siebie.

Ich pojedynek przypominał ostatnie starcie. Ciosy Thanaera były szybkie i mocne... a Wedge 'owi wydało się, że Cheriss walczy coraz wolniej. Nie miała dość siły fizycznej, aby przebić się przez obronę Thanaera, który mieczem i sztyletem bez trudu parował wszystkie jej ataki. Rzucili się na siebie i zwarli w klinczu z mieczami uwięzionymi w bloku noża przeciwnika, a kiedy się rozdzielili, szybkim ruchem sztyletu udało jej się ciąć przeciwnika w prawy nadgarstek. Rana jednak go nie spowolniła.

Znów rzucili się na siebie w kolejnej wściekłej wymianie pchnięć i parad, aż jeden z ciosów Thanaera, zbyt szybki, by Cheriss mogła go prześledzić, wyminął gardę i trafił

ją w pierś. Rozległ się trzask uwolnionej energii. Cheriss poleciała w tył i upadła na podłogę.

Leżała nieruchomo z przymkniętymi oczami. Oddychała szybko i płytko. Thanaer podszedł do niej przesadnie powoli i ostrożnie, schował sztylet do pochwy, a potem schylił się i wyłączył miecz Cheriss. Kopnął broń dalej końcem buta i rozejrzał się po tłumie widzów.

Na skraju grupy stała kobieta - jasnowłosa, ładna, ubrana w różne odcienie błękitu i fioletu, o niewinnych, beztroskich rysach. Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Dłonią w dół.

- Niech będzie - rzekł Thanaer i uniósł koniec miecza.

Wedge postąpił krok naprzód, otworzył usta, żeby się odezwać, ale spóźnił się o pół sekundy. To

Janson ryknął, aż jego głos odbił się od sufitu komnaty:

- Wyzywam cię!

Thanaer i tłum obejrzeni się. Janson stał z jedną ręką wzniesioną w górę, stopy rozstawił w karykaturze pozy bohatera. Śmiał się wesoło.

- Tak, tak, Wstępobrody. Wyzywam cię. Thanaer zamrugał.

- Tytularnie czy nie?

- Och, nietytularnie. Nie chcę twojego tytułu. Tylko trochę tej cieczy, której używasz zamiast krwi.

Certański wojownik uśmiechnął się złośliwie.

- Doskonale. Jak tylko pozbędę się tego pełzającego po ziemi śmiecia, zajmę się tobą.

- Co to, to nie - syknął drwiąco Janson. - Zabijesz ją, to się wycofam z wyzwania. W tłumie rozległ się szmer zaskoczonych głosów. Twarz Thanaera spochmurniała.

- Pan mnie obraża, majorze.

Tomer stanął za plecami Wedge'a i Jansona, mówiąc scenicznym szeptem:

- Nie możesz tego zrobić. Jeśli wyzywasz kogoś pod jakimiś warunkami, sugeruje to, że nie interesuje cię sama walka, tylko warunki.

- Dzięki, Tomerze - odparł szeptem Janson. - Teraz rozumiem. Uniósł ramię.

- Owszem, Thanaerze, obrażam cię - potwierdził. Gwar w tłumie widzów narastał. - Widzisz, nie jesteś dość dobry, aby zmierzyć się ze mną czy to w powietrzu, czy na ziemi. Nie interesuje mnie pojedynek z tobą. Robię to dla dziewczyny. Oszczędź ją. Daję ci tę jedną jedyną życiową szansę. Zabij ją, a ja cię potraktuję jak zero, którym jesteś. Czy wyraziłem się dość jasno, abyś zrozumiał?

Ostatnie słowa wypowiedział tonem belfra, który nie ma dla uczniów ani szacunku, ani sympatii.

Z tłumy rozległy się pełne zgrozy okrzyki. Thanaer wyprostował się, zeszywniał i spojrzał na Cheriss. Jego praca myślowa była aż nadto jasna dla Wedge'a. Zabić dziewczynę nie dla honoru, ale żeby obrazić Jansona - czy przyjmując wyzwanie i zyskać mnóstwo honoru?

Schował miecz.

- Przyjmuję - rzekł. - Umieszczam twoje słowa na czubku mojego miecza i zaraz wsadzę ci je z powrotem w gardło.

Odsunął się od Cheriss i stanął na skraju areny.: Wedge i jego piloci przyklękli przy dziewczynie. Jej twarz lśniła od 'potu, była poszarzała i przezroczysta. Z rany unosiła się para.

- Górna część lewego płuca - ocenił Tycho. - Rana niezbyt głęboka. Ale jest w szoku i to może ją zabić.

Wedge zaklął pod nosem. Galowe mundury, które mieli na sobie, nie przewidywały miejsca na komunikatory, a te, które przynieśli, były zbyt małe i miały za krótki zasięg.

- Tycho - poleciał - idź na plac. Nie trać czasu. Nie daj się nikomu zatrzymać. Hobbie, przekażesz komunikat przez X-wingi na „Hołd”. Niech zbiorą ekipę medyczną i wyślą na miejsce naszego przylotu w wahadłowcu. Wtedy skontaktujesz się z Tychem. Będziesz mu towarzyszył na plac.

Tycho skinął głową i wziął Cheriss na rękę. W ciągu kilku sekund obaj piloci zniknęli.

Wedge i Janson wyprostowali się i jednocześnie odwrócili, żeby spojrzeć na Thanaera. Certański pilot ku radości tłumów ćwiczył cały czas tę samą figurę.

- Wskoczyłeś przede mnie - syknął Wedge. - To była moja walka. Janson uśmiechnął się.

- O, zauważyłeś?

- Sądziłeś, że sobie z nim nie poradzę?

- Wiem, że byś sobie poradził. - Janson zademonstrował uśmiech pełen zimnej, gadziej satysfakcji; tak się uśmiechał nieraz, kiedy wreszcie udało mu się namierzyć trudnego przeciwnika, który zdecydowanie zasługiwał na to, aby zjednoczyć się z przestrzenią. - Ale istnieją trzy ważne powody, dla których to ja muszę podjąć tę walkę, a nie ty.

- Na przykład?

- Po pierwsze, kwestie zawodowe. Jesteś dyplomatą, wszystko, co się tu dzieje, koncentruje się wokół ciebie. Jeśli coś pójdzie nie tak, nie można cię będzie zastąpić. A mnie tak. Po drugie, sprawy osobiste. Robiłbyś to niejako nadprogramowo. A ja się będę doskonale bawił. Zdjął pas i kurtkę, odsłaniając nagie ramiona i pochwę wibro-ostrza przymocowaną do lewego przedramienia. Podał obie części garderoby Wedge-’owi, po czym podniósł blasterowy miecz Cheriss.

- A trzeci powód?

- Również osobisty. - Spojrzał za plecy Wedge ’a, w tłum. - Nie jestem pewien, co się wydarzyło zeszłej nocy... ale uznaj to za prezent zaręczynowy. Albo coś w tym rodzaju. - Odwrócił się od Wedge’a i wyszedł na środek kręgu, wysoko unosząc miecz.

Widzowie ryknęli.

- Zanim umrzesz - syknął Thanaer - nauczę cię, czym się kończy obrażanie lepszych od siebie.

Janson uśmiechnął się. Gestem wskazał kobietę, która skazała na śmierć Cheriss, wyciągając rękę dłonią w dół.

- Thanaer, jedno ci muszę przyznać: śliczna jest ta wdowa po tobie. Prowadzący przerwał tę

wymianę złościwości.

- Mamy tu nietytularne wyzwanie naziemne. Nowy mistrz naziemny, lord pilot Thanaer ke Sekar, przyjmuje wyzwanie majora Wesa Jansona z dyplomatycznej misji Nowej Republiki.

Tym razem tłum nie kwapił się z oklaskami. Wedge wyczuwał, że wszyscy wstrzymują oddech. On też. Nie wiedział, że Tomer stoi obok niego, dopóki nie przemówił:

- Sytuacja bez zwycięzcy.
- Wyjaśnij mi to - zażądał Wedge.

- Jeśli Janson przegra, wasza grupa dyplomatyczna zostanie zredukowana. Mniej pilotów, mniej obiektów podziwu dla Adumarian. Imperialni nie będą się czuli zobowiązani do zredukowania własnych szeregów. Jeśli Janson zwycięży... cóż, Thanaer cieszy się tu wielkim szacunkiem. Jest uwielbiany na dworze Certanu i przez peratora.

Wedge pokręcił głową.

- Przemyśl to sobie, Tomerze. Jeśli Janson zginie, umrze porządny, szlachetny człowiek. Jeśli zginie Thanaer, umrze facet, który chce sobie dorobić parę punktów kosztem życia młodej kobiety. Potrafisz dostrzec różnicę?

Tomer westchnął.

- Myślę, że mówimy bardzo różnymi językami.
- Choć raz się z tobą zgadzam.

- Za peratora! - zawołał mistrz ceremonii. Thanaer zwrócił się w kierunku wyjścia, którym perator opuścił salę, i zaszalował, kreśląc mieczem tradycyjny wzór krzyża w kole. Janson poszedł za jego przykładem, ale raczej niedbale.

- Honor lub śmierć - zakończył prowadzący i wmieszał się w tłum. Thanaer przyjął pozycję wyjściową.

Janson przełożył miecz Cheriss do lewej ręki.

- Hej, popatrz na to! - zawołał i zamachał nim wściekle przed sobą. - Patrz! Bantha!

Jarząca się kreska pozostawiona przez czubek miecza w istocie przypominała dziecięcy gryzmoł przedstawiający banthę.

Wedge zmarszczył brwi. Janson był leworęczny. To nie jest dobry pomysł, aby się tak odsłaniać, mając jedyną normalną broń w gorszej ręce.

Thanaer gapił się tylko z niemądrą miną.

- Nie wiesz, co to bantha? - Janson wzruszył ramionami. - A spójrz na to. Zamachał raz jeszcze, tworząc nierozpoznawalną plataninę świecących linii w powietrzu.

- Adumarski *farumme!* O, jeszcze jeden! - Teraz wynik jego wysiłków, po przetworzeniu przez komputer i licznych poprawkach, mógłby przypominać nieco lokalny myśliwiec. - Blade-32!

Thanaer nadal czekał.

- Już jesteś gotów na śmierć? Popatrz sobie jeszcze!

Kiedy obraz myśliwca zgasł, Janson narysował kolejny obraz. Był to człowiek z kresek, z małym kółeczkiem zamiast głowy.

- A to Thanaer ke Sekae!

Thanaer zacisnął szczęki i była to jedyna zmiana wyrazu twarzy, jaką Wedge mógł zaobserwować pod gęstym zarostem i wstążkami. Adumarianin, cały czas poważny do bólu, skoczył.

Janson okręcił się i sprowadził ostrze Thanaera z linii ataku. Thanaer rozpędem uderzył w niego, a gardy zderzyły się z traskiem. Janson poderwał ramię i zadał cios, od którego głowa Adumarianina odskoczyła w tył, a nos zmienił się w krwawą miazgę. Prawą dłonią chwycił prawą rękę Thanaera i uderzył nią z całej siły w podniesione kolano. Miecz wysunął się ze zdrętwiałych palców Thanaera i upadł na ziemię z głośnym traskiem blastera, po którym nastąpił łomot spadającej rękojeści.

Janson pchnął przeciwnika i certański pilot cofnął się chwiejnie, jednocześnie rozbrojony i zdezorientowany. Janson postawił obutą stopę na mieczu Thanaera tuż poniżej gardy. Ostrze pękło z metalicznym brzękiem, a końcówka przestała syczeć i rysować w powietrzu rozjarzone linie.

Janson uśmiechnął się do Adumarianina.

- Teraz mamy jasną sytuację.

Wyłączył zasilanie w mieczu Cheriss i z udaną nonszalancją odrzucił broń w kierunku, z którego przyszedł. Wedge chwycił go w powietrzu.

- Ja biję. Ty cierpisz. Kapujesz?

Thanaer w odpowiedzi sięgnął po sztylet. Janson poczekał, aż go chwyci, i wymierzył mu kopniaka z półobrotu, który nie tylko jeszcze bardziej uszkodził prawą rękę tamtego, ale też wyrzucił sztylet w powietrze. Broń z brzękiem upadła na podłogę w pobliżu pierwszego rzędu widzów i potoczyła się pod ich stopy.

- Zapomniałem ci coś powiedzieć - mówił dalej Janson. - Na niektórych światach ludzie walczą też nogami. Nogi, ręce, kamienie, czysta, przeklęta siła woli... oto wojownicy. A ty... ty jesteś dyletant. Ustawił się w typowej postawie do walki wręcz, lewym ramieniem do przodu.

Oszołomiony, niepewny Thanaer, zalany krwią z nosa, niezdarnie uniósł ręce, imitując postawę Jansona. Janson uśmiechnął się i ruszył.

Wedge z trudem powstrzymał grymas współczucia. To była masakra. Pięści Jansona bombardowały żołądek przeciwnika. Kiedy adumarski pilot próbował je zablokować, Janson zajął się jego żebrami i Wedge przysiągłby, że słyszy trzask pojedynczych kości, które nie wytrzymały uderzeń. Kiedy Thanaer próbował uderzać, Janson przyjmował ciosy na przedramiona i barki, a niekiedy nawet wycofywał się na szerokość dłoni i pozwalał, by uderzenia lądowały w powietrzu.

I za każdym razem wracał do bicia, a ciosy brzmiały jak odgłos drewnianego młota, którym zbija się wiszące płaty bancego mięsa.

Ale nie uderzył przeciwnika w twarz. Wedge wiedział, że to nie litość, lecz zdrowy rozsądek - kości szczęki prędzej połamią palce bijącego niż na odwrót.

Ostatnie ciosy Thanaera uświadomiły widzom, że Adumarianin ledwie widzi i w ogóle nie myśli. Tłukł puste powietrze daleko od miejsca, gdzie stał Janson, potem rozglądał się wokół w poszukiwaniu przeciwnika, który znajdował się o metr od niego.

- Możesz przynajmniej powiedzieć, że położył cię mistrzowski cios pięści - pocieszył go Janson.
- Jeśli oczywiście będę dla ciebie tak miły.

Uniósł otwartą dłoń, wnętrzem skierowaną do przeciwnika, aż mętny wzrok Thanaera skupił się na niej. Wtedy uderzył. Cios trzasnął w ciszy jak pejcz. Janson cofnął rękę.

Oczy Thanaera uciekły w głąb czaszki, a na policzku wykwitła czerwona plama, wielkości w przybliżeniu dłoni Jansona. Kolana się pod nim ugięły. Z głuchym jękiem upadł na ziemię i przymknął powieki.

Janson wesoło pomachał tłumowi i wrócił na swoje miejsce obok Wedge'a, nucąc coś, co generał rozpoznał jako muzykę taneczną z Taanab.

Tłum zahuczał oklaskami, ale nie wszyscy bili brawo. Okrzyki protestu i zadowolenia zagłuszały się wzajemnie. Wedge pomógł przyjacielowi włożyć kurtkę.

- I to wszystko? - zapytał. - Oparłeś całą walkę na założeniu, że potrafisz odbić pierwszy cios?

Janson skinął głową.

- Właściwie tak. Nie mogłem sobie wyobrazić, że zaatakuje od razu najlepszą kombinacją. To mi dało jeden, może dwa punkciki przewagi. - Owinął się pasem.

- Nie musiałeś go poniżyć - dodał Tomer. Janson spojrzał na niego.

- Tak naprawdę nikt nic nie musi, Tomerze. Bez tego poniżenia nie było mowy, że się czegokolwiek nauczy. Teraz ma może pięć procent szans na zrozumienie, że jest wielkim workiem bancego łajna. Jakieś pięć procent więcej niż kilka minut temu.

Wzruszył ramionami.

- Kto jest głodny? Wedge wyszczerzył zęby.

- Wynosimy się stąd. Ja stawiam.

ROZDZIAŁ 9

Dalsza część dnia przyniosła wiele dobrych wiadomości.

Zanim Wedge i Janson, a wraz z nimi Hobbie, znaleźli odpowiednią restaurację z oddzielnymi salonikami, pozwalającymi na minimum prywatności, usłyszeli wyrok na Cheriss.

- Wyjdzie z tego - wyjaśnił Tycho przez komunikator. - Dobrze reaguje na bactę i powinna jutro zostać wypuszczona.

- To dobrze - odparł Wedge. - Upewnijcie się, czy medycy wiedzą, że mają mnie powiadomić o jej wyjściu. Chcę być przy niej jako przyjazna dłoń, kiedy ją uwolnią.

- Nie ma sprawy.

- I wracaj tutaj na dół. Mamy dziś kupę roboty.

- Myślałeś kiedy o spaniu, szefie? Wedge zaśmiał się.

- O czym ty właściwie mówisz?

- To tak jakbyś był nieprzytomny, ale nie w kąpieli z bacty, a kiedy się budzisz, czujesz się lepiej, niż gdy zasypiałeś.

- Nieźle brzmi. Muszę kiedyś spróbować, jak się znajdziemy na pole. Wyłączam się. - Wedge złożył komunikator i spojrzał na ekran z menu, który pokazywał dostępne tego dnia dania jako serię animacji krążących po ekranie i pojedynkujących się na blasterowe miecze.

- Nie sądzę, abym chciał zjeść coś, co wygląda, jakby chciało wypiąć we mnie dziurę.

Hobbie spojrzał z powątpiewaniem.

- Mówiłeś, że mamy dużo do zrobienia? Wedge skinął głową.

- A co konkretnie?

- Będziemy próbowali przeciągnąć na naszą stronę imperialnego generała.

- Potrzebne jakieś narzędzia?

- Jasne... Dojrzałość Wesa, twój optymizm i moje umiejętności dyplomatyczne. Hobbie ukrył twarz w dłoniach.

- Czarno to widzę.

Wedge wziął z kwatery silniejszy czujnik, ale zredukował jego moc, aby informacje nie mogły być podsłuchane przez „Bezlitosnego” czy nawet najbliższe certańskie miasto. Co pół godziny on lub jego piloci wzywali przez komunikator admirała Rogrissa.

Wkrótce potem, jak słońce Adumaru zapadło za horyzont i pojawił się pierwszy z dwóch księżyców, udało mu się otrzymać odpowiedź i zaaranżować spotkanie.

Godzinę później stał sam na placu Certanu - nie tego, na którym wiele dni temu wylądował razem ze swoimi pilotami, lecz innego, mniej więcej tej samej wielkości, choć położonego znacznie dalej od centrum. Na środku placu stała fontanna, z okrągłą wysepką z czegoś w rodzaju durabetonu, ozdobioną mosiężną rzeźbą. Rzeźba przedstawiała młodego jeszcze peratora, ubranego w kombinezon pilota myśliwca, machającego do tłumu, którego o tej porze już nie było. Za plecami peratora artysta umieścił siedem chmur eksplozji ustawionych w pół-okrąg, prawdopodobnie reprezentujących siedem kampanii wojskowych, w których przywódca brał udział.

Admirał Rogriss również nie zwlekał z przybyciem. Wedge widział dwie sylwetki zbliżające się z przeciwległego końca placu - jedna, potężniejsza, pozostała w sąsiedztwie fontanny, druga niepewnie kroczyła w kierunku Wedge'a. Wkrótce księżyc oświetlił jej twarz - był to admirał.

Wedge nie skomentował jego wyglądu. Od ostatniego spotkania Rogriss bardzo się zmienił. Miał wprawdzie spokojną i radosną minę, ale chwiejny krok wskazywał wyraźnie, że jest pijany jak żołnierz na pierwszej przepustce. Wedge widywał już taki wyraz twarzy. Tak wygląda młody, zadzierzysty pilot, kiedy przegrywa bitwę i choć nie ginie, zdaje sobie nagle sprawę, że nie jest nieśmiertelny i można go zabić.

Wedge wskazał głową na sylwetkę przy fontannie.

- Ochroniarz lokalny czy imperialny?

- Wierny syn Imperium - jowialnie odparł Rogriss. - Przybył, aby mnie chronić i w razie czego zaświadczyć o próbie przekupstwa.

Wedge uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Próba przekupstwa? Obawiam się, że nie mam nic przy sobie.

- Ach, tak? Dyplomata z ciebie równie zręczny jak szpieg. A więc nie przyszedłeś po to, aby mi zaproponować dowództwo, żołd czy wdzięczność Sojuszu Rebeliantów, jeśli tylko zdradzę tych, którym wiernie służę dłużej, niż ty chodzisz po ziemi? Muszę powiedzieć, że mnie rozczarowałeś, mój chłopcze.

- Takie układy to robota dla prawdziwych szpiegów - odparł Wedge już całkiem poważnie. - Ale mam ci jednak coś do zaoferowania. Drogę wyjścia.

Rogriss zaśmiał się.

- Wyjścia? Z czego? Z mojej emerytury?

- Z twojego dylematu. Posłuchaj mnie chociaż przez minutę, admirale. Nie oczekuję, że przyznasz mi rację, pewnie też nie przekazesz żadnych informacji i to jest w porządku. Ale chcę, abyś usłyszał,

co mam do powiedzenia.

Rogriss zamyślił się i skinął głową.

- To pewne, że jeśli Adumar wybierze Imperium, będzie to w twoim najlepszym interesie - dodał Wedge.

Rogriss zaśmiał się.

- Dziękuję, że mi to uświadomiłeś. Doprawdy, zaczynasz się sprawdzać jako dyplomata.

- Nie dlatego że to twoja misja, ale dlatego że alternatywa oznacza ruinę. Może nawet śmierć. Samobójczą śmierć.

Rogriss nie odpowiedział. Uniósł brwi z powątpiewaniem i czekał.

- Jeśli bowiem Adumar sprzymierzy się z Nową Republiką, będziesz musiał skontaktować się ze swoimi zwierzchnikami, pomimo przysięgi, jaką złożyłeś w ich imieniu, a oni przyślą tu siły zbrojne. Inwazja zniszczy Adumar tak doszczętnie, że nawet nie będzie się opłacało sprzątać. A przy okazji słowo „honor” również ulegnie zniszczeniu. Równie bezpowrotnie.

- Słuchaj no, Antilles...

- Nie, to ty słuchaj, Rogriss. Jesteśmy tu mniej więcej na tej samej pozycji. Możemy grać zgodnie z zasadami, robić, co nam każą, zachować kariery... i stracić wszystko. Albo też zaryzykować i prawdopodobnie również stracić wszystko... z wyjątkiem naszego słowa. Bo słowo można nam zabrać jedynie wówczas, gdy na to pozwolimy. Mówię Ci tylko, jeżeli rzeczywiście zaoferowano ci to, co przypuszczam, że nie powinieneś tak łatwo oddawać honoru. Powinieneś odmówić złamania słowa. A jeśli twój świat nagle odwróci się przeciwko tobie, ponieważ wybrałeś zachowanie honoru, możesz udać się do nas, zamiast wracać wprost pod lufy plutonu egzekucyjnego.

- To absurd.

- Nieraz już mi to mówiono.

Rogriss odwrócił się... ale nie odszedł. Po chwili namysłu spojrział znowu na Wedge'a.

- Hipotetycznie rzecz biorąc, gdybyś mówił prawdę, a ja zrobiłbym to, co zalecasz, moje dzieci nigdy by nie zrozumiały, co zrobiłem.

- A wychowałeś je tak, żeby były do ciebie podobne? Dociekliwe, inteligentne, podejrzliwe i złośliwe?

Rogriss uśmiechnął się znowu, tym razem pokazując zęby.

- Ja bym to nazwał inaczej, ale odpowiedź brzmi: tak.

- Więc nie uwierzą kiedy usłyszą informacje, w które miałyby uwierzyć tylko dlatego, że powiedział to ktoś ważny. A ty nie zrozumiałeś mnie do końca. Jeśli moje podejrzenia co do twoich rozkazów są prawdziwe, a ty odmówisz posłuszeństwa i wrócisz do domu, zostaniesz skazany i stracony i nigdy nie powiesz im ostatniego słowa. Jeśli przejdiesz do nas, wywiad Republiki może

przekazać twoim dzieciom informacje, a ja gwarantuję, że to zrobią... albo zajmę się tym osobiście. Będziesz miał szansę wyjaśnić synowi i córce swoje motywacje. Nawet zaproponować przejście na stronę Nowej Republiki, jeśli tego zechcą.

- No no - wzruszył ramionami Rogriss. - Opowiadasz ciekawe historie, Antilles. Wedge podał mu kartę danych.

- Na tej karcie znajdziesz awaryjną częstotliwość, na której można mnie łączyć. Możesz skontaktować się ze mną w ten sposób w dowolnej chwili, jeśli tylko zechcesz

zaakceptować moją ofertę, a nawet jeśli tylko będziesz chciał zabić się naszym kosztem.

Rogriss wziął kartę.

- Z pewnością nie przepuszczę okazji, aby się zabić waszym kosztem.

- Czego nie może zrobić imperialny admirał, tak?

- Żegnaj, generale.

- Spokojnego wieczoru, admirale.

Rogriss odchodził powoli, lecz stąpał pewniej. Czy przytłoczyła go oferta Wedge'a, czy przypominał sobie swoje rozterki? A może po prostu trochę wytrzeźwiał? Wedge nie wiedział.

Zanim piloci wrócili do apartamentów, w ich notatnikach pojawiły się wieści od Tomera. Perator wezwał kolejne zebranie w sprawie rządu światowego na kolejny wieczór.

Wedge i Czerwoni spędzili rano i wieczór na zwykłych zajęciach, które obecnie nazywano „szkołą lotów” - przyjmując wyzwania od Adumarian i demonstrując im, jak się to robi w Nowej Republice. Dziś było mniej wyzwań, dzięki czemu zyskali kilka długich, spokojnych godzin, aby polatać dla samej tylko przyjemności.

Po dzisiejszych lotach nie było już hałaśliwego szpaleru przyjaznych widzów, odprowadzających ich do samej kwatery, tylko kilka grup sympatyków pod bramą bazy powietrznej. Nie było też Cheriss, więc nie miał im kto powiedzieć, jak imperialni piloci poradzi sobie z dzisiejszymi wyzwaniami. Powrót do budynku był spokojny i bez nieprzewidzianych zdarzeń.

- Nie mamy już żadnych przyjaciół - rzekł Janson, opierając się o barierkę. - Udało nam się wszystkim do siebie zniechęcić.

Tycho uśmiechnął się półgębkiem.

- Zdawało mi się, że przez całe życie do tego właśnie dążyłeś.

- Słusznie. - Janson wyprostował się. - Właściwie dlaczego się skarżę? Przecież jeszcze nie wybudowali naszych pomników, żeby je obrzucać zgniłymi owocami.

- Daj nam jeszcze jeden dzień - odparł Hobbie.

Wieczorem, na przyjęciu, znów mieli na sobie galowe mundury Nowej Republiki. Tym razem, kiedy weszli do sali balowej Dworu Królewskiego, nie mieli najmniejszego problemu z

odnalezieniem pilotów Imperium - dziś oni także mieli na sobie mundury. Monotonna nieskazitelna szarość mówiła wiele o latach panowania Imperium. Chociaż jak na adumarskie standardy było to smutne ubranie, doskonale wyróżniali się z tłumu.

- Poszli za naszym przykładem - zauważył Janson wesoło. - Założę się, że dostali taki rozkaz. Trochę boli, co, generale Phennir? - Stał o kilkanaście metrów od imperialnego oficera, który wprawdzie nie mógł słyszeć jego słów, ale i tak zmierzył go gniewnym wzrokiem.

Tomer podszedł do nich.

- Będzie wojna jak nic - rzekł żalonym tonem. - Nic ich już nie powstrzyma.
- Zrób mi przyjemność i skończ z tą farsą - rzekł Wedge. - Może trochę ci smutno, że skończy się to wojną... ale wszystko poza tym poszło przecież zgodnie z twoimi planami.

Tomer wydawał się zmieszany.

- Moje plany? Myślę, że zostały już dawno pokrzyżowane, generale.
- Tak, wszystko już przepadło. Cofnijmy się zatem nieco w czasie. Jesteś tutaj regionalnym funkcjonariuszem i masz za zadanie spowodować przyłączenie Adumaru do Nowej Republiki.
- Jestem tylko dyplomata...
- Zamknij dziób. Ale twoi zwierzchnicy potrzebowali ogólnoplanetarnego rządu, żeby uprościć sprawę, więc ty zająłeś się przekonywaniem władców Adumaru, żeby rozważyli taką możliwość. Wszystko jak dotąd wygląda bardzo ładnie.

Tomer pokręcił przecząco głową, ale nie spuszczał oka z Wedge'a.

- I tu się zaczynają schody. Tubylcy chcą rozmawiać ze słynnymi pilotami, więc posyłasz po mnie, zamierzając trzymać mnie pod ręką jako rozrywkę dla certańskiego dworu, ponieważ wiesz, że nie mam żadnych zdolności dyplomatycznych. Gdy tylko się pojawia, odkrywasz, że jest tu również Imperium, co znacznie zawęży ramy czasowe, w jakich musisz się zmieścić. Im dłużej Imperium będzie tu działać, tym łatwiej przyjdzie im propagowanie swego umiłowania śmierci i krwi w walce. Musisz działać szybko. Oznacza to konieczność stworzenia ogólnego rządu w sposób najszybszy z możliwych - poprzez namówienie peratora Certami na zamach stanu. Jemu się to też spodobało. My latamy dla przyjemności gapiów, a ty kombinujesz, jak wypełnić swoją misję kosztem setek, a nawet tysięcy niewinnych istnień w wojnie domowej.

- Interpretujesz wszystko w możliwie najbardziej negatywny sposób.

Wedge'a ogarnęło poczucie triumfu. Tomer już nie zaprzeczał swojej roli w wydarzeniach, jak również swojej pozycji w wywiadzie.

- A ty musisz zwyciężyć. Powodzenie tej akcji to jedyny sposób, żeby uratować tyłek. Wiesz, że nie możesz wyjaśnić zmian swojego planu generałowi Crackenowi, bo on nigdy się na to nie zgodzi. Dlatego nie dostałeś żadnego rozkazu od Crackena i nie mogłeś mnie zmusić do tego, abym grał

według twojej melodii. Musiałaś wprowadzić blokadę komunikacji, żeby żadne informacje, oprócz twoich raportów, nie przedostały się do uszu generała. Sukces z Adumarem albo koniec kariery, prawda, Tomerze? Twoja kariera może zresztą nie przetrwać nawet sukcesu. Kiedy Leia Organa Solo przyjrzy się tym wydarzeniom, może uznać cię za zbrodniarza wojennego, a nie za sprawnego dyplomatę.

Tomer przyglądał mu się gniewnie przez dłuższą chwilę.

- Mogłeś mi pomóc. Wszystko jakoś by poszło.

- Pewnie mogłem... gdybyś tylko od początku był ze mną szczerzy. Gdybyś nie narzucił Certanowi zamachu stanu jako jedynej drogi wykonania twojego planu.

- Używałeś wszystkich możliwych sposobów... o, jest perator.

Władca Certanu stanął w drzwiach, otoczony gromadą strażników i doradców niczym żywą tarczą. Wedge ujrzał Hallis, tym razem w morskozielonej sukni, tylko wło

sy miała upięte tak samo jak wczoraj. Przecisnęła się możliwie jak najbliżej do władcy, ale i tak stała poza linią graniczną wyznaczoną przez ochroniarzy.

Perator obdarzył widzów swoim charyzmatycznym uśmiechem. Tym razem nie transmitowano jego słów na ekranach, choć wzmacniacze pozwoliły usłyszeć je wszystkim.

- Z wielkim smutkiem muszę ogłosić, że niektórzy nie wyrazili aprobaty dla naszych planów na przyszłość. Przede wszystkim, konserwatywne rządy Halbegardii i Konfederacji Yedagon zdecydowały się wystosować protest. Ich działania są skierowane bez wątpienia na pogorszenie naszych przyszłych stosunków z innymi światami i mogą spowodować, że Adumar pozostanie słabą, zdezorganizowaną planetą, liczącą się jedynie jako obiekt podboju z zewnątrz. Ogłaszam zatem Halbegardię i Yedagon poza naszą protekcją... i celem działań pacyfikacyjnych, które wkrótce się rozpoczną.

Urwał i dworzanie natychmiast zareagowali oklaskami. Dzisiaj Wedge zauważył, że grupki dygnitarzy w sali są znacznie mniejsze. Przypuszczał, że wczorajsi goście, którzy dziś byli nieobecni, zostali albo aresztowani, albo byli już w drodze do swoich rodzinnych ziem.

Perator uniósł dłonie i uciszył oklaski.

- Czy bohaterscy piloci Imperium i Nowej Republiki mogą się zbliżyć?

Wedge przybrał dyplomatyczną minę i ruszył przed siebie wraz z Tychem, Jansonem i Hobbiem. Z prawej strony widział, jak piloci imperialni ruszyli naprzód w identycznym militarnym szyku. Tłum rozstąpił się przed nimi i dwie grupy pilotów niemal jednocześnie stanęły w odległości trzech metrów przed peratorem.

Władca rozpromienił się.

- Wasza ósemka pilotów przyniosła Adumarowi wspianą rozrywkę i wiedzę, choć stało się to w okolicznościach nieco innych, aniżeli te, które przyniosły wam sławę. Teraz chciałbym to

naprawić. Czy moglibyście... a wasza zgoda przyniosłaby nam wielką radość... poprowadzić oddziały sił Certanu do działań przeciwko naszym nieprzyjaciołom, abyśmy w pełni mogli docenić wasze umiejętności i honor?

Turr Phennir odezwał się jako pierwszy. Jego głos był prawie tak głęboki i ciepły jak głos peratora.

- Będzie dla mnie ogromnym zaszczytem zademonstrować, co mamy do zaoferowania ludowi Certanu i Adumaru.

Perator uśmiechnął się do niego, po czym spojrzał na Wedge'a.

- A nasz przedstawiciel Nowej Republiki? Wedge odchrząknął. To nie będzie przyjemne.
- Musimy odmówić.

Wyraz twarzy władcy zmienił się. Jego twarz emanowała teraz smutkiem i żalem.

- Ale dlaczego? Czy może to być, abyśmy mniej was obchodzili aniżeli waszych imperialnych partnerów?

Wedge przez ułamek sekundy ważył słowa.

- Nie. Sądzę, że obchodzicie nas nawet bardziej. Ale musimy to okazać w inny sposób. W tym przypadku jest to odmowa.

- Rozumiem. - Perator skinął głową z miną świadcząca o tym, że postanowił pozostać rozsądny nawet w obliczu bolesnej zdrady. - Proszę odejść.

Wedge i jego piloci zrobili w tył zwrot i wyszli. Po drodze minęli Tomera.

- To była wasza ostatnia szansa, aby zrobić coś mądrego - rzekł. - Teraz to ja muszę wypić piwo, którego nawarzyliście.

Dyplomata pobiegł w stronę swity peratora.

- No i - odezwał się Janson - jak to jest być byłym dyplomata? Wedge zachichotał.

- Bywało lepiej.

- Myślisz, że nas eskortują na „Hołd” czy może postawią nas z roboczego końca obrony planetarnej i naciśną spust?

Tomer precyzyjnie się do peratora. Jego oczy i wymachiwanie rękami świadczyły, że błaga o coś władcę. Perator kilkakrotnie pokręcił głową ale ostatecznie przystanął i zaczął słuchać. Jednak kiedy Tomer w końcu odwrócił się i opuścił otoczenie władcy, miał nietęgą minę.

- Generale Antilles - zawołał perator. - Nie, proszę nie podchodzić. Nie mam ochoty, aby stał

pan bliżej niż w tej chwili.

Wedge przystanął i czekał, ignorując naganę w głosie władcy.

- Ogłaszam was wrogiem państwa Certan - rzekł perator. - Lord Tomer Darpen wyjaśnił mi jednak, że rozstrzelanie was, jak na to zasługujecie, może Certan sporo kosztować.

- Chyba jest jeszcze gorzej - mruknął Hobbie.

- Skazuję więc ciebie i twoich pilotów na wygnanie. Wynieście się z Certanu korytarzem do bazy lotniczej Giltella i więcej nie pokazujcie mi się na oczy.

Wedge bez słowa odwrócił się tyłem do peratora i ruszył w kierunku wyjścia. Czuł się zupełnie bezsilny. Ciężar klęski dyplomatycznej, od tak dawna przewidywanej, uderzył go nagle z całą siłą. Chwila porażki miała gorzki smak. Nie przypominał sobie, żeby w ostatnich czasach czuł się gorzej niż teraz.

Nie, to nieprawda. Czuł się znacznie gorzej, kiedy wydawało mu się, że na zawsze stracił Iellę. Przeżył to i pokonał. To też go nie zabije.

Dogonił go Tomer.

- Macie kłopoty.

- A już myślałem, że moje kłopoty się skończyły.

- Nie. Prawdopodobnie zginiecie, zanim dotrzecie do swoich blade'ów. Wedge przystanął.

- Jakich blade'ów? Wracamy do X-wingów. Tomer pokręcił głową.

- Zostały skonfiskowane.

- Skonfi...

- Właśnie w tej chwili. Zanim wrócicie, już ich nie będzie na balkonie. Zostaną odholowane jako ładunek. Musicie pomyśleć o korytarzu powietrznym, jeśli macie przeżyć.

Wedge rozejrzał się wokoło. Nikt z tłumu nie stał bliżej niż o kilkanaście metrów od nich. Większość przypatrywała mu się z wyrazem współczucia... lub odrazy. To samo mniej więcej uczucie ogarniało go, kiedy myślał o Adumarianach dotykających jego X-winga i o tym, że potrzebuje kilku informacji od człowieka, którego najchętniej by obić.

- Dobrze. Co to według ciebie oznacza?

- Musicie się dostać do bazy lotniczej Giltella dowolnym środkiem lokomocji, Czekają na was cztery blade'y z wyposażeniem do lotów w przestrzeni. Jeśli zdołacie się przedrzeć do „Hołdu” przez wszystkie myśliwce, które będą usiłowały was zestrzelić, to przeżyjecie. Ale - Tomer bezradnie wzruszył ramionami - teraz każdy może was zabić, Wedge. Całkiem legalnie. Od drzwi pałacu peratora do doku „Hołdu” jesteście zwierzyną łowną.

- A to oznacza - dodał Hobbie - że im dłużej będziemy zwlekać, tym więcej sił zdołają zgromadzić przeciwko nam.

Tomer skinął głową.

- Właśnie. Teoretycznie moglibyście również wykorzystać ten czas na skomunikowanie się z przyjaciółmi i przygotowanie sobie jakiejś obrony. Ale na planecie nie macie przyjaciół, którzy chcieliby wam pomóc. - Spojrzał przeprasząco. - Przykro mi. Perator był okropnie wściekły. Zabiłby was od razu, gdybym nie...

- Twoją rolę w tej całej sprawie omówimy później - przerwał mu Wedge. Czuł, że ogarnia go lodowaty chłód. Chłód wściekłości na peratora, Tomera i cały Adumar. Chłód zrozumienia, że już po drodze może zginąć, zanim nawet zdąży wykorzystać najużyteczniejsze ze swoich umiejętności.

Obejrzał się na gapiów i podniósł głos.

- Kto ofiaruje blasterowe miecze czterem skazanym? Przez długą chwilę nikt się nie poruszył.

A potem z tłumu wyszedł dygnitarz z kraju, który przyłączył się do Certanu. Smukły mężczyzna w złotej tunice bez słowa podał swój pas i miecz w pochwie Wedge'owi. Pilot, z którym latali Czerwoni, wręczył swoją broń Tychowi. Jakaś kobieta, minister, sądząc z wieku i stroju, zażądała mieczy od swoich strażników i przyniosła je Hobbieniu i Jansonowi. Wedge dziękował każdemu po kolei.

Ujrzał nagle zbliżającą się Iellę. Przesuwała się dyskretnie za plecami tłumu. Pochwycił jej wzrok i lekko pokręcił głową. Zrozumiała i przystanęła. Nie miała mu nic do zaoferowania, nie tutaj... a przy okazji mogła zniszczyć swoje incognito i narobić sobie szkody. Wedge miał tylko nadzieję, że Tomer nic nie zauważył.

W drzwiach odebrali swoje blastery i chwilę później stanęli w szyku do wyjścia z pałacu peratora, aby po schodach dostać się na dziedziniec i do zewnętrznej bramy.

Za bramami zebrał się jednak tłum... Stali wyczekująco u stóp schodów. Widząc jaskrawe mundury Nowej Republiki w przejściu, tłum na dziedzińcu zaczął krzyczeć do pilotów, żeby wyszli.

- Musimy zgubić pościg i zniknąć im z oczu na chwilę - postanowił Wedge. - Ale nie będziemy się z nimi bawić w ich grę. - Wyjął komunikator i uruchomił go. - Szlaban, przekaz ten komunikat na „Hołd”. - Usłyszał gwizd astromechanicznego robota i zaczął mówić: - Generał Antilles do „Hołdu”. Żądam awaryjnej ewakuacji z powierzchni planety.

Brak odpowiedzi.

- Antilles do „Hołdu”, zgłoś się. Cisza.

Wedge spojrzął z troską na pozostałych pilotów.

- W porządku. Myliłem się. Udało im się pokrzyżować nasze plany. Zrobimy to zatem po ichniemu. - Sprawdził ładunek w blasterze. Pozostali natychmiast zrobili to samo.

- Meldować po kolei.

- Gotów - rzekł Tycho.

- Nie zrobimy niczego, czego mogliby się po nas spodziewać. „Czwórka”, czego oni po nas oczekują?

- Że pobiegniemy w kierunku bramy - odparł Hobbie - i damy się zastrzelić.

- Właśnie. Tego akurat nie zrobimy. - Wedge rozejrzał się po dziedzińcu. Ujrzał zebranych mężczyzn i kobiety, nie więcej niż trzy tuziny. Czekali, aż wyjdą. Zobaczył też zaparkowane transportery kołowe i jeden repulsorowy, tuż przy ścianie, o kilkadziesiąt metrów na lewo od bramy. Skinął głową w tamtym kierunku.

- Tam jest nasz cel - rzekł. - Ruszamy.

Biegiem wypadli na schody. Jak tylko ludzie z tłumu podnieśli blasty, Wedge i jego piloci otworzyli ogień i odbili na lewo, okrążając grupę. Zasypały ich strzały. Robiło to wrażenie, jakby nagle znaleźli się w szkółce nowo przyjętych rekrutów oddziału szturmowców. Strzały były niecelne, oddawane głównie w powietrze, lecz mimo wszystko potencjalnie śmiertelne z powodu dużego zagęszczenia.

Trzeba było sobie z tym poradzić. Janson został nieco z tyłu i zaczął strzelać celniej, wykorzystując dobry wzrok i wrodzone umiejętności strzeleckie, którymi szczycił się od dzieciństwa.

Kiedy pierwsze szeregi przeciwników zaczęły padać, bo jeden po drugim przyjmował strzały Jansona w twarz, pierś i brzuch, tłum zaczął się miotać. Kilku strzelców rozbiegło się w poszukiwaniu schronienia - ale jedyną osłoną były ciała zabitych towarzyszy. Inni zdwoili wysiłki, strzelając jeszcze szybciej i jeszcze celniej.

W połowie drogi przez dziedziniec Wedge poczuł nagle ciepło na karku i skurczył się w oczekiwaniu na ból, który jednak nie nastąpił. Skończyło się na muśnięciu przegrzanego powietrza z chybionego strzału. On także strzelał w biegu, choć nie tak celnie jak Janson, lecz równie skutecznie - tłum strzelców jakoś nie kwapił się, by go ścigać.

Nagle tuż przed nim wyrósł wiszący już w powietrzu transporter. Wedge przeskoczył przez tylną burtę i rzucił się do przodu, w kierunku tablicy sterowania. Przechylił się i odstrzelił linę przytrzymującą pojazd. Poczuł wstrząs, kiedy za nim wylądował Tycho. Kolejne strzały trafiły w burtę transportera.

Ukląkł przed tablicą, aby jak najlepiej skorzystać z osłony niskiej maski i burt pojazdu. Uruchomił napęd.

- Melduj, kto wchodzi na pokład - polecił.

Tycho leżał na brzuchu przy prawej burcie transportera, z pistoletem wspartym o jej krawędź. Strzelił raz, drugi, trzeci, aż Wedge usłyszał wrzaski z tłumu napastników. Rozległo się kolejne łupnięcie o pokład i Tycho zameldował.

- „Czwórka” na pokładzie.

- Gdzie „Trójka”?

- Trzydzieści metrów za nami.

- Przejmiemy go. - Wedge wycofał niezgrabny pojazd, który zaczął sunąć w tył, ale rozpaczliwie powoli. Wedge zredukował moc repulsorów po lewej burcie, zwiększając po prawej, dzięki czemu

pojazd przechylił się mocno w lewo. Tak trudniej nim było sterować, ale dawał przynajmniej pasażerom pewną, choć dość mizerną osłonę.

Transporter zadrżał znowu, tym razem mocniej, i Tycho oznajmił:

- „Trójka” na pokładzie.

Wedge obejrzał się na swoich ludzi.

- Ktoś ranny?

Pokręcili głowami, nie patrząc na niego, zbyt zajęci zasypywaniem tłumy ogniem z prawej burty.

Wedge zwiększył moc repulsorów do maksimum. Transporter wystrzelił w górę... ale tylko na wysokość czterech metrów. Połowa wysokości muru otaczającego kompleks pałacowy peratora. Nie było możliwości przeskoczenia ponad nim.

- Musimy wyjechać przez bramę - zdecydował Wedge. - Piloci, trzymać się. Ruszył prosto w kierunku tłumy strzelających, skupionego przed bramą. Powietrze było ciężkie od smrodu i ciepła promieni laserowych. Tylko strzelcy znajdujący się najdalej mogli zobaczyć kogokolwiek wewnątrz transportera i przyzwoicie wycelować. Wszyscy inni widzieli jedynie podwozie.

Tycho wrzasnął i zerwał się na równe nogi, kiedy metal pod jego brzuchem nagle się rozgrzał. Podłoga transportera zaczęła się żarzyć. W dwóch miejscach pojawiły się dziury i promienie z blasterów wystrzeliły w niebo. Wedge przesunął się, kiedy poczuł pod sobą ciepło.

Jednak metr po metrze zbliżali się do bramy. Zaczęli już wymijać napastników zgromadzonych na dziedzińcu. Przy bramie czekał na nich szereg ludzi z blasterami, strzelających wprost w podwozie przelatującego nad nimi transportera. Wedge ujrzał, jak jeden promień, wprawdzie o zredukowanej już energii, przeciął biodro Hobbiego. Syknął, przechylił się przez burtę i oddał trzy szybkie strzały w kierunku atakujących.

Wreszcie znaleźli się poza bramą, lecąc bardzo wysoko nad ulicami pełnymi pieszych i pojazdów transportowych. Pościg zostawał w tyle.

Nagle repulsor zakrzuszył się i pojazd natychmiast stracił szybkość. Pogoń zaczęła się zbliżać, pomimo tłoku panującego na ulicach.

Hobbie opatrywał ranę kawałkiem materiału oddartego od kieszeni kurtki.

- Sytuacja jakoś się nie chce poprawić, co? Tycho podniósł metalową osłonę silnika.

- Przestrzelony - oznajmił. - Na wylot. Ogień z blastera.

- Znakomicie - mruknął Wedge. - Janson, czego oni się po nas spodziewają?

- Że wylądujemy i będziemy uciekać pieszo albo że znajdziemy kolejny transporter. Kołowy, skoro innych nie ma w okolicy. - Janson wychylił się ostrożnie ponad rufą transportera i oddał kilka strzałów do pościgu. Wedge ujrzał, że dwaj napastnicy upadli, a jeden natychmiast został przejechany przez transporter na kołach, którego kierowca nie był w stanie skrócić w porę.

- Cóż, a my zrobimy coś całkiem innego - postanowił Wedge. Skierował umierający pojazd ku

budynkowi po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko bram pałacu. Był to wysoki dom mieszkalny, o głębokich balkonach, przeważnie elegancko umeblowanych.

Zbliżając się do budynku, Wedge zauważył na jego ścianie ekrany. Wszystkie pokazywały ten sam obraz - tył transportera Wedge'a z odległości czterdziestu czy pięćdziesięciu metrów, na zbliżającym się tle budynku.

Zaklął. Jakaś kamera transmitowała ich ucieczkę. Prawdopodobnie obraz widoczny był na wszystkich publicznych i osobistych ekranach w całym Certanie. Ludzie stojący pod budynkiem rozpoznali obiekt, spojrzeli w górę i zaczęli sobie pokazywać transporter palcami. Niektórzy wyciągnęli blastery i otworzyli ogień.

- Hobbie, ogień na prawą burtę. Tycho, na lewą. Jansonie, pilnuj rufy. - Wedge stwierdził nagle, że ich transporter, nawet na maksymalnej wysokości, nie jest w stanie przelecieć nad poręczą nawet na najniższym balkonie. Prawdopodobnie zmieści się akurat pod nim.

- Na mój znak przygotujcie się do opuszczenia pozycji, przejdźcie naprzód i skoczcie.

- Kapuję, szefie - odparł Tycho. Przeszedł na lewą stronę transportera i zaczął zasypywać ogniem zgromadzonych tam nowych przeciwników.

Za chwilę balkon znalazł się tuż przed nimi. Stały na nim stylowe fotele, zajęte przez przerażonych i zaskoczonych szlachetnie urodzonych Adumarian ze szklankami w rękach. Wedge nie widział w pobliżu żadnych ekranów i podejrzewał, że gospodarze nie mają pojęcia, co się dzieje.

- Naprzód - krzyknął. Piloci opuścili swoje stanowiska i ruszyli w jego kierunku. Wedge zablokował stery i przeszedł na przód. Zaledwie znalazł się w odległości dwóch metrów od balkonu, stanął na poręczy i rzucił się przed siebie, chwytając za barierkę. Przerzucił nad nią nogi i wylądował na balkonie. Piloci kolejno szli w jego ślady: jeden, drugi, trzeci.

Wyjął blaster, zanim jeszcze właściciel balkonu stanął na nogi. Odczekał, aż powolny transporter rozbije się o ścianę budynku pod balkonem, i uspokoił obecnych:

- Nie przeszkadzajcie sobie, my tylko przechodzimy.

Poprowadził pilotów przez rozsuwane drzwi z przezroczystych płyt do apartamentów gospodarza. Było tam jeszcze więcej ludzi - dorosłych, dzieci, służby w liberii. Wedge machnął pistoletem i wszyscy podnieśli ręce w górę.

- Ściągać kurtki i pasy - polecił swoim ludziom. - Zbyt się wyróżniają. Możecie sobie państwo zachować je na pamiątkę. Ty - wskazał na jednego ze służących - gdzie tu jest jakaś garderoba?

Mężczyzna z miną wyrażającą jednocześnie zachwyt i niepokój wskazał kierunek.

Janson pilnował mieszkańców, podczas gdy Wedge otwierał drzwi szaf. Chwycił cztery ciemne płaszcze i podał je Hobbiemu i Tychowi, którzy zajęli pozycję po obu stronach drzwi prowadzących prawdopodobnie do głównego holu budynku.

Za plecami słyszał strzępki rozmów.

- Ten tutaj to ten Sumienny.
- Patrz, nie jest wyższy od pozostałych. Myślałem, że to giganci.

- Czy takie są obyczaje w ich świecie?

- Podoba mi się, może złożymy w taki sposób wizytę ke Oleanom? Wedge owinał płaszczem ramiona Jansona, na siebie narzucił drugi, a pozostałe wręczył pilotom przy drzwiach.

- Gotowi - orzekł. - Idziemy.

Janson otworzył drzwi, wystawił głowę i rozejrzał się na obie strony.

- Czysto. Dokąd?

- Prosto - polecił Wedge. - Byle szybko.

- Dzięki za zaszczyt uczyniony naszemu domowi! - zawołał jeden z gospodarzy.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Wedge i pobiegł za pilotami do holu. Słyszał okrzyki dochodzące z najbliższej klatki schodowej, mógł nawet zrozumieć słowa:

- Musicie nam pozwolić wejść z bronią. Macie intruzów na pierwszym piętrze... Wedge się zaśmiał. Choć raz lokalne środki bezpieczeństwa zadziałały na jego korzyść, a nie odwrotnie.

Po drugiej stronie zauważył wysokie podwójne drzwi, bez wątpienia wejście do kwatery sąsiadów - jakiejś innej szlachetnie urodzonej rodziny.

- Przestrzelcie zamek - rozkazał.

- Zaczekaj - rzekł Hobbie. Chwyci! za gałkę, przekręcił, pociągnął. Drzwi otworzyły się. Pilot wzruszył ramionami i przepaszająco spojrział na Wedge'a. - Warto było spróbować.

Wpadli do apartamentów, zaskakując trójkę służących nakrywających do długiego stołu. Przebiegli obok, prosto do drzwi balkonowych. Balkon był pusty, choć na długim barku z boku stało kilka szklanek.

Wedge wyrztał przez poręcz. Pod sobą miał normalną ruchliwą ulicę, pełną pieszych, tylko z dwoma transporterami kołowymi w zasięgu wzroku. W dali zauważył rzadkość w centrum Certanu - parę adumarskich jaszczurów wierzchowych i kierujących się ku nim spokojnie jeźdźców. W okolicy nie było widać wymachujących bronią wariatów.

W chwilę potem cała czwórka zeskoczyła na ulicę i wmieszała się w strumień przechodniów. Na skrzyżowaniu pochylili głowy i włożyli kaptury. Niedobitki napastników, wrzeszcząc, skręciły za róg budynku, który właśnie opuścili piloci. Teraz czekali z wymierzonymi blasterami.

- Na razie idzie dobrze - rzekł Wedge, zniżając głos. - Obserwujcie ekrany. Jeśli zobaczymy na nich siebie w czasie rzeczywistym, będziemy wiedzieć, że mamy kłopoty.

- Jaki plan? - zapytał Tycho.

- Wiedzą, dokąd się wybieramy, ale my musimy się tam dostać, jeśli mamy opuścić planetę. Podejrzewam, że znaleźlibyśmy dość prywatnych blade'ów na balkonach... ale wtedy ugrzęźniemy tutaj, próbując przejść przez ochronę, o której nie mamy pojęcia. A oni będą mieli czas nas rozpoznać i wznowić pościg. - Wedge pokręcił głową. - Nie, musimy się dostać do bazy lotniczej. Będą mieli ludzi na wszystkich znanych drogach do bazy i pewnie całą delegację przy głównej bramie. Pójdziemy bocznymi ulicami i tylnymi alejkami, aż dotrzemy w pobliże... - Wedge zatrzymał się na chwilę i zamyślił.

- Najtrudniej będzie wejść do bazy - uprzedził Janson. - Transpastalowe ściany ośmiometrowej wysokości, wyższe niż te cholerne transportery o zredukowanej mocy są w stanie przeskoczyć. Łatwe do upilnowania bramy są jedynym punktem wejścia. Szkoda, że nie mamy tutaj komandosów Page'a lub Widm i kilku dni na przygotowania.

- Będziemy improwizować - zapowiedział Wedge. - Potrzebujemy transportera kołowego, jednej z kamer, których używa pościg i czterech kompletów damskich ubrań.

Hobbie spojrzał na niego wstrząśnięty.

- Szefie, błagam, powiedz, że nie przebierzesz nas w babskie szmaty.

- Jasne - odparł Wedge. - Nie przebiorę was w babskie szmaty. Sami to zrobicie.

ROZDZIAŁ 10

Pół godziny później cała czwórka, ubrana w szaty adumarskich kobiet, skradzione w mieszkaniu jakieś rodziny z klasy średniej, siedziała wygodnie w transporterze o dwie przecznice od bazy lotniczej Gildia. Hobbie ze zboląłą miną zerkał na Wedge'a, który go całkowicie ignorował.

Na słabo oświetlonym odcinku ulicy, biegnącym pomiędzy magazynami bazy, piloci byli doskonale ukryci w cieniu. Niestety, musieli zbliżyć się do frontowej bramy bazy, jaskrawo oświetlonej lampami - arowymi na wysokich słupach. Nawet z tej odległości widzieli, że tłum czeka na nich bardzo niecierpliwie.

- Okłamałeś mnie - poskarżył się Hobbie.

- Tak - odparł Wedge. - Przy moich błyskotliwych osiągnięciach w dziedzinie dyplomacji doszedłem do wniosku, że kłamstwo może być potężnym motywatorem.

- Moja wiara runęła w gruzy.

- Wiedziałeś doskonale, że skończysz w kiecce, kiedy zażądałem czterech kompletów damskiej odzieży. Wiedziałeś. Więc wszelkie nadzieje, jakie żywiłeś, były tylko oszukiwaniem samego siebie.

- Rozumiem. Ale i tak wolę winę zwalić raczej na ciebie niż na siebie. Wedge zaśmiał się.

- Tycho, co przed nami?

- Sto pięćdziesiąt, może nawet dwieście sztuk - odparł zapytany. - Jakies pięćdziesiąt na jednego.

- Nie tak źle - odparł Janson, trzaskając palcami. - No, kto najlepiej wygląda w kiecce? Głosuję na siebie.

- Cicho - warknął Wedge. - Tycho, wiesz już, jak działa łączność? Tycho skinął głową.

- Tak myślę, ale chyba musimy trochę polegać na szczęściu.

- No to po nas - stwierdził żałośnie Hobbie.

Tycho wskazał na kamerę, zabraną człowiekowi, który teraz spał snem sprawiedliwego z guzem wielkości komunikatora na głowie, bezpiecznie ukryty pod schodami budynku mieszkalnego.

- Nie mogę ominąć lokalnych kamer - wyjaśnił. - Nie mam odpowiedniego sprzętu. Tylko określony protokół nadawania. Podejrzewam, że kiedy wyświetlimy zapis, jakiś szef lokalnej sieci informacyjnej zadecyduje, czy puścić go na ekrany w całym mieście, czy nie.

- Zrobią to - zapewnił Wedge. - Biorąc pod uwagę tematykę, zrobią to na pewno. W porządku, zaczynaj nadawanie.

Uruchomił transporter, kierując się w stronę dwustu gotowych na wszystko morderców czekających na nich przy bramie lądowiska. Tycho wcisnął kilka przycisków z boku kamery i starannie umieścił ją na ulicy. Już po chwili stracili urządzenie z pola widzenia.

Ekran na mijanych budynkach, choć nie tak liczne jak na bogatszych budynkach w centrum, pokazywały teraz przemontowaną wersję ich ucieczki z pałacu peratora i pojedyncze obrazy, kiedy w skradzionych płaszczach zdążają do bazy lotniczej Giltella. Udało im się uniknąć po drodze bezpośredniej konfrontacji z całym mnóstwem zabójców i domorosłych filmowców, nawet kiedy kradli suknie; musieli tylko raz czy dwa oddać po kilka strzałów w kierunku bardzo odległej teraz pogoni.

Teraz zaś kierowali się wprost na grupę nieprzyjaciół, znacznie liczniejszą i niecierpliwie wyczekującą ich przybycia.

Za każdym razem, kiedy mijali ekran, Hobbie mrucał: „Wciąż to samo”. Znaleźli się jeszcze bliżej. Zebrani ludzie już ich zauważyli i zaczęli pokazywać palcami.

Wedge poczuł, że ściska mu się żołądek.

- No, już, już - szeptał. - Rusz się...

- Może coś źle zrobiliśmy - zastanawiał się Hobbie. - Mogliśmy nie zakodować odpowiednich protokołów bezpieczeństwa, albo coś. Pewnie nie... o, jest.

Na ekranie najbliższego budynku pojawiły się nowe obrazy. Cztery ludzkie sylwetki na tle ściany budynku, nagle jasno oświetlone. Dwaj piloci zrzucili kaptury, odsłaniając twarze - Wedge Antilles i Wes Janson. Okazali najpierw zaskoczenie, a potem wściekłość.

Na ekranie Wes Janson odrzucił płaszcz i wyciągnął blasterowy miecz. Obraz zafalował, jakby osoba trzymająca kamerę nagle się potknęła, a potem odległość od pilota zwiększyła się nagle, jakby kamerzysta uciekał.

Janson jednak pobiegł za nim, wymachując mieczem, którego jarzący się czubek pozostawiał w powietrzu świetlistą smugę. Po lewej stronie ekranu, lecz poza nim, pojawił się błękitny rozbłysk, potem obraz zawirował, kiedy osoba trzymająca kamerę zamachała rękami i upadła na ziemię.

Po chwili obraz się ustabilizował, ukazując fasadę budynku - z charakterystycznym *farumme* wierzchowym nad wejściem - i znieruchomiał. Piloci, wciąż ledwie widoczni na lewym skraju ekranu, zniknęli z pola widzenia.

Wedge skinął głową. Próba była dość bezczelna, ale jeśli ludzie z Certami nie zaczną zbyt starannie analizować tego, co zobaczyli, powinna wystarczyć na dość długo, aby Wedge mógł z tego skorzystać.

Piloci wykonali ten zapis kilka minut temu, stojąc przed łatwym do zidentyfikowania budynkiem opodal bazy. Hobbie trzymał kamerę jedną ręką, a wyrwany z nawierzchni ulicy kamień barwy cegły w drugiej. Czwarta sylwetka w oku kamery była fałszywa - jej rolę odegrał płaszcz zawieszony na czubku miecza Tycha. Kiedy Janson skoczył, jego miecz dotknął kamienia z nawierzchni, co dało w wyniku rozbłysk sugerujący, że to osoba trzymająca kamerę została ranna.

Tłum musiał zobaczyć ten zapis. Z dwustu gardeł wydarł się ryk rozczarowania i wściekłości. W

ciągu kilku sekund ruszyli przed siebie, kierując się ku transporterom pilotów, a potem dalej. Wedge miał nadzieję, że będą próbowali osaczyć ich w okolicach budynku, który posłużył za tło inscenizacji.

- Przygotować się - polecił, otulając twarz szalowym kołnierzem.

W ciągu kilku sekund pierwsze szeregi tłumu znalazły się przy nich. Większość przebiegła obok, ale jeden z mężczyzn, dysząc ciężko, wskazał mieczem na dom z czerwonym *farumme*.

- Widziałyście ich? - zapytał.

Wedge skinął głową, pokazując palcem w tym samym kierunku. Za jego plecami rozległ się nagle przeraźliwy, wysoki krzyk. Wedge obejrzał się szybko, ale to Hobbie wydawał wrzaski paniki, szarpiąc ubranie na piersi, jakby ogarnął go nagle zabójczy strach. Wedge zamrugał, patrząc na ten pokaz gry aktorskiej i obejrzał się na ulicę.

- Nie bójcie się - uspokajał mężczyzna, który ich zaczepił. - Dopadniemy ich i sprawimy, że będą cierpieć za każdy... - Toczący się ciągle transporter był już jednak zbyt daleko, aby usłyszeć dalsze słowa.

W chwilę potem piloci znaleźli się poza główną grupą żądnych krwi Adumarian.

- Ładnie wrzeszczałeś, Hobbie - pochwalił Wedge.

- Często ćwiczę - odparł Hobbie ochryplym głosem. - Za każdym razem, kiedy Wes robi plany dla eskadry. Albo kiedy Korelianin dla nas gotuje.

Janson i Wedge spojrzeli na niego groźnie.

Wokół bramy pozostało już tylko około trzydziestu mężczyzn i kobiet. Większość wpatrywała się w kamery umieszczone na szczycie transpastalowych ścian, lecz parę osób wciąż obserwowało zbliżający się transporter. Poza bramą, również wzniesioną z transpastali, stali dwaj strażnicy bazy w czarno-złoty mundurach.

- Na „raz!” strzelać w zamki bramy - polecił Wedge. - Kiedy zobaczą, że się otwierają, powiem „dwa!” To będzie znak na ogień zaporowy w kierunku tłumu. Nad głowami, póki sami nie zaczną strzelać. Zrozumiano?

Cała trójka odpowiedziała twierdząco.

W miarę jak się zbliżali, pierwsi obserwatorzy zaczęli wołać: „Widziałyście ich?”, „Czy zabili kamerzystę?”

Jakby w odpowiedzi Wedge krzyknął: „Raz!” i wyciągnął blaster, strzelając w zamek bramy.

Pozostali piloci dołączyli ogniem. Jedna seria z wyjątkową precyzją wypaliła cały mechanizm. Strażnicy za bramą odskoczyli i padli na ziemię.

Kątem oka Wedge zauważył, że część osób w tłumie się cofa, ale zaraz wszyscy zrozumieli, że nie strzelano do nich. Zaczęli podnosić uzbrojone w blastery ręce i...

Zamki nie były jeszcze całkiem zniszczone, kiedy Wedge krzyknął: „Dwa!”, przechylił się na lewą stronę i zaczął oddawać strzał za strzałem, wyrывая kawałki nawierzchni. Raz tylko niechętnie strzelił do młodego człowieka, który był zbyt odważny lub zbyt głupi, aby wykazać się instynktem samozachowawczym. Starannie wycelował w transporter i wtedy strzał Wedge'a trafił go prosto w brzuch. Niefortunny strzelec zgiął się wpół i upadł na ulicę, śmiertelnie ranny.

Transporter uderzył w bramę i zadygotał cały, ale wrota ustąpiły. Pojazd przejechał poza ogrodzenie. Janson, Hobbie i Tycho nieustannie chronili tyły ogniem zaporowym.

Jeden ze strażników wstał, podniósł ręce i pobiegł za transporterem.

- Zaczekajcie! Zaczekajcie!

- Jeszcze jeden wariat - mruknął Janson. - Zastrzelić?

- Jeśli zastrzelimy każdego Adumarianina, który jest niespełna rozumu, to na planecie zabraknie z mieszkańców - rzekł Wedge. - Posłuchajmy, co ma nam do powiedzenia.

Odrobinę zwolnił, pozwalając się dogonić strażnikowi.

- Przestańcie strzelać, panowie piloci - poprosił mężczyzna. - Proszę. Tu, na terenie bazy lotniczej, jesteście bezpieczni, dopóki nie wzniesiecie się w powietrze.

Rzeczywiście, tłum przy bramie przestał strzelać do pilotów. Nikt też nie zamierzał wdrzeć się do bazy. Niektórzy gniewnie kopali w mur, wykrzykując obelgi.

Nagle rozległo się przerażające wycie w wysokiej tonacji, a jego natężenie wwiercało się w bębenki uszu Wedge'a. Z trudem oparł się pokusie, aby zakryć uszy dłońmi.

- Co to takiego?

- To informacja, że jesteście w bazie - wyjaśnił strażnik. - Teraz łowcy uliczni pójną do domu, a napowietrzni dowiedzą się, że nadszedł czas spotkania. Wasze blade'y są w hangarze Lotnego Ostrza Pięknego Trupa.

- Nieźle pasuje ta nazwa. - Wedge poklepał poręcz. - Wskakuj i pokaż nam drogę do myśliwców.

Personel bazy w mundurach stał obok hangaru z kombinezonami, kaskami i rzeczami osobistymi pilotów. Cztery blade'y-32 stały w gotowości. Były jaskrawoczerwone, a nie czarne.

- Przejęte od pilotów z kraju Yedagon - wyjaśnił jeden z mechaników hangaru z lekkim żalem w głosie. - Pałac życzył sobie, aby zdeklarowani nieprzyjaciele wyglądali jak nieprzyjaciele.

- I ostra broń, mam nadzieję - wtrącił Wedge. - Nie żadne farby tym razem. Mechanik skinął głową. Był niewysoki, a potężna jak łopata czarna broda sprawiała, że jego twarz wydawała się szersza.

- Sabotaż na waszych statkach oznaczałby przekreślenie honoru waszych zabójców... i naszego. Wasze pojazdy są w idealnym stanie.

Wedge i piloci pospiesznie przeprowadzili skróconą procedurę startową. Tymczasem z bazy, klucz po kluczu, startowały kolejne blade'y, mijając otwarte drzwi hangaru

dość blisko, aby dać się zauważyć. Ogłaszają swoją obecność, rzucając wyzwanie, któremu tym razem nie możemy odmówić, pomyślał Wedge.

- Komunikatory osobiste na częstotliwości Czerwonych - poleciał. - Łączność blade'ów na trzy domyślne częstotliwości systemu: „Hołd”, Eskadra Łotrów, Czerwoni.

Rozległy się trzy potwierdzenia.

- Czerwoni do „Hołdu”, odezwijcie się. Tu generał Antilles, to bezpośredni rozkaz. „Hołd”, odezwij się. Potwierdź transmisję.

Odpowiedzi nie było. Nie spodziewał się jej zresztą. Piloci Czerwonych byli zdani sami na siebie. Przełączył się z powrotem na częstotliwość Czerwonych.

- Podać gotowość. Dowódca ma dwa zapalone i wszystko zielone.

- „Dwójka” gotowa, sto procent.

- „Trójka”, gotów na mordobicie.

- „Czwórka” ma zielone.

- W górę na repulsorach - poleciał Wedge i sam uniósł blade'a-32 na wysokość dwóch metrów. Przed nimi, przy wyjściu z hangaru, wiwatowały załogi, ale trudno było stwierdzić, czy to na cześć Czerwonych, czy po prostu z powodu zbliżającej się walki. Wedge nie mógł zgadnąć.

- Jaki jest nasz pierwszy rozkaz? - zapytał. Natychmiast rozległ się głos Tycha.

- Nie robimy niczego, czego mogliby się po nas spodziewać.

- Doskonale, „Dwójka”. Zawracamy o sto osiemdziesiąt stopni. - Okręcił statek tak, że dziób był skierowany na ścianę hangaru wykonaną z cienkiej blachy. - Uzbroić system rakiet. Na mój rozkaz, odpalić pociski i cała naprzód. Gotów... ognia!

Cztery rakiety jednocześnie uderzyły w ścianę hangaru, rozdzierając blachę na strzępy.

Wedge dodał mocy i zaczął piąć się w górę natychmiast, kiedy tylko wyleciał z dziury.

Jego tablica czujników szalała, zmylona ogromną chmurą dymu, przez jaką przelatywał, ale i tak pokazywała pół tuzina blade'ów wiszących nad hangarem, z dziobami pochylonymi w kierunku wyjścia.

Gdyby Czerwoni wylecieli tędy, którądy mieli wylecieć, dostaliby się wprost pod działa tamtych.

Wedge przełączył sterowanie bronią na tylne lasery - ale się zawahał.

- Czerwoni, wstrzymać ogień do czasu, kiedy będziemy na zewnątrz - poleciał. Skupił się na tym, aby jak najszybciej wznieść się w górę.

Gdyby wypalił i choćby jeden z czekających na nich blade'ów został trafiony, odłamki przebiłyby się przez dach hangaru, akurat tam, gdzie znajdowali się mechanicy Ostrza Pięknego Trupa.

Na tablicy widział swoich pilotów, lecących tak blisko, że nie rejestrował ich jako pojedyncze sygnały. Czekające w zasadzce myśliwce już zaczynały się wznosić w pogoni za Czerwonymi.

Kolejne grupy statków, krążące w pewnej odległości, również ruszyły w ich stronę. Z góry zaczęły schodzić dwie formacje. W sumie Wedge naliczył ponad trzydzieści nieprzyjacielskich statków przeciwko Czerwonym.

Trzydziestu na czterech. Dawniej bywało, że dawał sobie radę w takich nieprawdopodobnych sytuacjach, choć przeważnie strategię miał opracowaną dużo wcześniej. Tu nie miał nic, co by działało na jego korzyść.

Czerwoni znajdowali się zaledwie na tysiącu metrów, kiedy pierwsi nieprzyjaciele - dwie oddzielne pódskadry - nadlecieli z góry, zbliżając się do pozycji ataku.

- Rozszerzyć szyk - polecił Wedge. - Pamiętajcie, że będą się koncentrowali na mnie. Tycho, odsuń się, to nie jest normalny lot parami. Strzelać bez rozkazu.

Tuzin wrogich statków spadł na nich z hukiem, strzelając ze wszystkich działek - ośmiu albo dziewięciu pilotów koncentrowało swój ogień na Wedge'u. Wedge rewanżował się ogniem laserów, ale liczył głównie na uniki. Odskakiwał, kołysał się z boku na bok, wprowadzał statek w obroty wzdłużne, nieustannie zmieniając wskazania na tablicach przeciwnika, sam zaś strzelał odruchowo, kiedy tylko jakiś cel się nadarzył.

Widział, jak jego lasery przeorały nadlatującego blade'a i pozostawiły smugę spalenizny na kadłubie drugiego. Poczul, jak jego własny statek zadygotał, gdy strzały przeciwnika uderzyły w kadłub. I oto już był po drugiej stronie atakujących go nieprzyjaciół, widząc, jak - siedmiu, nie dwunastu - zawracają, aby znowu zaatakować. Za nimi, w bardzo luźnej formacji, lecieli „Czerwony Dwa”, „Trzy” i „Cztery”.

Przed nim, o kilka kilometrów dalej, pojawiła się kolejna plamka, rozpadająca się już na nową eskadrę nieprzyjaciół.

- Mam pomysł - powiedział Wedge. - „Dwójka”, „Trójka”, „Czwórka”... cofnąć się i w górę. Zatrzymajcie się o jakieś pół kilometra nade mną. Ustawcie każdy po jednej rakiecie, żeby odpaliły na dwustu pięćdziesięciu metrach. Na mój rozkaz strzelcie do mnie, a potem przygotujcie się, żeby strzelać do wszystkiego, co się nawinie.

- Dowódco, tu „Dwójka”. Oszalałeś? Potwierdzić!

- „Trójka”, dowódca. Tak, potwierdzam. - Wedge większość uwagi poświęcił teraz nowym, nadlatującym właśnie nieprzyjaciołom, ale śledził nieustannie dwie liczby: odległości od znajdujących się przed nim i za nim blade'ów.

Kiedy oba zestawy cyferek były prawie równe i znajdowały się tuż poza zakresem celowników, Wedge wystrzelił jedną raketę do celów przed nim, a potem ciasnym wektorem zszedł na lewo. Jednocześnie obrócił się tak, żeby podwozie odsłonić nieprzyjaciołom z przodu, a górną część korpusu tym nadlatującym od tyłu.

Ujrzał kłęby dymu, pierwsze ślady w powietrzu pocisków wystrzelonych przez wrogie myśliwce z przodu, i rzucił:

- Ognia!

Znów obrócił się najwęzszą częścią przekroju, żeby zaraz wspiąć się w górę.

Piloci Czerwonych zaczęli do niego strzelać zgodnie z rozkazem.

Przez chwilę poczuł lodowaty strach. A jeśli pociski zawiodą? Jeśli ich bezpieczniki odpalą w znacznie bliższej odległości niż ćwierć kilometra, jak polecił ustawić? Będzie martwy, zanim poczuje uderzenie.

Trzy pociski wybuchły jednak, wytwarzając ogromne chmury nieprzejrzystego ognia tuż nad nimi z przodu. Jego blade-32 zakołysał się i zadygotał, kiedy wpadł w dwie nakładające się fale uderzeniowe eksplozji, a potem Wedge usłyszał stukanie odłamków o kadłub.

Chwilę później był już otoczony ogniem i dymem. W głowie miał obraz trzech eksplozji. Lokując się na najbardziej wysuniętym na zachód skraju chmury dymu, wykonał beczkę, wylatując podwoziem w górę, po czym znów zanurkował. Przez moment miał wokół siebie czyste powietrze, ale kiedy przeciął otwartą przestrzeń pomiędzy chmurami eksplozji, zaraz znów znalazł się w ognistym mroku.

Obok rozległa się kolejna detonacja, a jego myśliwiec zagrzecgotał, aż Wedge'a rozboleły zęby. Słyszał, jak przyrządy blade'a pękają. Znów był na otwartej przestrzeni. Rozejrzał się na prawo i lewo, a potem spojrzał na tablicę, której kryształową powierzchnię przecinała rysa.

Jeszcze przed chwilą atakowały go dwadzieścia trzy nieprzyjacielskie myśliwce, w tej chwili pozostało ich tylko trzynaście. Istny pogrom. Pozostali Czerwoni ścigali ich, wystrzelivując promienie laserów i pociski tak szybko, jak tylko ich palce zdołały naciskać na spusty.

Wedge oczami wyobraźni widział, jak wrogi pilot obserwuje jego coraz wyraźniejszy obraz na tablicy czujników, gotów, aby wziąć go na cel, jak kieruje ku niemu swoje lasery i pociski, a potem otwiera ogień. Wzniósł się w chmurę ognia pochodzącą ze swoich myśliwców i wtedy nadlatujące pociski, przez jedną jedyną sekundę pozbawione celu, znalazły sobie nowy... w zbliżających się blade'ach. Wedge wykręcił pętlę za Tychem i wystrzelił dwa pociski w formację wroga, po czym przełączył się na lasery.

- „Jedynka”, tu „Dwójka”, wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest, „Dwójka”. - Spojrzał na tablicę, która powinna pokazywać diagnostykę uszkodzeń. Tekst przewijał się o wiele za szybko, żeby go odczytać. Żałował, że nie ma tu takiej schematycznej wizualizacji szkód jak w myśliwcach Nowej Republiki.

- Chyba mam jakieś uszkodzenie - doszedł do wniosku. Przechylił głowę i zdał sobie sprawę, że słyszy uporczywy, świszczący odgłos.

Rozpoznał go i poczuł ucisk w żołądku. To atmosfera wdzierала się do kabiny i grała niemelodyjny, upiorny motyw.

- Mam uszkodzenie kadłuba - zameldował, starając się nie okazywać emocji. Jeśli nie zdoła załatać wyrwy, nie ma szans na wyjście w przestrzeń. Nie dotrze do „Hołdu”.

Teraz nie czas, żeby się tym martwić. Dziesięć nieprzyjacielskich statków wciąż krążyło wokół nich, a jego statek zadygotał, kiedy uderzyły w niego promienie wstecznych laserów ściganego

myśliwca. Przyłożył się bardziej do manewrów unikowych i dalej ostrzeliwał cel seriami ze sprzężonych działek.

Ogień i dym wystrzeliły z kabiny wroga. Uszkodzony myśliwiec rozpoczął powolne opadanie w kierunku odległych pól uprawnych. Zostało więc dziewięciu. Nie, ośmiu. Statek trafiony przez Hobbiego eksplodował spektakularnie, zmieniając się w kulę czarno-czerwono-złotego ognia i dymu. Widok byłby piękny i fascynujący, gdyby nie było w nim paliwem ludzkie życie.

Blade Hobbiego ciągnął za sobą smugę dymu. Cienki strumyk wymykał się spod kabiny.

- „Czwórka”...

- Wiem, szefie. Wciąż działałam.

Tycho znalazł się na pozycji partnera z tyłu i po prawej burcie Wedge'a. Przez owiewkę Wedge widział, że kopolka Tycha jest cała w gwiazdzistych pęknięciach, zwęglonych w miejscach, gdzie trafił laser.

Wedge zaklął. Tycho też nie będzie w stanie wylecieć w przestrzeń. Tak uszkodzona kabina eksploduje pod wpływem wewnętrznego ciśnienia. A ich kombinezony nie pozwalały samodzielnie pokonywać przestrzeni, jak to było w myśliwcach TIE.

Teraz tylko Janson miał statek zdolny do lotu w próżni. Tylko on dotrze do „Hołdu” i opowie, co im się przydarzyło na Adumarze.

Lecz w tym momencie blade'a Jansona otoczyła chmura eksplozji.

Wyleciał po jej drugiej stronie nietknięty, a przynajmniej tak się Wedge'owi z początku wydawało. Lecz właśnie wtedy myśliwiec Jansona zaczął opadać na lewo i Wedge zobaczył, że stracił prawe skrzydło.

- Dostałeś, „Trójka” - odezwał się. - Janson, wracaj.

Z góry nadleciał nagle myśliwiec, odwracając jego uwagę. Wedge odbił pętlą na sterburcie, co spowodowało, że atakujący myśliwiec musiał zmienić kąt nurkowania. Tycho zwolnił aż do nominalnej prędkości zerowej blade'a, po czym zaczął ostrzeliwać wroga laserami od dołu. Wedge poczuł potężny wstrząs w tylnej części maszyny, ale nadal obserwował przez tylny iluminator, jak jego przeciwnik zmienia się w kulę ognia.

- Dobry strzał, Tycho - pochwalił.

Znów skręcił, żeby sprawdzić, co z Jansonem. Jego myśliwiec leciał teraz bokiem, jedynym skrzydłem skierowany ku ziemi, i zaczynał powolne schodzenie.

Jansona jednak już tam nie było. Pilot wisiał w powietrzu na pasach pod płaskim urządzeniem o powierzchni metra kwadratowego. Wedge skinął głową; widocznie tak wyglądał mechanizm ochrony pilotów w tych maszynach. Prymitywne urządzenie repulsorowe, które opuszczało pilota z bezpieczną prędkością.

Bezpieczną, dopóki ktoś nie wpadnie na to, żeby do niego strzelać. Wedge ujrzał blade'a kierującego się nurkiem w stronę bezbronnego pilota. Zobaczył, że Janson wyciąga blaster i otwiera ogień, jakby tak niepozorna broń mogła cokolwiek zdziałać przeciwko myśliwcowi.

Statek wroga jednak eksplodował. Wedge postanowił właśnie, że sprawdzi, jakiego to rodzaju broń nosi przy sobie Janson... kiedy ujrzał, że Hobbie wynurza się z kolejnej chmury szczątków, wciąż strzelając ze wszystkich działek.

Pozostało sześciu wrogów na trzy uszkodzone blade'y Czerwonych.

- „Czwórka”, zostań z „Trójką” - polecił Wedge. - Kiedy dotrze do ziemi, wyląduj, dołącz do niego i razem idźcie do tego klubu, gdzie wczoraj się opychał ciasteczkami.

- Przyjąłem, dowódco.

- „Dwójka”, a my wykończymy tych tutaj.

- Jestem twoim partnerem na skrzydle.

- Lepiej odsuń się na wypadek, gdyby nie zmienili taktyki. Sześć nieprzyjacielskich myśliwców uformowało się w dwa trójkąty i zbliżało się do nich po wektorze podejścia. Wedge zauważył, że formacje rozdziela się, a każdy trójkąt kieruje na jed

nego z Czerwonych. Skinął głową. Wreszcie się nauczyli, że nie warto bezmyślnie prześladować najślawniejszego nieprzyjaciela. Szkoda, teraz nie czas, żeby zmądrzeli.

W wolnych, mało zwrotnych blade'ach pociski stanowiły duże obciążenie. Musiał się tego obciążenia pozbyć.

Pchnął drążek sterowy w przód, nurkując wprost na ulicę Certanu. Wydało mu się, że wyczuł chwilę wahania nieprzyjaciela, zanim podążył za nim.

Nie chciał takiego rozwiązania. W bazie lotniczej robił wszystko, aby nie narażać cywilów na niebezpieczeństwo. Wtedy mógł sobie na to pozwolić - jego wybór nie miał większego wpływu na to, czy przeżyje, czy nie. Teraz było inaczej. Musiał wykorzystać każdą możliwą osłonę... lub umrzeć.

Pod sobą widział tylko smugi świetlne znaczące przebieg ulic. Ulice w tym mieście były jednak oplatane przewodami i kablami na różnych wysokościach. Takie przeszkody, nawet jeśli nie spowodują połamania skrzydeł, mogą nim rzucić o ścianę budynku.

Zastanowił się i przypomniał sobie, że przewodów nie było na pewno na żadnym skrzyżowaniu ulic. Ruszył ku świetlnemu kwadratowi skrzyżowania.

Obok jego owiewki przeleciał nagle strumień światła. Lasery ścigających. Poczuł, jak rufa jego statku zakołysała się, choć to było tylko muśnięcie. Odpowiedział z tylnych działek i z satysfakcją stwierdził, że jeden ze strażów przebił owiewkę. Nie zabił pilota, a przynajmniej nie od razu. Blade jednak powoli skręcił w bok i odleciał w kierunku bazy lotniczej albo znajdujących się za nią lasów.

Wedge dał pełną moc na repulsory i ściągnął drążek, robiąc co w jego mocy, aby wyjść z korkociągu. Skręcił, wślizgując się pod niewidzialny baldachim kabli i drutów, mając jedynie nadzieję, że prawidłowo obliczył kąt i ocenił ich wysokość nad ziemią. W chwilę później znalazł się ledwie trzy metry ponad powierzchnią ulicy. Jakiś transporter repulsorowy niezdarnie zszedł mu z drogi.

Za jego plecami dwaj prześladowcy powtórzyli ten manewr. Pierwszy poleciał za wysoko. Wedge ujrzał, że myśliwiec podskakuje, a potem jego lewe skrzydło rozpada się po zderzeniu z kablem. Blade zawirował, a jego drugie skrzydło ustąpiło pod serią drobniej szych kolizji. Maszyna spadła z hukiem na ulicę, ślizgiem zarywając się w nawierzchnię z prawie taką samą prędkością, z jaką leciał Wedge. W tylnym iluminatorze Wedge widział, jak przechodnie odskakują na boki przed

płonącym wrakiem, który zmiotł opuszczony transporter kołowy, jakby to był milimetrowej grubości ekran.

Drugi blade prześladował go jednak bez litości.

Docierając do kolejnego skrzyżowania, Wedge szarpnął stery mocno w lewo, kierując się ku poprzecznej ulicy... i zmniejszył siłę repulsorów. Jego myśliwiec prawie opadł na jezdnię i zakręcił się, aż wylądował skierowany dziobem w stronę, z której nadleciał. Teraz Wedge znów dodał mocy repulsorom, unosząc w górę dziób i z całych sił pchnął dźwąg do przodu.

Jego prześladowca skręcił za róg, nieco szybciej niż Wedge, i tylko dzięki repulsorom nie wbił się w ścianę budynku. Jego dziób wzniesiony był powyżej pozycji Wedge'a, bo pilot prawdopodobnie spodziewał się złapać przeciwnika w celownik w głębi ulicy.

Wedge wystrzelił, a jego lasery przeorały blade'a od dzioba po rufę z bliskiej odległości. Ujrzał, jak podwozie statku otwiera się niczym rozerwany szew. Myśliwiec zakołysał się, przeleciał nad głową Wedge^A, zarył nosem w ulicę i rozorał ją na długość całej przecznicy, rozrzucając transportery na boki jak zabawki.

Teraz tablica Wedge'a ukazywała jedynie otaczające go budynki.

- „Czerwony Dwa”, jaki status?

- Czysto - odparł Tycho.

- Zobaczmy, jak czysto. Lecę do ciebie.

Wedge doleciał do skrzyżowania i wzniosł się na repulsorach, aż znalazł się w bezpiecznej odległości od okablowania. Skierował dziób w górę i zaczął się wznosić.

W ciągu kilku sekund ze wschodu nadleciał Tycho. Wyglądał jeszcze gorzej niż przedtem, bo cała prawa strona powłoki pokryta była zwęglonymi śladami po laserach. Kabina była całkiem strzaskana; jego blade nie mógł rozwinąć większej prędkości, żeby wiatr nie chłostał Tycha po twarzy.

- Nigdy w życiu nie damy rady wylecieć w przestrzeń, szefie - ostrzegł.

- Jeśli dobrze pamiętam, granica Certami z Halbegardią nie leży poza naszym zasięgiem - rzekł Wedge. - Polecimy nisko nad ziemią żeby nie wleźć w zasięg czujników, i...

Jego tablica wyświetliła nagle dwie zamglone plamki, zdążające w ich kierunku - jedna z bazy lotniczej Giltella, druga z certańskiego kosmodromu. W ciągu paru chwil zmieniły się one w chmurki mniejszych plamek - całe dwie eskadry. Z daleka Wedge widział już światła nadlatujących blade'ów. Były bliżej siebie wzajemnie niż Wedge'a i Tycha, ale w ciągu kilku sekund miały szansę dopaść dwóch pilotów Nowej Republiki.

Część taktyczna umysłu Wedge'a, ta, która dość często pozostawała w sprzeczności z częścią koreliańską, obliczała szanse i strategię. Odpowiedź nie była pocieszająca. Nawet jeśli w normalnych warunkach dawali sobie radę w stosunku dwanaście do jednego, w tej chwili byli zbyt mocno poszkodowani, aby prowadzić walkę w pełni możliwości. Nie mieli też czasu na wylądowanie i ukrycie się. Nawet jeśli się przebiją, doświadczenie uczyło, że nieprzyjacielscy piloci nie mieli oporów przed dobijaniem pilotów bez maszyn nawet w powietrzu.

Wedge stłumił ukłucie żalu. Nie było to uczciwe z jego strony: najpierw ofiarować Ielli

przyszłość, a potem dać się tak po prostu zabić. Spojrzał na nadlatujące myśliwce.

- Chyba będziemy musieli po prostu zabrać ze sobą tylu, ilu zdołamy, Tycho - powiedział, ale nie udało mu się usunąć smutku z głosu.

- Rozumiem, szefie. - Tycho trzymał się jego prawej burty.

Nagle Wedge zobaczył na tablicy, że jedna z grup skierowała się ku drugiej. Komunikatory ożyły.

- Lotne Ostrze Ku Księżycom rzuca wyzwanie Ostrzu Lordów Przerazenia!

- Ke Mattino, ty wariacie, nie czas teraz na...

- Zawsze jest czas, żeby skompromitować niekompetencję i tchórzostwo. Ognia!

Niebo pomiędzy dwiema formacjami, teraz widocznymi już dość blisko, rozjarzyło się nagle laserami i kulistymi eksplozjami. Chwilę potem nie można już było rozróżnić obu formacji na tablicy - zmieszały się w jeden kłęb walczących.

- „Czerwony Dwa”, lądujemy - poinformował Wedge. Przełączył się na standardową częstotliwość wojskową Certanu.

- Czerwoni do Ku Księżycom. Czy to pan, kapitanie ke Mattino?

- Tak, to ja.

- Dzięki, kapitanie.

- Wywalczyliście sobie odejście. Nie pozwolę jakiemuś kolekcjonerowi honorów pozbawić go was w taki sposób. Pomieszania zmysłów dla waszych wrogów.

- I pienistej choroby dla waszych. Antilles się wyłącza.

Skierował dziób statku w stronę ziemi, w kierunku gorzej oświetlonej części Certanu.

Wiele godzin później, kiedy noc była najciemniejsza i najcichsza, Wedge i Tycho podeszli pod drzwi mieszkania Ielli. Wedge nie pamiętał, kiedy ostatnio był tak zmęczony, ale kiedy drzwi otworzyły się na jego pukanie i ujrzał przed sobą Iellę, całe zmęczenie nagle się ulotniło. Chwycił ją w ramiona, a ona wciągnęła go do środka. Słyszał, że Tycho wszedł również i starannie zamknął drzwi.

- Omal mnie nie zabiłeś - szepnęła. Troska złagodziła oskarżający ton. - Musiałam czekać godzina za godziną, żeby się dowiedzieć, czy żyjesz, czy nie.

- Przepraszam... - Wedge spojrzał na nią z poczuciem winy. - Musieliśmy zachować ciszę w eterze i to tak długo, jak to było możliwe. Poruszaliśmy się małymi uliczkami, alejkami, czasem po dachach i balkonach, żeby nas nie złapali ani nie namierzyli. Słyszałaś...

Światło w salonie zapłonęło nagle i Wedge odkrył, że nie są sami.

Na kanapie siedzieli Janson i Hobbie. Janson oparł stopy na małym stoliczku. Na kolanach trzymał kolorowy notatnik, z gatunku tych używanych do dzieciennych gier. Jego przyzlane włosy i czyste ubranie sugerowały, że niedawno wziął kąpiel; Wedge natychmiast nabrał ochoty, aby pozbyć

się przepoconych szmat, które miał na sobie. Hobbie też wyglądał na domytego, choć zdjął tunikę, aby odsłonić z pół tuzina zabandażowanych ran na piersi i ramionach.

Przy ścianie obok wyłącznika światła siedziała Cheriss, a w drugim fotelu Hallis.

Wedge zamrugał z wrażenia.

- Przepraszam - mruknął. - Chyba właśnie wpakowałem się na imprezę. Iella się uśmiechnęła.

- Raczej na spotkanie spiskowców - odparła i podprowadziła ich do wolnych foteli.

Pokój był zapchany meblami. Było ich znacznie więcej, niż Wedge pamiętał z ostatniego tutaj pobytu. Podejrzewał, że Iella ściągnęła je z balkonu i innych pokoi. Wedge usiadł ciężko i popatrzył po pozostałych.

- Wybaczcie mi, prawda? Chyba jestem trochę zdezorientowany. Cheriss, jak się tu znalazłaś? I jak się czujesz?

Cheriss, w ciemnym stroju mistrza blasterowego miecza, na próbę kilkakrotnie podniosła i opuściła lewe ramię.

- Lepiej - stwierdziła, ale głos miała niski i posępny. - Potrzebuję trochę czasu, zanim znowu zacznę walczyć, ale niebezpieczeństwo już minęło. Przywieźli mnie do Certanu, gdzie dowiedziałam się o waszej walce. Poszłam do waszej kwatery, tam spotkałam Hallis, ale nie było tam ani was, ani waszych X-wingów. Wiedziałam, że gdybyście mieli gdzieś się udać, to pewnie tutaj. Więc przyszłam. - Widać było, że ma znacznie więcej do powiedzenia, ale zmieniła zdanie.

Wedge miał ochotę powiedzieć, że sprowadzanie tu Hallis nie było najlepszym pomysłem, ponieważ mogłaby spowodować „spalenie” tożsamości Ielli, ale ta, jakby czytała w jego myślach, wyjaśniła:

- Kiedy Cheriss przyszła do mnie i powiedziała, co się stało i kogo widziała, zaproponowałam, żeby sprowadziła tu Hallis. Wszystko w porządku, Wedge.

Skinął głową i usiadł.

- Hallis? Wzruszyła ramionami.

- Obrabowałam waszą kwaterę.

- Ach, tak?

- Cóż, kiedy powiedzieli, że zabrali X-wingi, doszłam do wniosku, że i tak splądrują mieszkanie. Zamierzałam wziąć jedynie resztki Białasa, ale podsłuchiłam dwóch mężczyzn, którzy pakowali wasze rzeczy: kradli jak na wyścigi. Śmiali się i mówili, jaka to świetna rozrywka zestrzelić waszą czwórkę, więc się wkurzyłam. Kiedy się rozdzielili, przyłożyłam każdemu kluczem hydraulicznym i zabrałam wszystko, co chcieli ukraść.

Wedge nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Zawsze wiedziałem, że reporterzy nie powinni za bardzo zbliżać się do swoich bohaterów.

- O co ci chodzi? Naprawdę byłam wkurzona.

- Co wzięłaś?

- Wasze cywilne stroje, kombinezony pilotów, ten dziwaczny płaszcz Jansona, hełmy, notatniki, karty danych, zestawy komunikatorów, miecze blasterowe... jeden z nich należał do Cheriss, więc jej oddałam... całe stosy miłosnych liścików zbieranych przez Jansona...

Janson podniósł głowę z oburzoną miną.

- Hej! Mam nadzieję, że ich nie czytałaś!

- Jasne, że nie.

Odetchnął, nieco ułagodzony.

- No, z wyjątkiem tych otwartych. Ten od lady Marri był bardzo poetyczny... Janson wstał z twarzą zalaną szkarłatnym rumieńcem.

- Nie mogę uwierzyć... - Nagle wytrzeszczył oczy - Nie pamiętam żadnego listu od lady Marri.

Hallis zachichotała. Janson usiadł.

- Zostałem skompromitowany, generale. Proszę o pozwolenie zeskoczenia z balkonu ostatniego piętra, aby ukryć mój wstyd.

- Proszę uprzejmie - odparł Wedge. - A teraz, Iello, to ty jesteś w najbardziej niepewnej sytuacji z nas wszystkich. Nie chciałbym być kłopotliwym gościem... ale co nam możesz zaoferować, nie rujnując sobie życia?

Uśmiechnęła się blado.

- Dobre pytanie. Wciąż jestem związana rozkazami i obowiązkami, więc odpowiedź brzmi „niewiele”, ale skoro mój zwierzchnik nie wie nic o naszych bezpośrednich powiązaniach, mam pewne pole manewru... na razie. Mogę was ukryć do czasu, aż mój zwierzchnik zapyta, czy was widziałam. I dopóki nie zaczną was szukać po domach. Będziecie musieli się wynieść z Certanu. Mogę załatwić wam adumarskie pieniądze, trochę sprzętu komunikacyjnego i komputerowego. Niestety, nie mam wielu kontaktów. Grupa, która tu ze mną przyjechała, była odpowiedzialna za takie sprawy.

- A transmisja holo do Nowej Republiki? Pokręciła głową.

- Układ holo został przeniesiony do miejsca, gdzie rezyduje mój zwierzchnik, a ja nie wiem, gdzie ono jest.

Wedge zastanowił się.

- Reszta też będzie mi bardzo pomocna. Czy możesz w jakikolwiek sposób sprawdzić, jaki jest aktualnie status „Hołdu”? Musimy się dowiedzieć, zanim spróbujemy się znowu tam dostać.

Iella spojrzała na jedną z szafek.

- Mój komunikator przechwycił i zarejestrował waszą transmisję na „Hołd” - powiedziała markotnie - i ich milczenie. Ale wiem, że wciąż tam są. Mój komunikator przechwytywał ich zakodowane transmisje przez cały czas waszej ucieczki korytarzem. Nie było żadnych zakłóceń w komunikacji. Żadnych zmian, które mogłyby świadczyć na przykład, że zostali aresztowani.

Hallis podniosła głowę.

- Iello, muszę z tobą porozmawiać. Na osobności. Iella spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Postaram się przekonać cię, abyś zrezygnowała ze swojej misji. Żebyś przyłączyła się do Wedge'a i pozostałych. I strzeliła swemu zwierzchnikowi w brzuch, jeśli go jeszcze przypadkiem spotkasz.

- To będzie wymagało dużych zdolności przekonywania. - Iella wskazała gestem jedne z bocznych drzwi. - Ale dam ci szansę. Idź przodem.

Nie było ich tylko kilka minut; przez ten czas Tycho i Wedge zdążyli jedynie zdjąć buty i przyjąć kubki wody podane przez Cheriss. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i wyszła z nich Iella, blada jak trup, z zaciętą, gniewną twarzą.

- Zmiana planów - oznajmiła. - Opuszczam stanowisko i misję. Wymyślę, jak was wywieźć z Certanu. A jeśli zobaczę kiedyś Tomera Darpena, spalę go na miejscu.

Wedge przyglądał się jej, zaszokowany i milczący. Potem spojrzał na Hallis.

- Jak to zrobiłaś? Wzruszyła ramionami.

- Proszę, powiedz. Muszę wiedzieć. Zazwyczaj żeby Iella zmieniła zdanie, potrzeba zderzenia planet albo uchwały senatu. Muszę się nauczyć tej sztuczki, cokolwiek to było.

Iella zarumieniła się ślicznie.

- Wedge!

- Pokażę wam coś. - Hallis wyjęła z rękawa standardowy notatnik. Drugą ręką sięgnęła za plecy i wyciągnęła przewód ze standardowym złączem danych na końcu. Podłączyła go do notatnika i

włączyła urządzenie, po czym podniosła ekran tak, aby Wedge mógł go zobaczyć. - Może wam się to nie spodobać - uprzedziła.

Tycho przechylił się, żeby lepiej zobaczyć. Janson, Hobbie i Cheriss stłoczyli się za nim, żeby cokolwiek zobaczyć. Iella odwróciła się, jakby nie chciała na to patrzeć jeszcze raz.

Widok w notatniku przedstawiał morze twarzy i głów. Wedge rozpoznał otoczenie jako salę na zewnętrznym dziedzińcu pałacu peratora.

Wreszcie obraz się ustabilizował. Wedge rozpoznał peratora stojącego w kręgu doradców. Ubrania doradców określały czas sceny - było to ostatnie zebranie, w jakim uczestniczył Wedge, to, na którym on i jego piloci zostali wygnani i właściwie skazani na śmierć.

Pojawił się dźwięk zapisu, bezsensowny bełkot głosów. Nagle wszystkie głosy ucichły. Wedge uznał, że widocznie rejestrator wykorzystał mikrofon kierunkowy, aby skupić się na konkretnej rozmowie.

Usłyszeli peratora. Mówił ściszym głosem:

- ...szkoda, że nie dało się ich przekonać, aby nauczyli nas swojej sztuki. Byłoby to spektakularne, a samo nazwisko Antillesa wystarczyłoby, żeby wzbudzić strach w nieprzyjacielu.

Odezwał się głos Tomera Darpena, który stał obok.

- Chwilę pańskiego czasu, milordzie...

- Tylko chwilę, czas nagli.

- Chciałbym wyrazić ubolewanie osobiście, jak również w imieniu generała Antillesa w związku z tym, co musiał przed chwilą uczynić.

Nawet przez zakłócenia obrazu rejestratora widać było, że perator jest zdumiony.

- Musiał?

Tomer skinął głową.

- Generał jest uwięziony pomiędzy dwiema nieprzyjaznymi względem siebie siłami. Jego naturalnym pragnieniem jest oczywiście pomóc tobie, wie, że to jedyne honorowe wyjście. Jednak niejasne rozkazy przekazane mu przez zwierzchników korpusu dyplomatycznego, rozkazy, które miały na celu jedynie utrzymanie go przy życiu, bo jest dla nich bardzo cenny, nie pozwalają mu walczyć. Sytuacja go przerosła, odarła z całej chęci do życia.

Perator pokręcił głową, zszokowany.

- Nie mogę w to uwierzyć. Tomer spuścił oczy ze smutną miną.

- To prawda. Pragnie śmierci, aby zmyć wstyd. I dlatego generał Antilles błaga cię o uprzejmość.

- Mów.

- Błaga, abys wystawił przeciwko niemu tyle swoich sił, żeby nie mógł ich odeprzeć... i przeżyć. Żeby zdołał umrzeć z honorem i nigdy więcej nie zostać użyty jako narzędzie korpusu dyplomatycznego. Jeśli posłuchasz tej prośby, to nie dość że jego pamięć będzie czczona; możesz także być pewny, że przysła tu kolejnych pilotów, których nie będą ograniczać śmieszne rozkazy, niepozwalające im zachowywać się, jak przystało na prawdziwych pilotów.

Perator skinął głową ze współczuciem.

- Teraz wszystko rozumiem. Biedny człowiek.

- Musi to wyglądać jak akt sprawiedliwości z twojej strony. Ale Antilles ci podziękuje w ostatnim swoim oddechu.

- Rozumiem.

- Dziękuję, peratorze.

Zapis Hallis odprowadził Tomera, kiedy ten opuścił miejsce przy władcy i ruszył w kierunku Wedge'a i jego pilotów. Mikrofony pozostały ustawione na niego, a choć dalsze słowa były stłumione, bez wątpienia przez to, że dyplomata trzymał komunikator blisko ust i mówił cicho, Wedge bez trudu wyłowił słowa:

- „En-Er-I-Jeden” do „Hołdu”. Nowe rozkazy, „Hołd”. Nie przyjmować, nie rejestrować, nie potwierdzać żadnej transmisji z powierzchni Adumaru lub z pojazdów nienależących do Nowej Republiki, aż do odwołania. Powtórzyć, żebym był pewien, że zrozumieliście... Dobrze, „Hołd”. „En-Er-I-Jeden” wyłącza się.

Hallis wyłączyła ekran.

Przez dłuższą chwilę panowało kompletne milczenie. Wreszcie Wedge spojrzał na reporterkę.

- Dziękuję, Hallis. Muszę tylko zapytać, dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej, zanim opuściliśmy pałac peratora?

- Pierwsza część, to znaczy wiedza o tym, że Tomer cię wrobił, nie mogłaby ci pomóc. Za to wiadomość, że „Hołd” ma zablokowaną łączność... miałam właśnie wam powiedzieć, kiedy usłyszałam, że sam na to wpadłeś.

- To ma sens - rzekł Wedge. Spojrzał na Iellę. - Wiesz, że ty masz być następna? Skinęła głową.

- Nie rozumiem - poskarżył się Janson.

- Tomer zaaranżował wszystko tak, żeby nas zabić - wyjaśnił Wedge. - Sporo mu się udało załatwić. Zarobił dodatkowe punkty u peratora, twierdząc, że my, piloci, zawsze staliśmy po jego stronie, lecz powstrzymywały nas biurokratyczne rozkazy, więc perator nie myśli już, że mu się sprzeciwiliśmy. Tomer usuwa nas z drogi tak, żebym nie mógł złożyć mojego raportu i wniosków co do sposobu, w jaki przygotował całą misję dyplomatyczną... wniosków, które jak teraz przypuszczam, w znacznej części były poprawne. Chciał, aby zginęli wszyscy, którzy byliby w stanie

złożyć raport premierowi. Oznacza to, że wszyscy podwładni Tomera, w tym Iella, skończyliby ostatecznie jako anonimowe zwłoki w ciemnej uliczce.

- Potrzebuję kilku minut na spakowanie się - oznajmiła Iella. - Ale nadal nie wiemy, dokąd pójść.

Nie byłam przydzielona do programu ochrony świadków.

- Wiem, gdzie... - wtrąciła Cheriss. - Generale Antilles...

- Najwyższy czas, żebyś zaczęła mówić mi Wedge. Nie uśmiechnęła się, ale skinęła głową na znak zgody.

- Wedge, jest parę kobiet i mężczyzn, którzy chcą cię poznać. Kiedy wróciłam i zgłosiłam się do pałacu peratora, znaleźli mnie, żeby mi to powiedzieć.

Wedge zmarszczył brwi.

- Jacy to ludzie?

- Przywódcy polityczni z krajów niepozostających pod kontrolą Certanu. Tych krajów, które wkrótce Certan zmiecie z powierzchni planety.

- Myślisz, że zaofiarują nam statek, który pozwoli przedostać się na „Hołd”? Skinęła głową.

- Myślę, że tak. Ale chyba nie o to im teraz najbardziej chodzi. Prawdopodobnie mają zamiar prosić cię o pomoc.

- Chętnie ich wysłucham. W porządku. Tycho i ja musimy się umyć, a teraz wszyscy niech się ubiorą, najładniej jak mogą. Przeszukują ulice w poszukiwaniu ukrywających się straconych pilotów, a nie siedmiorga statecznych obywateli, którzy mają ochotę się zabawić.

- Wydajesz rozkazy wywiadowi - zauważyła Iella łagodnym tonem.

- Tylko moim pilotom... i może jeszcze komuś. Pójdiesz z nami?

- Dokąd tylko zechcesz.

ROZDZIAŁ 11

O świcie Wedge i pozostali uciekinierzy znajdowali się już w przedziale pasażersko-towarowym ciągnika klasy *Farumme*. Ten pojazd latający, jak podejrzewał Wedge, został zbudowany mniej więcej wtedy, kiedy on przyszedł na świat. Przez dziury w powłoce gwizdało powietrze. W konstrukcję przedziału wmontowano pierścienie umożliwiające zamocowanie ładunku, ale w tej chwili jedynym transportowanym przez ciągnik towarem była grupa Wedge'a, usadowiona na wyściełanych ławkach biegnących przez całą długość przedziału. Agent Konfederacji Yedagonu, który się z nimi spotkał, szczupły, bardzo jasnowłosy i jeszcze bardziej małowówny mężczyzna, ulokował się razem z pilotami w kabinie sterowania.

Wedge rozejrzał się po przedziale - Janson, Tycho i Hobbie spali. Był tak samo zmęczony jak oni i tak samo potrzebował snu, ale musiał sobie pewne sprawy najpierw przemyśleć.

Cheriss siedziała na ławce po drugiej stronie pojazdu. Od chwili, kiedy opuścili kwatery Ielli, rzadko spoglądała na Wedge'a, a teraz także wydawała się zamyślona.

Hallis zajęła miejsce po tej samej stronie, obłożona wszystkimi notatnikami personelu Nowej Republiki. Na prośbę Wedge'a skopiowała zapis zdrady Tomera Tarpena na każdy z notatników po kolei. Teraz walczyła z najbardziej skomplikowanym z nich, należącym do Ielli, próbując połączyć ten i kilka innych zapisów z częścią reportażu. Sądząc z pomruków i cichych przekleństw, nie szło jej najlepiej.

A Iella - Iella drzemała wciśnięta pod ramię Wedge'a, z przymkniętymi oczami i spokojną twarzą.

Wedge uśmiechnął się, wiedząc, że pewnie wygląda teraz jak idiota, ale wcale się tym nie przejmował. Uciekał z wyrokiem śmierci i bez możliwości skontaktowania się ze swoimi zwierzchnikami w świat, gdzie zarówno przeciwnicy, jak i zwolennicy gotowi byli go zabić. W tym momencie jednak nie czuł żadnych trosk; nie był tak szczęśliwy od lat.

Iella otworzyła oczy, spojrzała na niego nieco sennie, po czym uśmiechnęła się i ukryła twarz w zagłębieniu jego szyi.

- Nie spałeś wcale?

- Myślałem. Układałem sobie wszystko.

- Przegrupowywałeś wojska, generale?

- Tylko wtedy, kiedy mogłem się powstrzymać od myślenia o tobie. Ramiona zadrżały jej od bezgłośnego śmiechu.

- Wiesz, co jest tak cudownego w twoich komplementach?

- Co?

- To, że zawsze mówisz szczerze. Nie potrafisz prawie pochlebstw.

Cheriss odpięła pasy i wstała. Podeszła do Wedge'a i Ielli niepewnie, balansując w rytm ruchów pojazdu i przelotnych turbulencji. Miała wyraz twarzy równie poważny jak przedtem w kwaterze Ielli.

- Generale... Wedge... czy mogę z tobą zamienić kilka słów? Na osobności? - spojrzała przepraszająco na Iellę.

- Oczywiście. - Wedge zajął w oczy Ielli, usiłując odgadnąć jej reakcję. Na razie miała minę wyrażającą wyłącznie senne zadowolenie. Żadnych trosk, żadnej zazdrości.

Wedge razem z Cheriss przeszli do przedniej części przedziału. Chwycili się pierścieni, aby nie upaść pod wpływem wstrząsów pojazdu.

Kiedy Cheriss przemówiła, ledwie mógł usłyszeć jej głos ponad rykiem silnika i wyciem wiatru w dziurach po nitach.

- Chciałam tylko powiedzieć, że to ty miałeś rację... a ja się myliłam.

- To bardzo trudne wyznanie - przyznał Wedge. - Zawsze, kiedy próbuję coś takiego powiedzieć, więźnie mi gdzieś w gardle.

Uśmiechnęła się blado.

- Nie rozumiałam tego, dopóki się nie ocknęłam na tym waszym wielkim statku. Moja rana prawie całkiem się zabiźniła, a ja wiedziałam, że nic mi nie zostało... straciłam tytuł, straciłam szacunek peratora, prawdopodobnie straciłam twoją sympatię...

- Co to, to nie.

- Pozwól mi skończyć. Nie mogłam się na tym skoncentrować, bo medycy ciągle zadawali mi jakieś pytania. Jak tam moja rana? Na co mogę być uczulona? Inne problemy natury medycznej? Opowiedziałam im o moich zawrotach głowy na wysokości...

Wedge ze zdumieniem ujrzał w jej oczach łzy. Otarła je i ciągnęła dalej.

- Skanowali mi głowę, pobrali krew do badań, aby znaleźć w niej jakieś substancje i stwierdzili, że to niezrównoważenie związków chemicznych. Podali mi jakiś lek i w pół godziny później stałam na górnym podeście waszego doku dla myśliwców, a od płyty lądowiska dzieliła mnie ogromna odległość... stałam nad otworem, przez który wylatują, widziałam w dole Adumar i chmury na jego niebie i... nic więcej. Żadnego dreszczu. Teraz muszę tylko brać ten środek raz na kilka dni. Mogę się nauczyć latać.

- To wspaniałe wieści.

- Tak... choć nawet medycy nie potrafili tego zrozumieć. Dla nich to był taki drobiazg. Diagnoza, właściwy środek i pacjent może sobie pójść, zwolnić miejsce dla następnego. Dla mnie były to lata świadomości, że w Certanie zawsze będę nikim, kimś, kto odszedł w zapomnienie... dla tych zaś, co

mi pomogli, był to po prostu mały sukces w niezbyt trudnym zadaniu. Byłam prawie wściekła, że mnie nie rozumieją. I wtedy właśnie sama zrozumiałam. Gdybym zginęła tamtego dnia na dworze peratora, nigdy nie mogłabym się cieszyć z czegoś, co dla waszych lekarzy jest tylko kwestią właściwego związku chemicznego, a dla mnie cudem. Zrozumiałam, że to ty miałeś rację. Że marnować życie jest niehonorowo. Że to był wybór głupiej dziewczyny. Mam nadzieję, że już nią nie jestem.

- Skoro zobaczyłaś to sama, masz teraz tylko jedno wyjście.

- Mianowicie?

- Dobrze przeżyć życie. Znaleźć cel i dążyć do niego.

- Chcę być pilotem - powiedziała. - I latać. Nie dla Certanu. Nie dla Adumaru. Dla Nowej

Republiki.

- Jeśli za kilka dni będę jeszcze żył, spróbuję ci w tym pomóc.

- Chciałam też powiedzieć... - Jej wzrok powędrował ukradkiem w stronę Ielli i znów spoczął na

twarzy Wedge'a. - Chciałabym życzyć szczęścia tobie i twojej pani.

- Dziękuję.

- Nie... nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć.

- Więc może ja coś ci powiem. Ostatnia rada. Cheriss, nigdy więcej nie myśl, że jesteś na coś za

młoda albo za stara, albo że właśnie jest niewłaściwa pora. To jest życie, a ty możesz oszaleć, zastanawiając się nad tym. Raczej dojdź do wniosku, co jest odpowiednie w twoim wieku, na co jest właściwa pora i raduj się tym, co masz. Na tym właśnie polega szczęście.

- Rozumiem.

- Świetnie.

Wrócił do Ielli i zapiął pasy, po czym znów otoczył ją ramieniem.

- Wszystko w porządku? - zapytała. Skinął głową.

- Czy mogę spytać, o co jej chodziło?

- Po prostu dorasta. Od tamtego wieczoru przybyły jej dwa, a może trzy lata.

- To dobrze.

- Może uda nam się wymyślić, jak zbudować taką broń i strzelić z niej parę razy do Wesa.

- Wszystko słyszałem - oznajmił Janson, nie otwierając oczu.

Pokój odpraw, w którym Wedge i jego towarzysze spotkali się z władcami Konfederacji Yedagonu, nie przypominał żadnego wnętrza z tych, które widzieli w mieście Certan. Było to okrągłe pomieszczenie, ograniczone z jednej strony przez wygiętą ścianę, a z drugiej przez rząd ozdobnych kolumn, za którymi znajdowały się starannie przycięte trawniki i artystycznie rozmieszczone drzewa. Część pomieszczenia ograniczona kolumnami nie miała sklepienia, choć w suficie z drugiej strony Wedge zauważył ruchomy panel, co wskazywałoby, że i ta przestrzeń może być przykryta mechanicznie rozkładanym lekkim zadaszeniem.

Podłoga i stoły były z kamienia podobnego do marmuru, sama podłoga zaś miała szorstką powierzchnię, aby stopy się po niej nie ślizgały. Wedge pomacał ją delikatnie stopą i upewnił się, że jest twarda i nie przypomina miękkiej powłoki, która wydawała się pokrywać wszystko w Certanie.

Cały czas wyczuwało się tu lekkie powiewy wiatru. Sala była przestronna i dobrze oświetlona, bez kątów, gdzie można by się było usunąć i cieni, które mogłyby służyć za schronienie złu. Siadając

przy stole, Wedge uznał, że to wielka zmiana na lepsze w stosunku do tego, czego do tej pory doświadczyli.

Po drugiej stronie stołu zasiadł Escalion, perator Konfederacji.

- Będę się streszczał - oznajmił. - Jest pan wojskowym i z pewnością nie lubi pan podchodzenia do tematu bocznymi drogami.

- Ma pan rację - odrzekł Wedge i uważnie przyjrzał się rozmówcy. Perator Yedagonu również był przeciwieństwem swojego odpowiednika z Certanu: średniego wzrostu, ciemnowłosego, ciemnobrodego, ale o bladej cerze. Ten kontrast sprawiał, że nawet spokojny i odprężony, wydawał się czujny. Był o kilka lat starszy od Wedge'a i prawdopodobnie w równie dobrej kondycji fizycznej. Rozwinięte mięśnie torsu sugerowały regularne ćwiczenia fizyczne, talię miał szczupłą, a brzuch płaski. Mundur był nieskazitelnie biały, w czym przypominał uniform Wielkiego Admirała Imperium, lecz wyróżniały go skomplikowane, fioletowe hafty po zewnętrznej stronie rękawów i nogawek spodni oraz rzędy medali i baretek z różnych kampanii na piersi - każdy innego kształtu, koloru i wielkości. Taką dekorację pedantyczni przywódcy Imperium uznaliby za obrażającą dobre obyczaje.

- Jeśli pan sobie życzy - przeszedł od razu do rzeczy Escalion - z przyjemnością dostarczymy wam transport na statek na orbicie. Po tym, jak publicznie odmówiliście poparcia agresji wojskowej Certanu, czujemy się waszymi dłużnikami i jesteśmy wam to winni. Chciałbym jednak przedtem przedstawić panu pewną alternatywę. I prośbę.

- Życzy pan sobie, żebyśmy polecieli z waszymi oddziałami przeciwko Certanowi?

- Nie - odparł Escalion. - Chcę, aby je pan poprowadził. Wszystkie. Wedge odchylił się w tył.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, aby oddawać wszystkie militarne zasoby kraju w ręce człowieka, którego zaledwie się zna.

- Źle mnie pan zrozumiał - rzekł Escalion. - Nie mówię tylko o moim kraju. Jestem w stałej łączności z władczynią Halbegardii i ona również wyraża zgodę. Chcemy, aby poprowadził pan zjednoczone siły wszystkich krajów sprzymierzonych przeciwko Certanowi.

- Dlaczego?

- Ponieważ dokonał pan na Adumarze czynów bez precedensu. Zademonstrował pan niezwykle umiejętności pilotażu; nikt u nas nie dokonałby podobnego wyczynu. W końcu nie dalej jak wczoraj wasza czteroosobowa grupka rozniosła około trzydziestu przeciwników. Wolał pan uczyć pilotów, zamiast okryć się chwałą kosztem czyjejś krwi i życia. Stawił pan czoło najpotężniejszemu człowiekowi na Adumarze i zignorował pan jego gniew. Oto część odpowiedzi na pańskie pytanie. - Pochylił się nad stołem z bardzo poważną miną. - Wierzę, podobnie jak moi doradcy i władze Halbegardii, że jeśli rozniesie się wieść, iż to pan poprowadzi nasze siły przeciwko Certanowi, wiele innych państw przyłączy się do nas. Kraje obecnie neutralne albo opowiadające się za Certanem, ponieważ wiedzą, że nie wytrzymają bezpośredniego ataku, przejdą na naszą

stronę. To da nam szansę na zwycięstwo. Albo na klęskę w honorowej walce, a nie w masakrze.

Wedge popatrzył na pozostałe osoby siedzące przy stole. Członkowie jego grupy mieli miny

ostrożnie neutralne. Sześcioro doradców, których sprowadził Escalion - mężczyźni i kobiety w identycznych jak on mundurach - zachowywało się bardziej wymownie; kiwali głowami i wpatrywali się w Wedge'a wzrokiem pełnym żaru i wyczekiwania.

- Według mojej wiedzy - rzekł Wedge - jeśli dobrze wszystko skalkulowałem, gdyby nawet wszystkie państwa niepozostające pod bezpośrednią kontrolą Certanu przyłączyły się do nas, zjednoczone siły nadal nie osiągnęłyby dwóch trzecich armii Certanu.

Escalion skinął głową.

- Nawet ta liczba jest zbyt optymistyczna. Sprzęt Certanu jest lepszy od naszego. W naszym korpusie myśliwców mamy za mało blade'ów. W sumie jest ich mniej niż połowa floty. Polegamy zwykle na starszych modelach.

- A więc oceniając optymistycznie, przy pomyślnych układach będziemy mieć połowę ich sił lub nawet mniej.

- Zgadza się.

- Potrzebuję kilku minut, żeby się nad tym zastanowić. Escalion skłonił się lekko i wstał.

- Pozostawiamy wam tę salę do dyspozycji i tyle czasu, ile potrzebujecie. Proszę wezwać służbę, jeśli coś zdecydujecie. Przez ten czas przyślemy wam coś do picia i jedzenia.

- Dziękuję.

Po wyjściu Yedagonian Wedge rzekł:

- Piloci, Cheriss, Hallis... zróbcie mi trochę miejsca.

- A co, nasza bliskość zakłóca twoje fale mózgowe? - ucieszył się Hobbie, wstając. - Blokujemy je, tak?

- Możemy być z tego dumni - dodał Janson. - Ma ktoś ochotę na partyjkę sabaka? Wedge został przy stole tylko z Iellą.

- Chcesz zostać sam i pomyśleć? - zapytała.

- Jak mógłbym cię odsyłać? Ledwie cię zdobyłem. Uniosła lekko brwi.

- Mówisz o mnie jak o udanym zakupie - mruknęła, ale widać było, że jest zadowolona.

- Ależ skąd.

- Myślałam, że odpowiedź dla Escaliona masz już gotową. Że zdecydowałaś się jeszcze przed naszym dotarciem tutaj.

- Tak było. Miałem zamiar odmówić - westchnął. - Ale teraz powiedział coś, co przeważało sprawę. Lot z siłami Konfederacji Yedagonu to nie to samo, co stanąć na czele zjednoczonych narodów przeciwko Certanowi. Pierwsze nie miałoby sensu. Drugie może istotnie sprawić, że wypełnię częściowo zadanie, dla którego zostałem tu przysłany. Może nawet w całości.

- Skąd wiesz? Wedge, wypadłeś z gry. Wszystko, co teraz robisz, jest nielegalne. Choć mam wrażenie, że to akurat całkiem właściwy sposób działania dla byłego Łotra.

Uśmiechnął się.

- Tu się mylisz. Moje obowiązki i odpowiedzialność nie pozostały w Certanie, kiedy uciekliśmy. Wciąż są przy mnie.

- Chyba nie do końca rozumiem. Dopóki Tomer Darpen nie zostanie zwolniony...

- On nie ma najmniejszego znaczenia. Nowa Republika rozpoczęła działania pod egidą lokalnego wydziału wywiadu, zgoda. Chociaż boli, że „Hołd” wciąż pozostaje pod ich bezpośrednią kontrolą. Ale, Iello, moje rozkazy nawet nie wspominają o wywiadzie. Jestem tu po to, aby zaprosić Adumar do Nowej Republiki. Mam upoważnienie do prowadzenia negocjacji i zawierania paktów. Wciąż jestem szefem dyplomacji Nowej Republiki na tej planecie... i mogę prowadzić rozmowy wedle wyboru, z konfederacją narodów, a nie Certanem.

- Nie przyszło mi do głowy, aby spojrzeć na to w ten sposób. Co więc utrudnia ci podjęcie decyzji?

- Jeden prosty fakt. Prowadzenie zjednoczonych sił przeciwko Certanowi to więcej niż napisanie paktu. Decyduje o losie całych krajów, może nawet całej planety.

- Wedge, jeśli postanowisz coś przeciwnego, to będzie również decydowało o ich losie.

- Tak... masz rację.

- Przyzwyczaj się lepiej do tego... zwykle mam rację. Uśmiechnął się do niej łobuzersko. Inni Kordianie, na przykład Han Solo, robili to znacznie częściej niż on.

- Zajmiemy się tym. - Wstał. - Majorze Janson!

Janson poderwał się na baczność, wyprężony jak struna, i łypnął na Wedge'a złym okiem.

- Młody człowieku, mam nadzieję, że to coś ważniejszego od moich kart.

- Poinformuj peratora Yedagonu, że podjąłem decyzję.

- Tak, sir. Jaka to decyzja?

- Potraktujemy Certan obuchem młota.

Janson wydal z siebie okrzyk radości dziwnie przypominający skowyt i podbiegł do drzwi. Po chwili wrócił.

- Posłali po Escaliona.

- To dobrze. - Wedge popatrzył po swoich pilotach. - Dla mnie to kwestia dyplomatyczna, a nie wojskowa. Nie mogę od was żądać, żebyście się przyłączyli.

- Ale też nie możesz nas przed tym powstrzymać - poprawił go Janson. - Jest nas więcej. Dwóch majorów plus jeden pułkownik to co najmniej tyle samo, co jeden generał.

- Ja też w to wchodzę - dodała Iella. Wedge skrzywił się żartobliwie.

- A możesz mnie do czegoś zmusić?

- Mogę cię połaskotać.

- Może i tak. - Wedge przeciągnął się i ziewnął. - No to zaczynamy planowanie strategiczne.

Potrzebuję danych na temat wszystkich zasobów militarnych... aktualizuj

wanych na bieżąco, jeśli zgodnie z przewidywaniami Escaliona zdołamy przeciągnąć na swoją stronę więcej państw. Potrzebuję doradców zorientowanych w siłach zbrojnych Certanu i ich standardowych praktykach. Chcę...

- O, nie - odezwał się Tycho. Wedge wytrzeszczył oczy.

- O co ci chodzi?

- Do łóżka, Wedge.

- Nie bądź śmieszny. Nie mamy dużo czasu, a...

- A ty spałeś mniej niż którykolwiek z nas. - Tycho pochylił się nad generałem. - A to znaczy, że kiedy już wszystko sobie zaplanujesz i poukładasz, natychmiast skoczymy do myśliwców i ruszemy pełną parą na siły Certanu. A ponieważ jesteś wykończony, twój refleks przestanie istnieć, a procesy myślowe zaczną pełzać w kółko jak umierający Hutt i jakiś dwudziestolatek strąci cię jednym strzałem, żeby mieć się czym chwalić przez resztę życia. Nie, Wedge. Prześpij się.

- Ale kto...

- Ja. Nieraz planowałem misje, może sobie przypominasz. Umiem też trochę myśleć. Naprawdę możesz śmiało iść spać. Obudzisz się wypoczęty, przejrzyś moje plany i poukładasz tak, jak ci będą pasować.

Janson i Hobbie stanęli obok Tycha, pochylając się nad Wedge'em z tymi samymi upartymi minami.

- Bunt na pokładzie - ocenił Wedge. Iella się uśmiechnęła.

- Czas, żebyś i ty czegoś się nauczył.

- To znaczy?

- Rozdzielać obowiązki.

- Może i tak. - Wedge wstał. Poczł, że kręci mu się w głowie. Piloci mieli rację, jeśli nawet zmusi się do przetrwania kilku godzin planowania i organizacji, nie będzie się nadawał do niczego innego.

- W porządku, buntownicy. Wygraliście.

Jedenaście coruskańskich godzin później Wedge, świeżo umyty i ogolony, dołączył do swojej grupy i dowódców Konfederacji Yedagonu w sali narad. Podobnie jak sala odpraw, w której rozmawiał z Escalionem, była ona okrągła, ale znajdowała się głęboko pod pałacem Escaliona. Głównym meblem był tu stół w kształcie niepełnego pierścienia - ludzie mogli stać wokół niego oraz w otwartej przestrzeni wewnątrz. Powierzchnię stołu zdominowały płaskie ekrany, jarzące się w półmroku.

Tycho wskazał mu część stołu, którą otaczali przedstawiciele Nowej Republiki i kilku umundurowanych Yedagonian.

- Przybyły nam kraje Thozzeling i Tetanne - powiedział. - I pół tuzina pomniejszych nacji. Escalion miał rację; twoje nazwisko jest magnelem jak bank pełen kredytów, zwłaszcza po tej walce

czterech na trzydziestu.

Wedge uśmiechnął się do Ielli, która odpowiedziała mu tym samym. Następnie zwrócił wzrok na ekran. Wyświetlał on mapę obszarów od serca Certanu po cały Yedagon. Jednostki wojskowe obu stron ukazane były jako mrugające kolorowe kropki.

Wedge przypuszczał, że dotknięcie takiej kropki spowoduje pojawienie się informacji na jej temat, podobnie jak to widział na tablicach blade'ów. Tycho, mówiąc, wskazywał kolejne jednostki.

- Eskadry blade'ów, bombowce typu Scythe, latające fortece typu Meteor, statki wywiadowczo-zwiadowcze typu Cutting Lens, holowniki typu *Farumme* przerobione na transportery wojskowe. Liczby są ciągle aktualizowane na głównej tablicy, ponieważ jeszcze przychodzą do nas informacje o nowych jednostkach dodawanych do naszych sił. Wojska Certanu podobne są do naszych, jeśli chodzi o skład, przewyższają nas jedynie liczebnie i generacją broni.

- Tu jest miasto Yedagon. - Tycho wskazał szarą plamę na mapie, czyli ich obecną lokalizację. - Z historycznych doświadczeń można wnosić, że siły Certami będą się kierować tutaj oraz do pozostałych stolic i większych miast wszystkich zbuntowanych krajów. Perator Certami dowiedział już, że ma dość ograniczone możliwości i stałą taktykę rozwijania sił: myśliwce wiążące statki nieprzyjaciela plus maszyny wspierające bombowce. Walki myśliwców są dla niego najważniejsze, ale to wykorzystanie bombowców powoduje prawdziwe szkody. Rozpoczyna od bombardowania baz wojskowych i wszystkich obszarów, które są ważne dla komunikacji w ostatnim okresie obserwacji. Potem przechodzi do budynków rządowych i domów dostojników.

- Jaki rodzaj bomb stosuje?

- Oficjalnie nazywa się je Kołpakami albo Grzybami, z powodu chmury, jaka powstaje, ale zwykle mówi się na nie Przebić-Rozsadzić. Uderzają w ziemię i wbijają się na wiele metrów, zanim zdetonują... chodzi o to, aby osiągnąć takich podziemnych komnat jak ta. Jedna bomba może zrównać z ziemią pół osiedla.

- Czarujące - rzekł Wedge. - Doskonale. Jaki macie plan?

- Perator Certanu lubi atakować w południe. Ładnie to wygląda na ekranach, a wielu jego pilotów lubi nurkować do celu, mając słońce w plecy. Oczekujemy ataku na Yedagon może nawet jutro w południe... więc nie możemy dać mu szansy. Wylecimy przed świtem i o wschodzie słońca znajdziemy się nad przestrzenią powietrzną Certanu.

Wedge skinął głową. Lubiący dobrze się zabawić i wypić piloci Certanu, wyciągnięci z łóżek ledwie kilka godzin po tym, jak do nich dotarli, stanowili tak potrzebny zjednoczonym siłom element ich przewagi.

- Co dalej?

Od tej chwili przede wszystkim będziemy się starać o bezwładnic ich poprzez przerwanie łańcucha dowodzenia wszędzie tam, gdzie jest to możliwe. Standardowa grupa szturmowa kilku eskadr myśliwców wraz z bombowcami i fortecami będzie analizowała metody sił Certanu. Kiedy się dowiedzą, która część formacji stanowi cel Certanu... czyli „centrum”... ta część zwolni tempo.

Zewnętrzne skrzydła rozszerzą się i zwiększą prędkość, tworząc półkole po obu stronach formacji Certanu, na niższym pułapie, w odległości, która pozwoli im pozostawać poza zasięgiem własnej broni... ale siły Certanu będą w zasięgu z obu stron. Ponieważ nasza płaszczyzna ognia będzie poniżej płaszczyzny celu, chybione strzały nie zagrażą naszym siłom, po prostu dotrą tam gdzie trzeba i zdetonują. Przez ten czas siły Certanu będą musiały wytrzymać pierwszy atak; my skoncentrujemy ogień, a oni będą musieli swój rozproszyć. Wtedy przyjdzie im

wybrać pomiędzy kontynuacją początkowego planu a rozbiciem się na części, aby móc atakować różne elementy naszej formacji. Kiedy już wciągną się w walkę, możemy się zastanowić, czy obniżyć nasze eskadry i przyszpilić ich na miejscu, czy wysłać skrzydła do pierwotnego celu, czyli baz lotniczych i centrów łączności.

- Może być - zgodził się Wedge. - Pozwól, że zadam ci parę pytań. Na tablicach świetlnych Adumarian eskadra na ogół pojawia się jako pojedynczy sygnał, dopóki nie znajdzie się tak blisko, że można dostrzec pojedyncze statki, Ile blade'ów daje taki sam sygnał, jak pojazdy typu Scythe lub Meteor?

Tycho spojrzał na jednego z umundurowanych oficerów.

- Generał ya Sethes?

Oficer, siwowłosa kobieta o budowie profesjonalnego zapaśnika odpowiedziała bez wahania:

- Cztery na scythe'a, sześć na meteory. Pod warunkiem że eskadra nie zawiera maszyn typu Blade-28 lub wcześniejszych, bo wtedy jest to odpowiednio pięć i osiem.

- Chciałbym, aby każdy bombowiec i każda większa jednostka miały transpondery zaprogramowane na wysyłanie fałszywej odpowiedzi - zarządził Wedge. - Wtedy zamiast przekazać właściwą nazwę i inne informacje, powiadomi, że jest jednym z blade'ów eskadry. Dopóki się nie zbliżą, trzy scythe'y będą wyglądały jak jedna eskadra, dwa meteory tak samo.

- A więc obraz naszego składu zostanie zafałszowany do ostatniej chwili - podsumował Tycho. - Podoba mi się to.

- To jeszcze nie wszystko. Chciałbym dostać listę trzydziestu najbardziej znanych pilotów w naszych zjednoczonych siłach. Trzeba, żeby transpondery w co najmniej dwóch blade'ach z każdej eskadry naprzemiennie wysyłały sygnały identyfikacyjne jednego z tych pilotów. Prawdziwi piloci też powinni na przemian wysyłać dane swoje i nowicjuszy. Nikomu nie wolno się przełączyć na oszukańczy transponder, dopóki bitwa nie zacznie się na całego, a i wtedy tylko wówczas, kiedy nie namierzy ich nieprzyjaciel.

Generał ya Sethes spojrzała niepewnie.

- Jeśli zaczekamy, aż wszystkie myśliwce zostaną związane w walce, to rzeczywiście oszustwo będzie trudniejsze do rozpoznania, ale po co?

Wedge uśmiechnął się do niej.

- Chodzi o to, że podczas walki piloci eskadry mają tendencję do skupiania się na jednym statku. Niech to będzie ktoś, kto potrafi dobrze robić uniki, występujący na przykład jako major Janson. Wrogowie skupią się na nim, pozwalając najlepszym strzelcom w eskadrze na jedną lub dwie salwy. A wówczas, jeśli nasz fałszywy Janson przez moment wyjdzie poza celowniki, może zdjąć maskę, czyli przełączyć się z powrotem na normalną tożsamość, i spowodować zamieszanie wśród szukających go nieprzyjaciół. Wszystko, co może ich zmylić, pomieszać im szyki, działa na naszą korzyść.

Generał wciąż wydawała się nie do końca przekonana, ale stwierdziła:

- Jeśli nie proponujecie nic więcej, to prosty program. Zajmę się tym.

- Dziękuję - odparł Wedge i znów spojrział na mapę. - Czy reakcje militarne Certami są wystarczająco przewidywalne, abyśmy mogli zaplanować sobie, gdzie nasze siły zetną się z nimi?

- Pod warunkiem że ćwiczenia reakcji eskadr okażą się dobrym wskaźnikiem. - Tycho wzruszył ramionami. - Trudno powiedzieć na pewno, ponieważ te ćwiczenia odbywają się bez broni, a piloci Certanu nie cierpią tego. Ale sądzę, że tak.

- A zatem wysyłamy jedną eskadrę na godzinę lub dwie przed każdą główną formacją. Potrzebujemy pilotów umiejących lecieć na niskich pułapach. Powinni przemieszczać się poniżej poziomu, na którym uaktywniają się czujniki tablic świetlnych i zająć stanowiska w ukryciu poniżej przewidywanej strefy starcia. A skoro formacje certańskie mają tendencję do latania w bardzo ciasnym szyku, dopóki nie rozdzielią się do ataku...

- ...nasze jednostki będą mogły ostrzelać przelatujące nad nimi eskadry - dokończył Janson. - Może nawet jedną rakietą likwidując kilka myśliwców, zwłaszcza w kilku pierwszych sekundach.

- Tak, tak - ucieszył się Hobbie. - Ja się zgłaszam na ochotnika. Chcę to robić. Weźcie mnie, proszę. - Wyraz twarzy miał poważny jak zwykle, przestępował z nogi na nogę z podniecenia.

Wedge i Tycho spojrzeli po sobie. Wedge zapytał:

- Widziałeś, żeby ktoś się kiedyś tak zachowywał? Tycho pokręcił głową.

- Wyłącznie wtedy, kiedy naprawdę, ale to naprawdę musi pędzić do łazienki. Hobbie, dlaczego?

- Bo już mam dość - odparł Hobbie. - Rzygać mi się chce, kiedy słyszę: „Hej, jestem taki a taki, zabiłem tylu a tylu wrogów, a teraz cię wyzywam, kłaniamy się, przestrzegamy zasad i mówimy sobie różne miłe rzeczy, i czy to nie uroczo, że będziemy trupami?” Tycho, chcę postrzelać do czegoś. Chcę coś rozwalić. Bez przeprosin. Bez ostrzeżenia. Śmiercionośna skuteczność i nic więcej. Zanim frustracja załatwi mnie do końca.

- Pierwszy raz, odkąd go znam, wypowiedział tyle słów jednym ciągiem - zdziwił się Tycho. - W porządku, Hobbie. Będiesz dowodził eskadrą zwiadowczą dla pierwszej grupy.

- Nie wiem, czy on jest w tej chwili przy całkowicie zdrowych zmysłach - szepnął Janson. - Chyba lepiej z nim zostanę.

- Dobry pomysł - powiedział Wedge. - Poza tym, Tycho, to są wszystkie modyfikacje, jakie

widzę w twoim planie. Chciałbym porozmawiać z pilotami, albo przez zapis, albo bezpośrednio, i ustanowić pewne zasady. Chcę, żeby latali w stylu Nowej Republiki. Jeśli zobaczę pilota, który leci po sławę zamiast po zwycięstwo, sam go chętnie zestrzelę.

- W porządku - powiedziała generał ya Sethes. Wedge pochwycił spojrzenie Cheriss.

- Cheriss, zostaniesz z nami? Pokręciła głową.

- Lecę wcześniej, za kilka godzin, ze specjalną jednostką naziemną. Nie mogę się zdecydować na to, aby ostrzelać moje miasto... albo mówić innym, gdzie mają zrzucić bomby... ale mogę pomóc w odnalezieniu waszych X-wingów.

- Dziękuję i za to. Może się to okazać nieocenione, jeśli Turr Phennir i jego piloci lecą w swoich przechwytyjących TIE. Dzięki. - Spojrzał na Hallis. - A ty? Zostajesz tutaj, mam nadzieję?

- Oszalałeś? - Zmarszczyła brwi. - W porządku, powiem to inaczej. Nie słuchałeś, co ci mówiłam? Jestem reporterką dokumentalistką. Dostałam miejsce w jednym z meteorów. Będę wszystko rejestrować, tam i z powrotem.

Wedge rozważył wszystkie za i przeciw, ale uznał, że nie ma szans przekonać jej, aby została. Mógł wydać rozkaz i nie dopuścić jej do lotu, ale wtedy pewnie by stwierdziła, i słusznie, że odmawia jej prawa do wyboru własnej drogi.

- Życzę szczęścia. - Spojrzał na Iellę. - Jeśli jeszcze sama sobie nie wybrałaś jakiejś samobójczej misji, mam coś dla ciebie.

- Mów.

- Chcę, żebyś się wybrała na „Hołd”. Możesz błagać, przekupywać, przebijać się siłą, ale musisz dostać się na pokład i przekazać im kopię zapisu Tomera Darpena.

- Już to zrobiłam.

- Co?

Wedge krzyknął tak głośno, że wszyscy obecni poderwali głowy i spojrzeli na niego. Machnął ręką, żeby nie zwracali uwagi, chwycił Iellę za łokieć i odprowadził na bok.

- Jak to się stało?

Uśmiechnęła się do niego, najwyraźniej rozkoszując się jego zdziwieniem.

- Kiedy spałeś, poprosiłam Escaliona o blade'a i pilota. Polecieliśmy na „Hołd”.

- Wolałbym, żebyś na mnie zaczekała.

- A ty od razu byś spytał, co tam będę robić i czego wymagają ode mnie moje obowiązki oficera wywiadu.

- Właśnie! - Zaśmiał się. - Niech będzie, że to nielogiczne. Jak poszło?

- Dziwnie - odparła. - Oficerowie „Hołdu”, jak się potem dowiedziałam, nie byli zadowoleni z zablokowania komunikacji przez Tomera. Wiedzieliśmy tylko, że statek nie odpowiada na nasze

wywołania, i dlatego bardzo, bardzo powoli podlecieliśmy do głównego doku. Było tam mnóstwo żołnierzy, mnóstwo pistoletów laserowych wycelowanych w nas... ale wszystko się uspokoiło, kiedy się przedstawiłam i porozmawiałam z kapitanem Salabanem. Jest wściekły i oburzony na te rozkazy, całkiem jak pilot myśliwca schwytyany w promień ściągający.

- Co mu powiedziałaś?

- Cóż, oczywiście było, że zamierzał słuchać rozkazów, choć mu się nie podobały. Niczego innego się nie spodziewałam. Nawet zresztą gdybym mu opowiedziała wszystko, byłoby to tylko moje słowo plus soczysty kawałek nagrania stanowiącego dowód kolaboracji, przeciwko temu, co mówił Tomer Darpen. Wystarczyłoby, żeby doprowadzić Salabana do rozpacz, ale nie do złamania rozkazów. Przynajmniej tak mi się wydaje. Wolałam nie utrudniać mu życia tym dylematem. Opowiedziałam mu o wojnie, o tym, jak do niej doszło... nie wspominając o roli Tomera Darpena w jej wybuchu. Dałam mu kopię zapisów z prośbą, aby przekazał je generałowi Crackenowi natychmiast po zdjęciu blokady. Pozostawiłam też umyślnie niewłaściwie oznaczoną kopię, jak również przesłałam zaszyfrowane czasowo kopie do wszystkich jednostek R5 i R2 w całej eskadrze X-wingów na pokładzie.

- Powiedziałbym, że zrobiłaś więcej, niż mógłbym od ciebie wymagać - mruknął z udanym oburzeniem. - Pamiętaj tylko, że masz się trzymać z dala od niebezpiecznych miejsc, kiedy zacznie się strzelanka.

- Będę w jednym z ich statków zwiadowczych - odpowiedziała. - Koordynacja jednostek. Z dala od frontu.

- Front to raczej nie jest równo wytyczona linia, a pociski nie pytają, którądy lecieć.

- Tylko tyle mogę ci obiecać, Wedge. Nie naciskaj. Westchnął z rozpaczą.

- Zawsze taka byłaś?

- Nie - odparła. - W młodości byłam strasznie uparta.

- Po prostu nie powinnaś uważać, że musisz pozostawać w pobliżu, jeśli sprawy potoczą się w złym kierunku - rzekł. - Nasze szanse wciąż są niewielkie... nawet przy napływających nowych ludziach i zasobach.

Urwał, jakby nagle coś przyszło mu do głowy.

- Co jest?

- Dawniej też dowodziłem dużymi siłami. Sama „Lusankya” ma większą siłę ognia niż cała armia, którą poprowadzę dzisiaj. Ale do tej pory wszystkie armie, które obejmowałem, zostały mi po prostu przydzielone, razem z dużym procentem ochotników. Po raz pierwszy zdarzyło mi się, że tylu rekrutów zgłosiło się wyłącznie z powodu potęgi mojego nazwiska. To deprymujące.

- Nie nadymaj się tak, Wedge. Nie zmieścisz się do kabiny.

- Dzięki za wsparcie duchowe. - Pociągnął ją w kierunku stołu. - A teraz marsz do roboty.

Na kilka godzin przed świtem Wedge stał na drabince wiodącej do kabiny blade'a. W świetle punktowca, z komunikatorem przy kołnierzu przygotowywał się do przemówienia.

Nigdy nie mógł zrozumieć, po co dowódca wygłasza odezwę do żołnierzy przed wyruszeniem na misję... a raczej nie umiał wczuć się w psychologię pilotów i żołnierzy, którzy takiej przemowy potrzebowali i oczekiwali. Sam nigdy nie wylatywał na misję bez absolutnego zaangażowania się w

nią na długo przed oddaniem pierwszego strzału. Uważał, że jest to jedyny sensowny sposób osiągnięcia celu i przy okazji pozostania przy życiu.

Odkąd jednak ponad dziesięć lat temu odziedziczył Eskadrę Łotrów po Luke'u Skywalkerze, nauczył się, że właściwie użyte słowa potrafią ocalić życie. Zastanawiał się, czy i teraz znajdzie te właściwe słowa. Włączył komunikator i rozejrzał się wokół siebie - pozornie bezkresna płaszczyzna durabetonu zatłoczonego myśliwcami, pilotami, mechanikami, członkami załóg. Najwięcej było ciemnoczerwonych kombinezonów pilotów Konfederacji Yedagonu i robotników; wszyscy obwieszani byli szarfami, medalami, baretkami i innymi elementami podkreślającymi indywidualność. Widać było również kombinezony innych kolorów, czyli że byli obecni również członkowie innych nacji. Wedge miał na sobie jaskrawopomarańczowy strój pilota myśliwca Nowej Republiki. Hallis powiedziała Yedagonianom, czego mają szukać, a oni sumiennie wyposażyli Czerwonych w żądane barwy.

- Ludu Adumar! - zaczął Wedge. - Tak powinienem się do was zwracać, nie używając nazwy kraju czy miejsca urodzenia. Dzisiaj jako piloci reprezentujecie swoją planetę, a waszym celem jest powstrzymanie osobistych ambicji i zachłanności innych, tych, którzy chcą zrujnować wam życie.

Dziś, z tej bazy i z wielu innych, wzbijemy się w niebo, aby stworzyć największą flotę powietrzną, jaką oglądał ten świat... z wyjątkiem jednej. Siły Certanu są większe. Potężniejsze. Aby ich pokonać, musimy być po prostu lepsi. Powiem wam, jak tego dokonamy.

Każdy pilot, którego weźmiecie na celownik swojej broni, kombinuje tylko, ile uda mu się zyskać na tym konflikcie. Ile zarobi. Większość planuje przynajmniej zyskać honor. Honor kupiony za cenę waszej krwi.

Tamten pilot myśli o sobie. Wy tego nie zrobicie. Skoncentrujcie się na celu, jaki chcecie osiągnąć. Nie pozwólcie sobie myśleć o osobistych pojedynkach, o pochwałach i zaszczytach. Nie odpowiadajcie na wyzwania i osobiste uwagi wroga, nie zasługują one na waszą reakcję. Nie bójcie się, że nie zostaniecie bohaterami. Jesteście nimi od chwili, kiedy zaangażowaliście się do walki, aby pokonać nieprzyjaciela, kosztem być może własnego życia. To już jest za wami. Teraz przejdźmy do ważniejszych spraw.

Musicie wiedzieć wszystko o nieprzyjacielu. Jak się porusza. Jak strzela. Co myśli. Gdzie go te myśli zaprowadzą. Strzelajcie do niego i w miejsce, gdzie właśnie leci. Walczcie teraz i za kilka chwil jednocześnie. To da wam podwójną szansę zabicia wroga, zupełnie jakbyście mieli dwa razy tyle broni. I tylko tak zdołacie zwyciężyć.

Jeśli już pozwolicie, aby wasze myśli powędrowały gdzie indziej, pomyślcie o domu. Nie o zachwytach i szacunku, tylko o żonach, mężach, dzieciach, rodzicach. Jeśli przegramy, staną bezbronni w obliczu sił Certanu. To powinno wystarczyć, abyście znów skoncentrowali się na tym, co trzeba... na wrogu.

Czas na nas. Pozdrawiam cię, Adumarze. - Zawiesił głos i powtórzył: - Pozdrawiam cię. Niech żyje Adumar!

W chwilę później pierwsze szeregi ludzi, w tym Tycho i Iella, podjęli to słowo, skandując: „Adumar!, Adumar!, Adumar!” Okrzyk przetoczył się po całej załodze powietrznej, nabierając mocy.

Wedge pozwolił na to tylko tak długo, aż zaczął krzyczeć każdy z obecnych. Potem skinął głową Tychowi. Tycho włączył swój komunikator i nagle powietrze rozdarł ryk syren.

Jak mrowisko, nagle zniszczone przez olbrzymiego intruza, baza lotnicza stała się wielkim

kłębowiskiem biegnących ciał. Piloci wskakiwali do myśliwców, mechanicy dokonywali ostatnich szybkich przeglądów, robotnicy spieszyli się, aby załadować dostarczone z opóźnieniem pociski na samoloty.

Wedge zeskoczył na płytę. Iella podeszła do niego.

- Słuchaj, generale - szepnęła. - Jeśli dopuścisz, żeby coś ci się stało, źle się to dla ciebie skończy. Pożałujesz tego, już moja w tym głowa.

- Właśnie tak mi się zdawało - odpowiedział.

Czekała niepewnie uśmiechnięta, jakby w nadziei, że usłyszy coś więcej.

- Cały Wedge - powiedziała w końcu. - Tak uczciwy, że nawet nie potrafi mnie pocieszyć.

Rozejrzał się, aby się upewnić, że nikt go nie usłyszy.

- Ależ pocieszę cię - zapewnił. - Są dwa powody, dla których nie dopuszczę, aby coś mi się stało. Jeden: jestem najlepszy. Dwa: wreszcie mam do kogo wrócić.

Objęła go mocno.

- Nie zapomnij o tym.

- Nie zapomnę.

- Muszę wracać na stanowisko.

Pocałował ją i patrzył, jak biegnie... a może ucieka w kierunku wielkiego statku, na który została przydzielona do tej misji. Wyglądał jak stacja kosmiczna w kształcie koła ze szprychami, gdzie każde miejsce połączenia szprych i koła było skupiskiem czujników.

Wskoczył do kabiny. Jego mechanik, kobieta w średnim wieku, o twarzy ubrudzonej smarami z myśliwca, siedziała okrakiem na kadłubie, tuż zaabiną, dokręcając kluczem tylną część kopułki.

- Jak to wygląda, Grembae? - zapytał.

- Dali panu najlepszy egzemplarz - odrzekła. - Jest w tak doskonałym stanie, jak tylko można sobie wymarzyć.

Kask leżał na fotelu pilota. Wziął go do ręki i wtedy dopiero zauważył ozdoby. Dopiero co wyschła farba, którą wymalowano na ciemnoczerwonym tle serię złotych klinów; takim motywem dekoracyjnym on sam ozdabiał większość noszonych przez siebie hełmów.

- Kto to zrobił? - zapytał.

- Mój syn jest mechanikiem w mojej brygadzie - wyjaśniła. - Pańska dama powiedziała, że się panu spodoba.

- Moja dama... - Włożył hełm, zapiął go pod brodą. - Moja dama.

Dwa zwykłe słowa, ale zabrzmiały zupełnie inaczej. Nigdy do tej pory nie miały dla niego

znaczenia. Teraz mu się spodobały.

- Miała rację - rzekł, sadowiąc się na miejscu. - Dzięki, Grembae.

ROZDZIAŁ 12

Wystartowali z bazy lotniczej Yedagonu w sile setek myśliwców, bombowców i latających fortów, statków wszelkiej maści i typu, a byli tylko jedną z grup, które miały zaatakować Certan i jego kraje satelickie. Jeden z oddziałów blade'ów, lecący przed grupą jako forpoczta, zwany Ostrzem Płynnego Szkarłatu, był dowodzony przez Wedge'a i Tycha.

Był to o wiele szybszy lot niż wówczas, kiedy Wedge opuszczał Certan - i o wiele przyjemniejszy. Nie lubił lecieć statkiem, którego nie pilotował. Obserwował przesuujące się szybko w dole, zalane światłem księżyców lasy i pola uprawne. Czuł dziwny spokój, choć przecież znajdował się na czele setek wojennych maszyn. W eterze panowała cisza.

Kilka kilometrów za granicą Certanu z tablicy informacyjnej dobiegł pulsujący szum, świadczący, że trafiła na sygnał innej tablicy. Wedge skinął głową. Instalacja czujnikowa na granicy. Ponieważ szum nie zniknął, Wedge zablokował go własnym celownikiem, skręcił w bok i odbił od formacji Płynnego Szkarłatu, kierując się wprost na źródło sygnału. Tycho podążył za nim.

Operatorzy czujników próbowali uratować instalację. Sygnały znikły, ale koordynaty instalacji pozostały w pamięci komputera blade'a-32. Wedge zaprogramował swoją tablicę na te współrzędne jako na jedyny cel. Uzbroił lasery, a gdy tylko tablica pokazała pełne ramki celownika, wystrzelił. Zobaczył, jak strzały Tycha i jego własnych działek wbijają się w las. Coś eksplodowało płomienistą kulą.

Nawrócili i przyjrzeni się zniszczonej bazie. Kwadratowy bunkier o boku może piętnastu metrów palił się żywym ogniem. Skomplikowana konstrukcja czujników na jego szczycie zmieniła się w kupę złomu. Usatysfakcjonowany Wedge położył statek na burtę, aby wrócić do formacji.

Na całej granicy pozostali członkowie pierwszej linii blade'ów robili dokładnie to samo. Nie mogli ukryć podejścia do Certanu, ale mogli - jeśli zdołają w porę i dość skutecznie zniszczyć stacje czujników - ukryć wielkość nadlatującej nad nieprzyjacielskie terytorium armady. Siłom wojskowym Certanu trudno będzie się zorientować, kto na nich napada.

Nad ich głowami niebo zaczynało jaśnieć. Wedge sprawdził czas. Operacja przebiegała zgodnie z planem. Na „Hołdzie” było właśnie południe. Podejrzał, że obsługa czujników niszczyciela będzie miała dzień interesujących obserwacji.

Kilka minut później, wraz z coraz jaśniejszą łuną na wschodzie, przerwana została wreszcie cisza w eterze.

- Dowódca Grupy Jeden, tu „Oko Trzy” - usłyszał Wedge głos Ielli. - Ostrze Elektrycznej Śmierci, na skrajnym północnym skrzydle formacji, informuje o ataku eskadry certańskich blade'ów. Potyczka jeszcze się toczy, ale oddział bombowców typu Scythe przeszedł nieprzyjaciela aż do

bazy, której wcześniej nie znaleźliśmy, i teraz walą w nich jak w bęben. Mówią, że na ziemi czekała kolejna eskadra.

Wedge spojrział na północ. Widział odległe, drobne błyski i życzył szczęścia Ostrzu Elektrycznej Śmierci.

- Dzięki, „Oko Trzy”.

Chwilę potem jego tablica rozjarzyła się plamkami lecących w ich stronę eskadr - wielu, wielu eskadr. Nadlatywały z północy i południa, z wielkich miast certańskich leżących na tych obszarach.

Standardowa certańska taktyka - gdyby to był zwykły atak myśliwców, polegałaby na skierowaniu wszystkich sił na jedną z linii wroga, zależnie od tego, która wydawałaby się bardziej prestiżowa, i wciągnięciu jej w walkę z nadzieją rozbicia, zanim druga dotrze na miejsce... ale Grupa Jeden nie schodziła z kursu, prowadzącego wprost na stolicę Certanu. W ciągu kilku minut jednostki certańskie wykryją Grupy Pięć i Dwanaście, kierujące się na ich rodzinne miasta, i staną przed dylematem: ścigać Grupę Jeden czy bronić swoich miast? Wedge zachichotał. Władze certańskie za wszelką cenę postanowiły chronić ludność przed koniecznością odpowiedzi na trudne pytania. Zanim dzień się skończy, planował przedstawić im jeszcze kilka.

- Oko Trzy do dowódcy Czerwonych. Wykryto główne siły startujące z baz powietrznych miasta Certan. Formują się i kierują w tę stronę. Szacunkowa liczebność: dwadzieścia eskadr i rośnie.

Dzięki, „Oko”. - Oznaczało to, że siły nieprzyjacielskie już w tej chwili były równe siłom Wedge'a. - Jak nasz pościg?

- Leci dalej. Grupy Pięć i Dwanaście za chwilę wejdą w zakres tablic świetlnych ich miast.

- Przyjąłem. Dowódca Czerwonych wyłącza się.

Wedge wiedział, że wróg pojawi się na jego tablicy w postaci postrzępionej linii małych, jaskrawych kropek, z których każda będzie przedstawiać formację wroga. W miarę zbliżania się kropki zaczną rosnąć i stopniowo rozdzielać się na chmury mniejszych punkcików, oznaczających pojedyncze myśliwce. W chwilę później dokładnie tak się stało. I to miało być wszystko, co zobaczy Wedge aż do momentu, kiedy się zbliżą. Wróg nadlatywał od strony słońca, które już wynurzało się zza horyzontu.

Wedge opuścił gogle. Tak, lot pod słońce to zdecydowany minus. Ale tylko chwilowy - gdy tylko obie siły przystąpią do indywidualnych starć, wszyscy będą mieli równe szanse. Certańscy piloci będą zaś w dalszym ciągu zmęczeni i niewyspani.

W momencie, gdy nieprzyjacielskie siły znalazły się o minutę od ich zasięgu i eskadry zaczęły rozdzielać się na pojedyncze statki, Wedge przełączył komunikator na częstotliwość grupy.

- Dowódca Czerwonych do grupy. Przednia linia, zwolnij do jednej trzeciej, żeby główny korpus

cię dogonił. Róg północny, róg południowy... zaczynicie przechodzić na swoje pozycje. Wszystkie pozostałe eskadry zwolnić do jednej trzeciej standardowej prędkości lotu i utrzymać formację.

Usłyszał potwierdzenia od dwóch dowódców formacji oskrzydłających. Na tablicy widział, jak cała grupa zmienia kształt. Czoło - cienka linia myśliwców - cofnęło się, aż zostało wchłonięte w pierwsze szeregi głównego korpusu wyglądającego jak odwrócony trójkąt. Dwa przednie kąty trójkąta wyciągnęły się do przodu jak para rogów. Przed nimi znajdowała się elipsoidalna formacja certańskich myśliwców, która nieubłaganie zdążała w ich stronę, jeszcze się nie przegrupowując na spotkanie z „rogami”, które dopadną ich w ciągu kilku sekund.

Wedge zmrużył oczy i przy zwiększonej polaryzacji gogli zdołał dostrzec ślady nadlatujących formacji - czarne kropeczki na tle cienkich jak igła białych sopli.

Nagle z lasu z osłepiającą szybkością wystrzeliły ogniste smugi. W chwili kiedy dotarły do serca sił certańskich, eksplodowały w ogromne kule ognia.

Wedge drgnął. To oddział Hobbiego i Jansona, Ostrze Piki Blasterowej, wysłany właśnie w tym celu - ale Wedge, pochłonięty innymi planami, prawie o nich zapomniał. Grupa certańska nagle się rozproszyła i zaczęła dzielić - całe eskadry spiralami opadały w dół, ku źródłu pocisków, które nie przestawały lecieć w ich kierunku.

- Róg północny, róg południowy - odezwał się Wedge. - To sygnał dla was. Macie się zbliżyć i atakować. Grupa główna, naprzód. Po zbliżeniu podzielić się na eskadry i strzelać bez rozkazu.

Na powrót włączył system celowniczy, który natychmiast zaczął jednostajnie wyc. Odległe cele wpadały i wypadały z klamer celownika. Przełączył się na pociski i strzelał za każdym razem, kiedy melodyjny dźwięk sygnalizował czysty strzał. Przed nim siły certańskie wyglądały jak cztery zestawy do treningu strzeleckiego, ale lasery i pociski posypały się już również w stronę atakujących. Statek Wedge'a zakołysał się, kiedy lecący obok Płynny Szkarłat-3 eksplodował; siła wybuchu zepchnęła Wedge'a o kilka metrów w prawo, zanim odzyskał kontrolę.

Wreszcie obie siły starły się ze sobą, tworząc jedno kłębowisko walczących maszyn. Już nie można było odróżnić jednych statków od drugich.

Wedge pochwyił obraz blade'a-32 lecącego chyba na kursie kolizyjnym. Przełączył się na lasery, wystrzelił, zatoczył koło w lewo i zanurkował, usiłując zejść szaleńcowi z drogi. Tablica wyciem oznajmiła, że nieprzyjaciel wziął go na cel. Wedge kontynuował spadek, wlatując pomiędzy dwa nieprzyjacielskie blade'y, i wycie ustało. Teraz ruszył w górę. Z tyłu czujniki pokazywały, że jeden z dwóch blade'ów, pomiędzy którymi przeleciał, trafiła pod ogień laserów i jego lewa burta pęka. Blade zaczął dygotać i całkowicie utracił aerodynamikę.

Jego partner też gdzieś znikł.

- Tycho?

- Zajęty, szefie.

Wedge powiedział to samo do mikrofonu tablicy celowniczej. Jedna plamka na ekranie zaczęła migotać. Tycho był pół kilometra nad nim, dokładnie między dwoma nieprzyjacielskimi blade'ami. Wedge poderwał maszynę.

Widział już Tycha i jego przeciwników - byli doskonale widoczni nawet na tle ciemnego nieba dzięki przemykającym między nimi świetlistym smugom. Tycho gonił jednego blade'a, jego zaś ścigał drugi. Strzelał laserami w obu kierunkach, a sam leciał zygzakiem, aby uniknąć trafienia.

Wedge wzniósł się, uchwycił przedniego blade'a w klamry celownika, ale spokojnie zaczekał. Pozwolił, aby klamry przemieknęły przez Tycha i spoczęły na ścigającym go myśliwcu. Otworzył ogień, a choć pierwszy ładunek minął cel, druga salwa przeżarła kadłub w okolicy rufy.

Solidny blade-32 nie eksplodował, ale rufa mu odpadła. Pojazd zatoczył się, tracąc sterowność. Wedge ujrzał z satysfakcją, jak kopułka się otwiera, a w chwilę później wypada z niej pilot. Musiał po drodze załatwić również system repulsorów, inaczej pilot zapewne spróbowałby bezpiecznie przyziemić.

Tycho, skoro już nic nie rozpraszało jego uwagi, spokojnie zalał ogniem laserów blade'a przed sobą. Choć tamten zrewanżował się ostrzałem, osmalając dziób statku Tycha, certański myśliwiec już po chwili był tylko zwęglonym i dziurawym wrakiem.

Wedge wspinał się dalej. Na górnym pułapie wyznaczonym dla akcji ściągnął drążek i obrócił się na grzbiet, kierując się w stronę Certami. Z tej pozycji mógł przyjrzeć się polu walki. Tycho poszedł w jego ślady.

Nie było źle. Zjednoczone siły Adumaru posuwały się bezlitośnie w kierunku Certanu, obrońcy zaś byli zmuszeni dotrzymywać im kroku. Za kilka minut, jeśli sytuacja nie ulegnie zmianie, znajdą się nad samym miastem.

- Dowódca Czerwonych do „Oka Trzy”. Zдай raport, jeśli możesz.

- „Oko Trzy” do dowódcy Czerwonych. „Czerwony Trzy” i „Czerwony Cztery” są cali i zdrowi, choć ich eskadra poniosła ciężkie straty. Pościg podzielił się i wraca teraz na swoje miejsca zając się Grupą Pięć i Dwanaście. Scythe'y z rogu północnego i południowego oddzieliły się od formacji i teraz są nad Certanem, kierując się do baz lotniczych. Mamy raporty o ogniu baterii naziemnych.

Wedge spojrzał w kierunku miasta. W niebo rzeczywiście strzelały żółtobiałe smugi laserów w grupach po cztery. Z tej odległości wydawały się cieniutkie, ale w rzeczywistości każda miała średnicę jak pół blade'a.

- Czujniki pokazują kolejny tuzin eskadr startujący z baz i z samego Certanu - ciągnęła Iella.

- Czy są jeszcze jakieś wolne oddziały Grupy Jeden?

- Sześć meteorów i ich osłona.

Wedge westchnął zadowolony, że większości eskadr i większych statków przypisał oprócz normalnych nazw również numery. Dzięki temu mógł utrzymywać kontakt nawet wtedy, kiedy nie był w stanie sobie przypomnieć ich nazwy. Przełączył się na częstotliwość grupy.

- „Meteor Jeden” i „Dwa” plus osłona, dołączcie do scythe'ów z rogu północnego. „Meteor Trzy” i „Cztery”, także z osłoną, dołączcie do scythe'ów z rogu południowego. Meteory „Pięć” i „Sześć” z osłonami, przeorajcie to kłębowisko przez sam środek. Dajcie wrogowi trochę do

myślenia. - Przełączył się na częstotliwość dowodzenia. - Dzięki, „Oko Trzy”.

Ściągnął drążek i razem z Tychem zanurkowali w sam środek starcia.

Wedge właśnie oddał daleki strzał do dwójki blade'ów, kiedy jego trajektorię przeciął inny statek, niewiarygodnie szybki, pozostawiając na wizji jedynie zamglony powidok. Myśliwiec przechwytyjący TIE, lecący po niemożliwym do przewidzenia kursie pełnym nagłych skrętów i zwrotów.

Wedge skierował swoje lasery na pusty las i otworzył ogień. Kolejne trzy TIE przecięły jego trasę; z przyjemnością zauważył, że ciągły ogień ściał baterie słoneczne z jednego. Strzał nie zniszczył TIE, ale myśliwiec odpadł od formacji i z wielkim trudem zdołał wrócić na pozycję, przysmażany w miejscu trafienia. Przez chwilę ciągnął się powoli za formacją, ale szybko został w tyle.

- Dobry strzał, szefie.

- Nie dość dobry, „Dwójka”. Nie mamy szansy przeciw interceptorom w tych pudłach.

- Kim teraz jesteś, szefie?

Wedge postukał w swoją tablicę. Dane przesyłane przez transponder wyświetliły się na ekranie - była to jego alternatywna tożsamość, jakiś yedagoński pilot bez zestrzeleń.

- W każdym razie nie sobą. I tak ma zostać, dopóki nie wrócimy do naszych myśliwców.

- Wezmę to pod uwagę.

Mógł śledzić TIE na swojej tablicy, nawet nie wywołując danych z transpondera. Były jedynymi statkami w całym starciu, które mogły poruszać się z taką prędkością. Widział, jak śmigają na skraj strefy starcia, wracają i kierują się w największy tłok. Na drodze ich lotu kropki przedstawiające blade'y zaczynały migotać i znikały. I na całej drodze ich przelotu widać było, jak płonące myśliwce zaczynają spadać między drzewa, ku swojemu ostatecznemu przeznaczeniu.

Dwa ciemnoczerwone blade'y wzniosły się i dołączyły do Wedge'a i Tycha.

- „Czerwony Trzy” i „Cztery” meldują się na rozkaz - rzekł Janson wesoło.

- W samą porę - skwitował Wedge. - Zawróćcie ze mną o sto osiemdziesiąt stopni - Wszedł w ciasną pętlę. - Sami się prosimy o kłopoty.

Na jego tablicy świetlnej cztery smugi przedstawiające TIE dotarły właśnie do skraju strefy starcia i skręciły, żeby zaatakować znowu. Wedge obliczył ich prawdopodobną trasę, choć tylko szacunkowo, po czym sam wspiął się nieco wyżej.

- Zasady są takie: to nie jest pojedynek jeden na jednego. Kiedy TIE znajdą się w zasięgu, wszyscy strzelają do pierwszego. Jeśli możecie, jak tylko przelecą, przełączcie się na tylne lasery i ostrzelajcie ostatniego. Zobaczymy, czy potrafimy im zrobić krzywdę.

- Świetnie - zabrzmiał głos Hobbiego, bardziej napięty niż zwykle. - Może nawet dużą krzywdę.

- „Trójka”, czy „Czwórce” nic nie jest?

- Nic a nic, szefie. Ma uciechę ze swojego ognia zaporowego. Trasa nadlatujących TIE lekko się zmieniła, prawdopodobnie na skutek uniku.

Wedge ostro ściał na prawą burtę. Teraz nie dadzą rady wejść w drogę TIE, ale wciąż mogą je ostrzelać.

I oto już były na wizji, dwie pary nadlatujące z lewej. Wedge otworzył ogień z laserów, koncentrując się na prowadzącym TIE, i natychmiast został nagrodzony widokiem trzech kolejnych strumieni ognia, które do niego dołączyły.

Interceptor eksplodował, jakby trafiony pociskiem, pozostawiając po sobie jedynie czerwono-złotą kulę ognia i deszcz odłamków. Wedge przeleciał tak blisko, że fala uderzeniowa eksplozji potężnie zatrzęsa maszyną.

Na skutek zmiany kursu nie mogli zakończyć ostrzału tylnymi działkami. Wedge ujrzał, jak trzy pozostałe statki rozdzielają się, dwa w jednym kierunku, a trzeci w drugim, i zawracają w kierunku blade'ów z niewiarygodną prędkością.

- Ups - mruknął. - Czerwoni, rozproszyć się.

Wzniósł się i skręcił na prawo, w kierunku formacji, która wyglądała na parę nadlatujących przyjaznych blade'ów.

Za nim wzniósł się TIE. Wedge strzelił, ale zwrotniejszy statek robił uniki i zwroty zbyt szybko, aby mógł dokładnie wycelować. TIE odpowiedział ogniem, który uszkodził tylną część kadłuba. Blade zadygotał, a na ekranie diagnostycznym nagle pojawił się tekst.

- „Czerwony Jeden”, przejdź na jeden-sześć-pięć. - To głos Ielli. Posłuchał, wykonując tak ciasny zwrot, na jaki go było stać, ale TIE trwał przy nim jak przyklejony.

Kiedy skończył manewr, znalazł się prawie dokładnie dziobem ku zachodowi, na trasie jakiejś ogromnej jednostki.

Napowietrzna forteca klasy Meteor, o kształcie pojedynczego skrzydła z dwunastoma wieżyczkami laserów na górze i dwunastoma na dole, była największym latającym pojazdem, jaki wyprodukowali Adumarianie, i jednym z najbardziej niebezpiecznych. Każda wieżyczka mieściła parę laserów, identycznych jak wyposażenie blade'ów, i mogła obracać się o trzysta sześćdziesiąt stopni wokół własnej osi, a także w górę i w dół, obejmując ogniem całą półkulę.

Wedge skręcił na kurs zbieżny i natychmiast działa meteora otworzyły do niego ogień - a przynajmniej takie odniósł wrażenie, bo wszystkie smugi ognia mijały go z góry i z dołu.

TIE na jego ogonie odpadł zwrotem prawie pod kątem prostym i śmignął w bok szybciej, niż mogły za nim nadążyć lasery meteora. Przepadł w ciągu sekundy.

- Dzięki... - Wedge dotknął tablicy. - „Meteor Sześć”, bardzo dziękuję.

- Nie ma za co, dowódco Czerwonych.

Blade'y Certami nie zbliżały się do meteora. Wedge zobaczył, że część z nich łączy się w półeskadry, prawdopodobnie w celu ostrzelania ogromnego okrętu, ale jesz

cze nie były gotowe. Wykorzystał tę okazję, aby odetchnąć. Sprawdził też na wizji pozostałych członków klucza, ale nie mógł ich od razu odnaleźć.

- Wzywam was, Czerwoni - rzucił do mikrofonu. Pojawiły się trzy plamki.

Trzy.

Dotknął każdej po kolei. Dowódca Czerwonych. „Czerwony Cztery”. „Czerwony Trzy”.

- „Czerwony Dwa”, zgłoś się. Tycho, gdzie jesteś? Odezwał się zdławiony głos Jansona:

- Myślę, że zginął, szefie. Widziałem go pod ostrzałem laserów TIE. Było naprawdę źle. Skręcił w drugą stronę, ale nie mógł dobrze manewrować i wtedy dostał pociskiem z blade'a.

- „Czwórka” do Czerwonych, zaprzeczam, zaprzeczam. Właśnie zaczepił mnie yedagoński blade-28, „Burza Piaskowa Sześć”, który odprowadza go na dół. Tycho się katapultował. Nie ma poważniejszych obrażeń.

Wedge aż osłabł z uczucia ulgi. Strach o Tycha napiął mu wszystkie mięśnie, które teraz zwiotczały.

- Dowódca Czerwonych do „Oka Trzy”.

- „Oko Trzy”.

- Proszę, namierz „Burzę Piaskową Sześć”. Śledzi „Czerwonego Dwa”, który jest bez pojazdu. Wyślij co się da, żeby go zgarnąć. Chcemy, żeby pojawił się z powrotem w powietrzu, obok nas. Za wszelką cenę.

- Rozumiem. Mam dobre wieści z innego frontu. Cheriss wraz ze swoją grupą melduje, że znalazła wasze X-wingi.

- Szybko.

- Mówiła, że to było proste. Wychwycili transmisję twojego robota.

- Powiedz jej grupie, żeby była w gotowości. Ale to, co ona mówi, kompletnie nie ma sensu. - Nieprzyjaciel zacząłby od dezaktywowania astromechanicznych robotów za pomocą śrub ograniczających, a następnie włamałby się do zabezpieczeń umożliwiających dostęp do kabiny wyłącznie autoryzowanym osobom. Roboty nie miałyby szans dalej nadawać.

Zaraz, zaraz... tak postąpiliby imperialni. Ale przecież X-wingi przejęli ludzie z Certanu.

Próbował myśleć jak wróg i odpowiedź przyszła niemal natychmiast.

Certanem rządził perator, nie jakaś rada dyplomatyczna. Mógł przekazać X-wingi wojsku, oczywiście, ale jako były pilot ten autokratyczny władca mógł równie dobrze chcieć zachować je dla siebie.

Nie miał jednak czasu, żeby się im przyjrzeć, bo planował wojnę z przeciwnikami Certanu. Umieścił je zatem w bezpiecznym miejscu, planując, że zajmie się nimi, kiedy wojna się skończy, a przynajmniej wtedy, kiedy będzie miał chwilę odpoczynku. Może nawet nie wiedział o zdolności astromechanicznych robotów do samodzielnego działania.

Przełączył się na częstotliwość Czerwonych.

- Szlaban, słyszysz mnie?

Ekran łączności rozbłysnął literami. SŁYSZĘ

- Podaj swoją sytuację.

JESTEM W HANGARZE ODPOWIEDNIM DLA DWÓCH LUB WIĘCEJ ESKADR MYŚLIWCÓW. SĄ TU X-WINGI CZERWONYCH I CZTERY BLADE 'Y. RÓŻNE TYPY. INNE ROBOTY TEŻ TU SĄ. JESTEŚMY STRZEŻENI PRZEZ SZEŚCIU STRAŻNIKÓW Z RUSZNICAMI LASEROWYMI. ROZMAWIAJĄ I SŁUCHAJĄ ODLEGŁYCH EKSPLOZJI I DŹWIĘKÓW BATERII LASEROWYCH. NIE DOKONANO ŻADNYCH MANIPULACJI ANI W NAS, ANI W X-WINGACH. KTÓRYCH NAWET NIE OTWIERANO. USZKODZENIA X-WINGÓW I NASZE SĄ WYŁĄCZNIE KOSMETYCZNE.

- Kosmetyczne?

NA X-WINGI ZAŁOŻYLIŚMY TAŚMY, ŻEBY JE PODNIEŚĆ Z BALKONU I ZABRAĆ DO HANGARU. TAŚMY STARŁY TROCHĘ FARBY NA MYŚLIWCACH I NA NAS.

- Pozostań w gotowości, Szlaban. Zaraz kogoś po was pošlemy.

Certańskie pódskadry przygotowujące atak na meteora położyły się na bok i ruszyły w kierunku gigantycznego okrętu. Wedge odpadł od meteora, żeby być jak najdalej w chwili, kiedy to się stanie - nie przejmował się przewagą liczebną wroga, lecz nie chciał, żeby artylerzyści meteora musieli go omijać.

- „Oko Trzy”, kiedy zbierzecie „Czerwonego Dwa”, przydziel statek ratowniczy Czerwonym. Czerwoni, kiedy tylko Tycho do nas dołączy, wracamy do Certanu odzyskać nasze X-wingi.

Usłyszał dziki wrzask radości, zapewne wydany przez Jansona. Po chwili znów rozległ się głos Ielli:

- Dowódco Czerwonych, jeśli polecisz przed grupą, dostaniesz się pod ogień zaporowy baterii przeciwlotniczych. Będą strzelać do wszystkiego, co się rusza, dopóki ich własne siły nie wrócą nad miasto.

- Rozumiem, „Oko Trzy”, ale taki jest nasz plan. Dowódca Czerwonych wyłącza się.

Wedge przełączył częstotliwość na komunikację z grupą zwiadowczą poszukującą X-wingów.

- Dowódca Czerwonych do Rezerwy.

Reakcja była natychmiastowa, ale ledwie słyszalna - głos należał do Cheriss. Mówiła szeptem.

- Rezerwa do dowódcy Czerwonych.

- Czy przypadkiem macie przy sobie jakiś notatnik Nowej Republiki z naszych kwater?

- Nie, dowódco Czerwonych. Mam tylko standardowy sprzęt Adumarian.

- Ale z ekranem?

- Tak.

Wedge zamyślił się. Można było zlecić Szlabanowi, żeby transmitował na płaski ekran, ale wtedy wszystko, co prześle Cheriss, zostanie przechwycone przez wszystkie inne ekrany w okolicy. Chyba że...

- Czy można dostroić częstotliwość, na której odbiera?

- Tak, oczywiście..

- Dobrze. Ustaw go na najbardziej niezwykłą i najmniej używaną częstotliwość, jaka ci przyjdzie do głowy, i podaj mi ją. Za kilka minut twoja grupa dostanie kilka bardzo pożytecznych obrazów z wnętrza waszego obszaru docelowego.

- Rozumiem. - Po chwili podała mu sekwencję numeryczną odpowiadającą jednej z częstotliwości odbioru ekranów.

- Przyjąłem. Dowódca Czerwonych wyłącza się.

Usiadł wygodnie. Musi poprosić Iellę, która na pewno najwięcej wie na temat dostrojenia pomiędzy systemami z Adumaru i Nowej Republiki, aby porozumiała się ze Szlabanem i pomogła R5 nawiązać łączność z adumarskimi ekranami. Wtedy Szlaban i pozostałe roboty w hangarze X-wingów będą mogły przekazać im całą panoramę wnętrza hangaru, przy przełożeniu danych z holokamer na dwuwymiarowe i przekształceniu go w format stosowny dla ekranów.

Jego ludzie desperacko potrzebowali takiej przewagi. Oby przeżyli dość długo, żeby z niej skorzystać.

W ciągu pięciu minut sytuacja w powietrzu uległa zmianie, choć nie w sposób nieoczekiwany.

Certańska flota meteorów i większość scythe'ów zostały przechwycone na ziemi i zniszczone - większe statki, wymagające dużej załogi, nie dały rady poderwać się z płyty, zanim adumarskie eskadry nadleciały nad miasto. Nawet z tej odległości Wedge widział kolumny płomieni znaczące miejsca, gdzie do niedawna znajdował się certański kosmodrom i baza lotnicza Giltella. Meteory Zjednoczonych Sił Powietrznych Adumaru wyrządzały spore zniszczenia w powietrzu, ich lasery zaś zostały przystosowane do zestrzeliwania nadlatujących pocisków. Z rzadka i tylko kiedy nadarzyła się okazja, mierzyły do nieprzyjacielskich myśliwców.

Lecz były to bodaj jedyne dobre wieści. Kiedy bowiem pierwsze linie strefy starcia zaczęły się przesuwać nad zachodnie granice Certanu, na skutek ciężkich strat sił Wedge'a szala przechyliła się

na stronę Certanu. Mimo że taktyka Wedge'a wydawała się utrzymywać zjednoczone siły Adumaru w pożądanej konfiguracji, mimo że adumarscy piloci i artylerzyści gładko pokonywali nieprzyjaciela, znaczna przewaga liczebna żołnierzy Certanu zaczęła przynosić efekty. Eskadry i ich części wciąż wzbijały się w niebo z terenu miasta, a choć bez wątplenia skompletowane były naprędce z emerytowanych pilotów i ich własnych statków, żołnierzom Adumaru zaczynało brakować paliwa, głównie z powodu ogromnej odległości, jaką musieli przebyć, zanim oddali pierwsze strzały. Oprócz tego trzy pozostałe TIE zbierały ponure żniwo śmierci, korygując swoją strategię tak, aby odpierać taktykę zmasowanego ognia, jaką przyjęli wobec nich Czerwoni. Każdy ruch formacji w ich kierunku powodował błyskawiczną zmianę trasy pod całkiem nieprzewidywalnym kątem, co uniemożliwiała blade'om namierzenie i ostrzelanie TIE. Niedługo straty poniesione od ognia samych TIE zdziesiątkują flotę Adumaru, odbierając jej wszelkie szanse na zwycięstwo.

Dwumiejscowy blade-30, ze strzaskaną kopułką nad siedzeniem tylnego strzelca i powłoką połataną po setkach wcześniejszych starć, wzniósł się i dołączył do Czerwonych. Artylerzysta miał na sobie pomarańczowy kombinezon Nowej Republiki i pokazał Wedge'owi podniesione kciuki.

- Witamy w Czerwonych „Blasterową Pikę Dziesięć” - rzucił Wedge. - Pilocie, bądź przygotowany na niski lot unikowy. Wchodzimy do Certami.

- Rozumiem, Czerwoni.

Czwórka blade'ów odłączyła się od strefy starcia i skierowała nad Certan. Niebo rozbłysło jakby na ich powitanie, kiedy niezliczone baterie naziemne wyładowały swoją energię w niebo. Wedge i piloci zanurkowali prawie do poziomu dachów, żeby nieprzyjacielscy artylerzyści mieli mniej czasu na ich wykrycie i namierzenie.

- Dowódca Czerwonych do Rezerwy.

- Tu Rezerwa.

- Lecimy do was - zapowiedział Wedge i w tej samej chwili bateria laserów musnęła salwą jego prawą burtę. Poczł intensywnie ciepło, po czym jego myśliwiec zakołysał się od niewielkiej fali uderzeniowej, jaką wywołał strumień przegrzanego powietrza. Fala omal nie rzuciła go na „Blasterową Pikę Dziesięć”, która leciała po jego lewej. Szybko skorygował lot.

- Przekazuję koordynaty miejsca przeznaczenia. - W chwilę później na głównym ekranie kabiny Wedge'a pojawiła się mapa Certanu.

Zerknął na nią przelotnie. Ich miejsce przeznaczenia, oznakowane migającym krzyżykiem, znajdowało się tylko o przecnicę od pałacu peratora. Gwizdnął. Zanim zdążył skomentować, Cheriss dodała:

- Obszar jest bardzo dobrze chroniony. Sami zobaczycie, dlaczego. Musicie coś dla nas zrobić. Przybyć w odpowiednim czasie i... zestrzelić to, co wam wskażemy.

- Z radością pomożemy, Rezerwa. - Czerwoni przelecieli nad ulicą; w dole Wedge zobaczył niewielki repulsorowy transportowiec, standardowego typu, lecz z zamocowaną na pokładzie baterią laserów. Operator wycelował w niego, ale nie miał czasu wystrzelić, bo Czerwoni już przelecieli bezpiecznie i znikli za kolejnym dachem. Wedge spojrział na główną tablicę; rysunek mapy zawierał

również zegar, odliczający w tył. Stałe i ruchome baterie laserów stawały się coraz liczniejsze i lepiej poinformowane co do kursu Czerwonych. Dwa razy Wedge zareagował na gestykulację ludzi na balkonach, zmuszając Czerwonych do nagłego zwrotu w innym kierunku i o włos unikając zestrzelenia przez gniazdo artyleryjskie z poziomu ulicy. Prowadził Czerwonych możliwie najmniej przewidywalnym, szalonym kursem, opadając prawie na ulicę i lecąc tuż nad niemal pustymi jezdniami. Dużo ryzykował z powodu zwisających kabli, lecz jednocześnie bardzo utrudniał bateriom lokalizację celu.

Tylko raz zagroziły im myśliwce. Dwa starsze blade'y-28, klasyczne maszyny miłośnie pielęgnowane przez swoich właścicieli, opadły za Czerwonymi i otworzyły ogień z laserów. Hobbie i Janson zniszczyli je ciągłym ogniem ze swoich działek. Blade'y-28, płonąc, spikowały w dół, ześliznęły się po fasadzie budynku i rozbiły na ulicy.

- Starzy ludzie - zauważył lekko drżącym głosem. - To byli starzy ludzie, szeroko uśmiechnięci.

W miarę jak zbliżali się do rządowej dzielnicy Certanu, obrona stawała się coraz bardziej sprawna i skuteczna. Baterie laserowe ulokowano w gniazdach na szczytach budynków, a ich zasięg obejmował wszystko, od ulicy po niebo. Wedge niechętnie wznosił się na poziom dachów, żeby zobaczyć baterie, zanim one wezmą go na cel. Czerwoni strzelali i byli ostrzeliwani tak gęsto, że po pierwszych dwudziestu trafieniach stracił rachubę. Blade Wedge'a, choć nieuszkodzony, był tak rozklekotany po kolejnych zderzeniach z falami uderzeniowymi, że wręcz słychać było mechanizmy telepiące się w obudowach.

Nagle miał go przed sobą - szary, niepozorny budynek, za którym znajdował się pałac peratora. Baterie laserowe na dachu pałacu próbowały go strącić, ale ostatni odcinek trasy Wedge przebył na poziomie ulicy, pod osłoną budynku, który miał być ich celem. Przed sobą widział wielkie, hangarowe drzwi budynku, które rozsunęły się nagle. Wybiegła z nich grupa kobiet i mężczyzn w ciemnych ubraniach, ostrzeliwana przez obrońców z wewnątrz.

Z wnętrza szarego budynku z zapierającą dech szybkością wychynęły baterie laserów i skierowały się na Czerwonych. Wszystkie cztery blade'y wypaliły, trzy w baterie po lewej, Hobbie w tę po prawej. Bateria, choć poczerniała i uszkodzona przez strzał Hobbiego, nadal kierowała się w ich stronę. Hobbie zamiast lasera użył pocisku i instalacja eksplodowała, rozpadając się w dymiące zgliszcza.

Teraz mieli do czynienia tylko z ostrzałem z broni ręcznej: strzelcy na dachu szarego budynku i stłoczeni na balkonach wokół zalewali ich ogniem z blasterów. Uderzenia dźwięczały jak fałszywe nuty; Wedge miał wrażenie, jakby brygada mechaników ostukiwała kluczami jego pojazd, ale zbrojona powłoka dzielnie to znosiła. Na tablicy pojawił się jednak kolejny złowieszczy sygnał - rój myśliwców i dwa większe statki.

Wedge zszedł w dół na repulsorach i zawisł tuż za drzwiami hangaru, aby obrócić statek i poczęstować pościg swoimi raketami, kiedy komunikator ożył i przemówił głosem Cheriss:

- Rezerwa do Czerwonych, zapraszamy do hangaru.

- Mamy nadlatujące...
- To nasi. Potrzebujemy was tutaj.

Wedge ruszył przed siebie. Kiedy minął wejście, jego gogle zmieniły polaryzację i dopiero teraz mógł zobaczyć, co mieści się w budynku.

Był to przestronny garaż, o sterylnie czystej podłodze z durabetonu, całkowicie wolnej od plam po smarach, jakie zwykle spotyka się w rzeczywistości używanych hangarach. Z pewnością mógłby pomieścić dwie albo i trzy eskadry blade'ów, ale było w nim tylko osiem pojazdów - cztery X-wingi zepchnięte pod tylną ścianę, trzy blade'y-32 przygotowane do szybkiego startu i samotny, błyszczący złotem blade-28 po drugiej stronie.

W hangarze zastali grupę ludzi - kobiet i mężczyzn w ciemnych, niepozornych ubraniach, oraz sześciu martwych strażników w liberiach pałacu peratora, spoczywających nieruchomo na durabetonie. Członkowie grupy inwazyjnej Rezerwa skupili się wokół drzwi hangaru, odpowiadając na strzały snajperów z balkonu po drugiej stronie alei.

Cheriss stała obok słynnego złotego blade'a-38. W jednej dłoni trzymała komunikator, a w drugiej pistolet.

- Zanim odleciecie, ostrzelajcie to. - Wskazała pistoletem zwalisty durabetonowy sześcian w prawym kącie z tyłu hangaru i wystrzeliła, żeby go lepiej oświetlić. Jej blaster nie wyrządził żadnej widocznej szkody drzwiom z hartowanego metalu na przedniej ścianie bunkra.

- Nie ma sprawy - rzekł Wedge. Wzniósł się odrobinę i ustawił swojego blade'a w połowie wysokości pomiędzy sufitem a podłogą. - Schowajcie się.

Odczekał, aż Cheriss odbiegnie na bezpieczną odległość, wziął bunkier na cel i wystrzelił pocisk. Fala uderzeniowa zakołysała blade'em, ale kiedy dym się rozproszył, konstrukcja była jedynie osmalona.

- To naprawdę mocne draństwo, Cheriss - zauważył Wedge. Uzbroidł obie lufy i starannie wycelował w metalowe drzwi. - Co za nimi jest?

- Myślimy... że chyba tunel.

Wycofał się na repulsorach, aż znalazł się tuż przy wrotach i znów poczuł na rufie łomotanie ognia snajperów. „Czerwony Trzy”, „Czerwony Cztery” i „Blasterowa Pika Dziesięć” osiedli po drugiej stronie hangaru, obok Cheriss.

Wedge wystrzelił znowu. Tym razem fala wypchnęła go prawie na zewnątrz. Ale kiedy dym znikł, okazało się, że metalowe drzwi zostały rozbite, a sklepienie bunkra zburzone. Wedge zobaczył jego odłamki na jednym z certańskich myśliwców, który był teraz tylko kupą pogiętych blach.

Czujniki Wedge'a pokazywały, że pogoń jest blisko. Obejrzał się. Znad najbliższych dachów wynurzyło się pół tuzina blade'ów w yedagońskiej czerwieni, przeważnie gęsto ozdobionych śladami spaleniźny; kilka wlokło za sobą smugi dymu. Osiały na durabetonie na zewnątrz, obracając się przy lądowaniu tak, aby wyrzutnie pocisków znajdowały się od strony ulicy.

- Szlaban, zacznij sekwencję startową i sprawdź te wszystkie punkty listy kontrolnej, które

możesz załatwić sam. Powiedz innym robotom, że mają zrobić to samo - poleciał Wedge.

Odczekał, aż robot potwierdzi rozkaz i wyłączył większość układów w swoim myśliwcu. Podniósł kopułkę ręcznie i wysunął się na zewnątrz, zeskakując na płytę. Pozostali członkowie Czerwonych podbiegli do niego, ale Cheriss była pierwsza.

- Co tam się mieści? - spytał, wskazując na zniszczony bunkier.

- Kiedy Szlaban przekazał nam obraz wnętrza hangaru, zobaczyliśmy to. - Wycelowała palec w złotego blade'a-28. - Istnieje tylko jeden taki egzemplarz, „Złoty Ster”, własny myśliwiec peratora Pekaelica, w którym odniósł swoje największe zwycięstwa. A skoro tu jest, to znaczy, że jesteśmy w osobistym hangarze naszego władcy... i możecie być pewni, że perator nie zamierza przechodzić przez ulicę i zatrzymywać ruchu za każdym razem, kiedy ma ochotę sobie polatać ulubionym myśliwcem.

- Oznacza to, że ten tunel może stanowić bezpośrednie przejście...

- Do samego pałacu. Jeśli zaczniemy szybko działać, może nie będą mieli czasu zorganizować obrony tak sprawnie, jak to zrobili na ulicach.

Na zewnątrz na durabetonie osiadł transporter klasy *Farumme* w kolorze halbe-gardiańskiego błękitu. Jego przednia część płonęła. Boczne włązy otworzyły się i wysypały się z nich oddziały piechurów w mundurach elitarnych jednostek, zdążając do hangaru pomimo ostrzału z broni ręcznej z pobliskich balkonów. Rykoszety odbijały się od ścian hangaru, brzmiąc jak marna perkusja, kiedy uderzały w metal, i jak skwierczenie smażonego mięsa, kiedy ryły durabeton.

- Trzymajcie się - uprzedził Wedge. Nie było czasu na nic więcej.

Pobiegł do swojego X-winga, którego owiewka uniosła się na jego przyjęcie.

Kilka chwil wystarczyło, żeby włożyć kurtkę, hełm i rękawice i podczepić sterowanie systemów. Był to rytuał, który mógł przeprowadzić nawet we śnie... i oto znów siedział za sterami X-winga.

- Nie ma czasu na pełne przygotowanie - rzekł. - Lecimy, chyba że zauważycie jakiś błąd krytyczny. Dowódca Czerwonych, cztery silniki pracują, wszystko wygląda optymalnie.

- „Czerwony Dwa”, cztery pracują, gotów do lotu.

- „Czerwony Trzy”, już nie mogę się doczekać, żeby im pokazać, co potrafimy.

- „Czerwony Cztery”, wszystko pali się na zielono.

Tablica czujników u Wedge'a zawyła, oznajmiając namierzenie przez przeciwnika. Pilot zobaczył dwa blade'y-32 wynurzające się zza dachów budynków.

- Ruszamy. Płaty do pozycji szturmowej, strzelać bez rozkazu.

Wzniósł się na repulsorach ponad strugi ognia, które rozbiły się na ścianie hangaru. Za jego

plecami rozszalał się pożar. Nie wiedział, czy Cheriss i żołnierze zdołali uciec, nie było czasu, żeby to sprawdzić.

Rzucił X-winga do przodu, strzelając, zanim jeszcze płaty zdążyły ustawić się w pozycji bojowej, a klamry celownika zmieniły barwę z żółtej na zieloną. Ujrzał czerwone impulsy poczwórnych laserów X-winga wbijające się w dziób jednego z nadlatujących blade'ów i bezlitośnie przeżerające się przez jego wnętrze. Blade przetoczył się na sterburtę i opadł za linię budynków. Nawet z tej odległości Wedge widział ognistą kulę i słyszał potężną eksplozję.

Pierwszy wyleciał z hangaru. Pozostali Czerwoni jeszcze nie zaczęli strzelać - wciąż byli za blisko. Lasery jedyne go ocalałego z nadlatujących blade'ów uderzyły w przednie tarcze. Zredukowany do minimalnej wartości promień zatańczył na powłoce, zwęglał jedynie płaty farby. Odpowiedział kolejnym poczwórnym strzałem i chybił, bo pilot odsunął się z linii trafienia, ale wtedy strumień energii, który wytrysnął zza jego rufy, trafił blade'a-32, urywając mu lewe skrzydło. Wedge zobaczył katapultującego się pilota. Myśliwiec zdawał się kierować prosto na hangar, ale udało mu się przemknąć nad głową Wedge 'a, dachem hangaru i wprost w kierunku pałacu peratora. W tylnym iluminatorze Wedge zobaczył, jak przeciwlotnicze baterie pałacowe zestrzeliwiają wrak z nieba. Zwiększył przyspieszenie.

- Dobry strzał, „Czerwony Trzy”. A teraz zobaczmy, co możemy pokazać generałowi Phennirowi.

Po tak długiej pracy z blade'ami lot X-wingiem był czymś więcej niż poprawą sytuacji - był rozkoszą. Wyrwał maszynę w górę świecą, jakiej adumarskie myśliwce nie dałyby rady wykonać, i zaczął kręcić ósemki i beczki, przyprowadzając o atak furii obsługę dział. Potem zrobił jeszcze podwójną beczkę z czystej radości. To nie było latanie, tylko taniec w powietrzu.

- „Czerwony Dwa”, tu „Czerwony Trzy”. Czyja zwariowałem, czy generał robi to, na co nam nigdy nie pozwala?

- „Trójka”, tu „Dwójka”. Tak, zwariowałeś i tak, on to robi. Nie zwracać uwagi.

- Tak jest.

Wedge zaśmiał się i ustawił kurs na zachód.

Przez ten czas, kiedy Czerwoni odzyskiwali swoje X-wingi, strefa starcia przesunęła się nad zachodnią część Certanu. Tu baterie laserów milczały, lecz tylko one. Niebo co sekundę rozbłyskiwało detonacjami pocisków, wszędzie słychać było rozdzierający wizg blade'ów przecinających powietrze, mieszający się z przeraźliwym wyciem strąconych myśliwców w ostatnim, niekontrolowanym lądowaniu.

Czerwoni znaleźli się w strefie starcia na wyższym pułapie i ze słońcem za plecami. Czujniki Wedge'a momentalnie wytropiły pozostałe TIE, które właśnie dokonywały kolejnego morderczego przelotu przez najgęstsze części strefy. Określił prawdopodobny kurs powrotny dla swoich pilotów.

- Stąd dotąd strzelać do wszystkiego w barwach Certanu.

Jego X-wing przeleciał przez strefę walki. Strzelał, kiedy jego klamry celownicze ożywały wokół nieprzyjacielskiego markera, robił uniki, kiedy tablica mówiła mu, że znalazł się na czyimś

celownika. Chwilę później Wedge ujrzał TIE już na wizji, zbliżające się kursem zbieżnym. Jak tylko klamry celownika zabłyśły na zielono, otworzył ogień.

Trzy TIE zareagowały momentalnie. Pojedynczy pilot odpowiedział ogniem i zrobił unik, wchodząc w korkociąg. Była to olśniewająca demonstracja pilotażu w manewrach unikowych. Dowódca drugiej pary ruszył wprost na Czerwonych, przez ułamek sekundy lecieli na czołowe zderzenie. Tamten wystrzelił, zielone promienie lasera próbowały odnaleźć cel pośród Czerwonych - i w chwilę potem był już za nimi.

Trzeci TIE, cel Wedge'a, eksplodował w jaskrawym rozbłysku. Tycho przeleciał przez chmurę szczątków.

- „Dwójka”, w porządku?

- Bez uszkodzeń.

- Aleja nie - rozległ się głos Hobbiego. - Dostałem parę razy w czołowym starciu. Moc spadła do pięćdziesięciu ośmiu procent. Lasery na prawej burcie stracone.

Na tablicy widać było, że dwa interceptory połączyły się i właśnie zataczały koło, żeby wylecieć poza grupę X-wingów.

- „Czwórka”, cała naprzód, ile wyciśniesz. „Trójka”, zostań z nim. „Dwójka”, ty i ja udajemy rannych - polecił Wedge. Zredukował prędkość i zaczął kołysać się w przód i w tył, co mogło sugerować uszkodzone powierzchnie aerodynamiczne i awarię ste

rów. - Szlaban, możesz wyprodukować mi jakiś dym, iskry, cokolwiek, co by sugerowało, że dostałem?

PALNIKIEM LASEROWYM PRZEJADĘ PO POWIERZCHNI TYLNEJ POWŁOKI. FARBA SIĘ ZAPALI I ZACZNIE DYMIĆ. A USZKODZENIA BĘDĄ TYLKO KOSMETYCZNE.

- Zrób to.

Była to niebezpieczna gra, która miała na celu ściągnięcie TIE pomiędzy niego a Tycha, ale gdyby myśliwce poleciały jednak za Hobbieniem, bez problemu straciłyby uszkodzonego X-winga.

Wróg jednak złapał przynętę. Dwa interceptory pozostały razem, skrzyły i ruszyły za Wedge'em i Tychem.

Wedge przełączył się na torpedy protonowe i mocno zredukował prędkość. Taki manewr zwykle sprawiał, że nowicjusz lub nieuważny pilot przestrzeliwał, ale nie tym razem. Pilot TIE na jego ogonie był zbyt doświadczony i wystrzelił salwę z laserów, która zabębniła na tylnej powłoce statku Wedge'a.

Lecz Tycho wystrzelił do przodu, a prześladowca znalazł się na jego ogonie w bardzo przewidywalnym manewrze i wpadł wprost w klamry Wedge'a. Klamry zaświeciły na czerwono i Wedge wystrzelił.

Interceptor w jego iluminatorach zmienił się nagle w chmurę dymu i szczątków. Wedge skierował się wprost w strefę zniszczenia. Kiedy tylko znalazł się w jej środku, położył statek lewą stroną w

dół, w nadziei, że przeciwnik na sekundę lub dwie straci go z oczu.

Udało się. Wedge widział, jak tamten strzela w chmurę, waha się przez chwilę, po czym rusza na jego poszukiwanie.

Kiedy w przednim iluminatorze Wedge'a pojawił się Tycho wychodzący z pętli, pilot TIE postawił swój pojazd na ogonie i wystrzelił w niebo z taką szybkością, jakiej nie mógł osiągnąć żaden adumarski statek.

Wedge wzbił się za nim, strzelając raz za razem, ale jego komputer celowniczy nie mógł nadażyć za szybkim, niesamowicie zwrotnym interceptorem.

- To ty, Phennir? - zapytał przez komunikator. Interceptor nie odpowiedział, ale Tycho rzekł:

- Tak myślę. I założę się, że powie swojemu dowódcy, jakie niedobre rzeczy dzieją się tu, na dole, i że najwyższy czas sprowadzić całą resztę floty imperialnej.

- Jeśli tak ma być, módl się lepiej, żebym osiągnął bodaj jeden cel mojej misji dyplomatycznej. - Wedge zawrócił w kierunku centrum strefy walki. - Formować się za mną. Damy pilotom Certanu to, o co prosili się przez tyle czasu.

Strata TIE miała duży wpływ na wojska Certanu. Atakowały one zjednoczone siły Adumaru z coraz większą desperacją i coraz mniejszą pewnością siebie. Im bardziej zaś ich manewry stawały się przewidywalne, tym większe żniwo zbierała armia Adumaru.

I były jeszcze X-wingi, które śmigały pomiędzy blade'ami z niezrównaną prędkością, przechodząc od jednego starcia do drugiego niemal bez wysiłku, wysyłając na ziemię płonące szczątki nieprzyjaciół statek po statku. Robili dokładnie to samo siłom Certanu, co jeszcze kilka chwil temu nieprzyjacielskie interceptory wojskom Adumaru. Nawet uszkodzony myśliwiec Hobbiego mógł ścigać się z blade'em, a przewyższał go znacznie systemami obronnymi, zwrotnością i siłą ognia. Janson i Hobbie pełnili rolę dwumyśliwcowej osłony dla ocalałego meteora, aby ogromny pojazd w kształcie skrzydła mógł swobodnie zestrzeliwać pilotów Certanu laserami dalekiego zasięgu.

Wedge ustawił kurs na pół eskadry blade'ów, które właśnie tworzyły formację na wyższym pułapie. Bez wątplenia zamierzały zanurkować i ostrzelać statki na mniejszych wysokościach. Zaledwie jednak skierował ku nim dziób, jeden z jego celów przemówił:

- Wstrzymaj ogień. Czaszkożercy się poddają. Wedge podleciał ku niemu z palcem na spuście.

- Powiedz to jeszcze raz.

- Lotne Ostrze Czaszkożerców poddaje się Czerwonym. Wyłączyliśmy broń. Kolejny głos wtrącił się do rozmowy.

- Lotne Ostrze Lordów Przerazenia, w liczbie dwóch, poddaje się generałowi Wedge'owi Antillesowi.

Wedge przełączył się szybko na częstotliwość dowodzenia.

- „Oko Trzy”, co się dzieje?

- Nie jestem pewna, dowódco Czerwonych. Duży ruch od strony pałacu peratora. Poddają się...
zaczekaj chwilę. - Zamilkła. Przez ten czas Wedge i Tycho wznieśli się powyżej oczekujące blade'y i leniwie zatoczyli pętlę powrotną. Iella wróciła na fale: - Potwierdzam kapitulację. Pałac wydaje rozkaz poddania się siłom powietrznym, A sam poddaje się tobie. Mniejszy dyshonor, niż gdyby mieli skapitulować przed „pośledniejszymi nacjami”.

- Rozumiem.

- Rezerwa żąda twojej natychmiastowej obecności w pałacu peratora. Wedge warknął coś do siebie i przełączył się na ogólną.

- Mówi Antilles. Przyjmuję kapitulację Czaszkożerców i Lordów Przerażenia. Od tej chwili „Czerwony Trzy” i „Czerwony Cztery” są upoważnieni do przyjmowania kapitulacji w moim imieniu na czas mojej nieobecności.

Przełączył się na częstotliwość eskadry.

- Chodź, Tycho, mamy spotkanie na królewskim dworze.

ROZDZIAŁ 13

Instalacje laserów milczały, kiedy znowu przelatywali przez miasto. Strzały z broni ręcznej stukały o powłoki X-wingów, które schodziły w kierunku zewnętrznego dziedzińca pałacu peratora, ale ogień przerwano natychmiast, kiedy myśliwce znalazły się na poziomie muru.

Na zewnętrznym dziedzińcu obsługa baterii laserowych stała obok automatycznych gniazd z rękami podniesionymi i założonymi za głowę. Żołnierze przyjęli podobne pozycje. Na dziedzińcu stało wiele blade'ów, część z nich była uszkodzona. Ich piloci również przygotowali się do kapitulacji. Wedge zauważył dwóch ludzi, najpewniej z elitarnych halbeguardiańskich sił inwazyjnych, którzy trzymali na muszce rusznic laserowych grupę ponad dwustu kobiet i mężczyzn. Wedge wynurzył się z kabiny i zeskoczył na ziemię, a dwaj Halbeguardianie spokojnie mu zasalutowali. Kobieta w takim samym mundurze kiwała na niego ze schodów, zapraszając do pałacu.

Zewnętrzny dziedziniec pałacu nie był już miejscem świętowania ani nawet dwornych manier, jak podczas poprzednich wizyt. Powietrze gęste było od smrodu spalonych ciał, trupy strażników w liberiach leżały tam, gdzie ich zaskoczyła śmierć. Dworzanie tłoczyli się pod jedną ścianą, pod strażą napastników - głównie członków grupy Rezerwa i elitarnych wojsk halbeguardiańskich.

Perator, pozbawiony świty, stał otoczony przez zdobywców. Wedge z ulgą ujrzał wśród nich Cheriss. Ekrany na ścianach były odsłonięte i aktywne. Jeden pokazywał Escaliona, peratora Konfederacji Yedagonu, otoczonego przez doradców w centrum dowodzenia w Yedagonie, pozostałe zaś były podzielone na mniejsze kwadraty, niektóre puste, inne przedstawiające sceny z innych miast, podobne do tych, które transmitowano z Yedagonu. Jedyna różnica kryła się w umeblowaniu i twarzach ludzi spoglądających z ekranu.

Tycho i Wedge szli powoli, kiedy usłyszeli tupot szybkich kroków za plecami. Wedge obejrzał się czujnie, spodziewając się nowego ataku, ale to tylko Hallis wbiegła do sali. Pośliznęła się, zatrzymała z trudem, rozejrzała wokół, po czym przesunęła się pod kolumnę, skąd mogła rejestrować wszystko za pomocą zwykłej ręcznej holokamery.

- Sprowadziliście obcego generała - odezwał się drwiąco perator. - I po co wam to było? Przecież nie trzeba aż tak sławnego pilota, żeby przycisnąć spust. Każdy z was równie dobrze mógłby to zrobić.

- Nie jest to naszym zamiarem - rzekł Tomer Darpen, który znalazł się pomiędzy zwycięzcami. - Wolelibyśmy popraw...

- Nie miałem pojęcia - wtrącił Wedge - że sprzymierzyłeś się w tej operacji ze zjednoczonymi ludami Adumaru.

Tomer zamrugął.

- Tak, eee... ale to nieważne. Musimy...

- Zamknij się, Tomerze, bo upoważnię pułkownika Celchu, żeby cię zastrzelił. - Wedge podszedł do Cheriss. - Jak wygląda sytuacja?

Na twarzy dziewczyny widać było radość pomieszaną z poczuciem winy.

- Przejęliśmy centra planowania i zmusiliśmy starszych oficerów do poddania się, jak również do przekazania rozkazów kapitulacji do lotnych ostrzy.

- Wszystko zostało zrobione.

- Ale perator nie chce się poddać.

Perator, ubrany od stóp do głów w nieskazitelną biel, jakby chciał dać wszystkim do zrozumienia, że nie uczynił nic, co mogłoby skalać jego reputację, podszedł do Wedge'a, ignorując blastery skierowane w jego pierś.

- Proponujecie mi niehonorowe wyjście - rzekł. Miał głos zmęczony, ale spokojny. - Poddanie się wymaga współpracy, a ja raczej umrę, niż zacznę współpracować.

- Chętnie go zabijemy - wtrącił się jeden z Halbegardian, ale pozostali spojrzeli tylko na ekrany ukazujące siatkę obrazów. Po twarzach patrzących z ekranów widać było, że właśnie oglądają transmisję z tej sali.

Postać widoczna na jednym z mniejszych ekranów, siwowłosa kobieta o szerokich ramionach i władczej postawie, przemówiła przez głośniki.

- Wykluczone. Pekaelic może być skazany wyłącznie przez radę równych sobie, ale to nie jest w tej chwili najważniejszy problem.

Wedge pochylił się do ucha Cheriss.

- Co się stanie, jeśli Pekaelic zginie?

- Nie mianował następcy. Rada szlachty Certanu wybierze sukcesora. Część narodów trzymany w tej chwili w szachu przez Certan prawdopodobnie spróbuje się uwolnić. Będzie spore zamieszanie.

- Rozumiem. - Wedge podniósł głos. - Peratorze, porozmawiajmy normalnie. Bez dyplomatycznych bzdur. Jeśli będziesz trwał w swoim postanowieniu i dasz się zabić, twoi wrogowie bardzo się ucieszą, ale Certan i jego zdobycze popadną w chaos na jakiś czas. Wystarczy, aby Imperium stwierdziło, że nie przyłączysz się do nich z własnej woli, a przyśle tu flotę, która rozbije „Hołd” w gwiazdny pył i zrówna z ziemią wszystko na planecie. Za tydzień będziecie niewolnikami albo już was nie będzie. Gdzie tu honor?

- Nie istnieje - odparł perator. - Ale nie poddam się i tak. Nigdy się nie poddam. To nie w moim stylu.

Wedge westchnął. Nagle przyszedł mu do głowy nowy pomysł.

- A nie mógłbyś przejść na emeryturę?

- Co?

- Przejść na emeryturę. Bez wstydu. Zamiast poddać się, pokłonić przed nieprzyjacielem, po prostu... odejść.

- Abdykować? - Perator się zamyślił. - Mógłbym z honorem oddać tron jednemu z moich synów. Ale moi synowie są pilotami. - Jego twarz przybrała posępny wyraz. - Nie wiem nawet, czy po dzisiejszym dniu jeszcze żyją.

- Proponuję, żebyś się dowiedział. - Wedge cofnął się, aby zrobić peratorowi miejsce.

Do peratora dopuszczono ministra, który następnie w towarzystwie strażników halbegardiańskich udał się do pałacowego centrum komunikacyjnego.

- Królewscy spadkobiercy zawsze są zagrożeni - mruknęła Cheriss. - Zwłaszcza w Certanie. Aby zapewnić im bezpieczeństwo, zazwyczaj wychowuje się ich z dala od prawdziwych rodziców, pod fałszywymi nazwiskami.

Wedge się skrzywił.

- Więc nie mogą być nawet dziećmi swoich żyjących rodziców. Cheriss...

- Nie mów nic, widzę, że jest źle. Wyjął komunikator i go uruchomił.

- Dowódca Czerwonych do „Oka Trzy”. Czekam na aktualizację. - Ściszył transmisję i przyłożył komunikator w stulonej dłoni do ucha.

- Poza drobnymi potyczkami, walka powietrzna dobiegła końca - meldowała Iella. - Pod laserami zjednoczonych sił myśliwce Certami lądują wszędzie gdzie się da, a załogi od razu są aresztowane. Ale co ważniejsze, statki czujnikowe typu Cutting Lens pokazały, że jeden z niszczycieli, prawdopodobnie „Bezlitosny”, opuszcza orbitę. Pozostawił na swoim miejscu mały statek, który z wizualnego skanu mogę wstępnie zidentyfikować jako standardowy wahadłowiec imperialny. Schodzi w stronę miasta.

Wedge uśmiechnął się triumfalnie.

- Niech kilka blade'ów eskortuje go przez całą drogę do pałacu. Jestem całkiem pewien, że to przyjaciele.

- Potwierdzę i załatwię.

- Dzięki. Dowódca Czerwonych wyłącza się.

Kilka minut później wrócił minister i natychmiast pospieszył do peratora. Wieści, które szeptał

władcy do ucha, były najwyraźniej dobre, gdyż perator jakby oklapł na moment, po czym odetchnął z ulgą i znów się wyprostował. Skinął dłonią na Wedge'a, ignorując wszystkich obecnych.

- Moi synowie żyją - oznajmił. - A najstarszy już tu jedzie.

- Gratuluję - rzekł Wedge. Perator spojrzał na niego uważnie.

- Doskonale. Nawet ja nie mogę dopatrzeć się tu ironii.

- Bo jej nie było, peratorze. Uważam, że powinieneś zostać ukarany za to, co zrobiłeś, ale... nie chciałbym nikomu życzyć tak potwornej kary, jaką jest utrata dzieci.

- Naprawdę? - Perator cofnął się, ale nie odchodził. Widać było, że odsunął od siebie ponure myśli.

Niebawem czterech elitarnych żołnierzy Halbegardii weszło do sali, prowadząc czarno ubranego pilota z Certanu, młodego człowieka o poważnym wyrazie twarzy i gęstych, ciemnych włosach.

Wedge drgnął. Rozpoznał młodzieńca. Był to Balass ke Rassa, który walczył przeciwko niemu w symulowanych walkach.

Balass nie przywitał się ani z Wedge'em, ani z nikim z otoczenia władcy; podszedł prosto do ojca i stanął przed nim na baczność, strzelając obcasami.

Perator spojrzał na niego badawczo, jakby szukał czegoś w jego twarzy. Wedge zastanawiał się, jak dawno nie widział syna. Od miesiący? A może od lat?

- Wiesz, po co zostałeś tu sprowadzony? - zapytał perator. Balass skinął głową.

- Przyjmujesz?

- Jeśli honor pozwoli. - Balass zwrócił się do jednego ze swych strażników. - Ale muszę się przygotować. Mój pistolet. - Wyciągnął rękę i władczo, niecierpliwie strzelił palcami.

Strażnik rozejrzał się wokoło, zmieszany, aż jego wzrok padł na Wedge'a. Wedge skinął głową.

Strażnik wyjął spod kurtki niewielki adumarski pistolet i podał go Balassowi. Ale księżę jeszcze nie skończył. Włożył broń do kabury i rzekł:

- Miecz blasterowy.

Wedge znów dał znak. Ale kiedy strażnik sięgnął do boku, Balass zaprotestował:

- Nie tę waszą halbegardiańską zabawkę. Prawdziwy certański miecz.

Cheriss odpięła swój pas i założyła go księciu. Z trudem go dopięła, ledwie, na ostatnią dziurkę, ale Balass nie protestował. Cheriss z uroczystą miną odstąpiła na bok. Balass zwrócił się znów do ojca:

- Teraz przyjmuję. Perator skinął głową.

- Ja, Pekaelic ke Teldan, zrzekam się moich praw do tronu Certanu i wszystkich tytułów z nimi związanych, na korzyść mojego najstarszego syna, Balassa ke Teldana, znanego przez ostatnie

dwadzieścia dwa lata jako Balass ke Rassa.

Jego syn odczekał chwilę, po czym przemówił:

- Ja, Balass ke Teldan, akceptuję swoje prawa i obowiązki, a choć okoliczności wymagają pośpiechu i nie możemy sobie pozwolić na ceremonię, ogłaszam się peratorem Certanu.

Nie było oklasków. Nie było wiwatów, które uczciłyby to nagłe przeniesienie władzy z jednych barków na drugie. Escalion przemówił z ekranu:

- Gratuluję zimnej krwi, peratorze Balass. A teraz, czy możesz uczynić to, czego twój ojciec uczynić nie chciał? Możesz zakończyć ten konflikt przez honorową kapitulację?

Balass odwrócił się w kierunku ekranu i pokręcił głową.

- Nie - rzekł. - Pozostajemy w stanie wojny.

Wedge usłyszał okrzyki zdumienia wśród ludzi w sali i na ekranach. Halbegardiańscy strażnicy natychmiast wycelowali broń w nowego władcę. Balass wydawał się całkowicie niewzruszony, spoglądał tylko w ekran, na którym widać było Escaliona, a raczej w sam róg ekranu, gdzie znajdowała się kamera. Z jego twarzy nie zniknął lekki, drwiący uśmiešek.

- Rozumiesz chyba - powiedział Escalion - że skażesz swój naród na dalsze represje, jeśli będziesz się upierał przy tej aroganckiej decyzji?

- Miałem właśnie powiedzieć to samo o tobie - odpowiedział Balass - zastępując jedynie słowa „swój naród” słowami „nasz świat”. A teraz proszę o chwilę spokoju. Postaram ci się to wytłumaczyć.

Balass zaczął mówić, krążąc po sali i co jakiś czas zwracając się ku jednej lub drugiej grupie dygnitarzy, dzieląc uwagę pomiędzy ekrany a ludzi na sali.

- Wydaje mi się, że wszyscy tak się skoncentrowali na sytuacji taktycznej, że zapomnieli o strategii. Niezależnie od tego, czy się poddam, czy nie, Imperium wie, że Adumar nie sprzymierzy się z nimi z własnej woli. Doniesiono mi, że ich wielki statek już opuścił orbitę... i nie jest to dobry znak dla nas.

Jeśli się poddam, Nowa Republika nie przyśle tu statków, aby nas wesprzeć w konflikcie, który nastąpi. No cóż, właściwie mogliby to zrobić, ale musiałyby się to odbyć w ramach traktatu z nami lub wypowiedzenia nam wojny. A my nie możemy sygnować traktatu jako zjednoczony świat do czasu, aż wszystkie konsekwencje poddania się Certanu nie zostaną zweryfikowane. Który z protektoratów Certanu odłączy się i zadeklaruje niepodległość? Które pozostaną przy Certanie, a które przeniosą swoją lojalność na zjednoczone siły Adumaru, przez was reprezentowane? Na te pytania nieprędko będziemy mogli udzielić odpowiedzi.

Na ekranie podzielonym na mniejsze kwadraty kobiety i mężczyźni kiwali potakująco głowami,

choć jeszcze nie wszyscy.

Balass ciągnął:

- Jeśli jednak się nie poddam, jeśli wy, zjednoczona koalicja Adumarian, przyjmiecie w tym momencie moją ofertę paktu bez represji z powodu niedawnych walk... wówczas Certan przyłączy się do waszego związku jako równy partner. Warunki będziemy negocjować, kiedy przyjdzie na to czas. Mogę rozpisać referendum w protektoratach Certanu i uwolnić je, kiedy będziemy mieli dość czasu. Panowie i panie, jeśli porzucicie urazę do Certanu, jeśli uznacie, że stary Certan abdykował wraz z moim ojcem, a nowy stoi przed wami, możemy stworzyć planetarną unię, przynajmniej w ogólnym zarysie, w ciągu kilku minut. Albo możecie obstawać przy zemście i oglądać koniec swojego świata. Decyzja należy do was.

Odwrócił się ku wieloobrazowemu ekranowi, oparł dłonie na biodrach i czekał z wyniosłą miną.

Wedge z trudem powstrzymał się od gwizdnięcia. Jeśli Balass to przeforsuje, uratuje swój świat - uniknie problemu długiego płacenia odszkodowań, postrzegania kapitulacji wojennej jako dyshonoru i tak dalej. Wedge rzadko widywał przywódców, którzy podjęliby się tak karkołomnego wyczynu w kilka minut od objęcia urzędu.

Ludzie na ekranach zaczęli ze sobą rozmawiać, choć głośniki nie przekazywały ich słów. Jeden po drugim obrazy odległych dworów zanikały, zastąpione neutralną szarością.

- Zrobimy to - rzekł Tomer. - Ma w ręku wszystkie atuty. Muszą się zgodzić. Zwycięzimy.

- Tak, zwycięzimy. - Wedge uśmiechnął się do niego. Łatwo mu to przyszło: wystarczyło sobie wyobrazić dalsze losy dyplomaty.

- Byłem zachwycony, kiedy się dowiedziałem, że ty i twoi piloci przeżyliście przelot korytarzem, a potem poszły plotki, że dotarliście poza Certan...

- Wierzę.

- A ta inwazja! - Tomer zamachał rękami - Założę się, że przeszła wasze najśmielsze oczekiwania.

- Nie, do tej pory wszystko idzie zgodnie z planem. Ale spokojnie. Przewiduję, że będzie jeszcze lepiej.

Tomer jakby nieco spoważniał, na jego twarzy pojawił się wyraz niepewności.

- Jak to?

Dwa ekrany zapłonęły znowu. Podobnie jak przedtem, jeden z nich zdominowany był przez twarz Escaliona z Yedagonu i to on przemówił:

- Peratorze Balass, aczkolwiek nadal uważamy, że Certan powinien ponieść główne konsekwencje krótkiej wojny, jaką stoczyliśmy, przyznajemy ci rację. Okoliczności uległy zmianie i nie ma czasu na najbardziej nawet honorowy proces. Oferujemy Certanowi miejsce, pełne prawo głosu i nieograniczone członkostwo organizacji, którą od dziś nazywamy Unią Adumaru.

- Przyjmuję. - Balass skłonił się przed Escalionem, po czym odwrócił się lekko i złożył pokłon

innym obserwatorom na ekranach. - Kto w naszym imieniu ma rozmawiać z Nową Republiką?

- Nie możemy chyba zaproponować nikogo innego, jak tylko generała Antillesa - powiedział Escalion.

Wedge odchrząknął.

- Przykro mi, ale nie mogę przyjąć. Wybrany przez was przedstawiciel może rozmawiać ze mną. Wciąż pełnię obowiązki ambasadora Nowej Republiki.

- Wobec tego wybierzmy spośród siebie - zdecydował Escalion.

W czasie kiedy peratorzy i ich doradcy z całego Adumaru prowadzili ożywioną i - jak miał nadzieję Wedge - szybką dyskusję, Antilles odwrócił się w stronę Tomera.

- Tycho? - zagadnął.

Sam wyjął blaster i podsunął lufę pod brodę Tomera. Tycho w tym samym momencie przyłożył swoją broń do lewego oka dyplomaty. Tomer musiał przymknąć powiekę, żeby nie stracić oka.

- Co to ma znaczyć? - zapytał. Głos miał spokojny, nawet beztroski. Wedge był pod wrażeniem jego zimnej krwi.

- Nadszedł czas, abyś skontaktował się z „Hołdem” i powiedział im, że mają potwierdzić i akceptować transmisje od wszystkich pracowników i obywateli Nowej Republiki na planecie.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Jeśli tego nie zrobisz, prześlemy cię halbeguardiańskim strażnikom. Oni zabiorą cię do Halbeguardii lub Konfederacji Yedagonu. Staniesz przed sądem jako zbrodniarz

wojenny, jeśli wyjawia im wszystko, co wiem o twoich relacjach z Pekaelikiem. Wątpię, abyś mógł liczyć na litość z ich strony. Jeśli zaś mnie posłuchasz, przekażę cię Nowej Republice w celu przeprowadzenia śledztwa. Oczywiście pod warunkiem, że ani Tycho, ani ja nie dostaniemy czkawki i nie odstrzelimy ci łba. Tomer westchnął ciężko.

- Do niczego się nie przyznaję - warknął, ale wyjął komunikator. - Tomer Darpen do „Hołdu”, zgłoś się.

Nie było odpowiedzi.

Tomer wzruszył ramionami z miną „a nie mówiłem?” Wedge uśmiechnął się do niego.

- Powtarzaj za mną: „En-Er-I-Jeden” do „Hołdu”, odbiór.

Tomer spojrzał na niego z kamienną twarzą; jedynym otwartym okiem rozglądał się gorączkowo, jakby szukał podpowiedzi, która pomogłaby mu wybrnąć z tej sytuacji. Wreszcie wykrztusił:

- „En-Er-I-Jeden” do „Hołdu”, odbiór.

- „Hołd” do „En-Er-I-Jeden”, słuchamy cię. Wedge tylko patrzył.

- Cofam rozkazy dotyczące komunikacji z ziemi. Jesteście upoważnieni do odpowiadania na transmisje z Adumaru.

- Blokadę łączności też odwołaj - wtrącił Wedge. Tomer westchnął.

- Odwołuję również ograniczenia hiperłączności „Hołdu”. - Zakrył dłonią mikrofon i zapytał: - Czy to wszystko? A może mają nam jeszcze przysłać kolację?

- To wszystko. Tomer usunął rękę.

- Proszę potwierdzić.

Oficer łączności z drugiej strony odpowiedział:

- „Hołd” potwierdza odbiór rozkazów. Kapitan Salaban chce rozmawiać. Wedge wyjął z dłoni Tomera komunikator i podał go Tychowi.

- Pułkownik Celchu, proszę mi wyświadczyć przysługę i załatwić temu więźniowi transport na „Hołd” - powiedział. - Poinformuj „Hołd” o zaistniałej sytuacji i niech Salaban czeka na rozkazy połączenia się przez hiperłączność z Dowództwem Floty i generałem Crackenem. Potem złóż obydwu szybki raport.

- Tak jest. Co kombinujesz?

- Idę na spacer. - Wedge ogarnął ruchem ręki otoczenie. - To miejsce przyprawia mnie o mdłości.

- Jeszcze raz spojrzał na Tomera. - Powinieneś być chyba wybrać sprawiedliwość Adumarian.

Tomer tylko patrzył niewzruszonym wzrokiem.

Na schodach pałacu Wedge natknął się na admirała Rogrissa, eskortowanego przez dwóch halbegardiańskich strażników. Ogień snajperów z balkonów już się skończył. Wedge odesłał strażników i zasalutował starszemu mężczyźnie.

- Admirale, miło pana widzieć. Jak się pan miewa? Rogriss powoli pokręcił głową.

- Jak się może miewać ktoś, czyją karierę właśnie trafił szlag?

- A to oznacza, że „Bezlitosny” opuścił system, nie przekazując wiadomości przez holokom.

Rogriss skinął głową.

- Holokom jest zamknięty i zapieczętowany. Może go otworzyć jedynie mój głos... lub kody bezpieczeństwa podane przez wyższego oficera. A ja nie spotkam nikogo takiego przez najbliższe trzy dni.

- Czy to ma znaczenie? Chodzi mi o to, że wywiad imperialny może mieć ekipę tu, na planecie, z własnym holokomem.

Rogriss pokręcił głową.

- Wywiad ma tutaj swoją grupę, ale życzę szczęścia w ich szukaniu. Nie powiem wam, jak ich znaleźć. A holokomu i tak nie mają. Macie tyle czasu, ile chcecie... kosztem mojej kariery.

Wedge wyciągnął prawicę.

- Nie wiem, ile to warte, ale proszę przyjąć moje wyrazy uznania. Rogriss ją uścisnął.

- Przekaze pan informację moim dzieciom?

- Tak.

- Nawet jeśli generał Phennir pana zastrzeli, kiedy wrócą imperialne siły?

- A więc przeżył... tak, nawet wówczas. Przygotuję rozkazy dotyczące pana, które zostaną wykonane w wypadku mojej śmierci.

- Nawet jeśli nie przejdę na stronę Nowej Republiki?

- A dokąd pan pójdzie? Rogriss się rozejrzał.

- Ostatnio spędziłem dużo czasu na zastanawianiu się, jak wykorzystam słabości militarne Adumaru. Może teraz powinienem pokazać Adumarianom, gdzie są te słabości i jak je okryć zbroją. Może zaoferują mi stanowisko, skoro mogę im pomóc.

- Myślę, że to zrobią. Tak czy owak, poinformuję pańskie dzieci.

- Dziękuję.

ROZDZIAŁ 14

Wedge stał na skraju pola magnetycznego oddzielającego atmosferę głównego doku „Hołdu” od próżni kosmicznej na zewnątrz. Poniżej, nie dalej niż dwa kilometry w dół, widać było „Mon Casimę”, krążownik Mon Calamari, obecnie przydzielony do operacji na Adumarze. Inne statki i okręty Nowej Republiki czekały na orbicie stacjonarnej, choć niewidoczne dla niego. Fregaty, korwety, podstarzałe krążowniki, które niegdyś służyły Imperium, a nawet Starej Republice - flota tak wielka, jaką tylko mogła zgromadzić Nowa Republika w ciągu tak krótkiego czasu. Nie było tu tylko „Lusankyi”, okrętu flagowego - a czasem jedynego okrętu sił zadaniowych, którym Wedge zwykle dowodził. W czasie jego nieobecności oddelegowano ją do innych zadań.

Powietrze było zimne, jak zwykle w dokach myśliwców w kosmosie. Pola magnetyczne nie stanowiły dobrej izolacji cieplnej. Przenikliwy wiatr uruchamianych repulsorów wbijał mu się w uszy, a dźwięk testowanych silników wibrował pod czaszką.

Wedge czuł się niemal jak w domu.

Niemal. Wiedział, że od tej chwili jego dom będzie tam, gdzie on i Iella postanowią być razem. Kwatera na potwornie przeludnionym Coruscant, kiedyś może mały domek z ogródkiem na jakimś nieznaczącym świecie-kolonii, a jeśli zmienią się metody zarządzania systemem - nawet na Korelii.

Ale problem ten można rozwiązać jutro. Albo pojutrze. Na razie ważny był Adumar.

Miasto Certan i kilka mniejszych metropolii odniosły poważne zniszczenia w czasie najazdu Unii Adumarian. Stracono setki myśliwców i innych pojazdów po obu stronach, zginęło wielu dobrych pilotów. Wedge z przykrością dowiedział się, że Liak ke Mattino, dowódca Ostrza Ku Księżycom, który zaryzykował niełaskę peratora, aby dać Czerwonym szansę ucieczki, zginął w walkach, podobnie jak wielu pilotów, których Wedge szkolił.

Dawny perator zaszły się w swojej posiadłości gdzieś w granicach Certanu, oficjalnie chroniony przez syna przed prześladowaniami ze strony Rady Unii Adumaru. Wielu innych peratorów zaprotestowało, lecz Balass ke Teldan twardo upierał się przy swoich warunkach, na których zażądał dla Certanu pokojowego i szybkiego przyjęcia do Unii. Wyglądało zatem, że Pekaelic uniknie sprawiedliwości za swój kiepski osąd i autokratyczną politykę.

Tomer Darpen nie miał tyle szczęścia. Dawny regionalny szef wywiadu Nowej Republiki został bezpiecznie zamknięty w kwaterze więziennej i przygotowywał się do obrony na procesie. Wciąż jeszcze pozostawał w błogiej nieświadomości faktu, że Hallis wykonała zapis z rozmowy, który go pogrąży.

Tymczasowy zastępca Tomera nie był taką porażką personalną jak jego poprzednik. Wyznaczona przez generała Crackena Iella Wessiri zarządzała obecnie sprawami wywiadu na Adumarze z właściwą sobie skutecznością.

- Jesteś pewien, że nie chcesz poprowadzić swoich oddziałów z mostka „Hołdu”? - zapytała Iella.

Wedge podniósł głowę, zaskoczony. Iella pojawiła się obok niego w mylącym przebraniu porucznika i teraz tak jak on wpatrywała się w przestrzeń.

Wedge rozejrzał się, upewnił, że nie ma wokół nikogo znajomego i udał zaskoczenie.

- Przysięgłbym, że mówisz do mnie. Co za dziwne pytanie do pilota. Uśmiechnęła się blado.

- Przepraszam. Na chwilę straciłam głowę. Nie możesz mnie winić, że próbuję.

- Nie, nie mogę.

Objęła go w pasie, oparła głowę na ramieniu.

- Jestem z ciebie dumna - szepnęła.

- Jeszcze nie zwyciężyliśmy.

- Nie z powodu zwycięstwa, lecz za to, że gotów byłeś przegrać. Za to, że stałeś na swojej pozycji nawet wtedy, kiedy wydawało się, że cała galaktyka sprzysięgła się przeciwko twojej decyzji.

- To nie było miłe. Ale kiedy już miałem pewność, że stracę wszystko, a potem stwierdziłem, że ciebie jednak nie utraciłem... całą resztę mogłem przeżyć.

- Ale teraz ja martwię się o przyszłość.

- Dlaczego? Bo dalej latam? Poczul, że zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, dlatego że jesteś prawie równie uparty, jak ja. I...

Nie dokończyła, cokolwiek chciała powiedzieć. Dalsze słowa zginęły w pojedynczym ryku alarmu, po którym nastąpił głośny komunikat:

- Jednostka zwiadowcza Wysokich Lotów „Trzy Beta” informuje o przybyciu okrętów imperialnych do przestrzeni Adumaru. Trzy, powtarzam trzy niszczyciele typu Imperial i liczne mniejsze statki zdążają ku nam. Cały personel na stanowiska bojowe. Wszyscy piloci do stanowisk musztry.

Wedge westchnął.

- No i masz babo placek. - Przyciągnął ją do siebie i szybko pocałował.

- Nie mogę prosić, żebyś uważał na siebie - szepnęła. Pokręcił głową.

- Więc chociaż obiecaj, że będziesz strzelał celniej i szybciej od nich.

- Możesz na to liczyć. Kocham cię.

- A ja ciebie. - Oderwała się od Wedge'a i pobiegła na swoje stanowisko, rzucając mu przez

ramię ostatnie spojrzenie. Potem dołączyła do personelu wylewającego się z wyjścia i już jej nie było.

Sformowali się o kilometr od dziobu „Hołdu”. Była to imponująca grupa myśliwców - Czerwoni Wedge’a, dwie wyposażone jak tarcze eskadry myśliwców TIE, jeden nie całkiem pełny oddział A-wingów, jeden B-wingów, eskadra Y-wingów, jednostka Wysokich Lotów z „Hołdu” i trzy wyposażone do lotów w przestrzeni lotne ostrza blade’ów z powierzchni planety: dwa z Yedagonu i jedno z Certanu. W sumie mieli sto sześć myśliwców.

- Czujniki „Hołdu” namierzyły nieprzyjacielskie eskadry TIE startujące z niszczycieli - rzeź WEDGE. - Myśliwce eskortują bombowce... dużo bombowców. Posłuchajcie, jak to rozegramy.

Naszą linią przednią będą Czerwoni, Eskadra Wysokich Lotów, Szwadron Błyskawic oraz Eskadry Zdobywców i Podniebnych Świateł. - Oznaczało to wysunięcie X-wingów, A-wingów i myśliwców TIE na przód grupy Wedge’a. - Pozostali czekają w formacji do momentu, aż będziemy w pełni związani walką. Wtedy obliczycie, gdzie jest najwięcej maszyn... i gdzie wróg będzie miał najmniej szans, żeby na was napaść. Podejdźcie wtedy tymi wektorami i władcijcie wszystko, co macie, w „Bezlitosnego”. - Oznaczało to, że B-wingi z Eskadry Słonecznego Wiatru, Y-Wingi z Eskadry Pamięć Derry i blade’y z Lotnych Ostrzy Lodowej Klingi, Mroźnej Śmierci oraz Słonecznego Bicza zostaną przesunięte na tyły do ostrzału. - Blade’y> macie pamiętać, że strzelacie tylko na rozkaz swoich dowódców, a także o tym, że wasze pociski nie mają siły przebicia torped protonowych. Dlatego, jeśli w ogóle chcecie uszkodzić niszczyciel, musicie poprowadzić dokładnie zsynchronizowany, zmasowany ostrzał. Zrozumiano?

Odpowiedziały mu potwierdzenia od wszystkich po kolei dowódców eskadr.

- To dobrze. Zaczynamy. - Przesłał kurs przechwycenia do grupy i skręcił, aby poprowadzić ją na nieprzyjaciela.

Przełączył się na główną częstotliwość nadawania Adumarian, czekając, aż oddział sformuje się za nim. Główny ekran wypełnił mu dwuwymiarowy obraz, stanowiący ciągłą transmisję z ekranów z miasta. Ukazywał on starszego człowieka z opaską na oku, która jednak nie całkiem skrywała bliznę rozciągającą się poniżej i powyżej oczodołu. Mężczyzna mówił do kamery:

- ...utrzymują się w starciu z siłami Unii Adumaru. Pomimo raportów, że siły Pekaelica z dnia na dzień tracą na impecie, ataki jednostek tych nieoficjalnych oddziałów nieustannie zajmują uwagę Unii i spowalniają jej wysiłki skierowane na zapewnienie pokoju na Adumarze. O świcie czasu Yedagou, dziś rano, jednostki certańskiego Ostrza Lordów Przeróżenia, związane obecnie z dawnym peratorem, eskortowały nalot bombowy, który zniszczył sześć bloków mieszkalnych w prestiżowej dzielnicy kompleksu miejskiego Accolux w Yedagonie...

Wedge wyłączył program. Był to trzeci dzień transmisji, które składały się wyłącznie z planowych kłamstw. Informacje, zredagowane według scenariusza napisanego przez Hallis Saper z pomocą doradców militarnych Unii Adumaru, przekazywały wieści o poprzednim peratorze,

Pekaelicu ke Teldanie, który wciąż prowadził zacięte walki z przebojową Unią Adumaru, nie pozwalając wygasnąć działaniom bojowym wśród wszystkich cywilizowanych narodów planety. Publiczność z wypiekami na twarzy śledziła te transmisje. Działania partyzanckie zawsze się zdarzały w krajach, które były odcięte od świata zewnętrznego przez okupację militarną... a to oznaczało, że agenci wywiadu imperialnego na planecie mieli trudne zadanie, by potwierdzić lub zanegować te informacje.

Tymczasem prawdziwy Pekaelic odpoczywał w kompleksie miejskim Certanu, które syn wybrał mu na miejsce wygnania, i zaledwie był świadom przypisywanych mu działań. Wiedział jedynie, że musiał przygotować nagranie do audycji i przestrzegać podanego mu scenariusza.

Jeśli wszystko idzie zgodnie z przewidywaniami, ekipa wywiadu imperialnego na Adumarze powinna od trzech dni rejestrować wszystkie transmisje, analizować je i interpretować. Na pewno nie wpadną na to, że to wszystko kłamstwa. Nawet teraz zapewne przesyłali swoje meldunki do imperialnych sił zadaniowych kierujących się na planetę. Przy odrobinie szczęścia wojskowi uwierzą, że na planecie wciąż panuje wojna, a jej potęga militarna legła w gruzach.

Na długo zanim grupa Wedge'a spostrzegła nieprzyjacielskie niszczyciele, „Hołd” doniósł o maszynach z 181. Oddziału Myśliwców, eskortujących liczne eskadry bombowców TIE. Wszystkie maszyny schodziły w przestrzeń powietrzną Certanu. Punkty-markery, przedstawiające inne jednostki myśliwców imperialnych, również wskazywały na kurs w kierunku planety.

W tym momencie formacja niszczyciela pojawiła się na wizjerach. „Bezlitosny” na przedzie, „Odwet” i „Cios” z tyłu, inne statki w różnych punktach konwoju.

Wedge ustawił kurs wprost na statek flagowy.

- Piloci, uzbroić działa. X-wingi, płaty w pozycji bojowej. Dowódcy eskadr, macie swobodę rozłożenia sił. - Nie był zaskoczony, że krewcy piloci A-wingów skoczyli do przodu niemal natychmiast. Przełączył się na częstotliwość eskadry.

- Czerwoni, Eskadra Wysokich Lotów, okrzyknijcie ich na wizyjnej.

- „Czerwony Jeden”, tu „Wysoki Lot Dwanaście”. Wykrywam nadlatujące myśliwce i interceptory TIE... i dwie pary defenderów TIE. Siedzą za dość drapieżną osłoną.

Wedge skrzywił się. Defender TIE uchodził za jednego z najlepszych znanych myśliwców. Była to doprawdy niezwykła jednostka, wyposażona w trzy zestawy baterii słonecznych zamiast dwóch, równomiernie rozłożonych na kulistym kadłubie; tarcze miały nie gorsze od X-wingów i znacznie je przewyższały uzbrojeniem oraz szybkością. Były też bardzo, bardzo drogie.

- Dowódca Czerwonych do eskadry Słonecznego Wiatru. „Słoneczny Wiatr Siedem” do „Dwanaście”, dołączcie do osłony. Będziemy potrzebować waszej pomocy przy defenderach.

- Przyjąłem, dowódco Czerwonych.

Przestrzeń przed nimi rozjarzyła się niczym międzyplanetarne fajerwerki, gdy ożyły turbolasery i działa jonowe „Bezlitosnego”. Oznaczało to, że A-wingi znalazły się już w zasięgu. Sekundę później Wedge zauważył pierwsze z nadlatujących TIE - tylko plamki na ekranie, które w przednim

iluminatorze zmaterializowały się jako szybko poruszające się obiekty.

Połączył lasery w poczwórny ogień, zwiększył moc, jednocześnie zmniejszając częstotliwość cyklu.

- Podzielić się na pary i strzelać bez rozkazu.

X-wingi wokół niego rozsunęły się, utrzymując kurs wprost na nadlatującego nieprzyjaciela. Walka w szyku czołowym była jedną z najniebezpieczniejszych taktyk dla myśliwców, ale za to faworyzowała osłonięte tarczami X-wingi w stosunku do pozbawionych tarcz TIE.

Na ekranie celowniczym, rzuconym na przednią szybę iluminatora, żółte klamry celownicze Wedge'a nadążały z pewnym opóźnieniem za unikami celu na boki. Wpuścił X-winga w ruch obrotowy i w pętłę, co miało go uczynić trudniejszym do trafienia, i ręcznie przesunął klamry w miejsce, gdzie jego zdaniem za chwilę powinien znaleźć się TIE. Nie pomylił się - TIE zanurkował dokładnie wzdłuż ścieżki, którą kreśliły klamry. W chwili, gdy błysnęły na zielono, Wedge strzelił. Udało mu się jedynie nieznacznie osmalić jedną z baterii słonecznych TIE, ale myśliwiec skręcił ze swojego pierwotnego kursu i odbił od Wedge'a i pozostałych X-wingów.

Nadlatujące zielone smugi laserów przeplatały się z czerwonymi o podobnej intensywności i częstotliwości; Wedge zauważył kątem oka, że jeden z X-wingów Wysokich Lotów eksplodował, pozostawiając po sobie jedynie chmurę płonącego gazu i szybko stygnących odłamków.

Wreszcie szeregi TIE i myśliwców Nowej Republiki spotkały się, zwały i znów rozdzieliły. TIE wyminęły przeciwnika, ale już zawracały w tych swoich niewiarygodnie ciasnych pętlach, żeby wsiąść na ogony powolniejszym statkom Nowej Republiki.

- Dowódco Czerwonych, mam gałę na ogonie - odezwał się Tycho.

Wedge sprawdził na czujnikach i wizji. Myśliwiec TIE, czyli gała w slangu pilotów, ustawił się za Tychem i skierował na niego ciągły strumień ognia laserowego, choć przypadkowe skoki Tycha na boki na razie ochroniły go przed poważniejszymi uszkodzeniami niż osmalenie.

- Słyszę, „Dwójka”. Jestem twoim partnerem. - Wedge skręcił za Tychem. Tycho zanurkował - „w dół” oznaczało kierunek płaszczyzny orbitalnej Adumaru - płytkim łukiem, jaki mogli wykonać nawet niedoświadczeni piloci. Ten sam manewr byłby znacznie trudniejszy wewnątrz łuku. Myśliwiec TIE poleciał za nim, nie przestając strzelać, Wedge zaś podążył ich śladem.

Strzelił raz, ale smugi laserów dosięgnęły jedynie przestrzeni, gdzie przed ułamkiem sekundy jeszcze był TIE. Zwinna gała odskoczyła na lewo, rezygnując z pościgu za Tychem.

- Myślałby kto, że chce jeszcze trochę pożyć, co, szefie?

- Chyba go trzeba rozczarować. Wracamy do walki. - Wedge skierował się w rejon najbardziej zaciętych potyczek.

Na tablicy czujników widział drugą falę myśliwców i kanonierki, kierujące się w dwóch

kolumnach ku strefie walki wokół „Bezlitosnego”. Ale to, co widział on, widział również nieprzyjaciel i nie byłoby mądre pozwolić, aby defendery TIE dowiedziały się o tych kolumnach. Defendery rozerwana strzepy wolniejsze Y-wingi i blade’y. Wedge zidentyfikował najbliższego defendera na tablicy i ruszył w jego kierunku.

Defender akurat walczył z dwoma myśliwcami TIE z „Hołdu” i jednym B-wingiem. Kiedy Wedge zbliżył się do nich, lasery defendera właśnie przegryzły się przez jeden z TIE - gała wypuściła atmosferę z kabiny i zgasła. Połączona salwa z dział jonowych B-winga chybiła defendera o jakieś trzydzieści metrów, za to odpowiedź nieprzyjaciela wyeliminowała drugiego TIE z walki, wypełniając jego kabinę iskrami, zanim i on pociemniał.

- „Czerwony Dwa”, obejdz go z daleka. Niech nie ma dokąd uciec, tylko na działa. - Wedge skręcił na prawo, a Tycho na lewo. Szerokimi łukami zbliżyli się do B-winga i defendera z dwóch przeciwnych kierunków.

Defender również zatoczył koło, żeby zaatakować B-winga, ale odbił od poprzedniego kursu i rzucił się w kierunku Tycha.

Klamry celownika Wedge’a pozieleniały i pilot wystrzelił, ale lasery chybiły o metry.

Tycho i defender, kręcąc się wokół siebie jak bąbelki w piwie, ruszyli wreszcie do ataku. Tycho pluł ogniem laserów, defender strzelał z działek jonowych - mijali się pozornie nieuszkodzeni... ale nagle Wedge zauważył, że Tycho już nie manewruje. X-wing „Czerwonego Dwa”, pociemniały, kierował się ku przestrzeni jak pocisk, bez żadnego sterowania.

Wedge zaklął. Nie chciał wywoływać Tycha przez komunikator. Działa jonowe najczęściej niszczyły elektronikę statku. Tycho wypadał z gry, chyba że w jakiś sposób zdoła uruchomić silniki z zimnego startu - co wydawało się mało prawdopodobne.

Wedge rzucił się za defenderem. Widział, że ma tylko jeden lub dwa strzały, zanim znacznie większa zwrotność i szybkość stateczku wyniesie go poza zasięg jego dział.

Kiedy celownik zbliżał się już do defendera, jego pilot musiał wykryć próbę namierzenia i zrobił unik, wykonując boczne manewry, do jakich zdolny jest tylko pojazd typu TIE. Zwiększył przy tym przyspieszenie, odbijając od X-winga z niesamowitą szybkością i rozpoczął ciasną pętlę w górę, która nieuchronnie musiała ustawić go w pozycji za rufą Wedge’a.

Wedge pokręcił głową i wstrzymał ogień. Przesunął klamrę poza cel, obserwując za każdym razem, gdzie odskakuje defender, kiedy grozi mu bezpośrednie trafienie. Reakcją defendera zawsze była spiralna pętla w dół i na prawą burtę, fatalnie przewidywalna... Wedge przesunął klamry w kierunku defendera po raz ostatni, po czym nie czekając, aż tamten zareaguje, wprowadził X-winga w pętlę w dół i na prawą burtę.

Defender przetoczył się wprost w jego klamry. Pilot zauważył błąd: zaczął zwrot, ale Wedge wypalił do niego z poczwórnych laserów, przebijając silniki i kabinę. Przez otwór buchnęły płomienie i myśliwiec eksplodował.

Wedge znalazł na czujnikach B-winga.

- Dowódca Czerwonych do „Wiatru Słonecznego Osiem”. Oznakuj „Czerwonego Dwa”, oblicz jego kurs i szybkość, a potem przekaż dane na „Hołd” z żądaniem akcji ratunkowej.

- Tak jest, dowódco Czerwonych.

Wedge zrobił zwrot w kierunku centrum starcia.

W dali - choć nie tak daleko jak przedtem - widział B-wingi, Y-wingi i blade 'y rozpoczynające atak na „Bezlitosnego”. Niewielki rozbłysk w szeregach Y-wingów musiał oznaczać, że jeden z widelców nadział się na promień z turbolasera ze skutkiem śmiertelnym.

Nagle z powłoki „Bezlitosnego” zaczęły się wydobywać jaskrawe pęki iskier, znacząc miejsca uderzeń torped protonowych i pocisków adumarskich. W chwilę później było już po pierwszym starciu i Wedge widział uszkodzone fragmenty powłoki w miejscach, gdzie pociski dosięgły celu.

Nie nastąpiło jednak poważniejsze przebicie.

- Dowódca Czerwonych do wszystkich blade'ów-32. Skoncentrujcie ostrzał albo nigdy się nie przebijecie. Dowódcy lotnych ostrzy, przy kolejnym ostrzale wybierzcie cel i przekażcie lokalizację swoim pilotom, inaczej równie dobrze możecie ich opluć.

Usłyszał potrójne potwierdzenie, zaledwie zwracając na nie uwagę. Problem blade'ów po prostu wyrzucił z głowy. Przed nim znajdował się kolejny defender TIE, tym razem z czerwonymi pasami na matrycach słonecznych. Myśliwiec zwracał się w jego stronę i przyspieszał.

Czerwone pasy oznaczały, że statek jest pilotowany przez członka 181. oddziału. Niewielu pilotów z jednostek, nawet tych najlepszych, dostawało defendery. Turr Phennir był jedynym logicznym kandydatem.

Wedge dał sobie spokój z dedukcją. Teraz bardziej potrzebował doświadczenia i instynktu.

Defender ruszył wprost na niego z pełnym przyspieszeniem. Wedge uśmiechnął się drapieźnie. Jeśli uniknie starcia czołowego, będzie miał więcej czasu na zwrot i kolejną konfrontację - tak duże przyspieszenie z pewnością spowoduje przestrzelenie i utrudni wykonanie zwrotu na czas.

Próbując wziąć na cel wykonującego szaleńcze manewry defendera, stwierdził, że klamry za szybko zmieniają kolory - zielony, żółty, znowu zielony. Nie mógł za tym nadążyć. Zanim odnotował zieloną ramkę i przycisnął spust, klamry zdążyły zmienić kolor przynajmniej jeszcze ze dwa razy. Kiedy defender znalazł się w optymalnym zasięgu, Wedge i tak strzelił. Zobaczył, jak smuga energii prześlizguje się pomiędzy tarczami słonecznymi, poczuł wstrząs i oto już był poza defenderem i zawracał w jego stronę.

Diagnostyka meldowała, że jego przedni wspornik przestał istnieć i że są coraz większe problemy z mechanizmem wyrzutni torped protonowych. Nie potrzebował diagnostyki, żeby zobaczyć czarną dziurę, która pojawiła się na dziobie X-winga. Aby jednym strzałem przebić górną powłokę, uszkodzić układ podwozia i jednocześnie wyrzucić torpedy, trzeba było bardzo dokładnie celować.

Nieważne. Zawrócił i znów rzucił się w kierunku defendera. Uświadamiał sobie, że słyszy w komunikatorze znajome głosy, ale ponieważ nikt go nie wywoływał, nie zwracał na nie uwagi.

Tym razem zignorował zmiany koloru klamer. Usiadł wygodnie w fotelu, wyczuwając wokół siebie jego znajomy kontur i pozwolił, aby jego zmysły wybiegły w przestrzeń poza X-winga i dalej, aż do wnętrza lecącego na niego defendera.

Nie traktował tego jak użycie Mocy. Dla Wedge'a Moc była pojęciem tak abstrakcyjnym, jak astronawigacja dla banthy. Jednak wieloletnie doświadczenie pozwoliło mu skoncentrować się i reagować w sposób czasem uważany za mistyczny. Słyszał zmianę w tonie silnika, świadczącą o tym, że jeden z generatorów nie działa jak należy, widział rozbłysk światła lasera, mówiący, że działko

straciło synchronizację, czuł subtelne zmiany przyspieszenia, sugerujące nieoczekiwane fluktuacje mocy.

Pobiegł myślą poza powłokę defendera, poza kombinezon pilota TIE, aż dotarł do człowieka. Wyczuwał reakcje pilota, kiedy zrobił X-wingiem unik przed jego celownikiem.

Poczuł, że jego laser dotyka pilota - i strzelił.

I poleciał dalej, by zawrócić do następnego przelotu.

Defender nie zawracał. Bo też nie był to już nawet defender. Górne skrzydło z baterią słoneczną znikło, jego pylon został ścięty w miejscu zetknięcia z powłoką, a przez dziurę uciekało powietrze.

Ale wciąż był sterowny. Nabierał prędkości, wycofując się z pełnym przyspieszeniem. Pilot miał aparat oddechowy w kombinezonie, ale strata atmosfery w kabinie oznaczała wychłodzenie, i to szybkie - miał zaledwie parę minut, zanim zamarznie na śmierć. Był wyłączony z walki.

- Dobry strzał, szefie.

Wedge zerknął na tablicę i wyjrzał przez prawy i lewy iluminator.

- Skąd się tu wzięliście?

„Czerwony Trzy” leciał po jego lewej burcie, „Czerwony Cztery” - po prawej.

- Przylecieliśmy przed chwilą - poinformował Janson. - Kilka oportunistycznych skosów próbowało cię dorwać, ale je zezłomowaliśmy.

- Dzięki. - Wedge pokręcił głową, usiłując wyjść z transu, w który się wprowadził. - Czy to był Phennir?

- Zgodnie z naszymi czujnikami, przypuszczalnie tak.

- Co z Tychem?

- Uszkodzony A-wing go pilnuje. Jest na liście wahadłowca ratowniczego. Znajdowali się teraz poza głównym obszarem starcia i nie wiązali wroga. Wedge zawrócił w kierunku „Bezlitosnego” akurat w porę, żeby zobaczyć jaskrawy rozbłysk ognia na jego powierzchni - wynik zwielenokrotnionych uderzeń pocisków, które przebiły najpierw tarcze, a potem powłokę. Obszar uderzenia, daleko w prawo od centralnej linii statku, sugerował, że uszkodzenie nie jest poważne... lecz utrata atmosfery, stabilności konstrukcyjnej i ofiary w ludziach będą znaczne. Jeśli dowódca ma choć trochę rozumu, powinien wycofać okręt z walki. Jeśli ma.

- Dowódca Czerwonych do „Hołdu”. Podajcie mi aktualny status konfliktu, proszę.

- Tu „Hołd”. - Miał nadzieję, że to głos Ielli. - Siły imperialne atakujące powierzchnię Adumaru ponoszą ciężkie straty. Wydaje się, że oczekiwały ogólnej dezorganizacji i zostały zaskoczone przez kontrataki Unii Adumaru. Szczególne straty poniosły bombowce TIE. Imperialni próbowali zdaje się zmontować akcję ratowniczą, żeby przechwycić dawnego peratora Certanu i przypuszczalnie osadzić go jako marionetkowego władcę... ale w tej chwili dwa transportery pełne elitarnych oddziałów ich

wojsk znajdują się w rękach Unii.

- Miło to słyszeć.

- W waszej grupie eskadra blade'ów oberwała najmocniej, ponad trzydzieści procent ofiar i rannych, ale też zadaliście „Bezlitosnemu” ciężkie straty.

Istotnie, na oczach Wedge'a dziób ciężkiego gwiazdnego niszczyciela powoli zaczął skręcać w stronę przeciwną do słońca Adumaru i innych planet. W dali, na dziobie niszczyciela „Cios”, rozjarzył się świetlisty punkt, oznaka poważnej eksplozji.

Wedge odetchnął z ulgą. Bitwa jeszcze nie dobiegła końca, ale imperialni, licząc na to, że Nowa Republika będzie jedyną zorganizowaną siłą broniącą Adumaru, dostali się pod młot zjednoczonych sił planetarnych. Kiedy informacje o ciężkich stratach zniszczonych eskadr TIE i uszkodzonych niszczycieli wreszcie dotrą do dowódców misji - a wszystko wskazywało na to, że właśnie w tej chwili pojęli powagę sytuacji - siły imperialne wycofają się.

Kiedyś powrócą. Ale do tego czasu, jak wierzył Wedge, Nowa Republika nauczy Adumar, jak się bronić.

- Dzięki „Hołd”, wyłączam się. - Przeszedł na częstotliwość eskadry. - Czerwoni, chodźcie sobie postrzelać, póki jeszcze jest do czego.

ROZDZIAŁ 15

Już się pożegnał z Adumarem, wygłaszając kolejną długą mowę do ogromnych tłumów zgromadzonych wokół podium na centralnym placu Certanu.

Tłum nie okazywał już tak bezmyślnego entuzjazmu. Niektórzy nawet zechcieli sobie przypomnieć, że Wedge walczył z nimi jeszcze kilka dni temu. Inni jednak, wciąż pełni czci dla doskonałości jego pilotażu i wdzięczni za nową konfigurację rządu Adumaru, zgotowali mu gorącą owację.

A teraz stał jako główna atrakcja pożegnalnego przyjęcia dla Wedge'a Antillesa, ambasadora. Znow był w swoim apartamencie w Certanie, znow w galowym mundurze Nowej Republiki, otoczony tłumem składającym się z pilotów Nowej Republiki i szlachetnie urodzonych Adumarian - pilotów, ministrów, a także peratorów Certanu i Konfederacji Yedagonu. Widział też oznaki postępu, które go cieszyły - takie jak ostatnie zamówienie Certanu na symulatory lotów.

Iella wzięła go pod ramię. Znow miała na sobie tę suknię, w której wyglądała jak wędrujący płomień - powiedział jej, że lubi ją w tym stroju.

- Wiem, że wywiad próbował cię raz czy drugi zwerbować - powiedziała - ale mam wrażenie, że korpus dyplomatyczny po prostu nie jest dla ciebie.

Wedge się uśmiechnął.

- Jasne. Z przyjemnością zastrzelę każdego, kto przyjdzie do mnie z taką ofertą. Przynajmniej zaoszczędzi mi to procesu o morderstwo.

Balass ke Teldan, nowy perator, podszedł do nich.

- Tak mi przykro - rzekł.

- Czemu?

- Ostatni lot w przestrzeni Adumaru i tylko jedno strącenie. Wedge wzruszył ramionami.

- To strącenie to defender TIE. Bardzo prestiżowe, jeśli patrzeć na to z tej strony.

- Wiem, że wy macie na to nieco inny pogląd. - Lekki uśmieszek znikł z twarzy peratora. - Mój ojciec hołdował przestarzałym tradycjom. Nie pasowały nawet do tego świata, który chciał zbudować. Ale to uczciwy, honorowy człowiek, przestrzegający swojego kodeksu i pragnie was przeprosić. Jest wściekły, że Tomer Darpen zdołał go przekonać, iż szukasz śmierci, choć była to nieprawda. Jest też głęboko zasmucony, bo próbował ci dać to, czego pragnąłeś. Sądzę, że jeśli nawet nie odpowiadają mu wasze formy honoru... to przynajmniej je uznaje.

Wedge spuścił oczy. Nie wątpił, że perator najlepiej w tej chwili odgrywał swoją rolę na wygnaniu, pozbawiony wpływów w Certanie. Wedge wyobrażał sobie, że dawny władca zechce uprzyjemnić sobie dalsze lata życia pisaniem pamiętników; mógłby w nich opowiedzieć o sukcesach odniesionych w młodości, ofiarowując innym niewiele poza kiepską radą i rosnącym niezadowoleniem z kierunku, w jakim podąża ten świat. Być może jednak źle osądza starego Pekaelica. Dawny władca może się przecież zmienić, zaadaptować. Może nawet znów sięgnie po tytuł, przedstawiając to jako przykład postępowego myślenia...

Spojrzał znów na Balassa.

- Proszę mu powiedzieć, że przyjmuję przeprosiny.

- Powiem. Teraz jednak muszę się pożegnać, obowiązki wzywają. - Skłonił się leciutko, uściśnął

Wedge'owi dłoń i znikł.

- Biedny chłopak - szepnęła Iella.

- Co masz na myśli?

- Jest teraz peratorem, nie może obsypać cię komplementami i błagać, żebyś go nauczył wszystkiego, co sam umiesz.

- Gdyby naprawdę miał na to ochotę...

- Ma. Z profilu jego osoby, który opracowaliśmy, wynika, że to jeden z twoich największych wielbicieli. Teraz jednak schronił się pod maską władcy i nie może się do tego przyznać.

- A dla ciebie to tylko polityka. - Wedge rozejrzał się po sali.

Janson i tłum jego fanów zajmowali jeden kąt. Wes również był w stroju galowym, ale podeptał regulamin, narzucając na ramiona swój ulubiony płaszcz. Wzór na płaszczu przedstawiał rząd splecionych ramionami Jansonów tańczących jak girlsy w kabarecie. Wedge ciekaw był, skąd on wziął taki obraz. Zastanawiał się też, czy istnieje jakakolwiek możliwość wysłania tego płaszcza w kosmos bez wiedzy Jansona, jak tylko wrócą na Coruscant.

Tycho i Hobbie stali w grupie pilotów i wymachując rękami, demonstrowali wzajemne położenie myśliwców w jakiejś dawnej walce.

Hallis stała przy ladzie, która służyła za barek. Miała zadumaną minę, jak zwykle od kilku dni. Zapisy, które nagrała od chwili, kiedy Czerwoni zostali skazani na ucieczkę korytarzem, wydawały jej się z każdą godziną coraz mniej właściwe dla potrzeb dokumentu, który zamierzała zmontować. Niektóre fragmenty zostały nawet uznane za tajne. Jednak Unia Adumaru wypłaciła jej małą fortunę za wysiłek włożony w napisanie wiarygodnego scenariusza do programów, które z takim powodzeniem zmyliły imperialnych najeźdźców. Wedge podejrzewał też, choć Iella nie chciała tego potwierdzić, że Nowa Republika złożyła jej ofertę na usługi w dziedzinie propagandy i mylenia przeciwnika. Wyglądała na kobietę, która ma zbyt dużo możliwości wyboru, a zbyt mało czasu, żeby się dobrze nad nimi zastanowić.

Rozejrzał się w poszukiwaniu Cheriss, ale ona już była obok.

- O, Cheriss... chciałem ci właśnie powiedzieć, że przekazałem twoje podanie do akademii, razem z moją rekomendacją.

- Dziękuję. Czy mogę jeszcze o coś poprosić?

- Oczywiście.
- Czy pozwolisz mi opuścić Adumar na twoim statku?

Wedge się zawahał. Jej zadurzenie było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował w swoich relacjach z Iellą...

- Widzisz - ciągnęła - nowy perator musi mnie nie lubić. Byłam członkiem, a właściwie szefem grupy, która pojmała jego ojca. Mój... jak to nazwał Hobbie?...kontrakt poparcia został unieważniony, a właściciel budynku, w którym mieścił się mój apartament, wydał już nakaz eksmisji. Jeśli i tak mam się przeprowadzić, mogę to zrobić od razu. Nawet jeśli wasza akademia mnie nie przyjmie...

- Znajdziesz pracę jako nauczyciel szermierki, wierz mi. Oczywiście, Cheriss, porozmawiam z kapitanem Salabanem.

- Dziękuję. - Z uśmiechem skierowała się do grupy, którą zabawiali Tycho i Hobbie.

Wedge nie zdołał powstrzymać smutnego uśmiechu i Iella to zauważyła.

- Co?
- Właśnie zacząłem sobie pochlebiać - rzekł - i sam się na tym przyłapałem.
- Możesz sobie pochlebiać, ile zechcesz, zawsze będę przy tobie, żeby cię sprowadzić na ziemię.

Ujął Iellę za ramiona i oplótł je sobie wokół szyi. Objął ją w pasie i zaczął powolny, koreliański taniec.

- Wedge, tu nie ma muzyki.

- No cóż, może jeszcze przez kilka godzin, dopóki nie spakujemy się i nie opuścimy systemu. Wtedy tylko strzelę palcami i będę miał wszystko, czego zapragnę. To jeden z przywilejów sławy. Życzysz sobie muzyki?

- Nie - odrzekła i oparła mu głowę na ramieniu. - Tak jest cudownie. Skinął głową, czując jej miękkie włosy na policzku. Rzeczywiście, cudownie.